



ALLAN MASSIE  
**CEZAR**

Profesorzy i Słuch

**Allan Massie**

# **Cezar**

*(Tłum. Ryszard Kulesza)*

*Przede wszystkim jak zawsze dla Alison,  
A ponadto dla Gilesa Gordona*

## CHRONOLOGIA,

- 100 rok p.n.e.      Narodziny Cezara.
- 81 -                      Dyktatura Sulli.
- 80                      – służba wojskowa Cezara w Azji. Domniemana afery miłosna z królem Bitynii, Nikomedesem IV.
- 67-66 – Cezar zawiera sojusz z Pompejuszem i Krassusem.
- 63 – Przyjmuje godność najwyższego kapłana (ponlifex maximus). Konsulat Cyncerona. Spisek Katyliny.
- 60 – I triumwirat (Pompejusz, Krassus i Cezar).
- 59 – Pierwszy konsulat Cezara. Małżeństwo z Kalpurnią, córką Lucjusza Kalpurniusza Pizona.
- 58 – Cezar zostaje namiestnikiem Galii Cisalpińskiej, Ilirii, a następnie również Galii Transalpińskiej. Walki z Helwetami i Ariowistami.
- 57 – Kampania przeciwko Belgom (Nerwiowie).
- 56 – Dalsze walki w Galii. Odnowienie I triumwiratu. Wyprawa przeciwko Wenetom.
- 55 – Przedłużenie namiestnictwa na pięć lat. Cezar przeprowia się za Ren. Pierwsza wyprawa do Brytanii.
- 54 – Druga wyprawa do Brytanii.
- 53 – Cezar ponownie przeprowia się za Ren. Klęska i śmierć Krassusa w bitwie z Partami pod Karrhae.
- 52 – Klęska powstania Wercyngetoryksa pod Alezją. Niepokoje w Rzymie. Zabójstwo Klodiusza. Pompejusz zostaje wybrany jedynym konsulem {consul sine collega}.
- 51 – Oblężenie Uksellodunum. Zakończenie wojny galijskiej i publikacja „Komentarzy” Cezara. Jego przeciwnicy ze stronnictwa optymatów usiłują odwołać go do Rzymu.
- 50 – Dalsze wysiłki wrogów Cezara zmierzające do postawienia go przed sądem.
- 49 – Cezar otrzymuje rozkaz rozpuszczenia wojska. Nadanie Pompejuszowi władzy dyktatorskiej. W styczniu wraz z przekroczeniem przez Cezara Rubikonu rozpoczyna się wojna domowa. W Hiszpanii kapitulują wojska pompejańczyków. Cezar obrany dyktatorem.
- 48 – Drugi konsulat Cezara. Pompejusz zwycięża Cezara pod Dyrrachium i zostaje przez

niego pokonany pod Farsalos, a następnie zamordowany w Egipcie. Cezar zajmuje Aleksandrię.

47 – Zakończenie wojny aleksandryjskiej. Zwycięstwo Cezara nad Farnakesem pod Zelą w Azji Mniejszej.

46 – Trzeci konsulat Cezara. Cezar otrzymuje na dziesięć lat stanowisko dyktatora. W Afryce rozgromia pompejańczyków. „Katon” Cyncerona oraz „Anty-Katon” Cezara.

45 – Wojska pompejańczyków ponoszą klęskę pod Mundą. Koniec wojny domowej. Czwarty konsulat Cezara.

44 – Cezar obrany dożywotnim dyktatorem i po raz piąty konsulem. Próba koronacji królewskiej w lutym. Przygotowania do wojny z Partami. W marcu Cezar zostaje zamordowany.

## ROZDZIAŁ 1

Na drugim brzegu rzeki, oddalonego na długość końskiego skoku, pasterze – niezgrabne postacie odziane w baranie skóry – zbierali swe stada. Wieczorna mgła ukrywała przed moim wzrokiem owce. Unoszące się znad bagnistego gruntu opary pozwalały dostrzec jedynie sylwetki pasterzy. Było zimno. Zaczynał padać deszcz. Obróciłem się i czując rwanie w prawym kolanie – pamiątka naszej ostatniej kampanii – pokuśtykałem z powrotem do obozu.

W swoim namiocie Kaska popijał wino grzane z gałką muszkatołową i cynamonem. Zdjął zbroję i stanął przy stole w zakrywającej obwisły brzuch tunice.

– Nic się nie dzieje. Nic niepokojącego.

– Ma się rozumieć. Wszystko przygotowane – powiedział.

– Chciałbym być równie ufny. Cezar popełniał już błędy, niekiedy nawet bardzo wielkie. Labienus mawiał, że porywczosć należy do największych wad naszego wodza.

– I gdyby go tam nie było, aby powstrzymać Cezara, spadłyby na nas nie lada kłopoty. Oszczędź mi tego gadania, przyjacielu. Starego Labiena nie ma tutaj i chwala za to niebiosom.

Labienus, najbardziej doświadczony spośród dowódców Cezara, jego towarzysz od pierwszych dni wojny galijskiej, nie lubił Kaski, a nawet nim pogardzał, ubolewając nad jego upodobaniem do chłopców i wina. Zupełnie słusznie, jeśli „starorzymska cnota” ma być stałym naszym refrenem. Ale Kaska był moim kuzynem i najbliższym przyjacielem. Znałem lepiej niż Labienus jego słabe, a także mocne strony. Mimo skłonności do pobłażania sobie i różnych słabostek był odważnym człowiekiem. Żołnierze uwielbiali go, choć zwykli żartować z ciągłej obecności Diosippa i Nikandra, pary katamitów, zniewieściałych Greków o wypachnionych i trefionych głowach, których Kaska, jak sam twierdził, ubóstwiał. Oczywisty nonsens. Kaska nie dbał o nikogo poza samym sobą, może z wyjątkiem swojej starej, otyłej matki. Wprawdzie byliśmy przyjaciółmi, ale poderznąłby mi gardło, gdyby wymagała tego polityka lub jego własny interes.

– Zostawiłem go przy stole. Udawał, że pije na umór, i flirtował z młodziutką żoną jakiegoś obywatela z Rawenny. Smakowity kąsek. Z pewnością smaczniejszy niż Kalpurnia. Czeka ją jednak rozczarowanie. Biedna dziewczyna.

– Tak – powiedziałem – rozkazy zostały wydane. Nadto w specjalnej deklaracji ogłosił, że

jego zamiary są szlachetne, a sprawa słuszna.

– Oszczędź mi cycerońskich sztuczek. Będziemy walczyć o karierę Cezara i o jego skórę. A także o naszą własną. Jeśli uda mi się zabić kilku z moich wierzycieli, Rzym stanie się znacznie przyjemniejszym miejscem. Czy wiesz, ile wynoszą moje długi? Z radością mogę powiedzieć, że ja również nie wiem, chociaż moja matka pisała mi o tym jeszcze w zeszłym tygodniu. Nie sądzę, aby doszło jutro do poważniejszych starć. Przekroczenie tego strumienia, który z jakichś powodów postanowiłeś poddać inspekcji, będzie miało jedynie znaczenie symboliczne. Cezar wysłał już oddział wojska, aby zająć Rimini. [Autor nie jest konsekwentny w stosowaniu pisowni nazw miejscowych, używając raz łacińskich nazw starożytnych (np. Avaricum), innym zaś razem współczesnych (np. Rimini zamiast Ariminium), co zachowuję w przekładzie polskim. – przyp. tłum.] Przybyli tam wczoraj Antoniusz i Kurion, którzy uciekli z Rzymu w przebraniu niewolników. Chciałbym bardzo zobaczyć Antoniusza w tej roli.

Posłał mi całusa.

– Pewnie czekał na nich – powiedziałem. – Przypuszczam, że to właśnie było przyczyną zwłoki.

– Jak zwykle nietrafnie przypuszczasz, kuzynie. W jakiejś mierze zdecydowały względy polityczne. Cezar chciał, aby opozycja przyznała się w ten sposób publicznie do zamiaru zniszczenia i zhańbienia go, co pozwoliło mu twierdzić, że działa w obronie własnej.

– A czy tak nie jest?

– Czy nie jest? Może i jest. Któż, samego Cezara nie wyłączając, może powiedzieć, w jakim momencie kabotyn zrzuca swą maskę? Zwlekał jednak tak długo również dlatego, że wiedział, iż jest to decydujący moment jego kariery. To gracz, który postawił wszystko na jedną kartę. Nie ma dla niego drogi odwrotu. Jedynie pierwszy krok się liczy. Rzucił kości. „Niechaj kości zostaną rzucone”, mruknął do mnie dziś wieczorem.

– Jesteś zdenerwowany? – zapytałem. – Podobno Cezarowi śniło się zeszłej nocy, że śpi z własną matką.

– Sny Cezara – burknął Kaska. – Czy są wieści o Pompejuszu?

Kaska roześmiał się. Uważał Pompejusza za wielkiego cymbała, za starą babę. Znowu się roześmiał, gdy mu przypomniałem, że niektóre stare kobiety, jak jego własna matka, są bardzo zawzięte. Pompejusz przechwalał się, że gdy tylko postawi stopę w Italii, legiony wyrosną jak spod ziemi. Kilka tygodni wcześniej wzmianka o tym niepokoiła Cezara, dopóki Kaska nie stwierdził: „Musimy więc usunąć mu ziemię spod nóg, aby stąpał w powietrzu”.

- Czy znaki są pomyślne?
- Znaki, mój drogi, są zawsze pomyślne, gdy dowodzi Cezar.

Odszedłem do swojego namiotu i leżałem niespokojny na polowym pośłaniu. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie stać mnie na niefrasobliwość mojego kuzyna. Kaska, który od niepamiętnych czasów grał rolę zrujnowanego człowieka, nie był zdolny do zachowania powagi. Moja sytuacja była całkowicie odmienna. Byłem młodszy duchem, miałem wiele do stracenia, mogłem obawiać się o przyszłość. W każdym razie wojna domowa jest czymś strasznym. Wszystko, co wiedziałem o Pompejuszu, kazało mi wierzyć, że mógł dowieść słuszności swych przechwałek.

Powoli zapadała noc. Nie śpieszyłem się z zagaszeniem kaganka. Opowieści mojego dziadka o wielkich prześladowaniach w czasie walk Mariusza i Sulli przysły między jawą a snem. Co zwiastował sen Cezara? Wnioski były oczywiste, niepokojące, złowróżbne. Jeśli Roma była jego matką, śpiąc z nią, Cezar dopuścił się kazirodztwa. Ścisnąłem roztrzaskaną głowę mojego przyjaciela Klodiusza, którego zamordowała banda wynajęta przez Pompejusza. Cynceron bronił mordercy z charakterystyczną dla siebie nieuczciwą retoryką. Podobnie jak Kaska odnosiłem się z po gardą do wielkiego mówcy, samozwańczego zbawcy miasta przed Katyliną, kuzynem i zapewne kochankiem mojej matki.

Nie sądzę, abym zasnął.

Przed świtem zaczął się w obozie niezwykły ruch – brzęk uprzęży, rżenie koni, tupot wartowników, gwar tysięcy legionistów. Właśnie wówczas usłyszałem dochodzący gdzieś z oddali cienki i taneczny dźwięk piszczałki. Skoczyłem na równe nogi, ubrałem się pośpiesznie, wdziałem zbroję i chwyciłem za miecz. Mgła była gęsta i lepka od wilgoci, ale muzyka ciągnęła mnie w kierunku rzeki. Inni, śpiesząc się, przepychali się koło mnie, w sposób niezwykły dla legionistów, nie zachowując dyscypliny ani porządku. Z powodu zapału, ogólnego podniecenia, jakie ich ogarnęły, można było pomyśleć, że uciekają.

Plusk wody uświadomił mi, że zbliżamy się do rzeki. Obok mnie przemknął jeździec. Szarpnięcie jego konia sprawiło, że się potknąłem. Za nim otwarła się ścieżka i zrobiło się jasno. Z drugie go brzegu podobnie jak dźwięki muzyki rozchodził się snop światła, nienaturalny, niezemski. Oddychałem ciężko. Spoglądałem wzdłuż tunelu światła, a choć wpatrywałem się w sam jego środek, nie oślepiało mnie.



Człowiek grający na piszczałce siedział na odległym brzegu Rubikonu, już w Italii.

Muzyka uciszyła żołnierzy. Cofnęli się. Jeden z centurionów [Centurion – w wojsku rzymskim dowódca oddziału złożonego ze stu żołnierzy (łac. centum – sto).– przyp. tłum.] krzycząc rozkazał żołnierzom wejść do strumienia. Nikt go nie usłuchał. Muzyka płynęła w naszym kierunku. Mgła wirowała wokół fletnisty. Jakiś legionista zawołał: „To bóg Pan [Pan – w mitologii greckiej syn Hermesa i nimfy Driape, bóg pasterzy, przedstawiany jako pół człowiek, pół kozioł. Rzymianie utożsamiali go z Faunem, italskim bogiem pasterzy, oraz Sylwanem, bogiem lasów. – przyp. tłum.], a jego głos poniósł się wzdłuż szeregów: „Pan, Pan, Pan”. Młody człowiek, który pierwszy wykrzyknął to imię, padł na ziemię. Inni poszli za jego przykładem. Uporczywie wpatrywałem się we fletnistę, który, zdając się w ogóle nie poruszać, odszedł, znikając w momencie, gdy ze wszystkich sił starałem się nie stracić go z pola widzenia. Muzyka zniknęła wraz z nim. Nastąpiła długa, martwa cisza. Zawstydzeni z powodu swej chwilowej bojaźni, a jednocześnie dziwnie podnieceni radością, legionieści błyskawicznie podnieśli się na równe nogi, weszli do strumienia i przeprawili się do Italii.

– Kolejna sztuczka wodza. Możesz być pewny – rzekł Kaska.

Czy rzeczywiście? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Gdy o całym incydencie doniesiono Cezarowi, uśmiechnął się w charakterystyczny dla siebie, wymijający i umniejszający własną rolę sposób, który nie mówi nic, sugerując wszystko.

Pamiętam tamtą ucztę w Rimini. Doszła nas wieść, że garnizony w sąsiednich miastach poddały się, zapewniając Cezara o swojej lojalności. Cezar zebrał swój sztab.

– Nie jest to dobra pora na ucztowanie – powiedział – mimo to wnoszę puchar wina w dowód wdzięczności za wasze poparcie, a także jako świadectwo mojej pewności zwycięstwa. Zrobiliśmy krok, od którego nie ma odwrotu. Gdy przekroczyliśmy dziś rano ten strumień, złamaliśmy prawa Republiki. Wszyscy wiecie, dlaczego tak uczyniłem. Moi wrogowie postanowili mnie zniszczyć. Wystąpiłem w obronie własnej godności, którą cenię bardziej aniżeli samo życie. Nie dajcie się jednak zwieść, iż chodzi tu o zwykłą waśń osobistą. Wiem, że w to nie wierzycie. Ale jestem zarazem świadom, że w nadchodzących tygodniach wasi przyjaciele, krewni i znajomi będą podejmować wyczerpujące wysiłki, aby przekonać was, iż jest to właśnie konflikt osobisty, nie zasługujący z tego już powodu na wasze poparcie. Przyjmijcie więc moje zapewnienie, że wystąpię również w obronie uprawnień trybunów [Powołane w 494 roku p.n.e. kolegium trybunów ludowych wyposażono w nie zwykle szerokie uprawnienia (m.in. prawo weta wobec decyzji urzędników), aby umożliwić im obronę interesów ludu. – przyp. tłum.] i wolności rzymskiego ludu, na które

targnęli się moi przeciwnicy. Pozwólcie przypomnieć sobie, że zgłosiłem gotowość złożenia broni pod warunkiem, że Pompejusz zrobi to samo. Pozwólcie przypomnieć sobie, że zgłosiłem gotowość rezygnacji z namiestnictwa, wyjąwszy Galię Cisalpińską i dowództwo nad jednym legionem. Pozwólcie sobie przypomnieć, że użyto siły wobec trybunów, którzy zgodnie z prawem zgłosili weto przeciwko uchwale Senatu. Jej realizacja zmusiłaby mnie do rozpuszczenia wojska, nie dając w zamian żadnych gwarancji osobistego bezpieczeństwa. Nie dążyłem do tej wojny. Narzucili mi ją wrogowie. Oni jej chcieli, nie ja. Cieszę się jedynie z tego, że dała mi możliwość policzenia moich przyjaciół. Wy tutaj jesteście najważniejszymi wśród nich. Z całego serca dziękuję wam za lojalność i odwagę. Nasza sytuacja jest wprawdzie groźna, ale przywykliśmy od dawna do niebezpieczeństw. Wierzę w słuszość i powodzenie mojej sprawy.

Marek Antoniusz wznosił okrzyk, do którego wszyscy się przyłączyliśmy. Odczuliśmy ulgę, że okres niepewności dobiegł końca i doszliśmy do momentu, w którym wszystko zostanie poddane próbie.

Wyznaję, że moje własne głośne okrzyki wynikały z obawy, jaką odczuwałem. Przyszłym pokoleniom trudno będzie zrozumieć grozę, jaką wzbudzał Pompejusz. Była ona jednak całkiem naturalna. Przez całe moje życie był on w Rzymie wielką osobistością. Jego osiągnięcia w Azji trudno z czymkolwiek porównywać. Na wet podbój Galii przez Cezara, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć, wydawał się w zestawieniu z nimi czymś mało znaczącym. Galowie byli jedynie dzielnymi barbarzyńcami, nie znającymi się na sztuce wojennej. Natomiast Pompejusz pokonał potężne królestwa, poddając je pod jarzmo Rzymu. Nasze imperium było nade wszystko jego dziełem. Całymi latami Cezar pozostawał w cieniu Pompejusza. Wiedziałem, że gdy połączyli swe siły, Cezar był najmniej ważnym członkiem triumwiratu, który stworzył z Pompejuszem i Markiem Krassusem. Brakowało mu zarówno sławy pierwszego, jak i bogactwa drugiego.

Nie mieliśmy niczego, co moglibyśmy przeciwstawić sławie Pompejusza czy bogactwu jego stronników. Gdy rozejrzałem się naokoło stołu biesiadnego, dostrzegłem zaledwie kilka osób, które zyskały szerszy rozgłos. Niektórzy, jak Kaska, i najważniejszy z nich, Marek Antoniusz, zażywali zresztą zdecydowanie złej sławy. Wiedziałem, że wielu ludzi Cezara było równie niewyplacalnych jak Kaska i zdecydowanych za wszelką cenę podreperować fortunę kosztem państwa.

Nie byłem jednym z nich. Nie byłem też, jak inni, pozbawionym oglądy awanturnikiem. Pochodziłem z jednej z najświetniejszych rodzin patrycjuszowskich. Mogłem poszczycić się tuzinem konsulów wśród swoich przodków. Byłem człowiekiem bogatym. Same tylko dobra, gdybym je odziedziczył, a mój ojciec był już stary, pozwoliłyby mi żyć w luksusie. Miałem wiele do stracenia i nic do zyskania, gdyż nie brakowało mi ani bogactwa, ani reputacji, ani pozycji. A mimo to trwałem przy Cezarze.

Gdyby ktoś zapytał dlaczego, miałbym kłopoty z odpowiedzią. Kiedy czytam dzieła historyków, zadziwia mnie pewność, z jaką przedstawiają oni motywy ludzkiego postępowania. Dziwne, że wiedzą takie rzeczy, gdy mało kto jest w stanie powiedzieć z równą pewnością, dlaczego zakochał się w kobiecie czy chłopcu. Jako młody oficer zostałem przydzielony w Galii do sztabu Cezara. Można uznać za naturalne, że to właśnie zdecydowało o mojej wierności. Ale Labienus, którego łączyły z nim znacznie bliższe stosunki, porzucił go, chociaż Cezar zawsze wypowiadał się o Labienusie niezwykle ciepło. Zdaniem niektórych sprawę przesądziło pochodzenie Labienusa z Picenum, twierdzy Pompejusza, jemu więc winien był lojalność w pierwszej kolejności. Nie wierzę w to. W zachowaniu Cezara coś go raziło. Czyżby to samo, co mnie przy nim trzymało?

Zadręczam się tymi pytaniami teraz, gdy nie mają one właściwie najmniejszego znaczenia. Kiedy być może nic już nie ma znaczenia. Nie wierzę, abym miał jeszcze długo pożyć. Jestem przetrzymywany tutaj przez Galów jako zakładnik, obiekt przetargu. Przewiduję dla siebie haniebną koniec. Dzisiejszego ranka zapytałem młodzieńca, którego mi przydzielono, a który mówi znośną łaciną, czy są jakieś wieści. Z jego milczenia wywnioskowałem najgorsze. Ale może po prostu nic nie wiedział. Poza wszystkim dlaczego miałby być zaznajomiony ze sprawami Rzymu?

Tak, wyznaję, boję się. Nie obawiam się samej śmierci. Żaden arystokrata rzymski się jej nie boi. Chciałbym jedynie mieć pewność, że będę mógł umrzeć w sposób godny moich przodków. Obawiam się, że nie będzie mi to dane. Znacznie bardziej prawdopodobny jest cios nożem w ciemności, a następnie moja głowa wysłana do nieprzyjaciół jako świadectwo dobrej woli. Taki właśnie los spotkał Pompejusza. Cezar udawał oburzenie. W duchu jednak musiał odetchnąć. Nie wiedziałby, co począć z Pompejuszem, który nie nadawał się na przedmiot jego sławnej łagodności wobec pokonanych.

Uprzedzam jednak bieg wydarzeń.

Czar Cezara. Słynny czar Cezara. Miał zwyczaj otaczać cię ramieniem i ujmując palcami płatek twojego ucha, bawił się nim, gdy zawierzał ci lub udawał, że zawierza, swoje tajemnice. Nie zniósł bym tego ze strony żadnego innego człowieka. Kiedy robił to Cezar, odczuwałem dreszcz przyjemności. Czy to wyznanie przynosi mi ujmę?

Moje zakłopotanie było tym większe, że w odróżnieniu od Antoniusza i Kuriona nie byłem pewny zwycięstwa.

Gdy tego wieczoru Cezar wyszedł, Antoniusz wyciągnął się na łożu i rozkazał niewolnikom przynieść jeszcze jeden dzban wina.

Uśmiechnął się do mnie.

– Napijesz się? Będziesz dzielił ze mną tę wyjątkową noc?

– Wódz dał do zrozumienia, że powinniśmy wcześniej pójść spać. Czeka nas ciężka walka – powiedziałem, układając się na drugim łożu i sięgając po wino.

– Nie będzie żadnej walki, i to przez długi czas – odrzekł Antoniusz. – Zwykła eskapada, wakacyjna wycieczka.

– Skąd ta pewność?

Uśmiech, który czarował i uwodził mężczyzn i kobiety, ten uśmiech, którego tak mu zazdrościłem, opromienił jego twarz. Zdarzały się takie chwile, gdy Antoniusz wyglądał jak sam bóg Apollon.

– Będą czmychać niczym zające – powiedział. – Zapominasz – dodał – że właśnie wróciłem z Rzymu. Znam kaliber naszych wrogów. Skończeni tchórze. Słyszałeś, że musiałem przebrać się za niewolnika? Przez parę dni obracałem się wśród niewolników. Mówią oni między sobą o sprawach, którym ich właściciele nigdy nie dają wiary. Wiedziałeś o tym?

Nalał sobie ponownie wina i ruchem ręki odprawił niewolników.

Czy wiesz, o czym oni mówili? Mówili, że optymaci [Od schyłku II wieku p.n.e. (wystąpienie braci Grakchów) wykrystalizował się w Rzymie podział polityczny na stronników Senatu zwanych optymatami (łac. optimus – najlepszy) i zwolenników reform ustrojowych, niezadowolonych z rządów Senatu, nazywanych popularami (łac. populus – lud). – przyp. tłum.] – jak Cynceron nazywa bandę podstarzałych cymbałów – połączyli się przeciwko nam. Mówili, że robią w portki ze strachu. Zaufałbym temu.

– A Pompejusz? – zapytałem.

Pompejusz jest skończony. Może kiedyś i był wielki. Teraz... – skierował kciuk w dół. – Byłeś w Galii. Kiedy po raz ostatni widziałeś Pompejusza?

– Zeszłej zimy w Rzymie. Widziałem, jak niesiono go w lektyce przez Forum.

– W lektyce... Wielki jest teraz górą tłuszczu. Nigdy nie wie dział wiele, wyjąwszy – przyznaję to – jak ustawić wojsko. W polityce jednak zawsze był dzieckiem. Dał się przechytrzyć wrogom Cezara, którzy jeszcze nie tak dawno temu, w istocie przez większość jego życia, byli również jego wrogami. Stał się ich zakładnikiem i właściwie poza reputacją nic mu nie pozostało. Reputacja. Nie dam złamanego denara za reputację. Nie, drogi chłopcze, kampania, w obliczu której stoimy, będzie niczym w porównaniu z tym, co widziałeś w Galii Tam rzeczywiście toczyła się walka. Tym razem będzie to bitwa kwiatów. I słów. Jeśli idzie o słowa, Cynceron nie zawiedzie. Jak myślisz, jakie są kobiety w tym mieście?

Udałem się z Antoniuszem do domu publicznego, spałem się, a do łóżka trafiłem, gdy słońce już weszło. Oto jak rozpocząłem wielką kampanię italską.

## ROZDZIAŁ 2

Nie zamierzam opisywać naszej kampanii w Italii ani wojny domowej, która po niej nastąpiła. Z jednej strony nie wiem, ile czasu mi pozostało na pisanie, z drugiej zaś zbyt bolesne wspomnienia wiążą się z tymi ostatnimi, zakończonymi tak nieszczęśliwie wojnami. Zakończonymi, przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Ktoś uzna moje uwięzienie w tym miejscu za wyraz sprawiedliwości. Ironicznej lub poetyckiej, ale sprawiedliwości właśnie. Jak ja to widzę?

No cóż, spróbuję o tym opowiedzieć. Cezar chełpił się swoją łagodnością. Stosował ją jednak tylko wobec obywateli rzymskich. Zapominał o łagodności, gdy chodziło o cudzoziemców.

Weźmy na przykład przypadek galijskiego przywódcy Wercyngetoryksa, naczelnika plemienia Arwemów, męża pięknej postawy, odwagi i przebiegłości. Uczestniczyłem w tej strasznej kampanii pod Alezją. Po raz pierwszy zobaczyłem wówczas, na czym polega okrucieństwo wojny. Dołączyłem do armii, gdy oblegaliśmy galijską twierdzę Avaricum. Była zima. Na górskich drogach śnieg leżał po kolana. Z mrozu straciłem palec u ręki. Wercyngetoryks niszczył spichlerze i magazyny, chcąc pozbawić nas żywności. Legioniści byli bliscy rozpacz. Obelgami i pochwałami Cezar sprawił, że otrząsnęli się z lęku. Przypuściliśmy szturm, zdobywając miasto. Cezar zdecydował się lub zezwolił – nigdy nie byłem tego pewien – na ogólną masakrę.

– Czemu nie? – rzekł Kaska. – Mamy dość żywności dla wojska, ale nie dla ludności cywilnej.

Kaska dowodził wówczas oddziałem wysłanym do pilnowania magazynów zboża przed grabieżą. Panował niesamowity zamęt. 22 Gwałcono kobiety, zanim poderżnięto im gardła. Zaledwie nieliczne, którym dopisało szczęście, pozostały przy wojsku. Cezar ze spokojem przyglądał się budzącym grozę scenom.

– Żołnierze wiele wycierpieli, aby to osiągnąć – powiedział.

Galowie nie dawali za wygraną. Wercyngetoryks zamknął się w warownej Alezji. Przystąpiliśmy do oblężenia. Wkrótce sami znaleźliśmy się w okrążeniu. Spadła na nas nowa armia galijska, otaczając nasze wojska, podczas gdy my oblegaliśmy miasto. Jedynie ogromnie nierozważny dowódca mógł się dać wpędzić w taką pułapkę. Jedynie dowódca o wyjątkowej

odwadze i śmiałości mógł by nas wówczas ocalić.

Cezar zachowywał spokój.

– Przeznaczeniem Cezara nie jest śmierć w barbarzyńskim kraju – rzekł, dotykając ręką swego czoła.

Któregoś dnia ku naszemu zdumieniu ujrzeliśmy otwarte bramy miasta. Oczekując ataku, rzuciliśmy się do broni. Ale ze wzgórza zaczęli schodzić w naszym kierunku nie żołnierze, lecz tłum starców, kobiet i dzieci.

– A więc – rzekł Kaska – tam również brakuje żywności.

Wyciągali do nas ręce, wskazując na usta i wykrzykując w swoim dziwnym języku prośby o jedzenie. Cezar nie pozwolił wydać im żywności. Nie wolno też było dopuścić ich do naszych linii.

– Nawet pięknych dziewcząt i chłopców – nakazał Cezar. – Nic tak nie szkodzi oblężonym, jak widok ukochanych osób umierających z głodu na ich oczach.

Przez trzy dni zanosili swoje żalosne błagania. Przez trzy noce ich błagalne krzyki zakłócały nam sen. Niejednego z nas dręczyły wątpliwości. Żołnierz nie przestaje przecież odczuwać jak zwykły człowiek. Ale Cezar pozostał nieugięty. Gdy usłyszał, że jeden z centurionów okazał się na tyle nierozważny, aby wziąć sobie piękną dziewczynę, kazał go wychłostać i zdegradować. Samą dziewczynę wypędzono poza obóz, skazując ją na śmierć głodową.

W końcu nieszczęśni ludzie zaczęli odchodzić. Nie wiem, dokąd poszli, czy ktokolwiek zdołał ocaleć. Po kilku dniach po pro stu zniknęli. Zapewne doczołgali się do lasu, aby tam umrzeć. W tym czasie otoczyła nas armia posiłkowa. Cezar twierdził później, że liczyła osiem tysięcy jazdy i ćwierć miliona piechoty. Tak właśnie napisał w raporcie dla Senatu, ale były to czcze przechwałki. Nie mieliśmy sposobu, aby się dowiedzieć, jak wielu ich było.

Nie zamierzam szczegółowo opisywać bitwy. Była podobna do innych, choć znacznie cięższa niż zazwyczaj. Prawdę mówiąc, opisy bitew rzadko oddają dobrze bieg wydarzeń. A właściwie nawet nie o to chodzi. Oddają go aż za dobrze. Historycy nadają im kształt, którego w rzeczywistości wcale nie miały. Przypisują dowódcom o wiele większy wpływ na wydarzenia, niż ci go w gruncie rzeczy mają. Nie radzę nikomu czytać relacji Cezara o oblężeniu Alezji. Zamiast tego lepiej porozmawiać z jakimś legionistą, który walczył wówczas w pierwszym szeregu. Jeśli idzie o mnie, niczego nie pamiętam. Treboniusz żartował później, że byłem pijany jak Antoniusz, ale to nieprawda. Mogę również przyznać się teraz, że strach, jakiego

doświadczylem, zatarł wspomnienia. Marzyłem o śmierci i wcale nie byłem od niej daleko.

W końcu Wercyngetoryks poprowadził z miasta atak. Myślę, że zaatakował zbyt późno. Jakieś pół godziny wcześniej, zanim zabezpieczyliśmy swoją pozycję przed armią posiłkową, jeszcze miał szansę nas zmieść. Ale nawet i teraz mogliśmy przegrać, gdyby jazda, lekceważąc rozkaz Cezara, nakazujący pozostać jej w miejscu, nie uprzedziła manewru okrążającego. Gdy Galowie dostrzegli, co się dzieje, wielu z nich wpadło w panikę i uciekło do miasta. Właśnie ta chwila przerażenia przesądziła o wyniku bitwy. Mogliśmy ruszyć naprzód, całą masą metalu, zadając ciosy mieczami. Wspinaliśmy się po ciałach zabitych nieprzyjaciół, ścigając uciekających do warowni. Gdy zamknięto przed nami bramy, wiedziałem, że Wercyngetoryks już przegrał.

Nazajutrz przysłał posła z propozycją układów. Cezar odrzekł, że będzie o nich rozmawiał jedynie z Wercyngetoryksem.

Wódz galijski wyjechał z twierdzy, która stała się jego więzieniem. Jechał na białym koniu. Nad prawym okiem widać było ślad po cięciu mieczem. Siedział prosto, dumny niczym panna młoda. Gdy zsiadł z konia, ciągle przewyższał o głowę Cezara, który oczekiwał na hołd z jego strony. Gal nie ugiął się jednak.

Wercyngetoryks przemówił po łacinie. Nie była to zbyt dobra łacina, ale mimo wszystko łacina. Uznał własną klęskę i prosił o litość dla swoich oddziałów i współplemieńców. Odór rozkładających się ciał i krwi wypełniał powietrze.

Nie zwracając się nawet do swego szlachetnego przeciwnika, Cezar wezwał dwóch centurionów i nakazał im zakuć galijskiego wodza w kajdany.

– Cezar nie rozprawia z barbarzyńcami – powiedział, chociaż przez lata, które spędził w Galii, czynił to przy wielu okazjach.

Następnie wydał rozkazy. Plemiona Arwernów i Eduów miano oszczędzić. Odzyskiwały swój wcześniejszy status sprzymierzeńców Rzymu (sprytne rozwiązanie, zważywszy, że sam Wercyngetoryks pochodził z plemienia Arwemów).

– Zostali wprowadzeni w błąd przez złe rady – rzekł Cezar, ciągle nie racząc zwrócić się do samego Wercyngetoryksa ani nawet spojrzeć mu w twarz.

Wszystkich pozostałych jeńców kazał rozdzielić pomiędzy legionistów. Najpierw jednak mieli wykopać dół na ciała zabitych.

Na koniec polecił centurionom:



– Zabierzcie tego człowieka i strzeżcie go pilnie.

Nigdy później nie rozmawiał z Wercyngetoryksem. Wyzaczył mu jednak pewną rolę. Miał przeżyć, aby uświetnić triumf Cezara. Odwlekl się on o kilka lat. W końcu, jak wiadomo, Wercyngetoryksa uduszono w więzieniu mamertyńskim. W dniu kapitulacji Alezji Wercyngetoryks znosił zniewagi z najwyższym spokojem. Cezar był zwycięzcą, ale ten dzień należał do jego pokonanego przeciwnika. Wstydzilem się za Cezara tamtego wieczoru.

(Później: Przekazałem ten opis młodemu Artiksesowi, synowi Gala, który wziął mnie do niewoli. Spędził trochę czasu w Rzymie i z łatwością czyta po łacinie. Jest to urodziwy, nie pozbawiony wdzięku młody człowiek, który, jak wierzę, szczerze mi współczuje. Tak się składa, że ze strony matki jest spokrewniony z samym Wercyngetoryksem. Ciekaw byłem, jakie wrażenie zrobi na nim moja relacja.

Oczywiście powie ktoś, czytając to wyznanie, że chodziło mi o pozyskanie jego sympatii. Nie bez racji zapewne, ale wcale nie taka przyświecała mi intencja. Naprawdę byłem zaskoczony, odkrywając podczas pisania siłę własnych przeżyć. Jest to zresztą coś, co zauważyłem już wcześniej, a co rodzi filozoficzne pytanie, czy pisanie w istocie nie wpływa na uczucia piszącego, czy nie stwarza zachęty do nieszczerości. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Prawda jest, jak zawsze, skomplikowana. Nie możemy odtworzyć wszystkich naszych emocji, tym bardziej że rozmyślanie o przeszłych wydarzeniach zabarwia to, co wydarzyło się później.

– Jak mogłeś przystać do takiego człowieka? – zapytał.

Artikses miał niezwykle szczerą, dość kwadratową twarz, ukrytą pod czupryną jasnych włosów.

– Nigdy nie zaznałeś jego uroku ani powagi – odparłem. – Powiedz mi, czy pamiętasz choć trochę swego kuzyna?

– Jakże to może mieć dla ciebie znaczenie? Jesteś Rzymianinem i współsprawcą jego śmierci.

– Czytałeś, co napisałem – odparłem. – To powinno tłumaczyć moje pytanie).

Po bitwie Cezar wyraził uznanie dla zasług Antoniusza i Treboniusza. Nie przejąłem się, gdy nie wspomniał wcale o moim udziale. Prawdę mówiąc, odczułbym zakłopotanie; gdyby powiedział cokolwiek na moją pochwałę. Dostrzegłem jednak gniewne spojrzenie Labienusa.

Nienawidził Antoniusza. Uważał go za najzwyczajniejszego rozpustnika. Być może właśnie w tamtym momencie zaczął oddalać się od Cezara.

Wieczorem Antoniusz zjawił się w moim namiocie. Był pijany, do czego zapewne miał prawo. Sam chciałbym być wówczas pijany, choć z innego zupełnie powodu. Wolałbym nie wspominać tych odwiedzin, gdyby niejedna rzecz, o której napomknął.

– Cezar jeszcze tego nie rozumie, ale Rzym należy teraz do niego.

Wówczas wydawało mi się to absurdalne.

Położył się z tyłu, na moim łożu. Miał na sobie pogniecioną tunikę.

– Rzeź wzmaga we mnie żądzę – powiedział.

Chyba się zaśmiałem, jak zawsze, gdy czułem się zakłopotany.

– Wyglądasz jak biała mysz – odezwał się znowu – bojaźliwa, mała biała mysz.

Jestem naturalnie blady, ale moje włosy nie były w tamtych czasach białe, miały raczej kolor słomy. Antoniusza bawiła gra słów nawiązująca do mojego cognomen. [Nazwisko obywatela rzymskiego składało się zazwyczaj z trzech elementów: praenomen (imię indywidualne), nomen gentile (nazwisko rodowe) i cognomen (przydomek). W przypadku starych i rozgałęzionych rodów cognomen uzupełniał nazwisko rodowe. Najczęściej jednak miał charakter indywidualny i nawiązywał do cech fizycznych, umysłowych lub zawodu Rzymianina (np. Barbatus – Brodaty, Albinus – Biały, Caecus – Ślepy). – przyp. tłum.] Może jeden z moich przodków był rzeczywiście albinosem. Nie wiem. Moje rysy zawsze były ostre, nigdy ładne. W dzieciństwie otrzymałem przezwisko Mysz, które przyłgnęło do mnie na całe życie. No cóż, Cezar znaczy „włochaty”, ale sam Cezar był łysy, co wprawiało go w niemałe za kłopotanie.

– W każdym razie – dodał Antoniusz po chwili – nie musisz się martwić. Kobieta jest tym, czego potrzebuję.

Wstał na równe nogi, kołysząc się nieco i mimo nietrzeźwego stanu poruszając się z ociężałą gracją wielkiego kota. Położył ręce na moich ramionach, jakby chciał się wyprostować, i popatrzył mi prosto w oczy. Jego oddech śmierdział winem. Pochylił się do przodu i pocałował mnie w usta.

– Mała Mysz – powiedział – mały Decymus Juniusz Brutus Albinus Mysz. Nie powinieneś się aż tak bardzo bać.

– Nie boję się – odparłem. – Jestem znudzony i zde gustowany.

Mną, Myszo?

Znudzony tobą, a zde gustowany tym, co zdarzyło się dzisiaj.

– Hejże! zawołał. Wercyngetoryks grał i przegrał. Sprawił nam mnóstwo kłopotów. Znał

zasady gry. Nie możesz winić Cezara z powodu wygranej. – Nie winie go za zwycięstwo, lecz za...

Zawahałem się.

– Uważaj, Myszo – powiedział Antoniusz. – Uważaj, abyś nie powiedział czegoś przeciwko wodzowi.

– Masz rację – odrzekłem – nikomu nie wolno tego robić.

Cezar. Na dobre i na złe. Czy kiedykolwiek był szczery? Oddalibyśmy za niego życie. Za jeden jego uśmiech. My wszyscy, służący w Galii jako jego dowódcy i oficerowie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ulegliśmy jego urokowi. Zarazem wszyscy się go baliśmy, nawet Antoniusz, który udawał, że nie boi się nikogo. Ale widziałem, jak się jąkał i czerwienił pod zimnym wzrokiem Cezara. Nawet Kaskę potrafił wprowadzić w zakłopotanie.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem Cezara, wychodził właśnie z sypialni mojej matki. Byłem wówczas dzieckiem. Miałem dziewięć lub może dziesięć lat. Był letni poranek. Obudziłem się wcześnie i nie mogąc ponownie zasnąć, poszedłem do matki, szukać u niej pocieszenia. Kiedy zbliżyłem się do jej pokoju, drzwi otworzyły się i wyszedł młody człowiek w krótkiej tunice. Nie wiedziałem, że nazywa się Cezar. Zatrzymał się i uśmiechnął, dotykając dłonią mojego policzka, a potem ujął między dwa palce płatek mego ucha.

– A więc to jest Myszo – odezwał się – mała Myszo, o której słyszałem tyle dobrego. Mówiono mi, że kochasz grecką poezję.

Skinąłem głową.

– Ja też, chłopcze. Musimy o tym kiedyś, w jakimś bardziej dogodnym momencie porozmawiać.

Następnie roześmiał się pełnym czystej uciechy śmiechem i opuścił mnie. Szedłem za nim aż na dwór, patrząc, jak daje jakąś monetę odźwiernemu, i nie mogłem od niego oderwać wzroku, gdy powoli odchodził. Przechodząc przez dziedziniec, przerzucił skraj togi przez ramię. Nigdy nie widziałem arystokraty, który pokazywałby się publicznie w podobnym negliżu. Teraz wiem, że czerpał przyjemność, obwieszczając wszem i wobec o swoich podbojach. Nie miałem wówczas pojęcia, dlaczego znalazł się w naszym domu ani tym bardziej że był kochankiem mojej matki.

Oczywiście nic do niej nie czułem. Ona zaś uwielbiała go. Gdy przyszedłem do niej, wyglądała

jak nigdy przedtem.

W owym czasie Cezar nie zdobył sobie jeszcze sławy wojskowej. Znany był jedynie z rozpusty i długów. Ale o tym również dowiedziałem się dopiero później. Gdy słyszałem, jak mówiono w ten sposób o Cezarze, nie mogłem połączyć tak opisanej postaci ze wspaniałą niedbałością jego zachowania. W wieku dziesięciu lat stałem się, jak moja matka, jego niewolnikiem. Naszą wspólną tajemnicą, którą chroniliśmy przed wszystkimi, zwłaszcza przed moim ojcem, było uwielbienie dla Cezara.

Jakiś czas potem przypadkowo podsłuchałem, jak mój wuj pytał ojca, dlaczego nie rozwiódł się z moją matką.

– Z powodu Cezara? – zdziwił się ojciec. – Drogi chłopcze, gdyby czynił to każdy mąż, któremu Cezar przyprawił rogi, w Rzymie nie byłoby w ogóle par małżeńskich. Nie przypuszczam, aby zdradziła mnie z jakimkolwiek innym mężczyzną. Wszyscy my, mężowie, czynimy wyjątek dla Cezara.

Być może zrozumiesz teraz, dlaczego żołnierze Cezara śpiewali w czasie jego triumfu:

*Do domu sprowadzamy tysego handlarza dziewczek,  
Rzymianie, zamykajcie swoje żony na sto spustów,  
Wszystkie jego galijskie dziewczki i galijscy niewolnicy  
Poszli płacić trybut.*

I nie tylko galijskie dziewczki. Bez wątpienia. Aczkolwiek przy pewnym słynnym, choć nigdy do końca niewyjaśnionym epizodzie Cezar odegrał w łożu inną niż zwykle rolę.

Sprawując jako młody człowiek obowiązki adiutanta Marka Termusa, prokonsula Azji, został wysłany w misji dyplomatycznej do Nikomedesa, króla Bitynii. Nikt dokładnie nie wie, co się tam wydarzyło, ale słyszałem, jak Cyceron (zapewne powtarzając zakorzenioną i niewiarygodną pogłoskę) mówił, że Cezar „w otoczeniu dworaków prowadzony był do komnaty królewskiej i tam kładł się na złotym łożu w purpurowej szacie. Wyobraźcie to sobie, moi przyjaciele. Oto jak naprawdę ten potomek Wenery kwiat swej młodości zhańbił w Bitynii”. Mogła to być zupełna niedorzeczność, a jeśli nawet nie, sprawę z całą pewnością znacznie podkoloryzowano. Skądinąd powszechnie w nią wierzono. Wierszokleta Licyniusz Kalwus napisał epigramat o

*Bogactwach króla Bitynii,*

*Których Cezar w jego łóżu użył.*

Gdy swego czasu Cezar występował w Senacie w obronie Nysy, córki Nikomedesa, wymieniając dobrodziejstwa, jakich doznał od króla, Ciceron znowu zakrzyknął z tą swoją prowincjonalną zapalczywością: „Zaniechaj, proszę cię, wyliczania tych zasług, gdyż dobrze jest wiadome, co on tobie dał, a szczególnie – co ty mu dałeś”.

W każdym razie dużo się o tym mówiło w Rzymie, nawet gdy byłem chłopcem, i to czyniło Cezara w dziwny sposób jeszcze bardziej atrakcyjnym. Każdego innego mężczyznę zdruzgotałaby taka niesława. Każdy inny zakryłby ze wstydu twarz i unikał życia publicznego. Ale nie Cezar. Przyjmował to z taką samą buńczucznością, jaką się wykazał, rozmawiając z synem kobiety, z której łóża wyszedł. Zastanawiałem się nieraz, czy postanowił zdobyć sławę kobieciarza właśnie z powodu owej plamy na honorze. Mimo iż nikt nie potępia człowieka, który wybiera miłość z chłopcami, oddawanie się w wieku dorosłym starszym od siebie mężczyznom uchodzi za niegodne. Nazywamy takiego mężczyznę biernym kochankiem i generalnie pogardzamy nim. Odnosi się to nawet do Greków, o czym możesz się przekonać, czytając Platona. Nawiasem mówiąc, Bibulus, który sprawował urząd konsula wraz z Cezarem w 59 roku, w jednym z obwieszczeń, jakie kazał wywieszać na murach Rzymu, rzeczywiście nazywa go „królową bityńską” i ogłasza, że „przedtem lubował się w królu, a teraz we władzy królewskiej”.

No cóż, to ostatnie jest oczywiście bliższe istocie sprawy. Moje słowa mogą wydać się wykrętne każdemu czytelnikowi tych wspomnień – jeśli przeżyję, aby je dokończyć, i jeśli one prze trwają, aby znaleźć czytelnika – ale nie sądzę, żeby wydarzenia, w których brałem udział, można było zrozumieć, dopóki nie spróbuje się zrozumieć całej skomplikowanej natury Cezara.

Nasuwa mi to pytanie, na które nie umiem odpowiedzieć. Czy była jeszcze jakaś inna przyczyna, dla której hańbiący epizod z królem Nikomedesem wyrządził mu jedynie tak nieznaczną szkodę?

Kiedys, wiele lat później, zapytałem moją matkę, czy myśli, że Cezar kiedykolwiek naprawdę ją kochał. Roześmiała się.

– Oczywiście, że nie, mój drogi – odpowiedziała. – Uwielbiałam go, ale to zupełnie coś innego. Nie mogłam się oszukiwać nawet wtedy. Wiedziałam na przykład, że jednocześnie ma

romans z Postumią Sulpicją – zresztą strasznie głupią babą. Nie, Cezar był inny niż Pompejusz; ten, co może cię zdziwić, naprawdę wielbił kobiety, z którymi utrzymywał zażyłe stosunki. Oczywiście jeszcze jedno ich różniło. Trudno byłoby ci pojąć, patrząc na niego teraz, ale Pompejusz w młodości był tak piękny, że jak mawialiśmy, każda kobieta chciałaby go po prostu schrupać. Myślę, że Cezar w jakiś surowy, a zarazem szyderczy sposób był przystojny, nie jego wygląd jednak zapewniał mu sukcesy, do których nawiasem mówiąc, zaliczyć by można drugą żonę Pompejusza, Mucję. A może trzecią? Sama już nie pamiętam. W każdym razie była matką trojga dzieci i Pompejusz sądził, że nic mu z jej strony nie grozi. I nie groziło. Dopóki nie pojawił się Cezar. Pompejusz nazywał Cezara Ajgistem. Wiesz przecież o tym.

– Ajgistem?

– Och, Myszo, jesteś taki powolny Ajgistos był kochankiem Klitajmestry Zauważ, że wiele lat później nie przeszkodziło to Pompejuszowi poślubić córkę Cezara. Ale przecież wiesz o tym oczywiście. Biedna dziewczyna.

– Biedna? – No tak, Pompejusz był już wtedy impotentem. Zresztą, jak mówią, zwykle w porze snu był zalany Nie, jeśli mnie pytasz, była tylko jedna kobieta, w której Cezar nieomal się zakochał. Zresztą nigdy nie rozumiałam dlaczego.

– Kto to był?

– Serwilia. Matka twojego kuzyna Marka.

– Serwilia, ten potwór?

– Może ci się wydawać potworem, Myszo, ale ona jest bardzo sprytną kobietą. Wiedziała, jak utrzymać przy sobie Cezara. Stale do niej wracał.

– No cóż, wiedziałem oczywiście o tym, że łączyła ich zażyłość i że mieli romans. To żadna tajemnica. Gdy byliśmy dziećmi, doprowadzaliśmy tym Marka do płaczu. Ale mimo wszystko ta nudziara, z jej bezustannym gadaniem o cnocie i związku z Grakchami. Naprawdę sądzisz, że ją kochał?

– Tak – odparła moja matka. – Nie powstrzymało to jej jednak przed stręczeniem twojej kuzynki Tertii dla zaspokojenia chuci Cezara.

Tertia była słodką, drobną istotką, zupełnie niepodobną do swej rodzicielki. Rozpiła się i zmarła w młodym wieku. Mimo wszystko moja matka pewnie miała rację. Jedno z powiedzonek Cyncerona wiązało się z tą sprawą. Gdy Cezar dwa czy trzy lata temu – na czymś, co miało udawać licytację publiczną – przyznał Serwili za śmiesznie niską cenę pewne

skonfiskowane dobra, Cynceron rzekł: „Wiedźcie, że jeszcze taniej kupiono, niż sądzicie, po potrąceniu trzeciej części (tertia)”.

Krażyły też pogłoski, że Marek Brutus jest synem Cezara. Kiedy był małym chłopcem, posądzenie to doprowadzało go do łez ze wstydu i wściekłości. Ale później wręcz umacniał owo przekonanie, głosząc jednocześnie jego absurdalność. Podobnie jak wszyscy ludzie, którzy obnoszą się ze swoją cnotą, mój kuzyn Marek był krętaczem o obliczu Janusa.

Młody Artiksos odezwał się do mnie:

– Mówiłeś o jego uroku i powadze. A ja dostrzegam jedynie łajdaka. I nadal jestem zdumiony, że mogłeś pójść za takim człowiekiem. Dla nas, Galów, było jasne, iż jest on siłą niszczącą. Czy nie dostrzegłeś tego?

– Artiksosie – odparłem – nie wiem, czy słyszałeś, co powiedział Marek Katon.

– Nie wiem nawet, kim był Katon.

– Szczęściarz z ciebie. W każdym razie powiedział on: „Spośród wszystkich jeden Cezar w stanie trzeźwym przystąpił do zburzenia rzeczypospolitej”.

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Mniejsza z tym.

– Chodź – zwróciłem się do Artiksosa, widząc rozczarowanie na jego twarzy – odetchniemy wieczornym powietrzem, a ja spróbuję ci całą rzecz wyjaśnić.

(Warunki mojego aresztu nie są obecnie, jak widzisz, srogie ani uciążliwe. Jestem zupełnie dobrze traktowany i nie da się ukryć, że zaczynam zmieniać pogląd na temat cywilizacji galijskiej. Prawda, że mają wstrętne wino, ale dbają o moją wygodę, a jedzenie jest znośne. Co zaś najważniejsze, mam coś w rodzaju dzikiego ogrodu, po którym wolno mi się przechadzać – oczywiście pod nadzorem. Schodzi on do rzeki, a po drugiej stronie równiny rozpościerają się góry. Jakże przyjemnie jest wieczorem pod drzewami orzechowy mi, gdy zapach wiecznie zielonego dębu unosi się wokół. Młody Artiksos jest czarującym towarzyszem. Ogromnie go polubiłem).

Wieczne powietrze było łagodne. Śpiewały ptaki. W wiosce na dole zaszczekał pies. Dochodził nas śmiech dziewcząt. Artiksos spytał:

– Co rozumiesz przez rzeczypospolitą? Słyszałem już wcześniej, jak Rzymianie używali tego

słowa, i zawsze mnie ono intrygowało.

– Nas również – odparłem. – To część problemu. Musisz zrozumieć, Artiksiesie, że dawno temu, podobnie jak teraz waszymi plemionami, Rzymem rządzą królowie.

– No tak – powiedział – to przecież oczywiste. Wszyscy mają swoich królów.

– Niezupełnie. Niektóre państwa nazywamy republikami. Nie, nie proś mnie o objaśnienie, zrozumiesz, czym jest republika, gdy skończę. Ale jeśli będę musiał tłumaczyć każde słowo, nigdzie nie dojdziemy. W każdym razie Rzymianie przestali być zadowoleni ze swoich królów [Decymus Brutus przytacza tu w skróconej formie tradycję rzymską o obaleniu w 509\508 roku p.n.e. władzy królów etruskich w Rzymie, wypędzeniu Tarkwiniusza Pysznego i zaprowadzeniu ustroju republikańskiego. – przyp. tłum.].

– Dlaczego?

– No cóż, po pierwsze byli cudzoziemcami.

– Obieranie cudzoziemców na królów to kiepski pomysł.

– Zapewne tak, nie wiem zresztą, było to dawno temu. Następnie okazało się, że syn króla jest złym człowiekiem.

Co zrobił?

– Zgwałcił dziewczynę.

Popatrzył na mnie w sposób wyrażający zdziwienie.

– Skoro był królewskim synem – powiedział – powinno być dla niej zaszczytem spełnienie jego woli.

– Wolno ci tak myśleć, ale ona sądziła inaczej, a jej ojciec i bracia wpadli w gniew. Wystąpili przeciwko królowi i wygnali go z miasta.

Tak – odparł – rozumiem. I sami ustanowili się królami.

Nie całkiem. Rzymianie uznali wówczas rządy królów za złe rozwiązanie. Nie pytaj dlaczego. Po prostu tak uznali. Postanowili przyjąć nową, inną od poprzedniej formę rządów. Zamiast jednego króla władającego dożywotnio rozdzielili władzę między dwóch ludzi, którzy mieli być równi sobie i rządzić jedynie przez rok. Nie nazywano ich królami, lecz konsulami.

– Czy zabijano ich na koniec roku?

– Nie.

– Jak więc udawało się ich nakłonić do oddania władzy?

– Byli posłuszni obowiązującym zasadom.

– I dzieje się tak nadal?

– Nadal mamy konsulów. W następnym roku sam miałem zostać konsulem.



– Ale nie zostaniesz. Zamiast tego jesteś tutaj.

– Tak. Obecnie konsulowie nie mają zresztą wielkiej władzy.

– Rozumiem. System przestał działać.

– Działał dobrze przez długi czas. Nawet bardzo dobrze. Może nawet zbyt dobrze. Rzym stał się wielki i potężny. Wiesz o tym. Za znałeś sam naszej potęgi. Podbijaliśmy inne kraje i plemiona, rozszerzając obszar imperium.

– Tak, zabijacie ludzi i nazywacie to pokojem.

– Jeśli chcesz tak to ująć, chociaż my widzimy to zupełnie inaczej. W każdym razie imperium stało się na tyle wielkie, że wodzowie musieli sprawować całymi latami komendę nad wojskami i prowincjami, aż w końcu wyrosli na potężniejszych od konsulów.

– I stali się w ten sposób królami.

– Niezupełnie.

Czasami zaczynałem wątpić, czy Artiksos jest naprawdę tak bystry, jak mi się wydawało. Mimo wszystko przebywał przecież w Rzymie. Zapewne jako zakładnik. Musiał więcej wiedzieć o rzymskiej polityce i tylko udawał. Ale gdy patrzył na mnie swoimi szeroko otwartymi niebieskimi oczami i uśmiechał się w ten szczerzy, przepelniony zdziwieniem sposób, gotów byłem sądzić, że nic nie rozumie.

A jednak... Położyłem rękę na jego ramieniu.

– Artiksosie, myślę, że dobrze wiesz o tym wszystkim.

Znowu się uśmiechnął.

– No cóż – odrzekł – może coś niecoś.

– Bawisz się zatem ze mną.

– Lubię słuchać, jak opowiadasz. I ogromnie chciałbym się dowiedzieć jak najwięcej o Cezarze i o tym, dlaczego pozostałeś mu wierny aż do czasu... I o tych wszystkich kobietach. Słyszałem o królowej Egiptu. Podobno jest olśniewająco piękna.

– Kleopatra? Wcale nie. Jest raczej inteligentna niż piękna.

– Opowiedz mi o niej.

## ROZDZIAŁ 3

Większość Rzymian odnosi się do Egiptu i Egipcjan z odrazą. Jest coś w tym kraju, co nam przeszkadza. Prawdopodobnie chodzi o wszechobecność magii. Wszystko zdaje się brać początek z pradawnego mułu Nilu. Egipcjanie czczą zwierzęcych bogów, a nawet, jak mi mówiono, wyznają kult żuka gnojaka. Smród zepsucia wypełnia cały kraj. Niewielu Rzymianom udało się przeżyć choćby jeden dzień bez gorączkowego oglądania się za siebie i upewnienia, czy jakaś czarownica nie rzuciła na nich uroku. Głupota. Niezwykle jednak zaraźliwa. Dotknęła nawet Antoniusza. W Egipcie przejawiał zupełnie obcy jego naturze nerwowy niepokój.

Musi to mieć jakiś związek z krajobrazem. Chociaż Rzym jest ogromnym miastem, my, Rzymianie, z natury i z urodzenia jesteśmy mieszkańcami wsi. Sprawiają nam przyjemność drzewa, góry, rzeki, jeziora i morze. Nasze rzeki są przyjazne w porównaniu z przygniatającą obecnością Nilu. Jesteśmy najszczęśliwsi i czujemy się najlepiej w wiejskich willach. Bogowie naszych okręgów wiejskich są życzliwymi stworzeniami. Każda grotta i źródło ma swego ducha opiekuńczego. Łatwo jest żyć w harmonii z takimi stworzeniami. Łatwo i przyjemnie. W Egipcie nie ma wsi. Nie ma krajobrazu. Jedynie bezmiar piasków urozmaicany pomnikami dla zmarłych. My, Rzymianie, z należyтым szacunkiem odnosimy się do swoich przodków i z dumą wystawiamy na widok publiczny maski tych, którzy zdobyli sławę, służąc Republice. Zarażeni ideą śmierci Egipcjanie korzą się przed duchami swoich zmarłych. Cały kraj jest w niewoli idei śmierci.

Oczywiście Aleksandria jest wielkim miastem, najwspanialszym na świecie. Grecka w swoich korzeniach, nie jest zarazem miastem typowym dla Egiptu. Swoimi bibliotekami, sądami, mnóstwem sklepów, portami, w których znajdują się towary z całego cywilizowanego świata, może porazić przybysza. Ale nawet Aleksandrię przenika trucizna Egiptu. Na rynku jakaś stara kobieta, która jak mówiono, miała dwieście lat, sprzedawała magiczny napój zapewniający długowieczność. Mój kuzyn Marek Brutus chciał, aby oskarżono ją o oszustwo. Cezar jedynie się roześmiał. „Nie wyrządza żadnej szkody” – powiedział, ale nie miał racji.

Po bitwie pod Farsalos, gdy główna część armii Pompejusza uległa całkowitemu zniszczeniu, Wielki uciekł do Egiptu. Kraj był wprawdzie nominalnie niepodległy, ale rzymskie wpływy sięgały głęboko. Pompejusz popierał dawniej króla Ptolemeusza. Kiedy wypędzony przez

buntowników z Egiptu Ptolemeusz przybył do Rzymu, Pompejusz przemawiał za nim w Senacie. Chcąc zdobyć jeszcze większe poparcie, król uciekał się do przekupstwa na wielką skalę. Znalazł sposób na pozbycie się (za pomocą skrytobójczych morderstw) różnych członków opozycyjnego stronnictwa, którzy również zjawili się w Rzymie, aby bronić swojej sprawy. Egipcjanie nie potępiają skrytobójstwa a jak mówiono sukces króla w tym przedsięwzięciu pozwolił mu odzyskać utracone poważanie. Ale i tak nie osiągnął swego najważniejszego celu, albowiem Pompejusz w owym czasie sam miał wielu wrogów w Senacie, którzy żywili obawę, że przywrócenie Ptolemeusza siłą rzymskiego oręża umocni jedynie pozycję Pompejusza, gdyż król Egiptu, niewiele rozumiejąc z ustroju naszego państwa, czułby się zobowiązany raczej Wielkiemu anizeli Senatowi. Nie zrobiono zatem niczego w jego interesie dopóty, dopóki w wyniku sławnego spotkania Pompejusza, Cezara i bogacza-cymbała Marka Krassusa w Lukce nie powstało coś, co Cyceron określił (prywatnie) mianem „zbrodniczego spisku zmierzającego do podziału władzy i rządu Republika”. Dopiero po przejęciu przez nich władzy politykę Pompejusza wprowadzono w życie, a Gabiniusz otrzymał rozkaz poprowadzenia swej armii z Syrii i osadzenia Ptolemeusza na tronie. Udało mu się to jako dobremu oficerowi, choć był zarazem nałogowym pijakiem. Armia egipska nie dorównywała zresztą pod żadnym względem rzymskim legionom. Król Ptolemeusz nie żył już, a tron odziedziczyło dwoje jego dzieci, chłopiec noszący również imię Ptolemeusz oraz córka Kleopatra.

Zgodnie z egipskim zwyczajem zostali małżeństwem. Jest to bardzo dziwne. Jak być może wiesz, w żyłach egipskiej rodziny królewskiej płynie grecka krew. Pierwszy z Ptolemeuszy należał do dowódców Aleksandra Wielkiego. Od dawna jednak przyjęli oni zwyczaj rządzonego przez siebie kraju, praktykując między innymi kazirodztwo. Zwykle Grecy, jakkolwiek zdegenerowani, podobnie jak my, Rzymianie, odnoszą się z wrogością do kazirodztwa. Zakaz incestu jest niewątpliwie bardzo stary i gotów jestem uznać go za wrodzony ludzkości. A mimo to Egipcjanie zdają się uznawać kazirodztwo za zgodne z naturą.

Małżeństwo jednak nie wyklucza rywalizacji, do której zwykle dochodzi, gdy jest dwóch pretendentów do tronu – wiesz, Artiksiesie, jak powszechna jest taka rywalizacja w Galii – a młody Ptolemeusz i Kleopatra, jak mówiono, byli w tak złych ze sobą stosunkach (bez wątplenia zaognianych jeszcze przez stronników), że pojawiały się nawet pogłoski o wojnie domowej.

W każdym razie Pompejusz zbiegł do Egiptu, ufając, że dziedzic Ptolemeusza okaże

wdzięczność wobec człowieka, który przywrócił tron jego ojcu. Może zapomniał, że Ptolemeusze byli teraz ludźmi Wschodu i obce im były w związku z tym szlachetne uczucia.

Cezar nie śpieszył się z pościgiem z przyczyn, których nie mogłem zgłębić, a on sam nie zadawał sobie trudu, by je objaśnić. Za miast ścigać Pompejusza, grał na zwłokę, wyprawiając się do Troi. Znalazłem się wśród tych, których wybrał, aby mu towarzyszyli. Chociaż niepokoiła mnie zwłoka, która, czego się obawiałem, mogła dać Pompejuszowi szansę ponownego zebrania wojska i przedłużenia w ten sposób wojny domowej, a może nawet odwrócenia jej biegu (być może Cezar dysponował jakimiś informacjami, które ukrywał przed nami), czułem się zaszczycony zaproszeniem i zachwycony możliwością zobaczenia Troi. Moja matka zaszczerpiła mi miłość do Homera od najwcześniejszego dzieciństwa, a z dwóch epopei „Iliada” wzruszała mnie zawsze najsilniej.

Na początku doznałem rozczarowania. Niewiele pozostało z dumnych baszt i potężnych murów. Sceneria była przygnębiająca. Sławny Skamander płynął leniwie, a góra Idą pozostawała niewidoczna, ukryta we mgle. Od morza wiał silny wiatr. Bagniska i sitowie pokrywały obszar, na którym obozowali Grecy.

– Dziesięć lat na zdobywanie czegoś takiego – odezwał się Treboniusz. – Homerowi Grecy musieli być wyjątkowymi nieudacznikami. – Treboniusz zawsze zwykł patrzeć z góry na cały świat. Te raz się naigrawał: – A Agamemnon, Ajaks i Achilles wyjątkowymi tumanami.

– Tak sądzisz? – zapytał Cezar.

– A ty, wodzu, nie? Jeśli pomyśleć o tym, czego dokonałeś pod Avaricum i pod Alezją, Troja wygląda niepozornie, nieszczęsne miejsce, które nie zatrzymałoby nas nawet przez siedem dni.

– Oczywiście masz rację, Treboniuszu. – Wyczułem niezadowolenie w głosie Cezara. Zgiął palce, jak zwykł czynić, gdy starał się opanować irytację. – Z panowaniem na morzu, z nowoczesnymi machinami oblężniczymi i dobrze wyszkoloną armią szybko uporalibyśmy się z tymi biednymi Trojanami. Czy jesteś tego samego zdania, Myszo?

Inaczej niż Treboniusz łatwo odczytywałem nastroje Cezara. Nie zapomniałem o tym, że Cezar lubił przechwalać się swoim po chodzeniu od bogini Wenus. Pamiętałem, że właśnie w tych dębowych i orzechowych lasach powyżej Troi bogini połączyła się z Anchizesem i urodziła herosa Eneasza. Prowadzony przez swą matkę oraz innych bogów, umknął on później z płonącego miasta i odbył długą, pełną niebezpieczeństw wędrówkę morską do Italii. Zabrał wówczas ze sobą swego małego synka Julusa, którego potomkiem w prostej linii był Cezar, jak

sam twierdził, choć wszyscy prawdziwi Rzymianie są dziećmi Eneasza. I dlatego powiedziałem:

– Z pewnością błędem byłoby osądzać starożytność wedle kryteriów naszej własnej epoki. Na pewno nikt nie wierzy, że Grecy albo Trojanie długo stawialiby opór naszym legionom. A jednak jest czymś barbarzyńskim wysmiewanie się z nich. Jeśli kiedykolwiek przestanie ludzi wzruszać Homer, będzie to czas rozpaczony dla ludzkości. Wówczas postąpimy słusznie, porzucając sny o wielkości. U Homera widzimy wielkość połączoną z przedziwną słabością, honor zmagający się w jednej piersi z niesławą. Widzimy wszystko to, co wielkie i szlachetne w wojnie, oraz wszystko, co jest w niej straszne i budzące odrazę. Czy nie jest dowodem ponadczasowej siły Homera to, że oplakujemy zarówno Hektora, jak i Achillesa? Czy nie jest nieśmiertelny ukazany przez niego obraz niekończących się nigdy zmagania między ludzką wolą a uciskającym ciężarem konieczności? Treboniusz ma rację. Nowoczesna armia szybko zdobyłaby Troję. Z drugiej strony, jaki współczesny poeta jest w stanie poruszyć nas tak jak Homer? Z tego powodu powinniśmy czcić smutne pozostałości Ilionu. Z tego powodu przybyliśmy tutaj, aby zapłakać i złożyć hołd sławnym zmarłym.

– Brawo, Myszo – rzekł Cezar i uszczypnął mnie w ucho.

A jednak, chociaż wiedziałem, że mówiłem tak, jak chciałem, abym mówił, i wypowiedziałem słowa, jakie chciałem usłyszeć, nie mogłem uwolnić się od myśli, że chwając mnie, zarazem śmiał się ze mnie.

– Wyrastasz na małego mistrza retoryki – rzekł do mnie wieczorem Kaska.

Rozparł się w moim namiocie z pucharem w dłoni. Jego twarz była zaróżowiona od wina. Diosippos klęknął przy nim, między rozwartymi kolanami, masując jego mięsiste uda, podczas gdy lewa ręka Kaski bawiła się lokami chłopca. Nikander stał za swoim panem, nacierając mu oliwą plecy i ramiona i spoglądając groźnym wzrokiem na Diosipposa.

– Nauczyłeś się schlebiać Cezarowi – zauważył Kaska.

Czułem, że się rumienię. Odwróciłem wzrok.

– Ale ja właśnie tak myślę, jak mówiłem, kuzynie. Nie mogę znieść, gdy Treboniusz szydzi z Homera. Jeśli przestaniemy wierzyć w poezję, staniemy się wówczas... – zawahałem się, szukając słów.

– Staniemy się rozsądnymi ludźmi – dokończył Kaska, pochylając się i całując Diosipposa w usta. – Więcej słodczy jest w chłopięcych ustach niż we wszystkich słowach Homera.

Czynisz jednak mądrze, schlebając Cezarowi. Dla swojego własnego dobra. Proszę cię jedynie, abys pamiętał o starym przysłowiu: kogo bogowie pragną zniszczyć, najpierw odbierają mu rozum.

– Do czego zmierzasz?

Wstał, zrzucając na podłogę okrywającą biodra przepaskę i odsłaniając obwisły brzuch. Kołysząc się, doszedł do łoża i legł na nim twarzą w dół. Chłopcy podążyli za nim i znowu zaczęli go masować. Odwrócił się w moim kierunku:

– Czy Cezar wspominał o swoich planach założenia nowej Troi, nowego Rzymu?

– Nie, nic o tym nie mówił. Co masz na myśli?

– Co on ma na myśli? Oto jest pytanie. Teraz odejdz, Myszo. Ty też Dio. Zostawcie mnie z Nikiem. Wsunął rękę między kształtne nogi Nikandra, pociągając chłopca ku sobie.

Siedzieliśmy na pokładzie. Nad nami rozpościerało się gwiazdziste niebo. Morze, wcześniej wzburzone, uspokoiło się. Osłabły odczuwane przeze mnie nudności. Cezar był odprężony i przyjaźnie nastawiony. Popijał wino zmieszane z wodą i rozmawiał o literaturze, a potem jakby od niechcienia o filozofii.

Nasze przedsięwzięcie było zuchwałe. Wiedzieliśmy, że Pompejusz jest w Egipcie. Siły, jakimi rozporządzaliśmy, były niewielkie. Mieliśmy może cztery tysiące legionistów i ośmiuset jeźdźców. Zmusiliśmy mieszkańców Rodos do dostarczenia nam dziesięciu okrętów wojennych. Nasz wywiad przynosił sprzeczne wieści. Krążyły pogłoski, że Pompejusz ma okazałą flotę, resztki legionów, które ocalały spod Farsalos, i jakieś dwie lub trzy setki uzbrojonych niewolników. Nie byliśmy jednak tego pewni. Mógł mieć trzy razy więcej wojska. Cezar nie wydawał się jednak wcale zaniepokojony. Mówił o znaczeniu prestiżu zdobytego pod Farsalos. „Jest wart dwóch legionów” – oznajmił.

– Z przyjemnością słuchałem, Myszo, tego, co mówiłeś o Homerze. Nigdy nie ufałem ludziom głuchym na głos poezji.

– Treboniusz to dobry i bardzo oddany ci oficer.

– Z pewnością mógłbym mu zaufać na polu bitwy. Jest jednak przyziemnym i nudnym towarzyszem, zrzędliwą duszą. Spójrz w gwiazdy, Myszo, spójrz w gwiazdy. Nie odrywaj od nich wzroku. Oto złota zasada życia i polityki. Człowiek, który zapomina o gwiazdach, nie stanie się nigdy ulubieńcem Przeznaczenia. Jest skazany na zmaganie się z drobnymi problemami. Nie

potrafi patrzeć w przyszłość. Ilekroć odczuwam pokusę rozpaczania, wystarczy, że podniosę wzrok ku górze w taką noc jak ta, aby odzyskać zwykły, pełen wiary stan umysłu. Spokój... – jego głos zamarł.

Siedzieliśmy w milczeniu. Jedynie fale chlupotały o dziób okrętu.

– Czym jest Rzym? – zapytał Cezar. – Miastem, ideą... Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek zastanawiać nad tym, dlaczego właśnie nam, Rzymianom, Fortuna okazała tyle przychylności? Czy myślałeś o tym, że cała historia zmierza do tego momentu, gdy Rzym staje się panem świata, a ja panem Rzymu?

– Pompejusz nadal żyje, Cezarze, a jego synowie mają armie.

– Biedny Pompejusz. Wiesz, Myszo, że go nawet lubiłem. Szczerze myślałem o nim jako o moim przyjacielu, moim ostatnim przyjacielu... niestety zawiódł moje zaufanie.

– Cezar ma wielu przyjaciół.

– Cezar nie ma w ogóle przyjaciół, albowiem wraz z odejściem w nicość Pompejusza nie ma równych sobie, a przyjaźń jest możliwa jedynie między równymi. Czy sądzisz, Myszo, że przemawia przeze mnie buta?

Na horyzoncie nie widać było lądu tylko bezkresne morze i ciemna purpura przechodząca w gęstą noc. Jedynie gwiazdy jaśniały nad nami.

– Odpowiedz mi, Myszo. Czy sądzisz, że przemawia przeze mnie buta? – Nie mogłem odpowiedzieć. Widziałem prawdę ukrytą w jego słowach, ale nienawidziłem jej i nie chciałem się z nią po godzić. – Marek Krassus uważał się za mojego przyjaciela, gdyż byłem mu winien mnóstwo pieniędzy. Był jedynie moim wierzyicielem. Znasz historię jego śmierci.

Oczywiście, że znałem. Wszyscy ją znali i byli nią przerażeni, choć zarazem napełniała nas wstydem.

Krassus poprowadził armię przeciwko Partii przez wielką pustynię Arabii. Zawiódł wywiad i gdzieś pośród piasków otoczyli go konni łucznicy nieprzyjaciela. Pozostając poza zasięgiem naszej broni, szarpali potężną armię Krassusa jak chłopcy, którzy drażnią przywiązanego do pala niedźwiedzia. Wielu Rzymian padło z wyczerpania w gorącu i ścisku. W końcu Krassus, który nigdy nie służył z odwagi, ryknął (jak mówią) niczym ranny byk i poprowadził szalony atak. Zatrzymała go strzała, która przeszła mu gardło. Obdarto z szat jego ciało, pozostawiając je na pastwę ptaków przestworzy, ciemnych ptaków, które rzucają cienie nad piaskami. Odcięto mu głowę i zaniesiono do obozu partyjskiego króla, który dziwnym zbiegiem okoliczności oglądał

właśnie przedstawienie „Bachantek”. (W ten sposób barbarzyńscy władcy naśladowają zwyczaje ludzi cywilizowanych). Kiedy na scenę wniesiono głowę króla Penteusza, jakiś niktorny, ale pomysłowy aktor zastąpił ją głową starego Krassusa.

Karrhae było największą klęską oręża rzymskiego od czasu niemal dwa wieki wcześniejszego zwycięstwa Hannibala pod Kannami. Dziwne, że Cezar rozmyślał teraz o tym.

– Pewnego dnia – powiedział – pomszczę Krassusa.

Moja matka z przerażeniem zwykła mówić o kampanii Krassusa przeciwko przywódcy buntu niewolniczego, Spartakusowi, o tym, jak po pokonaniu niewolników kazał sześć tysięcy z nich ukrzyżować wzdłuż Drogi Appijskiej – od Kapui aż po Rzym. Widok i smród rozkładających się ciał, a także charakter ich śmierci napawały ją obrzydzeniem. Przez osiemnaście miesięcy nie była w stanie zmusić się do odwiedzenia swoich majątków na południu ze względu na makabrę, którą musiałyby oglądać.

Dlaczego myślę o tym teraz?

– Kampania galijska była wspaniała – odezwał się znowu Cezar – a jednak czym jest Galia w porównaniu z cudami Wschodu? Aleksander nigdy nie myślał o podbojach na Zachodzie. Pewnego dnia Rzym musi podporządkować sobie Partię. Gdy byliśmy w Troi, myślałem o nowym Rzymie, założonym w miejscu, z którego wyszła nasza rasa. W każdym razie Rzym nie może być centrum świata. Wszystko wraca do punktu wyjścia, Myszo. Być może Przeznaczenie nakaze mi podjąć na nowo drogę, którą zapoczątkował mój przodek Eneasze, a wtedy... ale jestem dwadzieścia lat starszy od Aleksandra w chwili jego śmierci... Przeznaczenie... To paradoks, Myszo, który zrozumiałeś u Homera. Działamy za sprawą siły naszej woli, a jednak Przeznaczenie rządzi wszystkim. Cóż mam, Myszo, począć z Pompejuszem, gdy wpadnie w moje ręce?

Trudne pytanie. O jaką zbrodnię można by oskarżyć Pompejusza? Chociaż byliśmy pewni, że decyzja Cezara o wkroczeniu do Italii była usprawiedliwiona, mimo wszystko Pompejusz przeciwstawił się nam z woli i na wyraźny rozkaz Senatu. Nie mogłem sobie wyobrazić żadnego mieszczącego się w granicach prawa wystąpienia przeciwko niemu i nie mogłem uwierzyć, aby Cezar kazał skazać na śmierć bez procesu jakiegokolwiek rzymskiego obywatela – a już na pewno nie Pompejusza, który kiedyś był mężem jego córki Julii. Poza tym nazbyt często słyszałem, jak Cezar bolał nad postępowaniem Sulli, który przywrócił porządek w Rzymie po wcześniejszej wojnie domowej, mordując swoich wrogów. Dlatego powiedziałem:



– Nie mogę uwierzyć, aby Pompejusz zechciał przeżyć swoją hańbę.

– Myszo, nie znasz Pompejusza. Nie poczuje się zhańbiony. Poczuje się zdradzony. Będzie pełen urazy, a nie wstydu. Urażeni ludzie nie rzucają się na swoje miecze. Jakaż spokojna noc, noc na rozmowę o miłości, nie o śmierci. Czy zerwałeś z Klodią, Myszo?

Nie podejrzewałem nawet, że Cezar wie o mojej namiętności do tej damy. Nie odpowiedziałem.

– Przyniesie ci wyłącznie wstyd – rzekł Cezar. – Poza tym mogłaby być twoją matką.

Wątpię, aby myślał wtedy o poranku, gdy ujrzałem go wychodzącego z pokoju mojej matki. Pewnie nie. Trudno oczekiwać od wielkich zdobywców, że będą pamiętali wszystkie swoje podboje.

Wczesnym rankiem ujrzeliśmy Aleksandrię. Mimo późnego lata nie było wcale gorąco. Miasto połyskiwało przed nami. Nie spodziewałem się tak wielu białych i błyszczących w słońcu pałaców ani przepięknych zakrętów wybrzeża i portu. Jaśniejące kwiatami pałacowe ogrody zbiegały ku wodzie.

Z portu wypłynęła galera. Cezar się uśmiechnął. Był pewien, że wiezie delegację dostojników wysłanych na jego powitanie. Jak zwykle miał rację. Starsi z nich z trudem wdrapali się na nasz statek, przybierając w czasie przesiadki zabawne pozycje. Łysy mężczyzna o ciemnobrązowych oczach i obwisłej szczęce podszedł do Cezara. Jak wynikało z jego słów, nazywał się Teodotos, był Grekiem i, o czym dowiedziałem się później, zyskał pewien rozgłos jako uczonec. Z jego rad miał teraz korzystać młody król Ptolemeusz, którego wcześniej był wychowawcą.

– Założę się, że nawet kimś więcej niż wychowawcą – rzekł Kaska.

Teodotos wyciągnął lewe ramię w jednym z tych pełnych przesady gestów używanych przez zawodowych retorów, istot, które nigdy nie oddaliły się zbytnio od świata aktorów.

Dwaj nubijscy niewolnicy, wysocy, o namaszczonej oliwą ciałach, noszący jedynie lnianą przepaskę na biodrach i wyszukane ozdoby głowy, poruszyli się. Wyższy z nich sięgnął do koszyka i wyjął z niego zawinięty w tkaninę przedmiot. Można było odnieść wrażenie, że zaczynał się jakiś rodzaj przedstawienia. Drugi Nubijczyk rozwinął przed Cezarem dywan i zastygł na kolanach. Jego towarzysz również klęknął i jął otwierać pakunek. Usuwał kolejne warstwy bawełnianej materii. Pierwsze dwie miały kolor szkarłatu, trzecia była biała z brązową

plamą.

– Teraz! – krzyknął rozkazującym głosem Teodotos.

Minęły lata, od kiedy po raz ostatni widziałem na własne oczy Pompejusza, i w pierwszej chwili nie byłem pewien, czy to rzeczywiście on. Myślałem, że obalili jakiś posąg i usunęli z niego głowę jako świadectwo swoich najlepszych intencji w stosunku do Cezara.

Cezar jednak się cofnął, wznosił ręce do góry, zakrywając twarz niczym wdowa. Nubijczyk poprawił ułożenie odrąbanej głowy. Stałem z boku. Przez krótką chwilę miałem wrażenie, że Pompejusz się uśmiechnął. Ale musiało to być złudzenie.

Treboniusz zrobił krok naprzód i wyszarpnąwszy chustę Nubijczykowi, przykrył nią głowę Pompejusza.

Teodotos zaczął swą przemowę.

Myślę, że przypisywał sobie zasługę zorganizowania zabójstwa wroga Cezara. Wyciągnął rękę w stronę wodza, otwierając dłoń, aby pokazać pierścień. Cezar, jakby stracił zmysły, wziął pierścień, trzymał go przez moment, po czym przekazał mnie. Na pierścieniu wyryto lwa trzymającego między łapami miecz.

Teodotos kontynuował przemowę:

– Pompejusz próbował zebrać wojsko, aby prowadzić tę straszną wojnę, tak bolesną dla wszystkich, którzy kochają Rzym, pokój i Cezara. Miał stronników w mieście, popleczników królewskiej siostry, która wystąpiła przeciwko jego wysokości. Należało działać. Zrobiliśmy to dla bezpieczeństwa Egiptu i z przyjaźni do Cezara. – Ukłonił się nisko. – Wodzu, martwi ludzie nie kłają – powiedział.

Wszyscy byliśmy wstrząśnięci tym, co zobaczyliśmy. Staliśmy jednak tam, słuchając, jak ten otyły mężczyzna, który od razu wydał mi się skończonym hipokrytą, dowodzi, że zarówno śmierć Pompejusza, jak i to, że Cezar nie był zamieszany w egzekucję, sta nowi okoliczność nadzwyczaj korzystną.

– Zważ, Cezarze, że w naszej gorliwości przysłużenia się tobie działaliśmy z nadzwyczajną zręcznością i doskonałym wyczuciem, niczym deus ex machina.

Cezar, choć stał tam płacząc, nie mógł nie zdawać sobie sprawy z głębokiej prawdy ukrytej w słowach Teodotosa.

– Po głębszym namyśle Cezar zrozumie, że nasz dar jest dla niego bezcenny. Teraz zapewne pogąrzy się w żalu po swym zmarłym rywalu, swoim dawnym przyjacielem, ale gdy uda się

wieczorem na spoczynek, doda mu otuchy świadomość, że zrobiliśmy dla niego coś, co chciałby, aby zostało zrobione, on sam zaś nie jest winny przelania krwi Pompejusza.

Następnie zaprosił Cezara, aby zamieszkał w królewskim pałacu jako gość nieobecnego władcy.

– Wydaje mi się – wtrącił Artikses – że Cezar był co najmniej tak wielkim hipokrytą, jak ów Grek, któremu urągasz, gdyż zabójstwo Pompejusza rzeczywiście służyło jego interesom.

– Oczywiście – odparłem – ale jego łyzy były mimo wszystko szczere. Słyszałeś, co mówił o Pompejuszu. Spróbuj zrozumieć samotność, jaką odczuł, widząc, że Pompejusza już nie ma.

I wtedy wyrecytowałem chłopcu długi fragment, w którym Homer opisuje, jak stary Priam przybył do obozu Greków, aby błagać o ciało swego zamordowanego syna, herosa Hektora. W uniesieniu zapomniałem, że Artikses nie zna greki. Sprawiał jednak wrażenie, jakby był głęboko przejęty. Przypuszczam, że urzekła go muzyka poezji. Zresztą barbarzyńcy są przyzwyczajeni do długich peanów ku czci zmarłych bohaterów, a nie sądzę, aby wsłuchiwali się uważnie w słowa.

Nie powiedziałem mu, że tego wieczoru Cezar rzekł do mnie:

– Najpierw Krassus, później Pompejusz. Ich głowy wyglądały dobrze na swoim miejscu, tam w Lukce.

– Widziałem, wodzu, jak głęboko byłeś poruszony.

– Okrutna konieczność, Myszo. Nigdy nie trać okazji do płaczu. Nic nie pozbawia mężczyzny męskości tak bardzo jak odmowa lub niezdolność do płaczu we właściwym momencie.

Chociaż Pompejusz już nie żył, stało się wkrótce jasne, że nadal zagrażały nam w Aleksandrii rozmaite niebezpieczeństwa. Jak wspomniałem, Cezar nierozważnie zabrał ze sobą jedynie niewielkie siły. Armia egipska, choć prawdopodobnie zasługująca na lekceważenie, była liczna. W Egipcie znajdowały się również oddziały złożone z rzymskich weteranów, dawnych żołnierzy Gabiniusza, którzy pozostali w tym kraju, a teraz zorganizowano ich na podobieństwo prawdziwej armii. Nikt nie mógł mieć pewności, kogo usłuchają. Najgroźniejszy jednak był miejski tłum. Zaprawieni w bojach legionieści nie lękają się regularnych oddziałów, ale nienawidzą walk ulicznych z przeciwnikiem, którego trudno rozpoznać, który zjawia się i nagle

znika, napada znieca w zaułkach, czerpiąc przewagę ze swego nieregularnego charakteru.

Cezar dostrzegał zagrożenia, ale zdawał się o nie nie dbać. Gdy nadeszła wieść, że Potejnos, pałacowy eunuch, wezwał oddziały z Peluzjum i oddał dowództwo Achillesowi, oficerowi, który jak wierzyliśmy, zamordował Pompejusza, Cezar okazał dziwną opieszałość. Pozostał w położonym obok portu pałacu, nie przerywając pracy nad swoimi pamiątkami o wojnie galijskiej. Kiedy namawiałem go usilnie do działania, roześmiał się tylko. „Mamy dość czasu” – powiedział. Nie mogłem zrozumieć jego bierności.

Doszło do zamieszek na ulicach. Wziąłem na siebie wydanie legionistom rozkazu o skupieniu ich w naszym obozie przy porcie. Wówczas przyniesiono wiadomość, że flota egipska, zapewne ta, którą wysłano do Grecji na pomoc Pompejuszowi, zakotwiczyła w wewnętrznym porcie. Zablokowano nam możliwość ucieczki na pełne morze. Cezar nadal jednak nie zajmował się niczym poza dyktowaniem swoim sekretarzom.

Cóż mogliśmy począć? Najwyżsi oficerowie odbyli naradę wojenną pod jego nieobecność.

– Co robi wódz? – zapytał ktoś. Upływ czasu nie pozwala mi przypomnieć sobie, kto to był.

– Igra z ogniem – odpowiedział Kaska. – Jest znużony powodzeniem.

Oczywisty nonsens. Cezara dotknął jeden z owych niezliczonych napadów beczynności, które w przeszłości poprzedzały nie raz jego największe zwycięstwa.

– Czeka na znak.

Nadszedł czas, aby coś postanowić. Znowu wziąłem sprawy w swoje ręce. Rozkazałem podpalić doki. Ogień rozszerzył się na okręty egipskie w porcie wewnętrznym. Niektóre spłonęły. Inne umknęły na pełne morze. Przejściowo poprawiło to nasze położenie. W ślad za tym sukcesem – jakkolwiek był on niewielki – wysłałem dwie centurie z zadaniem zajęcia Faros oraz grobli łączącej ją z miastem. Doszło do krótkich walk, lecz cel osiągnięto. Mogliśmy teraz stworzyć linię obrony. Szczerze mówiąc, sytuacja była nadal groźna, ale wydawało mi się, że wyparcie nas wymagałoby już frontalnego ataku. Nie sądziłem, aby Egipcjanie byli do niego zdolni.

Młody król Ptolemeusz był naszym jeńcem. Nie przywiązywałem do tego wielkiej wagi, gdyż nie wierzyłem, aby Egipcjanie wahali się poświęcić go, zważywszy, że z natury są niezdolni do dochowania wierności. Inaczej niż Rzymianie nie dotrzymują obietnic, obiecują zaś wszystko, co zapewnia im doraźną korzyść. Ktokolwiek ma z nimi do czynienia, wie, że ich słowo nie jest

warte złamanego denara.

Doniosłem Cezarowi o środkach, jakie przedsięwziąłem. Po chwalił je, sprawiał jednak wrażenie zupełnie nieobecnego.

– Zawsze wiedziałem, Myszo, że mogę na tobie polegać – powiedział.

– Aż do samej śmierci – odparłem.

Uśmiechnął się i uszczypnął mnie w ucho. Miałem nadzieję, że uda mi się wciągnąć go w rozmowę o strategii, ale właśnie wówczas rozległo się pukanie do drzwi. Do komnaty wszedł centurion, a za nim niewolnicy, którzy dźwigali na ramionach zwinięty dywan. Złożyli go bardzo delikatnie na marmurowej posadzce i cofnęli się.

– O co chodzi? – zapytał Cezar. – Dar od królowej Egiptu dla Cezara – rzekł jeden z niewolników.

– Zobaczmy zatem – powiedział Cezar – co przysłała nam królowa.

– Uważaj, Cezarze. To może być podstęp.

– Jesteś nazbyt ostrożny, Myszo.

Dywan ułożono jakieś piętnaście kroków na prawo od Cezara i rozwinięto w jego stronę. Było jasne, że coś jest w środku. Przez moment podejrzewałem, że makabryczny i obrzydliwy smak Egipcjan kazał im podarować nam jeszcze jedno ciało. Którego z naszych przyjaciół zamordowano tym razem?

Omyliłem się. Leżała tam dziewczyna, w krótkiej purpurowej szacie, podwiniętej tak, że odsłaniała pulchne, lecz kształtne uda. Skoczyła na równe nogi, z pewnością sztywne w rezultacie niewygód podróży wewnątrz dywanu. Spojrzała Cezarowi w oczy, a następnie rzuciła się na marmurową posadzkę, wyciągając w jego kierunku ramiona i starając się objąć jego stopy. Schylił się, położył rękę na gęstwinie kasztanowych włosów i podniósł ją. Cezar nie był wysokim mężczyzną, ale ona sięgała mu zaledwie do piersi. Uśmiechnęła się, ukazując białe, równe zęby. Jej usta były dość duże, a oczy błyszczące.

– Czy wiesz, kto to jest, Myszo?

– Oczywiście, że nie.

– Podejrzewam, że królowa Egiptu składa sobie w darze. Musisz być pokryta kurzem, pani – zwrócił się do dziewczyny – Wydam rozkazy, aby przygotowano kąpiel.

Dwie godziny później Cezar wyszedł ze swojej sypialni.

– Teraz naprawdę poznałem smak Egiptu – rzekł.

Wielu mówiło, że Kleopatra uwiodła go. Zupełny nonsens. Nikomu nie udało się uwieść Cezara, na pewno żadnej kobiecie. Dostarczała mu przyjemności, a to całkiem co innego. Mimo swoich piętnastu lat miała ciało kobiety, piersi piękne jak owoce granatu i dziecinną naturę. Nazywał ją Kociakiem. Jej wdzięk, impulsywność i okrucieństwo sprawiały, że niekiedy rzeczywiście przypominała kotkę. Oczywiście stroił sobie żarty moim kosztem – Kociak i Mysz, nie ma potrzeby ich powtarzać. Cezar miewał czasami sztubackie pomysły.

Nie ulega jednak wątpliwości, że choć nie zdobyła serca Cezara, od pierwszej chwili wywierała przemożny wpływ na jego politykę egipską. Przed jej przybyciem rozważał, jak najlepiej wykorzystać swą władzę nad młodym Ptolemeuszem. Teraz był gotów pozbyć się go równie łatwo, jak wypluwa się pestkę melona. Stało się jasne, że Kleopatra będzie pod kontrolą Cezara rządzić Egiptem. Możesz sądzić, że była to absurdalna ambicja, zważywszy, że sami znajdowaliśmy się w potrzasku. Ale Cezarowi obcy był ten sposób myślenia. Kleopatra siadała mu na kolanach i głaskała go po policzkach, błagając o nowe opowieści i wyrażając zachwyt dla jego wyczynów. Cezar bawił się pięknymi lokami, całował soczyste piersi, przebiegał palcem po wiśniowoczerwonych wargach i rozkoszował się jej ciemnymi oczami w kształcie migdałów, które zdawały się niekiedy czarne, a niekiedy głęboko fioletowoniebieskie. I wtedy podejmował decyzje.

Jedno bowiem trzeba powiedzieć wyraźnie – Kleopatra wyrwała go z apatii, która owładnęła nim od czasu, gdy wziął do ręki pierścień Pompejusza z lwem trzymającym miecz w swoich łapach. Jeśli spędził z nią pół dnia i całą noc, w pozostałych godzinach od zyskiwał swą zwyczajną energię.

Kleopatra nie kochała go. Była zdolna do namiętności, ale nie do miłości, całkiem odmiennych emocji, jak miałem się na własnej skórze przekonać. I choć mogło to być smutne dla Cezara, wcale smutne nie było, gdyż próżność nie pozwalała mu odczuwać owego braku ani tym bardziej związanego z tym bólu. Zamiast tego czerpał wielką przyjemność z opowiadania jej o swoich wyczynach, wierząc, że naprawdę robiło to na niej tak wielkie wrażenie, jak okazywała. Światło w Aleksandrii staje się pod wieczór fioletowe, gdy czarne żurawie lecą ponad głowami. I tak właśnie ich zapamiętałem. Na tarasie. Królową siedzącą na jego kolanach, gdy on mówi

i mówi, ona gładzi jego policzek, a jej sylwetka rysuje się ostro na tle ciemniejącego nieba. Jej nos mógłby się wydawać za duży, gdyby rysy Kleopatry były w pełni uformowane. Słuchała i mruzczała. Wiedziała, kiedy się śmiać. Podobało mu się to, gdyż Cezar nie miał właściwie poczucia humoru, choć uważał się jednocześnie za człowieka dowcipnego, I starał się, mając nadzieję, że będzie równie zdumiona tym, co teraz czyni, jak tym, o czym opowiadał. Aby ją zadowolić, kazał zamordować jej brata w więzieniu, w którym go przetrzymywano; uległ nawet jej żądaniu i obejrzał wraz z nią ciało nieszczęsnego chłopca. Przytuliła się wtedy do Cezara, a on pieścił jej piersi.

– Tak się cieszę, że nie żyje – wyszeptała.

Skądinąd jego przyływ energii był dla nas zbawienny. Uwolnił mnie od większości wcześniejszych trosk. Chociaż polepszenie naszej sytuacji było raczej wynikiem działań, jakie podjąłem w tygodniach jego beczynności, jednak świadectwa nowego wigoru Cezara uspokajały i sprawiały przyjemność żołnierzom, dodając im odwagi. Cokolwiek mówić złego o Cezarze, a – jak zamierzam wykazać – wiele złego można by o nim powiedzieć, nikt nie może zaprzeczyć, że posiadał niezwykły dar. Nigdy (jak myślę) nie było wodza potrafiącego tak skutecznie zachęcić do walki zwykłego legionistę. Jak to robił, czyniąc nieraz niemal cuda; doprawdy nie wiem. Może umiał po prostu natchnąć ich wiarą w swe własne Przeznaczenie. Ale innym wodzom również nie brakowało pewności co do tego, że są wybrańcami bogów, a jednak ich żołnierze uciekali.

Czułem radość z powodu poprawy naszego położenia, a także dumę z powodu roli, jaką odegrałem. Nie doświadczyłem jeszcze żadnej z tych obaw i wątpliwości, których miałem doznać później. Było to krótkowzroczne. Spoglądając wstecz, widzę wyraźnie, jak egipskie interludium zaostrzyło jego apetyt.

Jedynie raz spotkałem się sam na sam z Kleopatą. Postanowiła mnie uwieść. Choć wydawała się taka dziecinna, nie potrafiła przebywać sama z mężczyzną, nawet przez kilka minut, nie próbując uczynić go swoim niewolnikiem, pragnącym użyć z nią rozkoszy. Nie chodziło o to, co mówiła – to było banalne – a nawet jak to mówiła. Rozmawiała oczywiście po grecku bardzo płynnie, ale robiła mnóstwo błędów. I wiesz, uznałem to za czarujące. Zachichotała, gdy powiedziałem:

– Czyż nie uczono cię, że w twoim języku podmiot rodzaju nijakiego w liczbie mnogiej wymaga czasownika w liczbie pojedynczej?

– Gramatyka – wciąż chichotała – moi wychowawcy zanudzali mnie ciągle gramatyką. Nie sądzę, aby było to strasznie ważne.

– Wiesz dobrze, że Cezar będzie musiał opuścić Egipt. Co stanie się z tobą, gdy wyjedziemy?

Podrapała się wysoko w pulchne udo.

– Swędzi mnie. O czym mówiłaś?

– Zapytałam, co będzie z tobą, gdy opuścimy Egipt.

Moje słowa zabrzmiały głupio.

– Dlaczego nazywa cię Myszą? – spytała.

– To przezwisko z dzieciństwa.

– Pasuje do ciebie. Oczywiście wszystko będzie dobrze. Jestem królową.

– Myślę czasami, że nie możesz się doczekać, aż odjedziemy.

– Czy nie wszyscy chcą tego od Rzymian?

(Zgodzisz się z nią, Artiksese. Prawda? Chciałbym, aby twój ojciec mnie wypuścił).

– Czy Cezar wie, że tak uważasz?

– Nie powiedziałałabym mu.

– Ale mówisz mnie.

– Hm.

Podciągnęła szatę do góry i wskazała palcem na okrągłą czerwoną plamkę po wewnętrznej stronie uda, blisko łona.

– Popatrz, oto dlaczego mnie swędzi. To ukąszenie. Myślę, że ślina powinna pomóc. Czy chciałbyś polizać, Myszo?

O tej godzinie nie było cienia, ale w wielkiej komnacie było zimno i ciemno. Ukłękłem na marmurze, który zgromadził ciepło całego dnia, z głową między nogami królowej, dziewczyny prawie dwa razy ode mnie młodszej, robiąc, o co prosiła. Dotykałem językiem czerwonej plamki, a jej dłonie wplotły się w moje włosy. Odchyliła mi głowę do tyłu i poczułem jej palce na swoich wargach.

– Skosztuj teraz moich ślicznych paluszków.

Zalała mnie rozkosz. Skręcałem się, wciskając się między jej uda i pieszcząc dłońmi ciało. Greckie słowo „ekstaza” oznacza w swoim pierwotnym znaczeniu przebywanie poza samym sobą. Doznałem wówczas ekstazy, widząc stworzony przez nas obraz i przeżywając go zarazem.



– Chcę, aby Cezar zrobił mi dziecko – oznajmiła.

Objęła mnie mocno nogami, nachyliła się i całowała moje usta, wsuwając język tam, gdzie przed chwilą znajdowały się jej palce.

Cezar rzekł:

– Nic nie stoi na przeszkodzie, abym rozwiódł się z Kalpurnią i ożenił z Kleopatą. Nawet Aleksandrowi nie udało się zawrzeć podobnego mariażu. Wziąć w posiadanie Egipt oznacza panowanie nad Wschodem... nad Wschodem, którego panem – jak się chełpił – miałby być Pompejusz.

Musiał wiedzieć, że to niemożliwe, a skoro Kleopatra nie była Rzymianką, również niezgodne z prawem. Nawet pogłoska o takim małżeństwie naraziłaby na szwank jego reputację w Rzymie. Wyobrażałem sobie, jaki chleb upiekłby z tej mąki Cynceron, i nie wierzyłem, aby Cezar tego nie rozumiał. A mimo to zachęcałem go wówczas.

– Zabierz królową do Rzymu – radziłem.

## ROZDZIAŁ 4

Ilekoć wracam do Rzymu, miasto za każdym razem wydaje mi się inne. Nowe budowle i nowi ludzie, a wszystko, co było dobrze znane, traci swoje stare proporcje. (Piszę tak, jakbym miał, co jest całkiem nieprawdopodobne, ponownie przeżyć owo doświadczenie powrotu do domu, przypominające przyjazd gdzieś w nieznane).

Tym razem moja matka zmieniła dom. Hałas na Eskwilinie, oznajmiła, stał się nie do zniesienia i dlatego zamieszkała na Awentynie w posiadłości odziedziczonej po swojej matce. Spokojne miejsce z kosami i czyżykami w ogrodzie, a nawet, jak mnie zapewniała, ze słowikiem śpiewającym po zapadnięciu zmierzchu. A jednak ów brak miejskiego gwaru nie sprawiał mi przyjemności.

– Prawdę mówiąc – rzekła – tam, gdzie mieszkaliśmy, słyhać było więcej greki niż łaciny. A teraz opowiedz mi wszystko o Cezarze, droga Myszo. Czy jest w dobrym zdrowiu? Czy to prawda, że ma romans z królową Egiptu? A ty sam, czy uwielbiasz Egipt, czy też go nienawidzisz? Ludzie na ogół odczuwają jedno bądź drugie, zwykle to ostatnie. Drogi Pompejusz twierdził, że uwielbia ten kraj, no i popatrz, jak mu się on odpłacił. Ale nie odpowiadasz na moje pytania.

– Nie dałaś mi okazji i zapomniałem, o co...

– Nie dokuczaj mi.

– Dobrze, matko. A zatem w odwrotnej kolejności. Ani nie czuję wstrętu do Egiptu, ani go nie kocham. Królowa Egiptu ma romans z Cezarem, ale żadne serce nie zostało złamane. Jeśli idzie o wodza, Cezar to Cezar. Jestem pewien, że słyszałaś, jak to mówił.

– Ostatnią pocztą dostałam od niego list, w którym pisze, jak dobrze się spisałeś i jak bardzo powinnam być z ciebie dumna.

– Cezar celuje w łaskawości. O tym również wiesz, matko.

– Zaprosiłam na kolację Kalpurnię. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Jest spragniona wieści o swoim mężu-bohaterze.

– Jakież wieści mogą jej przekazać? Przesyła jej przeze mnie podarunki. Myślę, że to coś. – Zostawiam ci decyzję. Nie ma zresztą wątpliwości, że ona wie wszystko o królowej.

– Nikt, matko, tego nie wie.

Wyszedłem, złożyłem ofiarę naszym bogom rodzinnym (jak na leży czynić po podróży, aby uczcić ich i wyrazić wdzięczność za bezpieczny powrót) i udałem się do przygotowanego dla mnie pokoju. Nie mogłem zasnąć. Od tygodni mój umysł zaprzętał obraz Kleopatry. Bawiło mnie, że matka zaaranżowała zaproszenie do nas Kalpurnii. Najwyraźniej jej zdolność do siania niezgody była ciągle niewyczerpana.

Kalpurnia jest dla mnie jeszcze większą zagadką niż Kleopatra. Jak – wiadomo, Cezar poślubił ją ze względów politycznych – jej ojciec, Kalpurniusz Pizon, był konsulem w 58 roku i zaufanym człowiekiem Pompejusza, gdy Cezar i Pompejusz po raz pierwszy związali się przyjaźnią. Ale pozostali małżeństwem długo po ustaniu politycznych przyczyn ich związku. Mimo że Kalpurnii brakowało zarówno uroku, jak i urody. Chuda, kanciasta, z głosem żony rybaka z Ostii, o nieopanowanym usposobieniu, na przyjęciach często wprawiała Cezara w zakłopotanie. Miała nedorzeczny zwyczaj kwestionowania opinii rozmówcy w sprawach, na których zupełnie się nie znała. Co więcej, nie obawiała się sprzeciwić samemu Cezarowi. Pamiętam, że kiedyś rozmowa zeszła na problem wędrówki dusz – teorii, która długo przyciągała Cezara – i opowiadał on, jak w czasie swej pierwszej bytności w Atenach bez trudu trafił do domu, którego szukał, nie pytając nikogo o drogę, lecz idąc z taką pewnością, jakby odbywał już tę podróż wiele razy, może nawet codziennie w innym życiu. Kalpurnia przerwała mu wówczas, zauważając, iż pewnie był pijany, gdyż, jak dobrze wiadomo, bogowie czuwają nad pijakami... „Zresztą – dodała – spodziewam się, że szukałeś burdelu, a nigdy nie słyszałam o świni, która miałaby trudności ze znalezieniem drogi do chlewu”. Cezar próbował obrócić to w żart – i rzeczywiście Kalpurnia uczyniła swój ostatni komentarz, rycząc jak oślica, zachęcając nas, abyśmy śmiali się z dowcipu – ale nie był zadowolony. Zastanawiałem się wtedy, czy nie boi się Kalpurnii.

Brzmi to absurdalnie. Wszyscy wiedzieliśmy, że Cezar jest nie ustraszony. Przypominał nam o tym dość często. A jednak, jak zwykł mawiać mój przyjaciel Gajusz Waleriusz Katullus: „Najbardziej tajemnicze jest milczenie, które otacza mężczyznę i kobietę, gdy zostają tylko we dwoje”.

Tym razem, czego należało się spodziewać, wypytywała mnie o Kleopatę. Kalpurnia należała do tego typu kobiet, które znają wszystkie najnowsze plotki. Nie zadawała sobie trudu, aby udawać, że nie wie, iż Cezar znów ją zdradza. Większość kobiet z poczucia dumy ukrywały

taką wiedzę. Ale duma Kalpurnii była innego rodzaju. Sprawiało jej przyjemność występowanie przed światem w roli kobiety pokrzywdzonej.

– Jest tak młoda, że mogłaby być jego wnuczką – powiedziała.

– Niezupełnie.

– Obliczyłam sobie. Gdyby była Rzymianką, uważano by, że jest zbyt młoda, aby wyjść za mąż. Co on w niej widzi?

– Bawi go. Nie ma w tym nic więcej. Z wyjątkiem może jednego. To związek polityczny. Znaczenie Egiptu jest oczywiste. Z tego powodu utrzymywanie przyjaznych stosunków z królową przynosi korzyść.

– Przyjazne stosunki! Wy, mężczyźni, zawsze trzymacie się razem. Zaskakuje mnie jedynie to, że wołał ją od jej brata. Kazał go zabić, nieprawdaż? Czy był bardzo brzydki?

– Nie mam pojęcia.

– Jesteś paskudnym kłamcą. Zaczerwieniłeś się. Twoja twarz cię zdradza.

Staralem się skierować rozmowę na bardziej ogólne tematy. Stale jednak wracała do sprawy Kleopatry.

W końcu powiedziała:

– Za parę miesięcy będzie musiał wrócić. Jego władza dyktatorska wygasa, czyż nie? Poprosi o jej odnowienie czy zadowolony się pośledniejszymi zaszczytami?

– Jak mogę odpowiedzieć na to pytanie, skoro jego własna żona nie zna na nie odpowiedzi?

Po czym, chcąc odwrócić jej uwagę, posłałem niewolnika po podarunki, które powierzył mi Cezar.

– Jest coś niezmiernie wulgarnego w tych orientalnych wyrobach – rzekła.

Mimo wszystko zabrała je jednak ze sobą, chociaż słyszałem później, że gdy Cezar wrócił w końcu do domu, okazało się, iż część kosztowności, które kazał tak skrupulatnie wybierać swojemu kwatermistrzowi, Kalpurnia przekazała ulubionym wyzwolencom. Jako pożyczkę oczywiście. Kiedy zwalniała służącą, dopilnowywała, aby odzyskać wszystko, co jej pożyczyła.

Gdy Kalpurnia wyszła, powiedziałem mojej matce dobranoc i ruszyłem na miasto, mówiąc, że muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, aby zatrzeć obraz zrzędlivej Kalpurnii.

– Nie znajdziesz w Rzymie nic poza brudem. Zachowuj się przyzwoicie! – powiedziała, nadstawiając policzek do pocałowania.

Czułem podniecenie spowodowane powrotem, dziwne uczucie wyzwolenia, jakie daje nocne życie miasta. Przeszedłem przez Suburę, zatrzymując się, aby obejrzeć wulgarne występy na zewnątrz domów publicznych. Uszy wypełniał mi gwar niezliczonych języków, jakby wszystkie ludy świata musiały zaznaczyć swą obecność w rzymskim rozgardiaszu. Mój biedny nieżyjący już przyjaciel Katullus często powtarzał, że brud i piękno są dwiema stronami tej samej rzeczywistości. I myśląc o Katullusie, dotarłem w określony sposób do celu swej podróży.

Kochał Klodię do szaleństwa. Gdy go poznałem, zerwał już z nią, drżąc i tonąc we łzach. Głos mu się trząsał, kiedy mówił o niej. Nie mógł uciec ani przed wspomnieniami o jej miłości – o pięknie tych wielkich i ciemnych wolich oczu – ani od wspomnień o grozie, jaką go napełniała. „Ciągnie nas do tego, co nas przeraża i oburza – powiedział. – Ona wymaga adoracji, jak bogini Kybele, a następnie uśmierca swoich wielbicieli. Jej żądze są nienasycone. Wyczerpuje swoich kochanków i pozbawia ich męskości. Obyś, Myszo, nigdy nie znalazł się w szponach tak straszliwej kobiety”.

Takie właśnie dał mi ostrzeżenie, a od tego czasu reputacja Klodii została do cna zszargana. Któż nie pamięta procesu, jaki wytoczyła Celiuszowi Rufusowi, bliskiemu przyjacielowi Katullusa? (Byli w tym samym wieku – ja miałem od nich o kilka lat mniej). Gdy Celiusz ją rzucił, oskarżyła go o zbrodnie wszelkiego rodzaju: próbę otrucia, sprzeniewierzenie pożyczonych od niej pieniędzy, spisek na życie egipskiego posła, zamiar wszczęcia rozruchów w Neapolu itd. Był to stek bzdur. Mówiono, że zupełnie straciła rozum.

Celiusz powierzył obronę Cycleronowi. Przysłuchiwałem się te mu procesowi. To lepsze, obiecywali sobie ludzie, niż walki gladiatorów. „Cyceron nienawidzi Klodii z powodu oskarżeń, jakie wysunął wobec niego jej brat. Była kochanką swojego brata, to oczywiste”. Tak właśnie mówili ludzie.

Mowa Cyclerona była mistrzowska. Bez względu na to, jakie wątpliwości – na ogół uzasadnione – wyrażano w związku z jego charakterem, nikt nigdy nie kwestionował jego geniuszu w dziedzinie wymowy sądowej. I wątpię, czy kiedykolwiek dał lepszy jej popis niż w obronie Celiusza.

Zaczął spokojnie, w opanowany sposób, zauważając, że sprawa Celiusza właściwie wcale nie wymaga obrony. Wystarczy zwrócić uwagę na zalety charakteru jego przyjaciela i zaszczytny przebieg jego kariery. Szkoda byłoby, zauważył jakby mimochodem, gdyby taką karierę skalać miał „wpływ nierządnic”. Z pewnością, zapytał retorycznie, rozwyrdrzenie kobiet należy

kontrolować.

Odwołanie się do męskiej solidarności widownia przyjęła z aprobatą, potakując słowom mówcy.

Wtedy przeszedł do Klodii, nie spoglądając jednak nawet w jej stronę. Obawiałby się, powiedział, wspomnieć w sądzie rzymską damę, matkę rodziny, bez należącego szacunku, gdyby sama nie podjęła ataku na jego zacnego przyjaciela Celiusza. Była jeszcze jedna przyczyna, która kazałaby mu wstrzymać się z wystąpieniem. Otóż nie mógł przyznać, że jest bezstronny, nie tylko z powodu swej przyjaźni z Celiuszem, ale również dlatego, że: „Miałem w przeszłości poważne nieporozumienia osobiste z mężem tej damy – proszę was o wybaczenie, mam na myśli oczywiście jej brata – zawsze popełniam ten błąd”.

Zwrócił się do sędziów, wyciągając szeroko ręce w akcie udawanego usprawiedliwienia, gdy stojący za nim Celiusz i jego przyjaciele trzęśli się ze śmiechu, dobrze wiedząc, co wkrótce nastąpi. Cynceron doskonale jednak rozumiał, że musi poczynać sobie ostrożnie. Klodia należała do jednego z największych rzymskich rodów, podczas gdy on sam był człowiekiem nowym, z nieznaczącego miasteczka Arpinum. Zamiast więc wprost zaatakować Klodię w swoim własnym imieniu, przywołał pamięć jej największego przodka, cenzora Appiusza Klaudiusza. Kazał tej wyimaginowanej postaci (właściwie wszystkie rekonstrukcje zmarłych mężów odwołują się jedynie do sfery imaginacji) opisać swe osiągnięcia, chwalić cnotę wielkich dam rodziny klaudyjskiej i następnie ubolewać nad tym, jak Klodia je znieważyla. Już sam wybór plebejskiej formy nazwiska rodziny był czymś haniebnym, a jej postępowanie znieważało nawet plebejuszy.

Kobieta ta, dowodził Cynceron, jest nie tylko zła. Jest również głupia. To istota rozpustna, pozbawiona zupełnie poczucia godności. Taką postać mógłby stworzyć Terencjusz lub Plaut. A że wiedzieliśmy wszyscy, iż kobiety w ich komediach były bezdusznymi i zuchwałymi kokotami, gwiazda Klodii gasła w naszych oczach.: Cynceron dawał do zrozumienia, że Klodia reprezentuje moralność i maniery dziewczki, której słowa nie mają najmniejszej wartości.

Na koniec przeszedł do oskarżenia o otrucie, które Klodia postawiła Celiuszowi, i bezlitośnie je wyśmiał, wykazując jego nieprawdopodobieństwo, a nawet zupełną absurdalność. Był to owoc niczego więcej niż złośliwości. „To nie jest ostatnia scena komedii – powiedział – to koniec farsy”. Słuchając tych słów, któryż z nas nie spoglądał na wołoką piękność, widząc, jak znika jej arystokratyczna świetność, odkrywając nagą wulgarną nierządnicę, która nadyma się, bryka i obleśnie gestykułuje w tych hańbiących spektaklach. „Nie skażecie cnotliwego arystokraty na

podstawie słów nikiemnej ulicznicy”. Takie było jego posłanie.

Klodia nie poruszyła się w czasie tego strasznego ataku. Jeśli czuła zmieniający się nastrój zebranego w sądzie tłumu, nie dała tego po sobie poznać. Jeśli była świadoma, że młodzieńcy, którzy towarzyszyli jej do sądu, odeszli, odzegnując się od jej hańby, nie zwróciła na to uwagi. I w tamtym momencie wydarzyło się coś przerażającego. Zakochałem się beznadziejnie i bez pamięci. Owładnęło mną przemożne pożądanie.

Zadawałem sobie nieraz pytanie, dlaczego tak się stało. „Poznaj samego siebie” – oto suma mądrości przekazanej przez filozofów. Większość z nas niewiele wie o sobie. Zapewne to większa mądrość. Albowiem w chwili gdy uświadomiłem sobie, jakiego związku pragnąłem, drżąc z niecierpliwego pożądania, zrozumiałem, że poddaję się tej części samego siebie, być może najgłębszej naturze, która uczyni mnie przedmiotem szyderstwa i pogardy wszystkich zacnych ludzi. Choć przerażony tym, czego dowiedziałem się o własnym charakterze, nie mogłem jednak uciec przed samym sobą i na trzęsących się nogach zjawiłem się tego wieczoru w jej domu.

Była sama. Nie mogłem uwierzyć, że spędziła samotnie choćby jeden wieczór w swoim życiu. W przestronnej komnacie, do której wprowadził mnie jękający się niewolnik, było chłodno jak w zimowy poranek. Czekałem długo. Chciałem uciec. Rozsądek nakazywał ucieczkę, dopóki był jeszcze czas. Przywołałem straszne słowa Katullusa. Przypomniałem sobie, jak mówił, że spała z zezowatym Hiszpanem, który czyścił swe policzki uryną. Jak on sam czekał w jej przedpokoju, podczas gdy ona zabawiała się z niegodziwymi łotrami, których zbierała w brudnych gospodach lub na zakazanych ulicach.

Przypomniałem sobie jego wiersz.

*Pożegnaj ją ode mnie, niechaj się cieszy swoimi kochankami,  
Których setkami w objęcia swe naraz bierze,  
Każdego wyssie, chociaż żadnego z nich  
Nie kocha szczerze...*

Pamiętałem poemat osnuty na kanwie mitu o Kybele i Attysie (Czy znasz ten mit, Artiksiesie? Pozwól mi go sobie opowiedzieć). Attys kochał boginię Kybele żarliwym uczuciem, jakiego wymagali dla siebie dawni bogowie. Czy to posłuszny jej woli, czy też chcąc pozostać czystym,

by jej służyć (są różne wersje mitu), wykastrował się kamiennym nożem i żył jako jej czciciel z dala od miast, w lesie, z grupą innych młodzieńców, którzy oddali się w podobny sposób bogini. Mój przyjaciel Katullus wykorzystał tę opowieść i przełożył ją na język naszej epoki. W jego poemacie grecki młodzieniec, który staje się czcicielem Kybele, pędzi żywot w dzikich ostępach jej królestwa i okalecza się, aby sprawić jej przyjemność i oddać cześć. Ale wówczas wydobywa się ze swojego szaleństwa i ogląda wstecz, z gorzkim bólem i smutkiem patrząc na wszystko, co utracił. Dowiedziawszy się o jego żalu, bogini zsyła na niego lwy, a on w przestraszu i w nowym przypiływie szaleństwa ucieka w głąb ciemności leśnych.

Gdy Katullus czytał mi te wiersze, położył rękę na moim ramieniu i rzekł: „Modlę się, Myszko, aby nigdy cię to nie spotkało”.

– Przybyłeś, aby mi urągać czy litować się nade mną?

Pogrążony we wspomnieniach, nie zauważyłem nawet, jak nadeszła. Jej włosy zwisały niedbale, miała na sobie białą togę jak dziewica. Toga była bardzo prosta i spadała fałdami ku ziemi. Skąd wiedziałem, że niczego więcej nie miała na sobie? Ogromne ciemne oczy były jeszcze ciemniejsze, ukryte w cieniu lampki oliwnej, którą unosiła w prawej ręce.

– Mam nadzieję, że ani jedno, ani drugie, Decymusie Brutusie.

– Byłem dzisiaj w sądzie.

– Jak cały Rzym.

Dotknęła mojego policzka lewą ręką, zimną, suchą i delikatną w dotyku.

– I co... myślisz?

Nie mogłem mówić. Zapewne moje milczenie doprowadziło ją do szału. Jej paznokcie wbity się w mój policzek. Popłynęła krew.

– Ilu mężczyzn zjednoczyło się tam przeciwko jednej kobiecie? A ty byłeś wśród nich i masz czelność przychodzić tutaj. Chcesz sprawdzić, czy odczuwam wstyd?

Stałem spokojnie, jak pies, którego wychłostano i który boi się poruszyć, aby nie ściągnąć na siebie nowych razów.

Wówczas dała upust wściekłości. Cisnęła lampką przez całą komnatę (na szczęście upadła tak, że płomień zgasł). Wygłosiła tyradę, która rozpałiłaby tłum. Przeklinała Cynceronę słowami, których, jak można by przypuszczać, dama w ogóle nie zna ani tym bardziej ich nie wypowiada. Wymyślała płci męskiej, hipokrytom, brutalom i oszustom. Demaskowała Celiusza jako



zbożca niezdolnego zadowolić kobietę. Znajdowała lepszych kochanków wśród niewolników i wyzwolenców. Powróciła do Cyncerona. Czy wiedziałem, że lata temu miała go w niewoli? Ubóstwiał ją, przysięgał, że porzuci żonę i poślubi ją, a ona go wyśmiała. Dlatego tak bardzo jej nienawidzi. To nie jego poczucie moralności zostało urażone.

– Poczucie moralności Cyncerona, człowieka, który bronił mordercę mojego brata – jakie pretensje może mieć ta kupa łajna do moralności? Nie, dzisiaj zemścił się za swoją zranioną próżność, a długo pielęgnowana żądza została zaspokojona.

Przerwała.

– Twój policzek krwawi.

Zadzwoniła po niewolnika, kazać mu przynieść wodę zmieszaną z mirrą i hizopem, którą obmyła skaleczenie.

– Na wojnie czekają cię gorsze rany.

– Ale nie tak ostre.

– To wstyd odgrywać się na tak ładnym chłopcu jak ty za przewrotność starego impotentu i rozpustnika. Nie mógł tego robić, wiesz. Nie jak Cezar. Albo ty, jestem pewna.

Zrzuciła szatę, pociągnęła mnie za sobą na złocisty dywan z lwiej skóry. Zlizywała językiem resztki krwi, która nadal ciekła z mojego policzka. Właśnie tak się to zaczęło.

I nie mogło się skończyć. I nigdy nie miało się skończyć. Nie przypominało niczego, co dotąd znałem. Jak wszyscy inni miałem wielu kochanków – naprawdę pierwszym był jej brat, Publiusz Klodiusz Pulcher, którego Cynceron wyszydzał jako „ładnego chłopca”. Był zresztą jeszcze piękniejszy od niej. Nic dziwnego, myślałem nie raz, że złączył ich, jak wszyscy twierdzą, stosunek kazirodczy, albowiem w obojgu elementy żeńskie i męskie uległy dziwnemu wymieszaniu. Lud rzymski uwielbiał Klodiusza, jakby był on cudną dziewczyną, a wielu bało się Klodii jako męskiej niszczycielki. Przebywając z nią w łóżku, dowiedziałem się o sobie więcej, niż mogłem przypuszczać, a jednak nie opuściło mnie zmieszanie. Nie okazywała żadnych wzruszeń, z wyjątkiem wspomnień o swoim bracie, i nikim więcej. Ale bywały też i takie chwile, kiedy ujawniała niezrównaną czułość. Przerazała mnie i zarazem uwielbiałem ją.

Była chora tego wieczoru, gdy opuściłem dom matki i ruszyłem do niej na Palatyn. Budynek był pogrążony w ciemności. Przez krótką chwilę myślałem, że nikogo nie ma, i odczułem zarówno ulgę, jak i ból. Nigdy nie zbliżyłem się do jej sypialni bez drżenia, bojąc się dowiedzieć,

kogo lub co tam odkryję. Ale tej nocy znowu była sama jak za pierwszym razem. Miała gorączkę. Jej piękność, tak dobrze zachowaną dzięki kosmetykom, zniszczyła natura. Wyglądała na swój wiek.

Pamiętam, że zapłakałem. Jednocześnie zaś poczułem, jak serce mi zabiło w nadziei ucieczki. Było to złudzenie. Nigdy nie uciekłem, podobnie jak biedny Katullus. Jedynymi osobami na nią odpornymi – jedynymi, które czerpały przyjemność ze stosunków z nią i zachowały spokój ducha – byli jej brat, który jako dziecię Erosa znał rozkosz bez poczucia utraty, oraz Cezar.

Cezar fascynował ją z tego właśnie powodu. Umknął jej, a mimo to nie czuła do niego gniewu. Stanowiło to dla niej zagadkę.

– Gdy po raz pierwszy powiedział mi – w tym właśnie łożu – że jest bogiem, wyśmiałam go. Myślałam, że opowiada jakiś dowcip. Wiedział jednak, co mówi. Jak wszystkim wiadomo, pochodzi od Wenery, ale wierzy, że bogini w nim również zamieszkuje. Podobno używa sobie teraz z królową Egiptu. Czy rzeczywiście jest tak piękna, jak mówią?

– Nie może się równać z tobą, Klodio.

– Ale...

– To jeszcze niemal dziecko. Fascynacja Cezara wywodzi się stąd, że nie jest bardziej zdolna do miłości niż on.

– Pasują zatem do siebie. Czy Cezar wie, że się z nią zabawiał?

– Nie przejąłby się tym, Klodio. Służyłem Cezarowi przez lata. Jest najwspanialszym i najwybitniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek dane mi było znać. Naturalnie śmiejemy się z jego drobnych słabości, często jego zachowanie irytuje, ale nasze kpiny są jedynie formą samoobrony. To próba udawania, że Cezar jest człowiekiem, jak my wszyscy.

– Nie jest znowu wcale tak inny – powiedziała Klodia.

– Ależ jest.

– Chyba tylko w tym, że nie ma serca, i pozwól sobie powiedzieć, Decymusie Brutusie, iż takich mężczyzn jest wielu.

– I kobiet, Klodio?

– Masz oczywiście na myśli mnie. No cóż, nie gniewam się na ciebie, gdyż kiedyś taka byłam. Powiedziałam ci, że umieram. Nie chciałabym przeciągać trwania. Usunę się po prostu. Nie ma więc już potrzeby opowiadania kłamstw. Wiem, co ludzie o mnie mówią. Ta kanalia

Cyceron oczernił mnie przed światem, a świat mu uwierzył. – Chwyliła mnie za rękaw. – Powiedziałam, że nie będę zniżać się do kłamstwa, ale nadal twierdę, że to były potwarze. Nie rozumiesz, Decymusie Brutusie, czym jest bycie kobietą, jak kobieta doznaje niepowodzeń, ciągle doznaje niepowodzeń, jak jej gniew narasta, gdy widzi, co wolno mężczyznom, a czego jej nie wolno. No cóż, bardzo wcześnie, gdy byłam jeszcze dzieckiem, mój brat i ja złożyliśmy przysięgę.

Zawahała się, wzięła lampkę i przyglądała się swej twarzy w lustrze, jakby szukając dziecka, którym niegdyś była. W tym czasie wyobrażałem ich sobie, narzeczoną i narzeczonego, oboje piękności takiej, jakiej nie mógłby oddać żaden rzeźbiarz, przytulonych do siebie, z ustami przy ustach, z krwią tak mocno zmieszaną, jak by się zjednoczyły w jednym ciele dwie dusze, osiągając doskonałą jedność, którą, jak twierdzą filozofowie, dawno temu posiadaliśmy i musimy wiecznie nadaremnie poszukiwać.

– Że będziemy całkowicie sobą, nie odmawiając sobie niczego, ulegając wszelkim naszym żądom, słuchając głosu natury, słuchając i ulegając wszelkim przejawom naszych uczuć, tak abyśmy mogli osiągnąć wolność, jaka jest udziałem bogów. Wolność, która zawiera się w byciu całkowicie sobą, nieskrępowanym przez konwenanse lub moralność, stworzone przez bojaźń dla okiełznania ludzi śmiałych. Znałeś nas obydwójce lepiej niż ktokolwiek inny, kochałeś nas obydwójce takimi, jakimi moglibyśmy być, lub sądzi się, że byliśmy, a jednak, mój drogi, nawet twoja miłość nie dorównała idealnej, doskonałej miłości, jaką pałaliśmy do siebie, jedno będąc drugim, a drugie pierwszym. Teraz widzę, że mierzyliśmy zbyt wysoko, przewyższyło to nasze zdolności. Publiusz nie żyje, a ja umieram, niewolnica żądy, w których nie znajduję już przyjemności. Moja reputacja – za sprawą Cycerona – nie może być gorsza. Żadna przyzwoita kobieta nie przyjmie mnie w swym domu. Zawsze pogardzałam takimi kobietami i tym, co nazywają przyzwoitością, i kiedyś śmiałabym się z tego odrzucenia. Teraz sama nie wiem. Dosięgają mnie zimne, szare szpony śmierci. Cóż znajdę, kiedy zejść do świata cieni? Czy bogowie srożyć się będą z powodu mojej zarozumiałości? Czy Kybele, którą, jak mówił Katullus, naśladowałam, obróci przeciwko mnie swój straszny gniew? Nie możemy bawić się w bogów. Zrozumiałam to, mój drogi, zbyt późno. A jednak, dochodząc do tego wniosku, który przeraża mnie i wystawia na pośmiewisko moje życie, widzę, że jest wyjątek: Cezar, pochodzący od bogów, zamieszkały przez Wenus. Czy rozumiesz, Decymusie Brutusie, mały Decymusie Brutusie, że on wierzy, iż jest tym, do czego mój brat i ja dążyliśmy? I w swoim czasie, idę

o zakład, lud rzymski wyrazi zgodę. Senat – to zgromadzenie cheiwych i bojaźliwych kozłów – ukorzy się i będzie go czcić. Uchwalą, że Cezar jest naprawdę bogiem: Divus Julius będą śpiewać. Divus Julius. Zostaną mu poświęcone świątynie. I co wówczas zrobisz, mały Decymusie Brutusie? Powiem ci, jaki masz wybór. Albo zgodzić się na zamordowanie wolności w Rzymie, albo zabić Cezara.

– Zabić Cezara?

– Zabić Cezara. Albo Cezar, albo Rzym. Jestem pewna, że jako patriota wybierzesz Rzym. Zabij Cezara. Teraz idź, mój drogi, i nie wracaj. Znaczyłeś coś dla mnie. Żaden żyjący człowiek, z wyjątkiem Cezara, nie może się tym poszczycić. Uściskam mojego brata od ciebie, a także Gajusza Waleriusza, jeśli nie przestraszy się, gdy się spotkamy w Dolinie Cieni.

## ROZDZIAŁ 5

Przed końcem roku Cezar wrócił do Rzymu, chcąc dopilnować, by nic nie przeszkodziło w przedłużeniu jego dyktatury. Dopiął swe go. Opozycja w Rzymie była niema, choć oczywiście wielu nadal sympatyzowało z naszymi wrogami. Mimo klęski i śmierci Pompejusza stanowili ciągle bardzo liczną grupę. W ich rękach znajdowała się Afryka Północna i Hiszpania. Przywództwo przejęli teraz synowie Pompejusza, renegat Labienus oraz Marek Porcjusz Katon, jedyny człowiek, którego Cezar z całego serca nienawidził. W zasadzie uczuciem tym Cezar pogardzał. Nazywał je „bezużytecznym”. Niewątpliwie tak właśnie sądził, ale przyczyna jego niezdolności do odczuwania nienawiści leżała głębiej. Odczuwanie nienawiści do kogoś oznaczało uznanie go za równego sobie, a Cezar nikogo za takiego nie uważał. Czyniło to jego wrogość wobec Katona tym dziwniejszą, że nie było dziedziny, w której Katon dorównywałby Cezarowi. Był nieudolnym dowódcą, znieawidzonym przez legionistów z powodu swej dumy (albo może z powodu skrywanego przeświadczenia o własnej nieudolności, które kazało mu traktować ich z pogardą). Cezar zawsze umiał dogadać się ze zwykłym żołnierzem, gdyż nie wątpił w swą wyższość i wiedział, że potrafi położyć kres niezadowoleniu lub niedbałości srogim spojrzeniem lub jednym zjadliwym zdaniem. Katon był upartym, apodyktycznym i bezlitosnym służbistą. Może dlatego, że w duchu obawiał się ludzi, którymi tak bardzo pragnął rządzić. Poza tym Katon był nudziarzem, całkowicie pozbawionym poczucia humoru. Wspomniałem już wcześniej, że Cezar też nie miał szczególnego daru humoru, ale zawsze potrafił zdobyć się na cięty żart, który podobał się legionistom. Poszliby za nim bez najmniejszego wahania wszędzie, nie zważając na zagrożenie, przekonani o jego geniuszu. Natomiast ci, którzy służyli z Katonem, opowiadali mi, że w obawie o osobiste bezpieczeństwo nakazał straży przybocznej, by strzegła go przed własnymi żołnierzami. Nie dałbym temu wiary w przypadku żadnego innego wodza rzymskiego.

Co więcej, Katon był drętwym mówcą i nie grzeszył rozumem. W tym nałogowym, ponurym pijaku nie było ani krztyny radości. Cezar opisał mi go kiedyś jako „najzimniejszego i najnudniejszego typu, jakiego kiedykolwiek mógłbyś spotkać”. A mimo to, inaczej niż ja, nie odnosił się do Katona jedynie z pogardą. Zżerała go nienawiść.

Dlaczego? Nietrudno wskazać przyczyny. Swego czasu Katon groził Cezarowi wniesieniem

oskarżenia z powodu okrucieństw, do jakich doszło w trakcie podboju Galii. A nikt nie był tak czuły na punkcie swej reputacji jak Cezar. Wiedział jednak, rzecz jasna, że groźba jest pusta. To, co wydarzyło się w Galii, jakkolwiek często straszne (przykro mi z tego powodu, Artiksesie), nie było gorsze od innych podbojów. Ludziom, którzy nigdy nie opuszczali Rzymu lub swych wiejskich posiadłości, łatwo przychodzi wygłaszać kazania o moralności. Bez stosowania surowych środków nie da się ujarzmić dumnego ludu, by zdobyć dla Rzymu sławę i imperium. Cezar nigdy nie wzdragał się przed przedsięwzięciem takich środków i najogólniej mówiąc, jego metody były słuszne. W końcu przecież nawet ty, Artiksesie, musisz przyznać, że bez względu na to, co wydarzyło się później, w Galii zapanował spokój. Nie zmieni to, o czym jestem przekonany, faktu, że cała kraina wchodzi teraz do imperium rzymskiego, co w końcu sami Galowie uznają kiedyś za korzystne. Nie da się szerzyć cywilizacji wśród barbarzyńców metodami, które uciszają wyrzuty sumienia ludzi cywilizowanych, Ujarzmianie barbarzyńców nieuchronnie pociąga za sobą stosowanie środków do pewnego stopnia barbarzyńskich.

Z jeszcze innych względów podejmowane przez Katona próby zaatakowania Cezara na takiej podstawie były pozbawione sensu. W końcu nigdy nie przestawał opowiadać o swoim wielkim przodku, cenzorze Katonie Starszym, którego rola w rozszerzaniu imperium jest powszechnie znana. Właśnie on, wzorzec republikańskiej cnoty, zwykł przecież każdą swą mowę w Senacie, bez względu na to, czego akurat dotyczyła debata, kończyć słowami: „Poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć”. Nie spoczął, dopóki nie dokonano tego, nie pozostawiając kamienia na kamieniu, mordując lub sprzedając ludność w niewolę. A jednak uwielbiający go wnuk oskarżał Cezara o zbrodnie wojenne. Nic dziwnego, że Cezarowi taką przyjemność – zapewniam cię, złośliwą przyjemność – sprawiło założenie na nowo miasta Kartagina.

Przekonanie Katona o własnej niezwyklej dzielności doprowadzało Cezara do wściekłości tym większej, że tak wielu ludzi przyjmowało je bez zastrzeżeń. Uważał go za hipokrytę. Sądził ponad to, że Katon nie tylko nie potrafił pojąć czegoś, co Cezar nazywał „problemem Republiki”, ale przeszkadzał również, by zrozumieli go inni.

Ich wzajemną nienawiść zaostrzała jeszcze osobista uraza. Jak wspominałem wcześniej, Serwilia, przyrodnia siostra Katona, była, przynajmniej zdaniem mojej matki, jedyną kobietą, którą Cezar kiedykolwiek naprawdę kochał. W młodości, jak mówią, Serwilia całkowicie zawładnęła Katonem, który widział w niej ucieleśnienie ideału Rzymianki. I oto oddała się ona rozpustnemu Cezarowi, z jego niebezpiecznymi powiązaniem politycznymi z popularami

i z Gajuszem Mariuszem – albowiem ciotka Cezara wyszła za mąż za starego brutala. Tego było dla Katona za wiele. Rozповідаł naokoło, że jego siostra została uwiedziona, a także że było wielkim błędem ze strony Sulli, iż jako dyktator dał się przekonać, aby usunąć imię Cezara z listy proskrybowanych. Z lubością przywoływał słowa, jakie wypowiedział Sulla, gdy, acz niechętnie, darował Cezarowi życie: „W tym młodzieńcu drzemie wielu Mariuszów”. „No właśnie” – mawiał Katon, jakby ta opinia zawierała w sobie sumę mądrości politycznej. Tak bardzo nienawidził Cezara z powodu uwiedzenia Serwili.

O tym trójce opowiadano też całkiem zabawną historyjkę. W czasie dyskusji w Senacie dotyczącej spisku Katyliny Cezar i Katon znaleźli się oczywiście po przeciwnych stronach. Jak może pamiętasz, samego Cezara podejrzewano o uczestnictwo w spisku. I oto gdy Cezarowi przekazano jakieś pismo, Katon rzucił się na niego, oskarżając o korszachty z wrogami państwa. „Zapewniat was, czcigodni ojcowie – powiedział wtedy Cezar – że dotyczy ono sprawy czysto prywatnej”. Na co Katon wykrzyknął: „Dlaczegoż mielibyśmy wierzyć słowom kłamcy, który sprzyja Katylinie? Nalegam, aby Cezarowi rozkazano pokazać pismo, żebyśmy wszyscy zobaczyli, w jakie zdradzieckie przedsięwzięcie jest wplątany”. „Dobrze – odezwał się Cezar – skoro Katon nalega, pozwolę mu je obejrzeć, ale nie zgadzam się, aby pokazywano innym”. „Zdecyduję o tym” – odparł Katon. Wtedy Cezar podał mu pismo, które jak się okazało, było listem miłosnym Serwili, zawierającym wyjątkowo intymne wyznania.

Często słyszałem, jak Cezar opowiadał tę historię.

Później stanęła między nimi także sprawa syna Serwili, mojego kuzyna, Marka Juniusza Brutusa. Wydaje się to dziwne, zważywszy, jak nudny jest Marek, ale Cezar i Katon rywalizowali ze sobą o wpływ na niego, przekonani, że jest wschodzącą gwiazdą, uznając go za wzorzec cnoty. Wprawdzie było to całkiem niedorzeczne, tak właśnie jednak sądzili. Oczywiście krążyły też zawsze plotki, że Marek jest synem Cezara, i wiem, że przynajmniej czasami Cezar lubił myśleć, że tak jest naprawdę. Zupełny nonsens, jak zapewniała mnie matka. Marek to wierne odbicie swego nieciekawego ojca. Katon był oczywiście przerażony plotką. Wydawało mi się, że częściowo w nią jednak wierzył, z czym wiązało się jego przekonanie, iż obali podejrzenia, jeśli zdoła związać Marka ze sobą. Jakkolwiek było naprawdę, oglądanie tej pary – walczącej o akceptację i oddanie mdłego młodzieńca – stanowiło niezłą komedię. Sam Marek uznawał ową rywalizację za naturalną. Już jako młody chłopak miał tak wysokie mniemanie o sobie, że wydawało mu się najzupełniej oczywiste, iż dwaj najwybitniejsi mężowie w państwie

zabiegają o jego względy i zaufanie. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej śmiesznego?

Ciągnęło go do wuja, który przemawiał do jego nudnego smaku i staroświeckich wyobrażeń o rzymskiej cnotcie. Jeśli mnie pytasz o zdanie, uważam, że zawsze trochę obawiał się Cezara. W jakiejś mierze dlatego, że ociężałość umysłu utrudniała mu podążanie za meandrami rozumowania Cezara, a poza tym szokowała go śmiałość jego spekulacji. Wstydził się ponadto romansu swej matki z Cezarem, a nawet Marek, mimo rzadkiej zdolności do dawania wiary tylko temu, w co chciał wierzyć, nie mógł siebie samego przekonać, że byli jedynie dobrymi przyjaciółmi. Z drugiej strony, jak większość ludzi, nie mógł się oprzeć sławnemu czarowi Cezara. Tak więc Marek musiał dostrzec w Cezarze znacznie miłszego towarzysza niż Katon. A zatem ulegał Cezarowi, gdy ten był obecny, i buntował się przeciwko niemu, gdy go nie było.

Katon usilnie pracował nad przekonaniem Marka, że Cezar jest wcieleniem zła, a także zagrożeniem dla ustroju republikańskiego, który obydwoj wielbili. Na początku wojny domowej Marek przyłączył się do szlachetnego towarzystwa i udał się w ślad za Pompejuszem do Grecji. Niewątpliwie myślał, że Pompejusz zwycięży, co poza wszystkim było rozpowszechnioną opinią wśród tych, którzy nie doceniali wielkości zwycięstw Cezara w Galii. Akces Marka do stronnictwa Pompejusza stanowił oczywiście świadectwo wpływu Katona, albowiem Serwilia nie cierpiała Wielkiego, gdyż był on odpowiedzialny za śmierć jej pierwszego męża, a ojca Marka.

Nie wyróżnił się w kampanii, która zakończyła się pod Farsalos. Marek nie miał więcej pojęcia o żołnierce niż ja o tańcu na li nie. Chociaż Pompejusz wyraził zachwyt z powodu przybycia tak męznego młodzieńca, dopilnował jednak, aby nie powierzono mu żadnej władzy. Gwiazda Pompejusza wprawdzie już gasła, ale głos rozsądku nie był mu całkiem obcy.

Cezar był oczywiście zachwycony, mogąc uczynić Marka jednym z najbardziej spektakularnych przykładów swojej łagodności, [Łagodność (clementia) – wyrażająca się w darowywaniu win pokonanym przeciwnikom, należała do najważniejszych haseł propagandy politycznej Cezara. – przyp. tłum.] Rozkazał nam nawet za wszelką cenę ocalić go, a gdyby nie chciał się poddać, pozwolić mu uciec. W rzeczywistości uciekł jako jeden z pierwszych i spędził parę dni, ukrywając się w trzcinach na skraju bagniska. Następnie dostał się do Larisy, skąd napisał w bardzo przyjaznym tonie list do Cezara. Cezar natychmiast zaprosił go do siebie.

Wraz z Kaską byłem w namiocie Cezara, gdy się zjawił. Obaj uznaliśmy całą sprawę za obrzydliwą. Najpierw Cezar, tonąc we łzach, powtarzał bez końca, że jego jedyną troską w czasie bitwy była obawa, iż Brutus mógł zginąć.



(„Marnie szansę – wyszeptał Kaska. – Idę o zakład, że był bezpieczny na tyłach”. Nie mylił się. Słyszałem później, że spędził cały dzień w namiocie, pisząc jakiś traktat. Uciekł, gdy niewolnicy przynieśli wieść o klęsce).

Potem Cezar ucałował Marka i rzewnie zapłakał. Marek również płakał i prosił Cezara o wybaczenie, tłumacząc swoje postępowanie wpływem wuja. Była to żalosna scena. Uczestniczyłem w wielu do niej podobnych, ale nie mogę sobie przypomnieć bardziej nedorzecznej.

W następstwie tego wszystkiego Cezar wyznaczył Marka namiestnikiem Galii Cisalpińskiej. Kaska zauważył, że choć Cezar doznał chyba zamroczenia umysłu, zdrowy rozsądek całkowicie go jednak nie opuścił. Galia Cisalpińska była prowincją, w której z całą pewnością nie mogło dojść do żadnych zaburzeń. Marek zabrał się od razu energicznie do zdobywania popularności wśród ludzi, którzy znaleźli się pod jego jurysdykcją, ale i zadbał o przypomnienie im, że wszystkie dobrodziejstwa zawdzięczają dobroci Cezara.

Cezar rwał się do podjęcia kampanii w Afryce.

– Da mi ona szansę rozprawienia się z Katonem raz na zawsze – mówił. – To sprawa najwyższej wagi, gdyż widzisz, Myszo, do póki on jest na wolności, opozycja będzie trwać. Katon jest ropiejącym wrzodem, który należy przeciąć.

Zgadzałem się z nim w zupełności.

Chciał wyruszyć jak najszybciej, ale pewne sprawy zatrzymały go w Rzymie. Pierwszą i najważniejszą był bunt jego ulubionego, stacjonującego wówczas w Kapui, dziesiątego legionu. Legioniści mieli powody do narzekań. Zaległości żołdu były jeszcze większe aniżeli zwykle w wojsku. Odmawiano zwolnienia żołnierzom, którzy odsłużyli już przepisany okres. Nie przydzielono dotąd weteranom obiecanej im ziemi. Zarówno więc ich stan obecny, jak i perspektywy na przyszłość nie przedstawiały się najlepiej, a co gorsza dowiedzieli się teraz, że będą potrzebni w Afryce. Agitatorzy, najęci moim zdaniem przez wrogów Cezara w Senacie, przeniknęli do obozu, znajdując tam niezwykle podatny grunt dla swojej propagandy. Skutkiem tego założono jakiś komitet – jako że zawsze zakłada się komitety w takich sytuacjach. Uwięziono i zakuto w kajdany oficerów – jak postępuje się zawsze z oficerami, jeśli nie starczy im oleju w głowie, aby w porę uciec. Żołnierze mówili o marszu na Rzym, zdecydowani przedstawić swe żale Cezarowi i zażądać wyrównania krzywd. Moment był groźny. Dla mnie

było oczywiste, że jeśliby Cezarowi nie udało się zgnieść buntu, wszystko, na co pracowaliśmy, o co walczyliśmy i za co cierpieliśmy, ległoby w gruzach. Jak mi mówiono, gdy wieść o buncie dotarła do Katona w Afryce, nakazał ogłosić ją w całym obozie (w istocie akt niezwykłego szaleństwa, zważywszy, że bunt jest równie zaraźliwy jak wybuch rozruchów w mieście), a sam poszedł spać, szczęśliwy i pijany, a potem pił przez następne dwa dni. Zasłużył, aby poderżnięto mu gardło, skoro zachowywał się jak skończony dureń. Na razie jednak go to ominęło.

Cezar, jak mówiłem, osiągał mistrzostwo w chwilach kryzysu. Spokojna aura mu nie służyła. Burze pobudzały i wznagły jego geniusz. W sprawie buntu usiłował grać na zwłokę. Do obozu w Kapui wysłał młodego Salustiusza, oficera, którego darzył większym zaufaniem aniżeli ja, upoważniając go do złożenia obietnicy wypłacenia znacznych sum dodatkowego żołdu. Nie udzielono mu nawet posłuchania, obrzucając kamieniami i wyzwiskami. Uznawszy, że jego życie jest w niebezpieczeństwie, Salustiusz uciekł więc do Rzymu.

Niedługo potem sami legioniści ruszyli na północ. Inne oddziały przyłączyły się do ich niegodziwej sprawy. Niebezpieczeństwo było rzeczywiście ogromne. W Rzymie zapanowało podniecenie, zwłaszcza wśród naszych wrogów, którzy obiecywali sobie, że wkrótce Pompejusz zostanie pomszczony, co umożliwi powrót do czegoś, co nazywali „republikańską normalnością”. Ich nadziei nie osłabiły nawet wieści o plądrowaniu przez buntowników majątków i zamordowaniu dwóch byłych pretorów. Zwykli obywatele patrzyli na to inaczej, w znacznie bardziej rozsądny sposób. Szczerze przerażeni, oczekiwali od Cezara obrony.

Cezar zwołał swoich głównych dowódców, aby zastanowić się, co począć w tej sytuacji. Na marginesie, muszę zaprzeczyć ocenom ludzi, którzy nie znając jego metod pracy, mówili, że zawsze kierował się własnym rozumem, nie przywiązując najmniejszej wagi do opinii swojego otoczenia. W rzeczywistości było zupełnie na odwrót. Niezmiennie uważnie wysłuchiwał tego, co myślą inni, nawet jeśli lubił zarazem pokazać, że ostateczna decyzja była wyłącznie jego dziełem. Taką właśnie miał naturę. I tak właśnie lubił działać.

Tym razem rada Antoniusza była jasna. (Nie wiem, dlaczego mówię „tym razem”, albowiem Antoniusz zwykle był przeświadczony o słuszności własnej opinii – przynajmniej dopóki nie zakwestionował jej Cezar, gdyż wówczas wycofywał się z zajętego stanowiska z szybkością uciekającego jeźdźca).

– Cezarze – rzekł Antoniusz – nie brakuje nam lojalnych oddziałów nadal zachowujących dyscyplinę. Powinniśmy wymaszerować z Rzymu i stawić czoło tym łajdakom. Daj wyraźnie do

zrozumienia, że nie ustąpisz przed niedorzecznymi żądaniami i jesteś gotów walczyć, jeśli znajdzie taka potrzeba. To ich podzieli. Możemy być wszyscy pewni, że nie podejmą walki przeciwko tobie.

Rada była typowa dla Antoniusza. Pełna animuszu, pochlebna dla Cezara i bezmyślna. Rozejrzałem się wokół stołu i spostrzegłem kilka głów potakujących na znak aprobaty. Nie były to głowy, którym zaufałym, nawet planując wycieczkę na wieś.

Cezar nie dał po sobie poznać, co sądzi o pomysle Antoniusza.

Gajusz Kasjusz, który całkiem niedawno znalazł się w naszej grupie (walczył pod Farsalos w wojsku Pompejusza), zrobił poważną minę. Zaproszenie go na naradę zaskoczyło z pewnością część obecnych, ale na tym właśnie polegała polityka Cezara, który zabiegał o to, aby związać pogodzonych przeciwników jak najmocniej ze swoją sprawą i osobą. Teraz Kasjusz przemawiał, starając się usilnie, co dość oczywiste, wyrzucić na nas jak największe wrażenie.

– Nie mam wątpliwości, że mój przyjaciel Antoniusz gruntownie rozważył sprawę – rzekł. – Zna te legiony i być może mądrze ocenia sytuację. A jednak zdaje mi się, że mógł przeoczyć coś, co nazwałbym aspektem politycznym. Czy istnieją powody, aby sądzić, że bunt został wywołany przez agitatorów?

– Jeśli o mnie chodzi, dostrzegam rękę Labienusa – wtrącił Cezar.

– Dziękuję ci, Cezarze. Jestem wdzięczny za potwierdzenie moich podejrzeń. Co zaś rozumiem przez aspekt polityczny? Ano to, że jeśli wyruszymy przeciwko nim, wrogowie Cezara nabiorą odwagi. Powiedzą, że jego legiony poróżniły się ze sobą. Powiedzą, że jego stronnictwo uległo rozłamowi. W ten sposób przyciągną nowych stronników.

– Do licha z nowymi stronnikami – rzekł Kaska. – Jest coś jeszcze bardziej niebezpiecznego. Jeśli wyruszymy przeciwko nim, nie utrzymają się na swoich pozycjach, ale się też nie poddadzą. Antoniusz ma rację, mówiąc, że nie będą mieli odwagi stawić ci, Cezarze, czoła. Wycofają się jednak w należyтым porządku, są żołnierzami, których, do diaska, myśmy wyćwiczyli. Wiemy, jakimi są ludźmi. Znamy ich dumę. I co wtedy? Uwierzą, że ich sprawę – a nawet ich życie – ocalić może przejście na stronę naszych nieprzyjaciół. To zbył wielkie ryzyko, Cezarze.

– A zatem, co powinniśmy zrobić, Kaśko, jeśli odrzucimy propozycję naszego drogiego Antoniusza?

– Niech to лихо, jeśli wiem – odparł Kaska.

– A ty, Myszo? – Cezar zwrócił się do mnie. – Czy masz dla nas jakąś mądrą radę?

– Obawiałbym się narwać ją mądrą, ale wydaje mi się, że nie powinieneś robić niczego, co mogłoby wywołać wrażenie, że przyznajesz, iż nie podlegają już twoim rozkazom.

– Na Herkulesa! – krzyknął Antoniusz. – Cóż to za nonsens? Zdajesz się nie zauważać, Mysz, że oni się zbuntowali. To zaś oznacza, że postępują wbrew rozkazom, nie słuchają rozkazów. A może nie wiesz, co oznacza słowo „bunt”?

– No cóż – rzekłem – myślę, że wiem. Jeśli pozwolisz mi powtórzyć, i tym razem posłuchasz uważnie, Antoniuszu, sugerowałem, iż Cezar nie powinien robić niczego, co pozwoliłoby buntownikom myśleć, że nie podlegają już jego rozkazom. Zachowasz, Cezarze, inicjatywę, nie występując przeciwko nim, lecz wydając rozkaz, który wyda się im łatwy do usłuchania...

– Nadal nie rozumiem – powiedział Antoniusz.

– Mniejsza z tym, mój drogi – rzekł Kaska. – Mysz ma rację, Cezarze.

Przytoczyłem rozmowę z pewnymi szczegółami, gdyż w sprawozdaniu, jakie przekazał później Senatowi, Cezar dał do zrozumienia, że plan, który doprowadził do stłumienia buntu, był jego autorstwa. Wzgląd na własną godność każe mi zwrócić uwagę potomności na moją rolę w całej sprawie. Chociaż więc nie zaprzeczam, że Cezar dokonał ostatecznego, mistrzowskiego zresztą, uderzenia, jak doskonale wiedzą wszyscy uczestnicy narady, sam pomysł wyszedł ode mnie.

Zakomunikowano zatem buntownikom, że mogą wejść do miasta i obozować na Polu Marsowym, o ile złożą najpierw broń. (Bram miasta strzegły oczywiście wierne oddziały). Spełnili ten warunek w sposób połowiczny, jak przewidywałem, to znaczy zabrali ze sobą jedynie miecze. Wśród obywateli wywoływali przestach, co według mnie nie było wcale złą rzeczą.

Cezar sprawiał wrażenie rozgniewanego, kiedy wychodziliśmy razem z jego domu. Na szczęście panował nad swym gniewem. Wyjaśnił mi, że wzburzyła go nielojalność, samowola i głupota tych ludzi.

– Tyle przecież razem przeszliśmy – powiedział. – Jesteśmy częścią tego samego ciała. Czy nie rozumiem, że jeśli oni mają dowodzić, a ja mam spełniać ich życzenia, to cała natura łączącego nas związku ulegnie splamieniu, a nawet zniszczeniu? Nie mogę ścierpieć ich chciwości i zuchwalstwa.

– Jasne, Cezarze – rzekłem – ale gdy będziesz do nich przemawiał, bądź chłodny i nie daj się ponieść emocjom.

– Będę chłodny jak noc w górach Helwecji – odparł.

Przybyliśmy na Pole Marsowe i ruszyliśmy w kierunku ustawionego wcześniej podium. Cezar usiadł. Przez kilka minut nie zwracał uwagi na mrowiących się poniżej nas ludzi, lecz rozmawiał jedynie ze mną i z kilkoma innymi otaczającymi go osobami. Spojrzeniem oceniłem sytuację. Teraz, gdy mój plan miał wydać owoce, po raz pierwszy poczułem zdenerwowanie. W końcu gdyby coś nie wyszło, sprawy mogły przybrać naprawdę przykry obrót. Mogło nawet dojść do ogólnej masakry.

Kiedy Cezar podniósł wreszcie głowę, popatrzył na oddziały i zaczął mówić, jego głos był znudzony. Prosił, aby przedstawili mu swoje skargi. Przemawiał, jakby nigdy wcześniej nie widział tych ludzi, z którymi walczył przecież w całej Galii i pod Farsalos. Było to, muszę przyznać, niezłe przedstawienie.

I to ich zmieszało. Mimo wszystko po chwili wahania, gdy czekali, aby zobaczyć, kto odważy się zabrać głos pierwszy, skargi popłynęły jedna za drugą. Mowa zachodziła na mowę, gdy opowiadali o swoich ranach, niewygodach, jakie wycierpieli, wielkich czynach, jakich dokonali, przyjacielach, jakich utracili, nagrodach, jakich oczekiwali i jakich im odmówiono, wreszcie o swym pragnieniu opuszczenia wojska.

Ich mowy trwały zbyt długo. Nastrój stawał się coraz bardziej nerwowy. Cezar nadal udawał obojętność.

Ktoś krzyknął:

– Wypruwaliśmy dla ciebie flaki, Cezarze.

Jakiś legionista wysunął się do przodu, wspiął się w pół drogi na platformę, zanim go zatrzymano. Zerwał przepaskę ze swego lewego oka, od ślaniając straszliwą pustkę.

– Straciłem je pod Alezją i dotąd nie dali mi zwolnienia. Co powiesz na to, Cezarze?

Cezar spojrział w górę. Podniósł rękę. Zapadła cisza.

– W porządku – jego głos wydawał się obojętny, jak głos aktora. – Zrozumiałem, czego chcecie. Możecie wszyscy zostać bezzwłocznie zdemobilizowani. Zostawcie swoje miecze u strażników, gdy będziecie się rozchodzić. Co do pieniędzy, wszyscy znacie Cezara. Możecie polegać na mnie w sprawie każdego denara, jaki się wam należy, i każdego denara, jaki wam obiecano. Podajcie swoje nazwiska i wysokość waszych żądań kwatermistrzowi. Wyplacę wam wszystkie obiecane sumy, gdy wrócę z Afryki. Liczyłem na was w związku z tą kampanią. Teraz poprowadzę na nią inne legiony. One będą uczestniczyć w moim triumfie, gdy wrócę. Myślę, że

to wszystko.

Nikt nie przerwał milczenia. Zaskoczenie było zupełne. Albo nie oczekiwali tak łatwej zgody, albo byli nią rozczarowani. Oczywiście prowodyrom podstęp odebrał możliwość siania niezgody, za co im zapłacono, ale nie to było główną przyczyną dziwnej zmiany nastroju. O wiele większą rolę odegrało wspomnienie triumfu i świadomość, że nie będą w nim mieli udziału, choć tak wielu było wśród nich weteranów bitew, które zapewniły chwałę ich wodzowi. Dotarła do nich jeszcze bardziej gorzka myśl. Oto zrozumieli, że Cezar uznał, iż może sobie bez nich poradzić.

Nikt więc się nie poruszył ani nie zabrał głosu. Sytuacja przypominała pogrzeb przed rozpoczęciem lamentów.

– Obywatele – rzekł Cezar, co zostało przyjęte jękiem bólu i żalu. Nigdy nie zwracał się do nich inaczej niż „żołnierze” lub „towarzysze”, a teraz nazwał ich „obywatelami”, jakby nie byli dla niego już więcej warci niż wyborcy, o których poparcie mógłby się ubiegać.

Złamali szeregi, tłocząc się wokół niego, szarpiąc go za rękaw, błagając o przebaczenie, o przywrócenie do służby, ukaranie prowodyrów, którzy wyprowadzili ich na złą drogę. Była to niezwykła scena. Posiwiali weterani szlochali niczym kobiety. Jeden z centurionów dziesiątego legionu krzyknął nawet:

– Ukarz nas, Cezarze, ukarz nas, jak uważasz za stosowne, przeprowadź nawet decymację, [Za naruszenie dyscypliny groziły w wojsku rzymskim ciężkie kary, również zbiorowe, za najstraszniejszą uważano decymację skazanie na śmierć co dziesiątego z ustawionych w szeregu żołnierzy. – przyp. tłum.] ale przyjmij resztę z powrotem i zabierz ze sobą do Afryki.

Wieczorem na uczcie Cezar promieniał z dumy. Długo rozprawiał o sztuce panowania nad ludźmi.

– Dotknij ich ambicji i są twoi – rzekł.

Zdawał się zapominać, że ten dzień skończył się tak pomyślnie w wyniku przyjęcia mojej rady. Nie mam mu oczywiście tego za złe. Moim zadaniem było radzić, jego – korzystać z rad. Niemniej jednak zachowałby się pięknie, gdyby przyznał, co mi zawdzięcza.

## ROZDZIAŁ 6

Nie odczułem zawodu, gdy usłyszałem od Cezara, że nie wymaga ode mnie, abym jechał z nim do Afryki. Z drugiej strony irytowały wywołane tym plotki, iż wypadłem z łask dyktatora. Nie o to, rzecz jasna, chodziło. Cezar dał mi wyraźnie do zrozumienia, że oczekuje czuwania nad jego interesami politycznymi w Rzymie.

– Wolałbym mieć ze sobą raczej tych, którym nie ufam, a pozostawić tych, którym ufam bez zastrzeżeń – rzekł.

Dumnie zgodziłem się, choć wymusiłem na nim obietnicę, że dołączę do armii, kiedy tylko uznam, iż moje usługi w Rzymie nie są absolutnie konieczne. Jestem w końcu przede wszystkim żołnierzem, a żaden stary koń bojowy nie czuje się szczęśliwy, gdy nie dochodzi go głos wojskowej trąbki.

Niezależnie od moich obowiązków publicznych miałem również inne powody, by z chęcią pozostać w mieście. Kolano nadal sprawiało mi kłopoty, a grecki doktor, do którego się zwróciłem, zalecił przedłużenie; wypoczynku i regularne nacieranie mieszaniną migdałów i tłuszczu krokodyla.

– Jeśli nie dasz sobie czasu na wyzdrowienie, mój panie, za dziesięć lat staniesz się całkowitym kaleką – ostrzegł.

Zdrowie mojego ojca słabło, a ja, co zrozumiałe, chciałem być u jego łoża śmierci. Nigdy nie byliśmy ze sobą blisko, gdyż jako człowiek starej daty i dość ograniczony, nigdy nie rozumiał moich co bardziej śmiałych pomysłów ani nie miał sympatii dla mego zapалу do używania życia. Ale szanowałem go i byłem rad, że nigdy nie zaniedbywałem swoich obowiązków wobec niego. Moja matka również cieszyła się, że ma mnie w domu, znajdując w mojej obecności wielką pociechę, jako że biedny ojciec stawał się z upływem czasu coraz bardziej kapryśny i niedorzecznie wymagający. Na dodatek wpadł na pomysł, który na szczęście udało mi się udaremnić, zapisania połowy majątku „ludowi rzymskiemu”. Zbałamucony starzec wierzył, że zapewniłoby mu to sławę, której nie osiągnął za życia. Jakby mogło to mieć po śmierci jakiegokolwiek znaczenie. Gdy tymczasem nam pozbawienie należnego dziedzictwa przysporzyło by poważnych kłopotów (przynajmniej tak się wówczas, Artiksesie, wydawało).

W końcu gdy Klodia zamknęła się w ciemnej komnacie, czekając na śmierć, z przyjemnością

wdałem się w romans z młodą tancerką frygijską, istotą o niewyczerpanej radości i akrobatycznej pomysowości w sztuce miłosnej. Z pewnością niechętnie opuszczałbym Rzym, zanim nasyciłbym się wdziękami tej młodej osóбки, która, jak mi się zdawało, łączyła żar Klodiusza z uwodzicielskim rozwyrzeniem Kleopatry.

Ze spokojem powiedziałem więc Cezarowi „żegnaj”. Sprawilo mi prawdziwą ulgę uwolnienie się od jego przygniatającej i wymagającej obecności.

Ku mojemu niejakiemu zaskoczeniu zacząłem ulegać urokowi Cyclerona. Wspominałem go, Artiksesie, kilkakrotnie w tym pamiętniku, na ogół, jak sądzę, z lekceważeniem. No cóż, były ku temu powody, ale przyszło mi do głowy, że może dałem niepełny obraz tego wybitnego człowieka. Gdyż był on bez wątpienia wybitny. Jako jeden z niewielu ludzi w Rzymie osiągnąć najwyższą pozycję w państwie bez przewagi, jaką dawało urodzenie albo wielki majątek (choćaż zdobył go oczywiście).

Zbliżał się wówczas, jak przypuszczam, do sześćdziesiątki. (Nie mam, rzecz jasna, pod ręką żadnych pomocniczych źródeł i muszę polegać na własnej pamięci oraz wrażeniach). Swoje wielkie dni miał za sobą. Minęło prawie dwadzieścia lat od momentu jego największej chwały, gdy jako konsul ujawnił i zniszczył spisek Katyliny. Od tego czasu zanudzał wszystkich opowieściami o tym, jak ocalił państwo. Jego chwilowy triumf należał do tych, które zwycięzcy przynoszą zgubne skutki. Cycleron skazywał obywateli rzymskich na śmierć bez procesu sądowego, i ta właśnie zbrodnia prześladowała go przez resztę jego dni. Wrogowie Cyclerona – a ostry język zapewnił mu ich wielu – przypominali o niej, gdy przechwalał się swoim bohaterskim czynem. Temu zawdzięczał również zawziętą nienawiść uwielbianego przeze mnie Klodiusza i dlatego jako młody człowiek nigdy nie słyzałem niczego dobrego o Cycleronie. Wspominałem już zresztą, co Klodia mówiła o człowieku, który bronił zabójcy jej brata i naszego wspólnego kochanka.

Nikt jednak nigdy nie kwestionował wielkości intelektu Cycero na, a niewielu jego urok. Gdy chciał się podobać, zwykle mu się to udawało. Nawet Cezar, który mu nie ufał z powodu jego próżności i chwiejności, zachwycił się jego towarzystwem. I wyznaję, że mimo tego, co wiedziałem, i tego, co kładło się cieniem między nami, schlebialo mi zaproszenie do jego stołu.

Tamtej wiosny miotał się między podnieceniem a depresją. Wiedział, że popełnił błąd na początku wojen domowych, gdy wskutek swej próżności i kiepskiego wycucia sytuacji



przyłączył się do Pompejusza i do konserwatystów w Senacie.

– Naraziłem dla ich sprawy życie i majątek – rzekł – a jednak, jak wiesz, nigdy mnie nie docenili. Nie dopuszczono mnie do rady Pompejusza, chociaż miałem większe i bogatsze doświadczenie aniżeli ktokolwiek z otaczających go ludzi. Pompejusz zawsze łatwo ulegał wpływowi. Mimo wszystko trudno sobie wyobrazić, że mógłby być aż takim głupcem, aby lekceważyć wartość mojej rady. Ale tak było. Był wielkim, lecz ograniczonym człowiekiem. Zawsze był świadom swej intelektualnej niższości w stosunku do mnie, i jak przypuszczam, również w stosunku do Cezara.

Często mówił w tym tonie. Nie ulegało wątpliwości, że nadal wierzył w swą polityczną przyszłość. Mogłem wyprowadzić go z błędu, ale wydawało się bardziej grzeczne i zapewne bardziej użyteczne słuchać jego spekulacji.

– Cezar wiele osiągnął – ciągnął Cynceron. – Pytanie brzmi, co zamierza zrobić z władzą, jaką skupił w swym ręku. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że rozwiązanie tego problemu nie może nastąpić, dopóki nie doprowadzi się do zwycięskiego końca owych nie szczęśliwych wojen. Ale to już długo nie potrwa. Mam wiele szacunku dla Katona, ale – nalał sobie wina i roześmiał się – jedynie ktoś z tak nikłą znajomością samego siebie, jak ten drogi mąż, mógłby uważać, że będzie on poważnym przeciwnikiem dla Cezara na polu bitwy. Katon poniesie klęskę w Afryce, a wtedy Cezar zajmie się Gnejuszem Pompejuszem, który między nami mówiąc, jest niczym więcej niż zwyczajnym zbrojnym. Gdy Cezar wygoni go już z jego hiszpańskiej kryjówki, gdzie... gdzie wtedy będziemy?

– Któż to może wiedzieć? – odparłem, rozumiejąc, że wcale nie oczekiwano ode mnie odpowiedzi.

– Nade wszystko niezbędne jest przywrócenie Republiki. Jestem pewien, że Cezar to rozumie, a ty nie? Cóż innego w końcu może zrobić? Rzym nie zniesie dożywotniej dyktatury, rządów jednej osoby. Zdaję sobie sprawę, że mógłby chcieć, aby mu przyznano dyktaturę na czas nieograniczony. Z tym można się zgodzić, ale musiałyby to być zarazem w głównej mierze tytuł honorowy, w najlepszym razie dający pewne uprawnienia nadzorcze. Gdyby doszło do rządów jednej osoby, jak mielibyśmy ją nazwać? Królem? My, Rzymianie, nigdy nie ścierpimy monarchii. Cezar musiałby stracić rozum, aby sądzić, że mogłoby się tak stać. A przecież wszyscy dobrze wiemy, że Cezar nie jest szalony. A może jest, młody Brutusie?

– Odpowiedziałeś już na to pytanie, panie – odparłem.

– No właśnie. Musimy jednak uwzględnić fakt, że te straszne wojny pozbawiły nas wielu zdolnych ludzi i zdziesiątkowały wiele arystokratycznych rodzin. Lista sławnych zmarłych jest długa i przygnębiająca. Co więcej, niezgoda, uraza i pragnienie zemsty kierują wieloma ich potomkami. Jak doprowadzić do pojednania skłócone stronnictwa? Gdzie znaleźć środki do ustanowienia nowej zgody stanów w państwie? Jak pogodzić żądania zwycięskiego żołnierstwa z prawami właścicieli ziemskich? Jakie kroki są konieczne, aby przywrócić powagę konsulów? Jak rządzić tak wielkim imperium? Oto problemy, jakie będą nas zaprzętać w czasach żmudnej odbudowy, która musi nastąpić po zakończeniu wojen. Ty, Decymusie Brutusie, zasłużenie cieszysz się głębokim zaufaniem Cezara. Co on zamierza? W jaki sposób chce przeprowadzić ową odbudowę? Jeśli idzie o mnie, nie wiem, jak miano by jej do końca, gdyby Cezar nie był gotów przekazać władzy organom, do których pierwotnie należała. Nie można, wydaje mi się, uwiecznić systemu stworzonego jedynie dla zażegnania kryzysu, gdy sam kryzys minął.

– Bez wątplenia Cezar rozważy te sprawy z należytą uwagą – powiedziałem.

– Muszą się one stać przedmiotem dyskusji. Nie sądzę jednak, abym mógł nad tym dalej się rozwodzić.

Sytuacja była delikatna. Pytania postawione przez Cyncerona były zasadne i musiały rzeczywiście przyjść do głowy każdemu, komu dobro państwa leżało na sercu. Wiedziałem wszakże, że Cezar unika zastanawiania się nad nimi. Zawsze wolał działać zgodnie z nakazem instynktu. Jak lubił powtarzać: „Najlepiej podejmować decyzje, gdy same ci się narzucają, czyli innymi słowy, gdy nadejdzie ich czas”.

Nieroztropnie byłoby sugerować na takim spotkaniu, że my (czyli przyjaciele Cezara) nie mamy bladego pojęcia o tym, jak ustrój państwa powinien zostać zreformowany post helium.

– Z pewnością pytanie brzmi: czy, lub do jakiego stopnia, coś, co uległo zniszczeniu, można naprawić?

Wypowiadający te słowa był nieledwie chłopcem, młodzieńcem, którego broda zdawała się nie znać jeszcze brzytwy. Drobnny, ale dobrze zbudowany, miał jasne szare oczy, słodki grymas na ustach i jasne włosy opadające na lewe oko. Mówił zimnym głosem, nie patrząc na zebranych. Można było odnieść wrażenie, że bada swoje pięknie zbudowane i kształtne ramię, oparte o wezgi łóżka, na którym spoczywał. Przybyłem późno tego wieczoru, zatrzymany przez pilne sprawy, i nie został mi przedstawiony Cynceron, jak wielu egotyków, często nie przestrzegających elementarnych zasad dobrego wychowania. Chłopiec dwa czy trzy razy w czasie uczyt spojrzał

na mnie spod swoich długich rzęs, uśmiechając się, jakby mnie znał i jakbyśmy rozumieli coś, czego nie rozumieli inni. Zastanawiałem się, kim był, i poczułem, że mnie zaintrygował.

Cyceron zaskoczyła jego wypowiedź.

– Co masz na myśli? – spytał.

Chłopiec zawahał się. Musnął językiem górną wargę. Spuścił oczy, wpatrując się w swe złotobrązowe, pokryte piegami, gładkie jak alabaster ramię.

– To zarozumiałość z mojej strony. Wiem o tym. Mam tak niewielkie doświadczenie. Ale jeśli to właśnie potrzeby imperium są tym, co zniszczyło tradycyjną strukturę Republiki, to nie widzę, jak miałyby zostać przywrócona, chyba że mamy zrezygnować z imperium, co jest nie do pomyślenia.

Cyceron splótł palce, następnie szeroko je rozstawił, dwa czy trzy razy złączył je ponownie, po czym uniósł podbródek, przykuwając uwagę wszystkich.

– Hmm – rzekł – są to głębokie myśli, jak na kogoś tak młodego i wcale niegłupiego, tak, zupełnie niegłupiego. Pozwólcie mi się zastanowić... Chyba dostrzegam, w czym leży twój błąd – błąd, jak mądrze sam podkreślasz, nieunikniony z racji twojego niedoświadczenia. I pozwól mi zauważyć, że pochwalam cię za przyznanie się do braku doświadczenia, co rzadko się zdarza, a zgódźmy się, że brak doświadczenia psuje wszelkie opinie. Tak więc, mój drogi chłopcze, twój błąd leży, moim zdaniem, w tym, na czym polega jego wartość – zniżył podbródek i uśmiechnął się do nas – wcale nie miała wartość, jak mam zapewne prawo wierzyć z powodu pochwał, którymi mnie obsypywano w czasie mojej długiej i bynajmniej nie bezwartościowej kariery. Dobrze, twój błąd leży zatem w przyjęciu czysto mechanistycznego obrazu spraw publicznych. Skupiasz się na strukturze ustroju państwowego i zauważasz, jak doszło do jego niedowładu. Ale czyniąc tak, zaniedbujesz rozważenie znacznie ważniejszego i zasadniczego pytania, które brzmi nie „jak?”, lecz „dlaczego?” I nie są one, uwierz mi na słowo, w żadnym razie tym samym. Z łatwością możemy zauważyć, że coś się rozpada. Ale dlaczego? Problem sięga głębiej i być może dopiero mądrość, która przychodzi z wiekiem, uprawnia do próby formułowania odpowiedzi. W moim odczuciu mamy do czynienia głównie z kwestią moralności. Właśnie moralności, a nie mechaniki. Choroba Republiki nie leży w jej instytucjach – instytucjach, które tak chlubnie wytrzymały próbę czasu lecz w ludziach, którzy je tworzą. Egoizm rządzi dziś tam, gdzie kiedyś kwitło poświęcenie dla dobra publicznego. Cierpimy z powodu czegoś, co na zwałbym „indywidualizmem”. Co przez to rozumiem? Ano gotowość ludzi do reagowania na

każdą sprawę publiczną raczej pytaniem typu: „Co ja mam z tego? W czym mogę znaleźć osobistą korzyść?”, aniżeli pytaniem, które tak szlachetnie ożywiało umysły naszych przodków: „Czego Rzym wymaga ode mnie?”

Przerwał, rozglądając się wokół, zatrzymując wzrok na każdym z nas i spoglądając tak długo, aż ten drugi spuścił oczy, zapewne w zakłopotaniu. Nawet ja spuściłem nieco wzrok, ale gdy go podniosłem, zobaczyłem, że młodzieniec, który postawił problem, odwzajemnił badanie Cyncerona spokojnym i szczerym spojrzeniem. Uśmiech igrał na jego wargach. Najwyraźniej czekał, co stary orator jeszcze powie. W jego uśmiechu nie było ani odrobiny zuchwalstwa i nie sądzę, aby dopatrzył się go nawet Cynceron, ale właśnie Cynceron przerwał wymianę spojrzeń i w pośpiechu wznowił swój wywód.

– Czego Rzym wymaga ode mnie? Oto pytanie, jakie stawiałem sobie w ciągu całej mojej długiej i wcale nie niesławnej kariery. W pełni świadom jego znaczenia stawiałem czoło haniebnemu spiskowi Katyliny. Jeśli każdy z nas zada sobie to pytanie, będziemy wiedzieli, jak powinniśmy sami postępować. Przywara, nazwana przeze mnie „indywidualizmem”, jest w moim odczuciu grecka, a nie rzymska. Usuńmy ją z naszego życia publicznego i wówczas odzyskamy dawną cnotę rzymską. Indywidualizm jest przekleństwem naszej epoki i przyczyną obecnych problemów...

Ręka mu drżała, gdy uniósł puchar napęczniony winem, i najpierw wargi, a potem skroń otarł serwetą.

Jeśli chodzi o mnie. wydawało się, że mówił śmielej i bardziej nierozważnie, aniżeli zamierzał. Ukuty przez niego termin. „Indywidualizm”. Któż ucieleśniał go bardziej niż Cezar?

Kiedy przyjęcie się skończyło, dołączyłem do młodzieńca, który wzbudził moje zainteresowanie swoim zachowaniem i inteligencją.

– Powinienem wiedzieć, kim jesteś – odezwałem się, gdy wkroczyliśmy w letnią noc. – Ale z przykrością wyznaję, że nie wiem.

– To naturalne – odpowiedział. – Byłem dzieckiem, gdy spotkaliśmy się ostatnim razem, i oczywiście zmieniłem się. Od tamtego czasu nie było mnie tutaj. Ale znam cię i słyszałem, jak mój wuj mówił ciepło o twoich zdolnościach i charakterze.

– Twój wuj?

– Cezar. Nazywam się Gajusz Oktawiusz Turinus. Moja matka jest siostrą Cezara.

– Ależ oczywiście – powiedziałem. – Wybacz mi, gdy widziałem cię po raz ostatni, byłeś

rzeczywiście dzieckiem, choć bardzo pociągającym, a teraz jesteś młodzieńcem, w dodatku jeszcze bardziej atrakcyjnym.

– Och – odparł, nie usuwając się, gdy wziąłem go pod ramię – miło, że to mówisz. Cynceron wywarł na mnie wrażenie. To jego określenie, „indywidualizm”, wydaje mi się interesujące.

– Cynceron przyjmuje romantyczny wizerunek przeszłości – rzekłem. – Moim zdaniem ludzie zawsze byli skorzy do walki o to, co uważali za swój osobisty interes.

– Ależ tak, rozumiem to, niemniej myślę, iż może mieć rację, twierdząc, że pogoń za własną korzyścią zdominowała życie publiczne w większym niż niegdyś stopniu.

– Możliwe, ale powinieneś pamiętać, że współzawodnictwo o godności i sławę zawsze rządziło ludzkimi umysłami. Któryż z nas nie szuka osobistej sławy?

– Zapewne masz słuszość – odparł – a jednak muszą istnieć sposoby zaprzęgnięcia tej żądz dla dobra publicznego. Czy Cynceron nie ma racji, mówiąc, że nasi przodkowie znaleźli takie środki, a myje zatraciliśmy?

Przez następne tygodnie często widywałem młodego Oktawiusza. Choć nie tak często, jakbym sobie tego życzył. Nie będzie w tym odrobiny przesady, jeśli powiem, że się w nim zakochałem. Zauroczyła mnie w równej mierze jego uroda, jak i inteligencja. Ale było coś jeszcze poza tymi zaletami, co mnie w nim pociągało. Nawet w chwili największego przyływu namiętności czułem dystans, jaki utrzymywał między sobą a resztą ludzi – także swoim kochankiem. Pragnąłem pokonać ów dystans, a porażka jedynie wzmagala moją namiętność. Nawet gdy całowałem jego wargi i czułem, jak jego ramiona opasują moją szyję, a gładkie członki przeplatają się z moimi, byłem świadom, że część jego ja pozostawała z boku, że nigdy nie poddawał się do końca przyjemnościom, z których czerpał rozkosz, że kontrolował wszystko, co robił, i z niesamowitą trzeźwością dokonywał oceny całej sytuacji. Właśnie to tak mnie rozpałało. W miłości zawsze dążymy do posiadania, a jednak im bardziej się do niego zbliżałem, tym mniej byłem w stanie zawładnąć istotą jego osobowości.

Czasami wydawał się jedynie chłopcem zachwyconym własnym pięknem i podziwem, jaki wzbudzał we mnie. Z pewnością łaknął podziwu. Leżał nagi, zachęcając, abym głaskał jego kształtne uda (które golił i namaszczał z ogromną pilnością), pomrukując, gdy moje wargi poruszały się nad jego płaskim, gładkim brzuchem, pieszcząc moją szyję i plecy, przesuwając palce niżej. Jego radość była równie prawdziwa jak moja, a jednak pozostawał poza tym, wyższy,

odległy, jakby obserwował wszystko z wielkiego dystansu. Nawet Klodia nie mogłaby przewyższyć jego zdolności dręczenia kochanka.

Filozofowie uznają miłość między mężczyzną a młodzieńcem za najszlachetniejsze z uczuć. Zapewniają, że dojrzały miłośnik kształci swego przyjaciela w mądrości i cnocie. Znam dobrze tę teorię. Między mną a Oktawiuszem tak jednak nie było i sędzę, że rzadko tak bywa. Stałem się niewolnikiem, a będąc nim, straciłem jakby część swej powagi. Jeśli miałbym zbliżyć się do Artiksesa (któremu nie przeczytam, rzecz jasna, tych stron mojego pamiętnika), jak zbliżyłem się do Oktawiusza, mógłbym rzeczywiście doznać tego, co obiecują filozofowie. Ale Oktawiusz, choć zaledwie młodzieniec, wydawał się starszy i mądrzejszy ode mnie. Przez te tygodnie byłem jego niewolnikiem, jak niegdyś byłem niewolnikiem Klodii.

Ze względu na niego zaniedbałem żonę. Longina była córką Gajusza Kasjusza Longinusa. Poślubiłem ją kilka miesięcy wcześniej na żądanie Cezara, aby przypieczętować, jak to ujął, pogodzenie się Kasjusza z naszym stronnictwem. Była jedynie czarującym, pełnym życia, nieświadomym i jak wówczas myślałem, rozkapryszonym dzieckiem. Niewiele miała do zaoferowania komuś, kto zaznał rozkoszy w objęciach Klodii, i wkrótce zaczęła mnie nudzić. Uwielbiała kości i plotki. Otaczał ją krąg rozpustnych rówieśników, którzy, jak powiedziałyby moja matka, mieli więcej pieniędzy niż rozumu. Wkrótce przekonałem się, że zdradziła mnie z niejednym z nich. Uczciwie przyznaję, że ja również ją nudziłem. Mogłaby być uroczym kompanem i niewątpliwie była bardzo ładna, ale nigdy w tym okresie nie powiedziała niczego, co utkwiliby w mojej głowie choćby na dłuższą chwilę.

Mimo wszystko jedna dobra sprawa wynikła z mojego małżeństwa. Zbliżyłem się do swego nowego teścia, Kasjusza. Dla nas, stronników Cezara, Kasjusz zawsze był osobą do pewnego stopnia podejrzaną. Odnosiliśmy się z szacunkiem do jego dokonań woskowych. Właśnie Kasjusz jako pretor ocalił resztki armii Krassusa po klęsce pod Karrhae. Nie było to wcale poślednie osiągnięcie. Wiedzieliśmy także, że gdyby Pompejusz posłuchał jego rady, mielibyśmy znacznie większe kłopoty w Grecji. Niewielu mu jednak ufało. Jego sardoniczny język ranił z łatwością i, zdawało się, z przyjemnością. Nawet Cezar nie czuł się dobrze w obecności Kasjusza, narzekając na jego „pokorne i głodne spojrzenie”. Starał się obrócić w żart niepokój, jaki wzbudzał Kasjusz. „Oby wszyscy ludzie wokół mnie byli otyli”.

Teraz Kasjusz mówił do mnie:

– Czy przyszło ci do głowy, że państwo utraciło wewnętrzną równowagę? Nikomu nie

ustępuję pod względem podziwu dla geniuszu Cezara i wiem, że ty, Decymusie Brutusie, jesteś jego najwierniejszym stronnikiem. Ale... należę do wyznawców epikureizmu, jak wiesz, a my wierzymy, że należy zachować miarę we wszystkim. Nic ponad nią. Czy prymat Cezara w państwie nie przekracza miary? Jego sława przyćmiewa wszystkich. Blask jego słońca pozostawia innych w cieniu – Jak długo – twoim zdaniem – rzymscy arystokraci wychowani, jak my wszyscy, w tradycji, która kładzie tak wielki nacisk na cnotę i osobiste osiągnięcia, będą się godzić na pozostawanie w cieniu, podczas gdy cały blask skupi na sobie Cezar?

– To niebezpieczne myśli.

– Ale tylko myśli, słowa na wietrze, filozoficzne spekulacje, nic więcej.

Nalał wina.

– Cynceron – powiedziałem – mówił o niebezpieczeństwach czegoś, co nazwał indywidualizmem. Czy myślisz o tym samym?

– Cynceron, zgódźmy się, jest starym gadułą. Zawsze staraliśmy się wyróżnić, a czymże jest ta ambicja, jeśli nie indywidualizmem, który teraz odkrywa? Ale dawniej rywalizacja polegała na tym, że każdy z ludzi szlachetnego urodzenia miał nadzieję zatriumfować. Istniała zgoda co do tego, że triumf nie powinien być trwały. Że inni także muszą pojawić się z kolei na widoku publicznym, podczas gdy mężowie o wybitnych zasługach pozostawiać będą w cieniu, gotowi wznowić swoje trudy, gdyby państwo wymagało ich służby. A teraz? Sprawy wyglądają inaczej. Czyż nie? Przewaga Cezara jest tak wielka, że sami sobie zadajemy pytanie, czy służymy Rzymowi, czy Cezarowi.

– Młody Oktawiusz – ku mojej irytacji poczułem, że się rumienię, wymawiając jego imię – przypomniał mi, że nasi przodkowie mieli sposoby, by zaprzęgnąć swe ambicje w służbę dla dobra publicznego, które my, w naszym pokoleniu, zatraciliśmy.

– Ten młody człowiek postąpiłby mądrze, gdyby nie dał swojemu wujowi okazji słuchania, jak mówi w tym duchu. Ale ma rację. Pytanie brzmi: co należy zrobić? Czy myślisz, Decymusie Brutusie, że da się przekonać Cezara, by wycofał się z życia publicznego? Istnieje w końcu przykład Sulli.

– Lepiej nie wspominać przy Cezarze o Sulli, a już na pewno nie jako o wzorcu, który miałby naśladować.

– Rozumiem. Nie mówię jak Cynceron na próżno, Decymusie. Cezar zmierza ku kłopotom. Im bardziej oddala się od równych sobie, od arystokratów, do których należy z urodzenia, tym

bardziej staje się samotny w swej sławie i tym bardziej podsycą niezadowolenie. Ostatnią przysługą, jaką Cezar mógłby oddać Rzymowi, byłaby rezygnacja z działalności publicznej i spożytkowanie swoich talentów na przykład na niwie pisarskiej. W końcu nieraz powtarzał, że właśnie pisanie sprawia mu w życiu największą radość. Nie wierzę mu oczywiście. Wszyscy wiedzą, że woli kobiety i wojnę. Ale to nie powód, aby nie wziąć go za słowo. Nigdy nie martwiła mnie przewaga Pompejusza, ponieważ wiedziałem, że więcej w niej udawania niż prawdziwego zagrożenia. Z Cezarem jest jednak inaczej. Jego przewaga nie jest malowana, lecz prawdziwa. Dlatego jest niebezpieczna. I dla niego, i dla Rzymu.

– Co masz na myśli, Kasjuszu?

– Wróci zwycięski z Afryki. Następnie uda się do Hiszpanii i zniszczy resztki zbrojnej opozycji. Co zrobi potem? Są tacy, którzy mówią, że zechce obwołać się królem.

Zapadał zmierzch. Znajdowaliśmy się w willi Kasjusza na Wzgórzach Albańskich. Gwałtowny zimowy wiatr, pod którym uginały się czubki sosen, gnał po niebie czerwonoatramentowe chmury. W oddali widać było, jak wiatr burzy wody jeziora. Kasjusz wrzucił następny kłoc brzoźowego drewna do ognia. Skwierczało i trzaskało. Iskry tańczyły i gasły.

– Nowy rok – rzekł Kasjusz. – Co nam przyniesie?

– Cezar nigdy nie przyjmie korony – powiedziałem.

– Nie? Myślisz, że nie? Chciałbym być tego równie pewny. Cyceron mówi, że Cezar zrzuci maskę łagodności, gdy w końcu pozbędzie się wszystkich swoich wrogów dysponujących siłą zbrojną. Nie wierzysz w to?

– Nie – odrzekłem. – Nie wierzę. Łagodność Cezara nie jest pozą ani chwytem politycznym. Mów, co chcesz, przeciwko Cezarowi, ganiać jego dumę. Przyznasz jednak, że jego skłonność do wielkoduszności jest wrodzona. Jest łagodny z natury.

– Jest łagodny – odparł Kasjusz – ponieważ tak silnie odczuwa własną wyższość. To sposób okazywania wyższości. Wywieranie zemsty na wrogach oznaczałoby w jego oczach znizenie się do ich poziomu. Tak to rozumiem.

– Może tak być. Ale wiem też, że ową skłonność wzmocniły jego młodzieńcze doświadczenia związane z proskrypcjami Sulli. Często słyszałem, jak mówił, że historia dowodzi, iż dopuszczając się okrucieństw, nie zyskuje się nic, poza nienawiścią. „Nikt z wyjątkiem Sulli – mówił – nie osiągnął nigdy trwałego zwycięstwa takimi metodami, a Sulla



nie jest człowiekiem, którego chciałbym naśladować”. (Gdybym przeczytał ten fragment Artiksesowi, z pewnością od powiedziała, że w Galii Cezar dopuszczał się straszliwych okrucieństw).

– W porządku – odparł Kasjusz – zgadzam się. Ale wiesz, że Cynceron twierdzi również, iż hańbą jest żyć pod rządami Cezara. Słyszano nawet, jak mruczał, że chciałby, aby Cezar go prześladował, bo pozwoliłoby mu to zachować poczucie własnej godności.

– Moim zdaniem Cynceron wyrzekłby się w ostateczności łatwiej poczucia własnej godności niż wygody i bezpieczeństwa.

– I nie mylisz się, Decymusie. Właściwie już to zrobił, co tłumaczy jego narzekania. No cóż, nie rozstrzygniemy tych spraw dzisiejszego popołudnia, ale pamiętaj: Nie sądzę, aby wszystko mogło nadal wyglądać jak teraz. Obawiam się, że stajemy w obliczu wyboru między tyranią a anarchią, i nie wiem, czego należy lękać się bardziej. Słyszałem, jak Cezar cytował Eurypidesa: „Czy zbrodnia może iść w parze ze szlachetnością? Najszlachetniejsza zatem jest zbrodnia tyranii”. To pokusa, której, obawiam się, nie będzie potrafił się oprzeć. I w jakiej sytuacji znajdziemy się wówczas? Tymczasem chodźmy na wieczerzę. Ufam, że jesteś zadowolony z prowadzenia się mojej córki. Ona potrzebuje męzowskiej dyscypliny, gdyż brakło jej ojcowskiej ze względu na moją częstą nieobecność. I, Decymusie, trzymaj się mocno młodego Oktawiusza. Przyjaźń, którą zawarłeś, może się bardzo przydać.

Gdyby tylko wiedział, pomyślałem. A może wiedział i wcale się tym nie przejmował.

W następnym miesiącu nadeszła wieść, że Cezar rozgromił swoich przeciwników w Afryce. Nawet osoby wrogie Cezarowi okazywały radość, gdyż Katon i inni dowódcy sprzymierzyli się z Jubą, królem Numidii, a nawet posunęli się do tego, że złożyli propozycję poddania prowincji barbarzyńskiemu królowi. Katon, albo obawiając się zemsty Cezara, albo gardząc jego łagodnością, którą odczułby jako zniewagę, odebrał sobie życie. Nie mogłem tego potraktować inaczej niż jako właściwe zakończenie głupiego żywota. Jak na ironię wielu przyjęło to raczej jako świadectwo niezwykłej cnoty Katona. Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie odnosiłem się z uznaniem do samobójstw, aczkolwiek wiem, że to nie modna opinia. Cieszyło mnie jednak, że Oktawiusz podzielał mój pogląd.

– Nie rozumiem, dlaczego ludzie wychwalają samobójstwa. Odwagi wymaga przecież życie, a nie poddanie się. Nigdy się nie poddam.

Wierzyłem mu. Nadal mu wierzę, nawet teraz, gdy pokusa samobójstwa jest przemożna. Tak łatwo, myślę, gardzić i opierać się pokusie, potępić czyn z pozycji bezpieczeństwa i wygody. Ale teraz... wybrać raczej własną drogę niż wystawić się na poniżenie przeznaczonej dla mnie śmierci? A jednak... Widzę, jak Oktawiusz dotyka językiem górnej wargi w tak charakterystycznym dla niego nerwowym geście i słyszę jego zimny, jasny głos: „... a nie poddanie się. Nigdy się nie poddam”. Przypominam sobie, że dyskutowaliśmy o tym później. Wskazywał, że nadszedł czas, abyśmy porzucili – jak to określił – „teatralne umiłowanie starej Republiki”.

– Człowiek jest tylko człowiekiem – rzekł. – Nie powinien traktować samego siebie jako postaci tragicznej. Zachowaj takie gesty na scenę. Życie nie jest grą ani dramatem.

Czy naprawdę ów młody, powabny i niedoświadczony przez życie młodzieniec mógł to powiedzieć, rozmyślać nad podobnymi sprawami? Czy jego słowa odczuwam teraz jako pociechę, czy hańbę?

## ROZDZIAŁ 7

Po powrocie z Afryki Cezar odprawił w ciągu jednego miesiąca cztery triumfy [Triumf – największe wyróżnienie, jakie mógł otrzymać w Rzymie zwycięski wódz. Najważniejszym punktem trwających przez kilka dni uroczystości był rozpoczynany u bram miasta – od specjalnie na tę okazję wzniesionego tuku tryumfalnego – pochód, który zmierzał do świątyni Jowisza na Kapitolu, gdzie wódz składał ofiarę z białego wołu. – przyp. tłum.] dla upamiętnienia swoich zwycięstw w Galii, Egipcie, Foncie i Afryce. Świadectwo jego nie dającej się z niczym po równać sławy. Oczywiście trzy pierwsze powinny się odbyć o wiele wcześniej, gdyby na przeszkodzie nie stanęła wojna domowa. Ale był zadowolony, łącząc je razem w ten sposób. Trwające przez cały miesiąc święto cieszyło ludzi, upewniając ich w przekonaniu, że żaden człowiek na świecie nie może dorównać Cezarowi. Ostatecznie triumfy są rzadkie. Pojedynczy triumf uznawano za zwieńczenie największej kariery. Ich połączenie podkreślało – jak nic innego, nawet dożywotnia dyktatura, którą mu wkrótce przyznano – nadzwyczajną pozycję Cezara w państwie.

Jako jeden z jego głównych i najbardziej zaufanych dowódców zostałem też należycie wyróżniony. Cezar był zbyt mądry i ostrożny, aby odmawiać swym wodzom udziału we własnej sławie. Jechałem tuż za nim w pierwszym triumfie, uświetniającym podbój Galii. Co więcej, odegrałem ważną rolę, ratując Cezara przed skutkami nieszczęśliwego wypadku. Gdyby nie było mnie w pobliżu, doszłoby niechybnie do małej katastrofy, która mogła dać początek zabobonnym pogłoskom o złowróżbnych znakach.

Wyglądało to tak. Gdy Cezar przejeżdżał przez Velabrum, spokojny pośród wznoszącego na jego cześć okrzyki tłumu, złamała się oś koła tryumfalnego rydwanu. Wóz przechylił się na lewo, Cezar stracił równowagę i runąłby na ziemię, gdybym nie popędził konia naprzód i nie schwycił go za ramię, ratując przed upadkiem. Ściągnięto rumakom cugle, a cieśle albo kołodzieje (nie wyznają się na subtelnościach związanych z tymi rzemiosłami) pośpieszyli naprzód, aby naprawić szkodę. Pochód na jakieś pół godziny stanął ku konsternacji znajdujących się z tyłu. Naturalnie Cezar podziękował mi za pomoc, ale w jego głosie wyczułem urazę. Jakby moja interwencja w jakiś sposób umniejszyła jego sławę w tym dniu chwały. Chociaż chwila spokojnego namysłu powinna mu uświadomić, że gdyby upadł na ziemię, jego sława ucierpiałaby o wiele bardziej.

Niemniej jednak tego wieczoru Kaska zauważył:

– Biedna Myszo, czy nie rozumiesz, że Cezarowi łatwiej przychodzi wybaczać wrogom niż dziękować przyjaciółom? Nie bierz tego jednak zbyt poważnie. Słyszałem, że masz właśnie czarujący mały romans. Oczywiście niebezpieczny, ale to dodaje jedynie uroku.

Po tym nieszczęsnym incydencie, który dał Cezarowi okazję po słuchaniu sprośnych piosenek, jakie legionie śpiewali na jego cześć, wspiął się na Kapitel między dwoma szeregami słoń – było ich w sumie czterdzieści – z zatkniętymi pochodniami. Widok słoń wywołuje niezmiennie zachwyt gawiedzi. I rzeczywiście było coś przyjemnie groteskowego w widoku tych ogromnych zwierząt stojących po bokach wejścia z płonącymi żagwiami wyrastającymi ponad ich potężnymi grzbietami. Na ogół słonie mnie nudzą, po części zapewne dlatego, że wiem, jak żałośnie bezużyteczne są na wojnie, gdyż bardziej jest prawdopodobne, iż wprowadzą zamieszanie po własnej stronie niż przeciwnika. Ale mam na ten temat również swoją własną teorię. Uważam, że podziw pospólstwa związany jest ze strachem, jaki kartagińskie słonie wywoływały podobno w naszych legionach, gdy po raz pierwszy się na nie natknęły. Ludziom sprawia satysfakcję konfrontacja z siłą, która tak trwożyła ich przodków, ujarzmioną i udomowioną. Myślę, że coś w tym jest. Można by rzec, że to symbol mistrzostwa Rzymu w rządzeniu światem.

Jak już wspomniałem, triumf galijski przyniósł koniec Wercyngetoryksa. Było mi przykro z tego powodu i doprawdy namawiałem usilnie Cezara, aby rozważył zerwanie z tradycją w celu ocalenia swego pokonanego, ale nigdy nie zhańbionego przeciwnika.

– Zostanie to na pewno docenione w Galii – powiedziałem – i przekona wielu do naszych rządów. Co więcej, Wercyngetoryks jest mężem takiej odwagi i charakteru, że, w co gorąco wierzę, mógłby okazać się pożyteczny z naszego punktu widzenia. Wiem, że rozważasz rozszerzenie składu Senatu poprzez włączenie mieszkańców prowincji, nawet Galów, do jego grona. Czy nie sądzisz, że oto mamy okazję, aby uczynić Wercyngetoryksa jednym z nich? Ostatecznie od kilku lat jest przetrzymywany tutaj w mieście i chociaż nie rozmawiałem z nim osobiście, mówili mi ci, którzy się z nim stykali, że wyzbył się barbarzyńskich nawyków myślenia oraz zachowania i zaczął doceniać wielkość Rzymu. Okazywałaś zasługującą na najwyższe pochwały wspaniałomyślność Rzymianom, którzy w złej wierze i bez należytej przyczyny występowali przeciwko tobie. Czy nie byłoby dobrym pomysłem okazanie takiej samej wielkoduszności temu, który zasługuje na miano najgroźniejszego przeciwnika, jakiego

pokonałeś? W końcu nasza koncepcja imperium, jak sam wskazywałeś, zaczyna się właśnie zmieniać. Wcześniej czy później wyda się nam konieczne – i rzeczywiście pożądane – uznanie pokonanych ludów raczej za partnerów aniżeli podbitych nieprzyjaciół.

Mogłem dodać, że zapożyczyłem tę myśl od młodego Oktawiusza, ale nie widziałem powodu, aby mu ją przypisywać w tamtym momencie. Gdyby Cezar wyraził zgodę, wtedy wspomniałbym, że moja sugestia była owocem rozmów, jakie prowadziłem z jego siostrzeńcem. Gdyby jednak odrzucił moją propozycję, byłoby nieładnie składać odpowiedzialność na barki Oktawiusza. Poza tym nie chciałem, aby Cezar myślał, że mogłem ulegać wpływowi kogoś, kogo ciągle uważał za chłopca. Mógłby zacząć badać dokładniej stosunki między nami, a nie miałem wątpliwości, że tak właśnie by postąpił.

– Nigdy nie uważałem cię za politycznego teoretyka, Myszo – powiedział. – Być może jest coś w tym, co mówisz, i to niewątpliwie prawda, że zamierzam zreformować Senat, chociaż nie przypominam sobie, abym o tym z tobą dyskutował. Ale twoja kolejna propozycja jest niedorzeczna. Wercyngetoryks prowadził występny i niegodziwą wojnę przeciwko nam. Tysiące moich żołnierzy straciło przyjaciół i towarzyszy wskutek jego uporu i zdrady. Nie zawiodę ich, pozbawiając widoku śmierci, której mają prawo oczekiwać. Ani nie wystawię na ryzyko życia innych Rzymian, czyniąc coś, co może zachęcić barbarzyńskich wodzów do myślenia, że mogą stawiać nam opór i nie cierpieć z tego powodu. Oszczędzenie Wercyngetoryksa stanowiłoby straszny precedens, który mógłby zapoczątkować falę rozlewu krwi w całym imperium. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, głupcze? – Tak, właśnie tak się do mnie zwrócił, i w tym momencie zrozumiałem zimny gniew, jaki wywołałem. – Czyż nie wiesz, co spaja imperium? Powiem ci krótko, tym spoiwem jest strach. Być może nadejdzie czas, gdy nastroje się zmienią, gdy podbite ludy popatrzą na Rzym jak na ojca. Ale jeszcze nie teraz. Na razie możemy liczyć co najwyżej na to, że będą nas szanować i bać się jak swego pana. A nawet jeśli ta chwila, o której mówię, nadejdzie, czy nie jest prawdą, że odrobina obawy tkwi nawet w miłości, jaką syn czuje do swojego ojca Myszo, Myszo, dwa uczucia rządzą światem i kierują zwykłym człowiekiem: obawa i chciwość.

– A co z miłością cnoty i sławy? Nie możesz ich lekceważyć.

– Mówiłem o zwykłych ludziach, nie o jednostce wyjątkowej. Tak, ja sam... – Przerwał, bębniąc palcami po stole i przez dłuższą chwilę spoglądając gdzieś daleko, jakby widział ustawiające się przed nim wielkie armie i zapadający nad polami bitewnymi zmierzch, którego

ciszę zakłócały jedynie krzyki rannych i głosy drapieżnych ptaków, żywiących się trupami. – Tak, Cezar może się kierować wartościami, o których mówisz, pragnieniem sławy i chwały, tej najwyższej cnoty, niedostępnej zwykłym prostakom, którzy skamląc i taplając się w błocie, nie mogą nic wiedzieć o takich sprawach. Nie, obawa i chciwość są uczuciami, które czynią ludzi tym, czym są... Są takie chwile, o zmierzchu, gdy wydaje mi się, że nawet to szukanie sławy Cezara jest tylko innym, bardziej subtelnym przejawem chciwości. Może być też formą obawy. Czymże byłby Cezar bez takiej sławy – czymś, o czym nawet on nie ma odwagi rozmyślać. Nie, Myszo, Wercyngetoryks musi umrzeć śmiercią przeznaczoną dla niego. Poza tym – jego głos złagodniał i obdarzył mnie tym uśmiechem, którym najłatwiej oczarowywał ludzi – tłum obróciłby się przeciwko mnie, gdybym go oszczędził. Tłum lubi śmierć i egzekucje. Czy nie zauważyłeś tego?

Wstał, wziął mnie za ramię i poprowadził do okna, skąd mogliśmy patrzeć na ruchliwe Forum, na którym trwały przygotowania do jutrzejszego triumfu. Uszczypnął mnie w ucho.

– Myszo, bywały chwile, gdy miałem nadzieję, że przynajmniej ty mnie rozumiesz. Ale zdaje się, że się myliłem. Pozwól więc mi powiedzieć szczerze. Porównujesz moją decyzję o zabiciu Wercyngetoryksa z wielkodusznością, jaką okazałem senatorom oraz innym, którzy przeciwstawili mi się w owych okropnych wojnach domowych, i wyznajesz, że jesteś zdezorientowany. Ale zastanów się nad tą łagodnością. Czy osłabia ona obawę, jaką wzbudzam w takich ludziach? Wcale nie. Wręcz na odwrót. Arystokrata rzymski, który zawdzięcza życie mojej łaskawości, na zawsze czuje się niższy ode mnie. Zna moją wielkość, gdyż nigdy już nie zapomni, że przez jedną straszną godzinę jego los zależał całkowicie ode mnie. Stał w obliczu śmierci, a za sprawą mej łaskawości zyskuje życie, ale i świadomość własnej niższości. Barbarzyńca jednak nie rozumuje w ten sposób. Nie jest do tego zdolny, gdyż jego rozumienie godności różni się całkowicie od naszego. Myślałby jedynie, że z jakiegoś powodu złagodniałem i że w związku z tym można się bezkarnie przeciwstawiać Rzymowi. Senator rzymski, którego oszczędzam, odczuwa w łagodności Cezara siłę Cezara. Odmawiając ukarania go, Cezar udziela mu nagany Poza tym, Myszo, zauważ, że skaza nie obywatela rzymskiego na śmierć bez procesu jest przeciwne prawu. Cynceronowi nigdy nie wybaczone podobnej decyzji w przypadku zwolenników Katyliny Ale z barbarzyńcami jest inaczej i dlatego Wercyngetoryks musi umrzeć. Jak mówią, zniósł to z wielką odwagą. Jeszcze jednym świadectwem przewagi Cezara miało być umieszczenie podczas triumfu pontyjskiego na ozdobnym rydwanie zamiast zwyczajowego

wizerunku, przedstawiającego sceny z wojny, napisu: „Przybyłem, zobaczyłem, zwyciężyłem”.

Prostota tego zdania wzbudziła w sercach wszystkich grozę i przerażenie.

Z końcem owego miesiąca triumfów poczułem się naprawdę zmęczony, gdyż powierzono mi wiele uciążliwych zadań i odpowiedzialnych obowiązków. Obejmowały one organizację igrzysk trojańskich, owej pozorowanej walki, która należy do naszych najstarszych i najbardziej uświęconych tradycją rytuałów. Jej twórcą, jak wierzymy, był Eneasz, praojciec Rzymian, i jedynie młodzieńcy szlachetnego pochodzenia mogli brać w niej udział. Rywalizacja o zakwalifikowanie do uczestnictwa była oczywiście duża i samo to nakładało wielki ciężar na organizatora igrzysk. Albowiem nie miały końca wysiłki podejmowane przez rodziców kandydatów o wątpliwych kwalifikacjach, aby przekonać mnie, że ich synowie powinni zostać dopuszczeni do igrzysk. W ciągu tygodnia, jaki upłynął na wyłanianiu kandydatów, musiałem przyjąć cały zastęp matron. Nawet gdy ustalono już skład poszczególnych oddziałów, kierowanie inscenizowaną wojną nie było zadaniem łatwym. Zadziwiająco, jak nawet dobrze wychowani młodzieńcy bezwstydnie oszukują, aby uzyskać przewagę.

Z dumą mogę powiedzieć, że mój zarząd igrzyskami trojański mi uznano za wzorowy.

W tygodniach, jakie nastąpiły po triumfach, otrzymałem jeszcze jedno zadanie, zaskakującej raczej natury. W tym czasie Cezar był niezwykle zajęty wprowadzaniem reform administracyjnych (niektóre zresztą były źle pomyślane) i reformy kalendarza, do której niezbędności przekonali go aleksandryjscy Grecy. Zatrudniło to jego umysł i było jednym z niewielu wypadków, gdy zaryzykował niepopularność u tłumu, który nienawidzi zmian tego rodzaju.

Podczas gdy Cezar był pochłonięty tymi sprawami, Cynceron opublikował apologetyczną biografię Katona. Nie sądzę, aby chodziło o zamierzoną prowokację, chociaż nikt nie może być do końca pewien motywów człowieka tak skomplikowanego jak Cynceron. Z drugiej strony, jego stosunki z Cezarem były przyjazne. Spotykali się na ucztach i Cyncerona cieszyła wyraźna przyjemność, jaką Cezar czerpał z rozmów z nim (a jeśli pominiesz jego nieustający egotyzm, Cynceron potrafił czasem być niemal zniewalający). Odznaczały się one dowcipem, dozą sympatycznej złośliwości i rozległą erudycją. Naprawdę jedynie zupełnie nieokrzesany osobnik oparłby się urokowi jego historycznych i filozoficznych spekulacji. Oczywiście znalazło się wielu tępaków, którzy zgadzali się z Markiem Antoniuszem, że stary człowiek był banalnym

nudziarzem. Ani jednak Cezar, ani ja sam nie podzielaliśmy tej opinii.

Co więcej, Cezar posunął się w swym podziwie jeszcze dalej. Gdy Kwintus Liganusz został oskarżony za wystąpienie zbrojne przeciwko Cezarowi (oskarżenie to stanowiło wyraźne odstępstwo od zasady łagodności, jaką kierował się Cezar), poprosił Cyncerona, aby go bronił. „Poprosił” jest zbyt słabym określeniem; błagał go o to słowami, które nie mogłyby nie pochlebić człowiekowi choćby w połowie tak próżnemu jak Cynceron. Mimo to Cynceron wzdragał się w obawie przed, jak przypuszczałem, reakcją Cezara na jego wystąpienie. Cezar jednak zauważył: „Dlaczego mielibyśmy odmawiać sobie przyjemności, której nie doświadczaliśmy przez tak długi czas, posłuchania Cyncerona występującego w charakterze obrońcy? Zwłaszcza że wyrobiłem już sobie zdanie o Ligariuszu, który jest bez cienia wątpliwości zarówno złym człowiekiem, jak i moim wrogiem”. Gdy doniesiono o tym Cynceronowi, uznał, że przyjęcie sprawy w niczym mu nie zagraża. Przemawiał z całą swoją dawną elokwencją. Młodzi ludzie, którzy nie mieli wcześniej okazji widzieć go w akcji, byli zdumieni. Niektórzy byli nawet poruszeni do łez, w tak wielki wpadł patos. Wdzięk jego słów, płodność argumentacji, bogactwo przywoływanych przykładów sprawiały, że trudno mu się było oprzeć. Ludzie wychowani w obozach, którzy spędzili dziesięć długich lat na ponurych wojnach, po raz pierwszy być może poczuli moc wymowy. Niewątpliwie w wielkich dniach Republiki, mówili, takie doświadczenia były powszednie, ale w nowym świecie dyktatury stały się czymś niezwykłym.

Wszystkie oczy skierowały się na Cezara, gdy zasiadał w sądzie. Widać było, że zbladł. Nie potrafił zachować spokoju. Najwyraźniej jego umysłem targały sprzeczne uczucia. W końcu, gdy Cynceron przywołał straszne wspomnienia bitwy pod Farsalos, opisując ją słowami godnymi Homera, przedstawiając Cezara jako Achilleśa, a Pompejusza jako Hektora (niebezpieczne porównanie, zważywszy na to, że my, Rzymianie, jesteśmy dziedzicami Troi), Cezar zdawał się drzeć – zastanawiałem się, czy nie jest bliski jednego z ataków epilepsji, których tak się wstydził – upuścił na podłogę dokumenty znajdujące się w kasetce, podniósł prawą rękę i krzyknął:

– Dość. Cezar pokonał Pompejusza, ale Cynceron swą wymową pokonał Cezara. Nakazuję oddalić oskarżenie.

Następnie dał mi znak, abym pomógł mu wyjść z sądu. Gdy oparł się na moim ramieniu, poczułem, że cały drży.

Być może właśnie ów sukces sprawił, że Cynceron nabrał na tyle odwagi, aby upowszechnić swojego „Katona”. Samo to było wielkim wyczynem. Oczywiście miał powody do wdzięczności



wobec zmarłego męża, gdyż właśnie Katon wiele lat wcześniej, jako trybun, wystąpił z wnioskiem o przyznanie Cynceronowi zaszczytnego tytułu Ojca Ojczyzny. Chociaż szacunek Cyncerona wobec upartego przywiązania Katona do dawnej Republiki był na pewno szczery, to niewątpliwie był zbył mądrym i oświeconym człowiekiem, aby czerpać przyjemność z gburowatości, ksenofobii i pogardy Katona dla myślicieli. Pochwała była zatem wyrazem woli; była również – bo nie mogła nią nie być – najbardziej spójną i przekonującą krytyką dyktatury Cezara. Nie obyło się oczywiście bez aluzji. Cynceron, zbył ostrożny i bojaźliwy, aby wystąpić z otwartą krytyką Cezara, był mistrzem wszelkich retorycznych chwytów i nie można było czytać „Katona”, nie czując siły jego ukrytej tezy: że rządy jednej osoby są niezgodne zarówno z tradycją, jak i z interesem Republiki. Republika, dawał do zrozumienia, służyła dobrze Rzymowi i gwarantowała nasze wolności. Instytucje republikańskie okazały się wystarczająco elastyczne, aby przetrwać stulecia i umożliwić Rzymowi przetrzymanie niezliczonych kryzysów. Czy było słuszne odrzucać nasze dziedzictwo po to, aby zaspokoić ambicję jednostki, jakkolwiek szlachetnej i zacnej, albo by rozwiązać przejściowe trudności?

– Wiedza o budowaniu Rzeczypospolitej – głosił Cynceron – czy o jej odnawianiu lub reformowaniu jest jak każda inna nauka eksperymentalna, nie da się jej uczyć a priori. Nie wystarczy też krótkie doświadczenie – doświadczenie, nazwijmy to, jednego pokolenia – mogące nam służyć w tej praktycznej nauce, ponieważ następstwa moralnych zmian rzadko są natychmiastowe. To zaś, co wygląda teraz na pożądane, a nawet na szczególnie pożądane, może się okazać szkodliwe w swym dalszym działaniu.

Wydając sądy przy stole biesiadnym, spoczywał na łożu, ze swą drżącą orlą głową, chudą wyciągniętą szyją (jakby prosiła się o miecz), mówił z jasnością wynikającą z żarliwego oddania temu, co uważał za prawdę. (Takie wrażenie robiło to na mnie wówczas. Z perspektywy czasu zastanawiam się, czy nie była to jeszcze jedna adwokacka sztuczka. Jak zmierzyć szczerłość mistrza słowa?) – Natura ludzka jest zawikłana. Trudno sobie wyobrazić problemy odznaczające się większą złożonością od tych, które dotyczą społeczeństwa. Wynika stąd, że żaden prosty rozdział władzy wewnątrz państwa nie mógłby być odpowiedni dla natury ludzkiej albo dla jakości jego spraw. Rządy jednostki są rzeczywiście rozwiązaniem prostym, lepiej pasującym do plemion barbarzyńskich niż do społeczności obywateli rzymskich. Kiedy słyszę, jak ludzie po kroju Antoniusza chwalą prostotę takiego ustroju, ogarnia mnie zdumienie z powodu podobnego opisu, świadczącego o nieznajomości złożoności nauki politycznej. Proste formy ustrojowe

grzeszą na ogół ułomnością. Gdy odsuniemy dawne opinie i zasady odziedziczone po naszych sławnych przodkach, poniesiemy niepowetowaną stratę. Ludzie mówią – rzeź – o konieczności chwili. Jest to łatwy wniosek, z pozoru trafny. Ludzie podobni do Antoniusza – a gdy mówił Antoniusz, zastanawiałem się już wtedy, czy nie używa jego imienia jako kodu na oznaczenie Cezara, Ludzie pokroju Antoniusza, niezdolni do refleksji, pozbawieni naturalnego odruchu szacunku, odruchu, który powinien bronić nas przed nierozważną spekulacją, rozprawiają o potrzebie zmian. No cóż, to prawda, przyznaję, że państwo, którego nie stać na reformy, pozbawione jest środków dających mu możliwość przetrwania. Ale, moi przyjaciele, ale – i to jest wielkie i potężne ale – powinniśmy pamiętać, że duch zmian jest generalnie wynikiem egoistycznego usposobienia i ograniczonych poglądów. Nie będą oczekiwać mądrości po potomności ci, którzy nigdy nie oglądali się wstecz z podziwem i miłością, patrząc na swoich przodków. Rozmawiałem z wami poprzednio o niebezpieczeństwach tego, co określiłem mianem indywidualizmu. Dlaczego? Ponieważ, moi przyjaciele, obawiam się – wszyscy powinniśmy się obawiać – sytuacji, w której każdy kieruje się wyłącznie własnym rozsądkiem. A to dlatego, że ma on bardzo wąską i kruchą podstawę. Uczynimy lepiej, korzystając z przebogatej skarbnicy mądrości i doświadczenia, odziedziczonych po pokoleniach, które uczyniły Rzym wielkim.

Słyszę – ciągnął dalej – że świat wywrócił się do góry nogami. Może to prawda. Pod niejednym względem aż nadto wyraźnie widać, że tak rzeczywiście jest. Ale poszukajcie przyczyny, moi przyjaciele. Nie zadowalajcie się łatwymi odpowiedziami. Czy nie jest oczywiste, że ludzie pokroju Antoniusza – i gdy zagryzł wargę, a jego głos zadrżał, nie mogłem mieć wątpliwości, że gdyby miał odwagę, zastąpiłby imię Antoniusza imieniem Cezara – że tacy ludzie nie żywią szacunku dla mądrości innych, szacunku dla tradycji, szacunku dla naszego dziedzictwa? W zamian wierzą bezgranicznie w swoją własną mądrość. Czułbym się o wiele lepiej, gdybym mógł się z nimi zgodzić. O wiele lepiej i zarazem o wiele bardziej głupio... A więc świat stanął na głowie? No dobrze. Nasza epoka jest nieszczęśliwa, rozdarta wojną domową, dyskusjami, samolubnymi ambicjami. Ale na tym nie koniec nieszczęść. Prawdziwe nieszczęście naszych czasów, schyłkowej epoki, wynika z tego, że wszystko, co odziedziczyliśmy, stało się przedmiotem dyskusji, że ustrój Rzymu przez wieki tworzony z troską, mądrością i patriotycznym zapałem staje się raczej przedmiotem zwad niż radości. Jeśli nie przestaniemy podążać tą drogą, utracimy fundamentalne prawa, konkretne zasady, szanowany obyczaj, które mogą powstrzymać władzę absolutną. Zamiast dostosować się do ustalonego

ustroju państwowego znajdziemy się pod jarzmem kilku potężnych ludzi – dynastów, używając terminu greckiego – którzy stworzą dla siebie nowy ustrój, przystosowany jedynie do ich własnych planów i samolubnych ambicji.

Nie odważył się mówić tak otwarcie w „Katonie” jak przed gośćmi przy swym stole biesiadnym, ale takie właśnie były argumenty – jak mówią Grecy „podtekst” – leżące u podstaw tej biografii. Katon stał się raczej symbolem aniżeli człowiekiem. No cóż, było to całkiem słuszne. Stał się lepszym i bardziej skutecznym symbolem, aniżeli był człowiekiem przez całe swoje niezdarne i głupie życie.

„Katon” zaniepokoił Cezara. Myślę, że rozgniewał się w jakiejś mierze także dlatego, że jego podziw dla Cyncerona był szczery (na tyle, na ile takie uczucie u Cezara można by nazwać szczerym), po części zaś dlatego, że miał nadzieję, iż Cynceron odwzajemnia to uczucie. W pewnym sensie Cynceron rzeczywiście je odwzajemniał; podziwiał Cezara, mimo że potępiał jego sprawę. Poza tym lubił Cezara. Zdarzało mu się mówić, że Cezar jest jedynym człowiekiem, z którym może rozmawiać niemal jak równy z równym.

Ale niepokój Cezara sięgał głębiej. Cynceron rzucił wyzwanie temu, co sam Cezar myślał o sobie. Przez moment zasiał w umyśle Cezara podejrzenie, że jego uświęcona przez gwiazdy sprawa może wieść na manowce. Naturalnie odepchnął od siebie tę myśl.

– Kłopot z Cynceronom – powiedział – polega na tym, że czepia się oczywistości, które zmiotły już wiatry historii.

Sądzę, że we własnym odczuciu sam uosabiał te wiatry.

– Na „Katona” trzeba odpowiedzieć – rzekł. – Nie możemy pozwolić, aby myślano, że Cynceron przedstawił argumentację, której nie potrafimy odeprzeć. Niestety zbyt pochłaniają mnie sprawy publiczne, abym sam mógł to zrobić. Myszo, ty dobrze piszesz. Twoje sprawozdania zawsze uważałem za wzorowe pod względem jasności i zdrowego rozsądku. Czy wiedziałeś, swoją drogą, że sprawozdanie o nastrojach politycznych w Rzymie, które mi przesłałeś, kazałem powielić i rozdać wśród starszych oficerów jako przykład, jak powinny wyglądać tego typu materiały? Podziwiam ponadto siłę twego sarkazmu, umiejętność odwoływania się do aluzji. Tak, Myszo, napiszesz „Anty-Katona”. Ukazesz go jako upartego i złośliwego głupca, jakim przecież był. Wystarczy dwadzieścia tysięcy słów. Masz na to tydzień. Poradzisz sobie? Dobrze. Najważniejsze, abyśmy podważyli argumentację Cyncerona, a najlepszym sposobem będzie wykazanie, że jego bohater był bufonem nierozumiejącym sensu zachodzących w świecie

zjawisk. Rozpowszechni się to pod moim nazwiskiem. Uważam, że to konieczne. W ten sposób pismo przyciągnie więcej uwagi. A zatem załatwione.

Tak oto zacząłem układać coś, co – mimo że wypowiadam się tu osobiście – było najskuteczniejszym traktatem politycznym ogłoszonym za mojego życia w Rzymie. Zniszczyłem rozдутą reputację Katona. Dałem wyraźnie do zrozumienia, że jeśli Cynceron uczynił takiego człowieka swoim bohaterem i wzorem, jego własne argumenty są niewiele warte. Pisanie sprawiało mi przyjemność. Tekst wyszedł brutalny, sarkastyczny i dowcipny. Rzym zaśmiewał się przez długie tygodnie. Cynceron pospiesznie wyjechał do swojej willi w Kampanii, gdyż nie mógł znieść wesołości, jaką wywołałem jego kosztem. Mówiono, że jego „Katon” przypominał radość starej kobiety, stroniącej od uciech miłosnych, podczas gdy moja odpowiedź była równie czarująca jak dojrzała dziewczyna. I oczywiście Cynceron nie miał odwagi, aby odpowiedzieć lub skrytykować moje dzieło, sądząc, że Cezar był jego autorem.

Jedynie dwie okoliczności zakłócały mi przyjemność płynącą z tego osiągnięcia. Pierwszą była reakcja Cezara. Naturalnie nie szczędził mi pochwał, albowiem wedle jego zasad zawsze należało chwalić dobrą robotę wykonaną przez tych, których uważał za swoich podwładnych, a w tym przypadku uznał, że moja satyra osiągnęła właściwy efekt. Przecięła to, co mogło, jak się obawiał, okazać się ropiejącym wrzodem. Ponadto nie potrafił ukryć, że bawiła go i cieszyła oczywista porażka Cyncerona. A jednak wkrótce przerwał pochwały.

– Wcale cię nie krytykuję, Myszo, mówiąc, że żałuję, iż nie miałem czasu, aby sam rzecz napisać. Nie kwestionuję tego, czego dokonałeś i co jest naprawdę godne podziwu, gdy zauważam, że nie wyczerpałeś wszystkich argumentów. Masz rzadki talent do sarkazmu, jak dostrzegłem już wcześniej, brak ci jednak sceptycyzmu, cechującego prawdziwą wielkość. W twojej argumentacji nie ma siły i swobody. Nie ma także bogactwa. Ale jakże mogłoby być inaczej? Porządny z siebie człowiek i zdolny pisarz, lubię cię i jestem ci wdzięczny. Nie jesteś wszakże Cezarem. Nie zrzuciłeś z siebie okowów stworzonych w niewoli przekonania.

Zważywszy na to, że „Anty-Katon” – powtarzam, jestem jego jedynym autorem, albowiem Cezar nie dodał ani wiersza, nawet nie przejrzał traktatu, wbrew temu, co niektórzy ludzie twierdzą – tchnie świeżością i życiem, którego całkowicie brakowało jego własnemu, często napuszonemu opisowi wojny galijskiej, pomyślałem, że nie jest to tylko małoduszna krytyka, ale i przejaw czegoś, co gdyby wyszło od kogoś innego niż Cezar, nazwałbym bezczelnością. Oczywiście nie powiedziałem tego i przyjąłem jego spostrzeżenia bez komentarza.

Zaszło zresztą coś jeszcze bardziej niepokojącego. Nie mogłem uwolnić się od myśli o aluzjach Cyncerona. Zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma jednak racji.

## ROZDZIAŁ 8

Na szczęście nie dane mi było długo roztrząsać tych kwestii. Sprawy w Hiszpanii wymagały osobistej obecności Cezara, który tym razem, ku mojej ogromnej radości, chciał mieć mnie u swego boku.

– Będzie to najpoważniejsza kampania od czasów Farsalos – rzekł – i potrzebuję dowódców, którym bezwzględnie ufam. Nie mam zresztą, Myszo, żadnych pilnych zadań w Rzymie, a w dodatku nie nadszedł jeszcze czas na objęcie przez ciebie namiestnictwa Galii Cisalpińskiej. Poza tym chciałbym, aby młody Oktawiusz także mi towarzyszył, nie znam zaś nikogo, kto lepiej niż ty wprowadzi go w wojenne rzemiosło. Oczywiście poza mną, lecz ja będę zbyt zajęty, aby poświęcić młodzieńcowi wiele uwagi. Między nami mówiąc, musimy zadbać o jego kształcenie. Skądinąd boję się, że gdyby ciebie zabrakło, uległby wpływom Antoniusza. Nie mam wprawdzie nic przeciwko Antoniuszowi. Znam jego lojalność i zdolności. Doceniam jego urok i atrakcyjność, jak też chwale go odwagę. Mimo to nie mogę udawać, że uważam go za najlepszy wzorzec dla młodego człowieka, a już na pewno nie dla mojego siostrzeńca i zarazem dziedzica.

I w ten sposób doszło do tego, że podróżowałem wraz z Cezarem i Oktawiuszem. Ze względu na późną porę roku – dopiero w drugiej połowie listopada mogliśmy opuścić miasto – wybraliśmy drogę lądową i ruszyliśmy przez Galię Cisalpińską i wzdłuż północnego wybrzeża Morza Śródziemnego, docierając do Hiszpanii wąskim przejściem między górami a morzem.

Rozmowy, które prowadził Cezar w czasie tej długiej podróży, odznaczały się jak zwykle wdziękiem i żywością. Sprawiało mu przyjemność udzielanie Oktawiuszowi nauk o historii, polityce i sprawach wojskowych. Uwielbiał, zwłaszcza wieczorami, rozprawiać po wieczerzy na najróżniejsze tematy od filozofii po literaturę. Wyznaję, że sam dowiedziałem się od Cezara więcej niż od jakiegokolwiek innego człowieka, i nie ulegało wątpliwości, że Oktawiusz czerpał ogromne korzyści z tego przedłużonego kontaktu ze swym wujem. Był jednak zbyt bystry na to, aby przyjmować bez słowa wszystko, co mówił mu Cezar, i niejednokrotnie irytował wodza swą uporczywą dociekliwością.

Gdyby nie dwie sprawy, uznałbym podróż za czarującą. Po pierwsze, zanim jeszcze wyruszyliśmy, Oktawiusz dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nasze stosunki uległy zmianie.

– Zawsze będę cię lubił, Myszo – powiedział – i wspominał naszą krótką zażyłość z czułością. Ale nie jestem już chłopcem, którego można głaskać i pieścić. Uznaję tę kampanię za początek mojej kariery w życiu publicznym i nie zamierzam ryzykować skandalu i wzgardy, dając powody do myślenia, że jestem katamitą. Z pewnością pojmiesz moje pobudki i odniesiesz się ze zrozumieniem do podjętej przeze mnie decyzji. Wiem, że tak będzie, wierzę bowiem, że twoja miłość do mnie opiera się na szacunku, nie zaś jedynie na pożądaniu. Poza tym jakakolwiek aluzja, że nasz związek nie zmienił się od czasu pobytu mojego wuja w Afryce, zagroziłaby nam obu. Jestem niemal pewien, że Cezar wie o tym, co nas łączyło. Mój przyjaciel Mecenasa dowiedział się, że Cezar nasłał na mnie szpiegów, bez wątplenia w tym celu, aby stwierdzić, czy nadaję się na jego dziedzica. Wiem, że nie lubisz Mecenasa, ale zapewniam cię, że w takich sprawach można całkowicie na nim polegać.

Miał rację. Nie cierpiałem i gardziłem Mecenasem, młodym arystokratą, który podawał się za potomka królów etruskich. Był dandysem, estetą, wypachnionym hermafrodytą. Nie miałem wątpliwości, że sam kochał się w Oktawiuszu. Obawiałem się też, że sprowadzi go na złą drogę. Jediną pociechą było to, że Mecenasa nie miałam towarzyszyć, zamierzał bowiem studiować retorykę i filozofię w Grecji, gdzie – co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości – czekało go wiele mniej godnych szacunku rozrywek.

Nie spierałem się z Oktawiuszem ani nie próbowałem przekonać go do zmiany decyzji, gdyż – jak słusznie przypuszczała – rozumiałem jej zasadność. Nie była przez to łatwiejsza do zniesienia. Przez ostatnie sześć miesięcy stał się jeszcze piękniejszy i bardziej godny pożądania. Ale zawsze wysoko ceniłem cnotę, a za główną po odwadze uważałem ambicję. Bez niej ani mądrość, ani cnota nie są możliwe. Przyznałem mu więc rację.

Mimo wszystko ciągle obecność Oktawiusza, gdy ten odmawiał mi siebie, była gorzka i słodka zarazem. Z jednej strony, nie mogłem nie zachwycać się wdziękiem jego osoby, uśmiechu (którym wciąż hojnie mnie obdarzał) i rozmowy. Nadal ogrzewało mnie uczucie, którego nie przestawał mi okazywać, i widoczna przyjemność, jaką czerpał z mojego towarzystwa. Z drugiej strony, cierpiałem męki pożądania. Przyłapywałem się na powtarzaniu wierszy, które biedny Katullus kierował do Klodii.

Antoniusz jeszcze pogorszył sprawę. Odczuwał silną niechęć do Oktawiusza, „chłopca z białą głową”, jak go nazywał. (W istocie jego włosy były koloru bladego złota). Antoniusz nigdy nie umiał trzymać języka za zębami, szczególnie gdy był podchmielony Pewnej nocy

wpadł w gniew, kiedy w czasie rozmowy przy wieczerzy Oktawiusz odsłonił braki w jego argumentacji, a Cezar śmiał się i kiwał głową z uznaniem.

– Chłopak cię złapał, Antoniuszu – rzekł. – Masz może szersze ramiona, ale jego głowa jest mądrzejsza. Lepiej z nim nie zadzieraj, gdyż obawiam się, że przechytry cię na każdym kroku.

Antoniusz popatrzył wilkiem i zajął się amforą z winem. Kiedy już wszyscy wyszli, oddalił niewolników i zaczął wylewać swe żale.

– Służę wodzowi z oddaniem od prawie dziesięciu lat. Stałem u jego boku na polu bitwy. Nigdy nie uchylałem się od zadań, które mi powierzał. A teraz zachęca tego dzieciucha do żartów ze mnie. Dzieciuch? Powiedziałem dzieciuch? Gorzej niż dzieciuch. – Podniósł się z łoża i osunął na stół. – Wszyscy znamy obyczaj wodza. Ten szczeniak to jego katamita. Niech każdy używa, z kim chce. To nie powód, aby namięt... namięt... – miał trudności z wymówieniem słowa – namiętności kazały mu pomiatać najwierniejszymi przyjaciółmi. – Spojrzał w górę zamglonymi oczami, ale umysł, który mimo powszechnie znanych przywarł nigdy nie był pozbawiony przenikliwości, miał nadal trzeźwy. – Ach, to cię dotknęło do żywego, Myszo? Nie wiedziałeś? Nie oszukasz mnie. Widzę, jak patrzysz na tego dzieciucha. Teraz wódz cię wykołegował. No cóż, zapamiętaj... ten szczeniak ma oko na główną wygraną. Nigdy nie odda siebie Myszy, kiedy może mieć Cezara...

Nie uwierzyłem mu. Ale od tej chwili zżerała mnie zazdrość. Nurtowały mnie podejrzenia, jakie wzbudził, i łapałem się na obserwowaniu, jak Oktawiusz schlebia Cezarowi, dostrzegając w nim kokieta. Nie miałem wątpliwości, że Cezar był zdolny do wszystkiego.

Do tego zamieszania w sprawach osobistych dołączyły się wątpliwości i obawy związane z tym, co znajdziemy w Hiszpanii. Doszła nas wieść, że cały półwysep zbuntował się przeciwko Rzymowi i że wiarołomni wodzowie, Gnejusz Pompejusz i Labienus (zdrajca, jak o nim wówczas myśleliśmy), podburzali miejscowych buntowników, a nawet zmawiali się z nimi. Smutna miara upodlenia spowodowanego wojną domową. To samo zdarzyło się w Afryce, gdy pompejańczycy poddali rzymską prowincję królowi Jubie. A mimo to niełatwo było uwierzyć, że umysł takiego człowieka jak Labienus mógł zostać tak wypaczony przez osobiste urazy i ambicję, aby przeniósł on swoje interesy ponad interesy Rzymu i imperium. Przerazenie i gniew przepełniały mnie, kiedy zastanawiałem się nad tym, jak wielu rzymskich legionistów, jak wielu wybitnych wodzów ze wszystkich sił starało się podporządkować Hiszpanię życzliwym



i owocnym rządom Rzymu, a teraz widziałem to wielkie osiągnięcie podkopywane przez egoizm stronnictw.

Raporty przynosiły zatrważające informacje. Wierne Cezarowi oddziały zostały wymordowane na rozkaz Pompejuszy lub Labienusa. Szczególną goryczą napawało to w przypadku Labienusa, ponieważ dawniej dowodził on częścią ludzi, których tak bezlitośnie kazał teraz zgładzić. Jakby tego było mało, Gnejusz Pompejusz za pomocą terroru zwalczał mieszkańców prowincji, którzy uznając korzyści panowania rzymskiego, trwali uparcie przy Cezarze. Rodzina wielkiego finansisty Balbusa, lojalnego przyjaciela Cezara, bez którego wsparcia nigdy naprawdę nie utrzymałby swojej armii przez wszystkie te straszne wojny, musiała uciec ze swej rezydencji w Kadyksie w przebraniu wieśniaków. Sam dom ograbiono, a Balbus dowiódł później swej wspaniałomyślności (i bogactwa), przyjmując straty z filozoficznym spokojem i rezygnując ze starania się o rekompensatę ze skarbu państwowego, którą Cezar czułby się zobowiązany wypłacić.

Była zima. O tej porze roku krajobraz środkowej Hiszpanii budzi trwogę. Rzeki przemieniają się w pienne potoki, które przedzierają się przez morze skał. W swym bezmiarze przypominają one pustynię. Pustynia wypiera człowieka. Nigdy nie byłem w kraju, którego przyroda mówi tak jasno o swej obojętności wobec ludzi i ich znaczenia. Być może właśnie owa obojętność przyczyniła się do okrucieństwa wojny hiszpańskiej.

Przedarliśmy się na południe, walcząc raczej z żywiołami i przyrodą aniżeli z cofającym się przed nami nieprzyjacielem. Posuwaliśmy się śladami zniszczeń. Brakowało żywności i trudno było zorganizować zaopatrzenie. Często mówiłem, że najważniejszym oficerem w armii jest kwatermistrz. Nigdy nie było to bardziej prawdziwe niż w Hiszpanii.

W końcu dogoniliśmy Labienusa i Pompejusza na równinie Mundy kilka mil od Kordowy. Nie mogli dłużej unikać bitwy. Wiedzieliśmy, że właśnie za radą Labienusa zwabili nas aż tak daleko, chcąc osłabić naszą armię. Gnejusz Pompejusz był wystarczająco nierozważny, aby wydać bitwę tygodnie temu. Ale Labienus powiedział „nie”. Być może miał nadzieję, że dobrze znana porywczosć Cezara skłoni go do jakiegoś nieostrożnego posunięcia. Ostatecznie, nie licząc mnie, nikt lepiej niż Labienus nie znał Cezara. I rzeczywiście strategia Labienusa prawie zadziałała. Cezara kusił pomysł okrążenia nieprzyjaciela i był już bardzo bliski przystąpienia do owego zuchwałego przedsięwzięcia (wystawiłoby ono oczywiście jego flankę na kontruderzenie,

podczas gdy armia była jeszcze w marszu), choć ostrzegałem go, że przyjmując wyraźne zaproszenie wynikające z manewrów nieprzyjaciela, wpadnie w pułapkę za stawioną przez Labienusa. Moje uwagi nie przypadły mu do gustu, ale przejawem geniuszu Cezara (którego, jak wiesz, Artiksesie, nigdy nie kwestionowałem, a którego wy, Galowie, doświadczyliście tak boleśnie), jaki nigdy go nie opuścił, była jego zdolność dawania w końcu posłuchu głosowi rozsądku. Tak więc mimo iż ubodła go sugestia, że jego ocena była w tym wypadku błędna, rozważył jednak sprawę z należytą uwagą i postąpił zgodnie z moją radą. Muszę przyznać, że nie okazał żadnej urazy z powodu tego, iż moja ocena była trafniejsza, chociaż również nie docenił jej publicznie. A gdy Antoniusz obstawał przy manewrze okrążającym, gwałtownie argumentując, że zaskoczy nieprzyjaciela i da nam szansę szybkiego zwycięstwa, Cezar posłużył się przeciwko Antoniuszowi moimi argumentami, jakby były jego własne. Ale przypuszczam, że tak zazwyczaj postępuje geniusz, który zawsze musi być doskonały.

Labienus wybrał pozycję dla swoich żołnierzy. Na pierwszy rzut oka widać było jego rękę. Zostali ustawieni w półksiężyc. Za nimi ziemia znowu podnosiła się łagodnie w kierunku miasteczka Munda. Nie było to urwiste wzgórze, ale z równiny wspinalibyśmy się jeszcze być może sto stóp. Niby to nie tak wiele, oznacza jednak spory wysiłek dla żołnierzy atakujących świetnie uzbrojonego, dobrze wyszkolonego i licznego przeciwnika. Labienus i Pompejusz mieli, jak nas zapewniano, jakieś trzynaście legionów. Umieszczono je w środku. Sprzymierzeńców mauryjskich i hiszpańskich, z których połowę stanowiła jazda, rozlokowano na skrzydłach. Grunt był tam bardziej grząski. Nie mieliśmy innego wyjścia jak przypuścić frontalny atak.

Noc poprzedzająca bitwę była bardzo zimna. Był to dzień po idach marcowych [Idy – w kalendarzu rzymskim piętnasty dzień miesiąca w marcu, maju, lipcu i październiku, a w pozostałych miesiącach dzień trzynasty. – przyp. tłum.] i panował srogi mróz. Meteory świeciły na niebie. Kapłani donieśli, że znaki bojowe, które wieźliśmy w naszych bagażach, zalały się krwią. Dezerter zapewniał nas, że orły legionów pompejańskich wypuściły złote pioruny ze swoich szponów, rozwinęły skrzydła i odleciały do naszego obozu. Gdy żaden nie przybył, owego człowieka solidnie wychłostano. Przypuszczam, że był pijany albo pomyłony.

Bitwę rozpoczęła krótka potyczka jazdy, nie bardziej rozstrzygająca niż zazwyczaj. Potem szeregi się zwarły. Nie było możliwości manewrowania ani oczywiście zastosowania jakiegoś sprytnego fortelu. Zrozumiałem od razu, że o losach bitwy zdecyduje upór. Tym, co najbardziej liczy się w takich rozgrywkach, jest morale. Jak długo ludzie czują oparcie w innych, tak długo

trwają na swoich pozycjach. Jeśli nie jest im obce doświadczenie wojenne, wiedzą, że mają tylko dwa wyjścia. Albo przebić się przez szeregi wroga, albo zastosować najtrudniejszy manewr, uporządkowany odwrót. W takich razach dwie obawy nurtują umysł zaprawionego w bojach dowódcy. Pierwsza, że jego własne oddziały przedrą się na zbyt wąskim odcinku, w rezultacie czego zostaną odcięte i wybite w pień. Druga, że wybuchnie panika. Głównym w tej sytuacji zadaniem dowódcy jest utrzymanie linii frontu.

Nigdy nie widziałem bitwy podobnej do tej pod Mundą. Nasze własne oddziały okazały niezwykłą determinację i odwagę. Nie po to przemaszerowały przez Hiszpanię, znosząc straszliwe niewygody, aby teraz stracić wszystko. Ponadto byłem zdumiony duchem nieprzyjaciela. Było to całkowicie odmienne od wszystkiego, czego wcześniej zaznaliśmy w wojnach domowych. Jakby nienawiść, jaką Labienus i synowie Pompejusza odczuwali do Cezara, udzieliła się całemu wojsku. W jednym z tych przeblysków intuicji, gdy nerwy i ciało są w stanie krańcowego napięcia, zrozumiałem, że zdecydowanie stanowiło uzasadnienie okrucieństw, jakich nieprzyjacielscy dowódcy celowo się dopuszczali. We wcześniejszych kampaniach morale nieprzyjaciela podkopywała głoszona przez Cezara polityka łagodności. Taki był przecież jej cel. Teraz wiedzieli, że w rezultacie własnych działań uniemożliwili zastosowanie miłosierdzia. Dla nich, jak i dla nas zaczynała się walka na śmierć i życie.

Po jakichś dwóch godzinach zrobiliśmy niewielkie postępy. Nieprzyjaciel ustąpił zapewne dwadzieścia stóp, jego pozycja była jednak nawet silniejsza niż poprzednio. Pomruk zwątpienia przebiegł nasze szeregi. W tym momencie Cezar stracił panowanie nad sobą.

– Czyż nie wstyd wam – wrzasnął wówczas – wydawać swego wodza na pastwę tych młodzieniaszków?

Wyrwał miecz i tarczę rannemu żołnierzowi i rzucił się na szeregi wroga. Na chwilę straciłem go z oczu.

– Ratujcie wodza! – krzyknąłem. – Czy pozwolicie mu zginąć samotnie? Przyniesiecie mu taką hańbę?

Chwyciłem centuriona za ramię i wskazałem w kierunku bitewnego zamętu wokół Cezara.

– Właśnie tam musimy wygrać bitwę. Ratujcie wodza albo gińcie w niesławie.

Wymachując wysoko mieczem, ale szybko nastawiając go w pozycji do ataku, poprowadziłem szarżę około dwustu legionistów tam, gdzie znajdował się Cezar. Przesądziło to sprawę. Na moment bitwa zamarła. Następnie, bardzo powoli i nadal w dobrym porządku,

nieprzyjaciel zaczął się wycofywać.

Sytuacja była nadal niezwykle groźna. Mogłem sobie wyobrazić, jak Labienus uśmiecha się, śledząc przebieg bitwy ze swego punktu obserwacyjnego u bram Mundy. Jeszcze pięćdziesiąt stóp, musiał myśleć, i będę mógł rzucić jazdę na flankę przeciwnika. Wykrzykiwałem rozkazy, aby zatrzymać atak i przeformować szeregi, ale w hałasie i ścisku nikt mnie nie słyszał albo żołnierzom nie starczało zimnej krwi, aby posłuchać. Popatrzyłem w górę i na drugą stronę wzgórza. Zobaczyłem kohorty jazdy Labienusa i piechoty przesuujące się z prawej strony ku centrum. Nasze położenie stawało się coraz bardziej niebezpieczne, a wszystko to, złorzeczyłem, wywołał niezwykle dla Cezara objaw paniki (należy uczciwie powiedzieć, że mogło to być również rezultatem ataku epileptycznego, jakiego doznał kilka dni przedtem).

Ale... Cezar zawsze głosił, że należał do ulubieńców bogów, a jeśli kiedykolwiek gotów byłem w to uwierzyć, to właśnie pod Mundą. Manewr Labienusa, jakkolwiek niezwykle pomysłowy, doprowadził do jego klęski. Nagłe i nieoczekiwane rozwinięcie od działów zostało zauważone i niewłaściwie zrozumiane przez żołnierzy z jego pierwszych szeregów. Nie zrozumieli oni, że zamierzał właśnie zadać cios, który zapewniłby im zwycięstwo. Uznali to za początek ogólnej ucieczki. Wybuchła panika, szybko, jak zawsze. Z wyjątkiem jednego legionu, który wycofał się w należyty porządku i walcząc został wybity niemal do ostatniego człowieka, armia naszego przeciwnika przestała istnieć.

Nigdy nie widziałem bitwy, której los odmieniłby się tak zasadniczo w równie krótkim czasie.

Jedno skrzydło nieprzyjacielskiej armii załamało się, szukając ratunku w ucieczce do Kordowy. Resztę wyparto w kierunku fosy przed wałami Mundy. Nic nie mogło ich ocalić. Wzięto niewielu jeńców. Nasi legioniści byli zdecydowani położyć kres wojnom, tu i teraz, tego szarego popołudnia. Nie dałoby się powstrzymać ich przed rzezią, nawet gdyby takie było życzenie Cezara. A nie było. Po raz pierwszy w czasie wojen domowych nie dawano pardonu.

– Często walczyłem o zwycięstwo – rzekł Cezar, gdy noc spadła na pole, a jęki umierających i rannych nadal nie pozwalały zapaść ciszy nocnej – ale po raz pierwszy walczyłem o życie.

Opowiadano, że liczba zabitych nieprzyjaciół sięgała niemal trzydziestu tysięcy. Wśród nich znajdował się sam Labienus. Patrzyłem na jego silne, dumne, boleśnie doświadczone oblicze.

– Otrzymał zapłatę, na jaką zasłużył – rzekł Cezar.

Tej nocy Oktawiusz przyszedł do mojego namiotu. Był blady i drżący.

– No cóż – powiedziałem – to jest wojna, wielka niszczycielka złudzeń.

Nie był to jeszcze koniec zmagania. Dwaj synowie Pompejusza zdołali zbiec z pola bitwy. Sekstus, zdaje się, znalazł schronienie, ale nikt nie wiedział gdzie. Gnejusz dotarł do Gibraltaru, aby przekonać się, że wszystkie statki znajdowały się w rękach Cezara. Z wybrzeża umknął w góry. Tam na jego trop wpadł oddział ścigający uciekinierów z pola bitwy. Znaleźli go rannego w grotcie, opuszczonego przez wszystkich poza parą niewolników. Zażądał łaski. Nawet w tym krytycznym położeniu, jak mi mówiono, nie wyzbył się tonu arogancji, wiecznie przebijającego z jego głosu. Żołnierze szybko się z nim uporali. Jak w przypadku jego ojca, odcięto mu głowę, którą wysłano do Cezara.

Tymczasem Kordowa została oblężona. Przypuszczono szturm do murów. Ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy i obywateli wyrżnięto. Antoniusz był pijany rzezią, odurzony winem i żądny krwi. Słowo „łagodność” dźwięczało w moich uszach jak szydery dzwon. Odbyliśmy długą drogę od czasu pamiętnego świtu nad brzegami Rubikonu.

## ROZDZIAŁ 9

Jakąż dziwną rzeczą jest miłość. Zwykle używamy tego słowa jako eufemizmu na oznaczenie pożądania seksualnego. Moja namiętność do Oktawiusza umarła. Jej koniec przyszedł nagle. Kilka nocy po złupieniu Kordowy zjawił się u mnie, tonąc we łzach. Paplał w zmieszaniu. Wyglądało na to, że Antoniusz (który przez cały tydzień chodził całkowicie pijany) próbował go zgwałcić. Język chłopca plątał się przy opowiadaniu całej historii. Jego piękno się rozwiało. Opanował mnie odruch okrucieństwa, nie czułości. Nawet teraz nie mogę wytłumaczyć gwałtownej zmiany moich uczuć. Patrzyłem na niego ze wzgardą, co więcej ze wstrętem. Zapewne potrzebował mojej pomocy. Nie miałem mu nic do zaoferowania. Coś we mnie pękło.

Parę tygodni później wyjechał do Grecji, aby wznowić studia na polecenie Cezara. Miał dołączyć do Mecenasa. Drugim jego towarzyszem został źle wychowany młody oficer o imieniu Marek Agryppa. No cóż, odczułem ulgę z powodu jego odjazdu. Obecność Oktawiusza zaczęła wprawiać mnie w zakłopotanie. Nie ma nic równie martwego, jak namiętność, która wygasła. Z upływem miesięcy coś z dawnej czułości wróciło. Ale gdy korespondowaliśmy ze sobą, w listach dał się odczuć dzielący nas dystans. Nie było w nich nic intymnego. Wiedziałem, że kiedy spotkamy się znowu, stanie między nami przepaść, jak przestrzeń niegościnnego wybrzeża otaczającego morze.

Moja matka zawsze mawiała, że żądza jest grą, w którą bawią się naszym kosztem bogowie. Gdy wspominała własną namiętność do Cezara, nie mogła już zrozumieć, jak do tego doszło.

Czy to wynik gry światła, nagłego ułożenia członków, rysów i postawy?

Jakże dziwne, że zadręczam się tym pytaniem akurat teraz.

Dla mnie owo uczucie zawsze było nieodłącznie związane z wyobrażeniem o jakimś poniżeniu. Dlatego też to, że odrzuciłem Oktawiusza, wprawiało mnie w zakłopotanie.

Być może pociągał mnie jego brak doświadczenia. Nie wiem.

Kiedy patrzę na Artiksesa, myślę, że jest to możliwe.

Po powrocie do Rzymu zaskoczyłem moją żonę Longinę w łóżku z młodzieńcem o kręconych włosach. Oboje zerwali się na równe nogi, Longina pokazując swe zachwycające piersi. Na twarzy chłopca można było odczytać zakłopotanie, następnie oburzenie, w końcu obawę, gdy mnie rozpoznał. Nie miałem pojęcia, kim jest. Wyglądał jeszcze młodziej niż moja

żona. Musnęła językiem górną wargę. Uśmiechnęła się.

– Mężu – rzekła. – Jaka czarująca niespodzianka – dodała po grecku.

– Nic dziwnego, że moje pojawienie się przestraszyło twoje wyzwolenice.

– Należy je wychłostać za to, że pozwoliły ci tu wtargnąć. – Wtuliła się znowu w poduszki i zatrzepotała rzęsami. – Bądźmy uczciwi – ciągnęła. – Idę o zakład, że wcale nie byłeś mi wierny w Hiszpanii. On jest przyjacielem Cezara – zwróciła się do chłopca – a wiesz, co to oznacza. Poza tym miał uroczą przygodę z Oktawiuszem. Czy to nadal trwa, mężu?

– Mógłbym się z tobą rozwieść – powiedziałem. – Czym się tak przejmujesz? – Mógłbym sam cię wychłostać. W czasach naszych przodków mógłbym kazać cię zabić.

– Oczywiście mógłbyś, ale te czasy minęły. Poza tym znam cię lepiej, niż myślisz. Nie jestem tępakiem, za jakiego mnie uważasz. Zadałam sobie wiele trudu, by dowiedzieć się czegoś o tobie, mężu, i mogłabym wymienić całkiem długą listę twoich kochanków, poczynając od tej osławionej pary, Klodii i jej brata. A zatem nie udawaj. Tak naprawdę bawisz się nie gorzej niż ja.

Kłopot był w tym, że miała rację. Sytuacja mnie podniecała.

– Kim jest twój przyjaciel? – zapytałem.

Zachichotała.

– Nie możesz zgadnąć? Jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż myślisz, mężu.

Spoglądałem na opadające kędziory chłopca, na jego błyszczące oczy, na łagodne i w tym momencie drżące usta. Był szczupły. Nawet w jego łęku czaiło się coś figlarnego.

– Tak – rzekłem – dostrzegam podobieństwo. Chłopiec nazywał się Appiusz Klaudiusz Pulcher. Jego ojciec sprawował urząd konsula przed dziesięciu laty. Człowiek ten, którego znałem jako dumnego, zepsutego i zabobonnego (jak wielu członków jego rodu), padł pod Farsalos w szeregach pompejańczyków, chociaż osobiście pogardzał Pompejuszem. Wydał swoją córkę za mojego kuzyna Marka Brutusa, który oburzony jej niewiernością, oddalił ją od siebie, aby poślubić Porcję, córkę Katona, kobietę z pewnością lepiej odpowiadającą jego pedantycznej naturze. Chłopiec musiał być owocem ostatniego małżeństwa swojego ojca z kobietą dwukrotnie od niego młodszą, której imienia nie mogłem sobie przypomnieć. Appiusz Klaudiusz Pulcher nienawidził Cezara. Patrząc na chłopca, nie mogłem sobie wyobrazić, aby odczuwał on jakąś przemożną potrzebę pomszczenia swego ojca. Prawdopodobnie rozkoszował się uwolnieniem od ojcowskich napomnień, które z pewnością by go nie ominęły.

W pokoju panowała cisza. Moja żona wyglądała na zadowoloną. Upajała się sceną, jaką sprowokowała. Chciała sceny. Postanowiłem, że nie dam jej tej satysfakcji. Jeśli idzie o chłopca, spotkało go wyraźnie więcej, aniżeli oczekiwał. Byłem zmęczonym podróżą, srogim, powracającym z wojen sławnym wodzem, a nie – jak musiał myśleć – spokojnym człowiekiem, który odkrył, że przyprawia mu się rogi. Kazałem mu wynosić się z łóżka i ubrać się. Posłuchał. Mój wbity w niego wzrok wprawiał go w zmieszanie. Odprowadziłem chłopca do progu sypialni.

– Nie będziemy w tej chwili więcej mówić na ten temat – powiedziałem. – Nie ma cię za co winić. Musisz jednak zrozumieć, że mnie obraziłeś. Zanim zdecyduję, co mam uczynić dalej, odbędę rozmowę z moją żoną. Potem ty i ja będziemy musieli również po rozmawiać. Na razie ciesz się, że nie jestem obdarzony podobnym temperamentem jak twój nieżyjący ojciec.

Wróciłem do Longiny. Odrzuciła na bok nakrycie, położyła się na plecach z rozsuniętymi nogami, a jej prawa ręka spoczywała wysoko na udach.

– Jakże wspaniały jesteś, mężu – rzekła.

Jej głos był niski. Rozwiązałem tunikę i nachyliłem się nad nią. Objęła moją szyję ramieniem, pociągnęła mnie ku sobie i znowu zachichotała. Nieco później powiedziała:

– Tworzymy lepszą parę, niż myślałeś, czyż nie?

Dowiodła tego wiele razy w ciągu następnych tygodni. Zacząłem myśleć, że biorąc Longinę za żonę, zrobiłem lepszy interes, aniżeli sądziłem. Być może młody Appiusz Klaudiusz ją rozbudził. (Wkrótce zresztą rozwiązałem problem, załatwiając dla niego przydział do sztabu prokuratora Judei. Ponieważ mianowanie zdawało się pochodzić wprost od Cezara, nie odważył się sprzeciwić. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że za co żadną miarą nie ponosiłem winy, że nabawił się gorączki i zmarł przed końcem roku. Muszę to oddać Longinie, że nie zaprotestowała, gdy powiedziałem, iż jej kochanek otrzymuje misję praktycznie równoznaczną z wygnaniem. Mam powody, aby podejrzewać, że nadal pisywali do siebie, ale gdy doszedłem do tego wniosku, inne ważne sprawy zaprzętnęły moją uwagę).

Longina nie należała do osób dobrze wykształconych. W gruncie rzeczy miała ledwo jaką taką ogładę. Pisała w ten sam bezładny i niegramatyczny sposób, w jaki mówiła. Ale wcale nie była głupia. Jej dowcip odznaczał się ciętością i cechowała ją żywość, której trudno było oczekiwać po córce Kasjusza.

Mój teść z ironiczną obojętnością przyglądał się rozwojowi naszego małżeństwa. To był



nastrój czy atmosfera, które popierał. Kasjusz był w rzeczywistości człowiekiem niezwykle silnych namiętności, dumnym, zazdrosnym i nieubłagany. Cezar zwyciężył, a ja byłem ulubieńcom dyktatora. Z tego powodu sojusz był pożądanym. W tygodniach po moim powrocie z Hiszpanii patrzył na mnie nadal taksującym wzrokiem. W moim towarzystwie mówił zwykle dobrze o Cezarze.

Jeśli idzie o Longinę, gorąco pragnęła poznać dyktatora. Nalegała, abym zaprosił go do naszego domu.

– Na obiad, wieczerzę, na cokolwiek.

– Cezar oczekuje inteligentnej rozmowy – powiedziałem. – A my nie możemy mu jej zapewnić? No cóż, zaprosz tego starego nudziarza Cyncerona, jeśli chcesz.

– Cezar właściwie w ogóle nie udaje się na wieczerzę, jeśli wie, że nie spotka Cyncerona w towarzystwie. Ludzie traktują tego starego człowieka jako rodzaj poręczenia. Chociaż Cezar darzy go szacunkiem, dążność Cyncerona do zdominowania rozmowy coraz bardziej go irytuje. Poza tym Cynceron podejrzewa, że napisałem „Anty-Katona”. Ostatnio jest chłodny w stosunku do mnie.

Mój sprzeciw, którego zresztą sam nie rozumiałem, został przewyciężony. Cezar został zaproszony i przyjął propozycję. W ostatniej chwili Longina dodała mojego kuzyna Marka Brutusa do towarzystwa – wcale mnie to nie ucieszyło.

– Czy to prawda – zapytała moja żona Cezara – że zaprosiłeś królowe Egiptu do Rzymu? Wszyscy wiedzieli, że to uczynił i że Kalpurnia była wściekła. Cezar uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że poznasz ją, gdy przyjedzie.

– Ojej. Nie sądzę, aby chciała się spotykać z matronami – powiedziała Longina. – Zwłaszcza jeśli prawdą jest to, co słyszałam.

– A co słyszałaś?

Moja żona wykrzywiła swój nos tak, że wyglądała jak mała dziewczynka.

– No cóż, że uśmierciła swego brata, który był zarazem jej mężem. Czy to prawda?

– Całkowicie.

– A gdy był on jej mężem, czy oni ze sobą... no wiesz?

– Co oni ze sobą?

– No cóż, wiesz przecież, musisz wiedzieć. Spali ze sobą, używali sobie?

- O tym jedynie królowa może ci powiedzieć.
- Nie przypuszczam, aby zechciała to uczynić.
- Jestem pewien, że nie zabraknie ci śmiałości, aby ją o to zapytać.

Widziałem to tyle razy wcześniej. Zapewne właśnie dlatego próbowałem odwieść Longinę od zamierzonego przez nią celu. Teraz Cezar zaczął roztaczać cały swój niezwykły wdzięk. Jego zachowanie było jednocześnie poufale i niedbałe. Dawał dziewczynie odczuć, że skupia na niej całą swą uwagę. Zarazem jednak pozostawał świadom przedstawienia, świadom szerszej publiczności, którą zapraszał, aby go podziwiała.

Przypominało to sztukę, której zakończenie znamy. Głównym przedmiotem zainteresowania publiczności jest w związku z tym osądzenie pomysłowości, z jaką dramaturg opracowuje materiał. Czasami, zwłaszcza teraz, w te letnie wieczory, gdy mgła podnosząca się z doliny nastroja mnie melancholijnie (jakby nie było już wystarczających przyczyn, dużo bardziej zasadniczych niż moje wspomnienia zdolne wzbudzić taki, a nawet znacznie mroczniejszy nastrój czy też wręcz rozpacz), wydaje mi się, że cały barwny przebieg ludzkiego życia jest jedynie taką grą, szaradą, odtwarzaną dla rozrywki obojętnych bogów. Obserwowałem więc ową towarzyską grę, patrząc, jak wargi mojej żony wyginają się w zaproszeniu, jak pochyla się ku niemu, ukazując, niby przypadkiem, bogatą krągłość piersi. Słuchałem jej śmiechu, brzmiącego niczym szum rwącego strumienia. Przez cały czas mistrz Cezar wabił ją ku sobie, jakby to, że przyjdzie do niego, było równie oczywiste jak to, że słońce zanurzy się w zachodnim morzu.

- Co z ciebie, zięciu, za mężczyzna? – rzekł Kasjusz.

Pytanie było retoryczne.

- Gdyby Cezar albo jakiś inny mężczyzna uwiódł moją żonę...

– Hejże, Kasjuszu – odparłem – te wymówki nie mają sensu. Dobrze wiesz, co byś zrobił. To samo co ja. Nic. W przypadku Cezara. Ten rodzaj cnoty wyszedł z mody. Poza tym dzieliłem już z Cezarem kobiety przedtem i czasami on miał pierwszeństwo.

– Oszukujesz sam siebie, zięciu, roszcząc sobie jakiegokolwiek pretensje do równości z Cezarem.

– No dobrze, Kasjuszu. Przyznaję ci słuszność w tej sprawie i przyznaję też, że masz być może swój ojcowski interes, oburzając się z powodu pohańbienia twej córki. Ale moim zdaniem ona nie jest zhańbiona. Longina sama wzięła inicjatywę w swoje ręce. Nie jest kwiatkiem

zerwanym przez Cezara.

– I to cię nie złości?

– Kasjusz – powiedziałem – myślałem, że jesteś filozofem.

Jeśli nie mogłem powiedzieć prawdy Kasjuszowi, nie byłem w stanie jej ukryć przed moim kuzynem Kaską.

To dziwne, albowiem Kaska nie był człowiekiem, u którego mogłem się spodziewać zrozumienia dla mojego szlachetnego oburzenia. Przypuszczam, że dlatego, iż znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedział na przykład, że aż do powrotu z Hiszpanii (gdy zaskoczyłem młodego Appiusza Klaudiusza, który sam był przez jakiś czas przedmiotem zachwyków Kaski) byłbym szczęśliwy, mogąc podsunąć Longinę Cezarowi w zamian za liczne łaski, jakie mi wyświadczył. Ale Kaska zauważył również, i nawet podkpiwał sobie z tego, że coś więcej niż moja próżność została zraniona. Widział, iż mocno to przeżywam, po prostu dlatego, że odkryłem w sobie nieoczekiwaną czułość do mojej żony, a ona doświadczyła tego samego uczucia w stosunku do mnie.

I teraz Kaska powiedział:

– Senat chce przyznać boskie zaszczyty Cezarowi. Byłoby stosowne, gdybyś wystąpił z poparciem tego wniosku.

– Z poparciem?

– Naturalnie, mój drogi. Utratę żony na rzecz człowieka, jakkolwiek wybitnego, można by uznać za haniebną, ale rogi przyprawione przez boga nie przynoszą wstydu.

– Dostrzegam tylko jedną przeszkodę, kuzynie – odparłem. – Chociaż możemy rzeczywiście przyznać boskie zaszczyty Cezarowi...

– Powiedz „przyznamy”, a nie „możemy przyznać”.

– No dobrze, przyznamy. Chociaż tak uczynimy, nikt nie uwierzy przecież, że Cezar jest rzeczywiście bogiem.

– Och – westchnął Kaska – gdy pada słowo „rzeczywiście”, tracisz mnie, a ja tracę zainteresowanie. Kto wie, czym jest „rzeczywistość” w tym zwariowanym świecie? Czy moje długi są rzeczywiste? A tak przy okazji martwi mnie, że Cezar zdradził tych, którzy mu zaufali, i odmówił darowania długów, choć nam to wcześniej obiecywał. Nie, żebym wierzył w jego zapewnienia. Z pewnością moi wierzyciele uznają je za rzeczywiste. Jeśli o mnie chodzi,

przestają się nimi zajmować. A co do namiętności, które nazywają nie kiedy rzeczywistością, jesteś świadom – jakże mógłbyś nie być? – mojej namiętności do Diosipposa, gdy księżycyca przybywa, i do Nikandra, gdy go ubywa, ale wiesz również, że jeśliby mój interes tego wymagał, ukrzyżowałbym każdego z młodzieńców – co wspominam jedynie jako najokropniejszą śmierć, jaką mogę sobie wyobrazić. Na czym zatem polega związek mojej namiętności z rzeczywistością? Płakałbym za każdym z młodzieńców, naturalnie, a moje łzy byłyby obfite i robiłyby wrażenie, ale nie powstrzymałyby mnie przed działaniem w moim własnym interesie.

– Czyli rzeczywistością jest twoja interesowność.

– Czy jest? Czy jest? Chciałbym to wiedzieć.

Przechylił się do tyłu i pogłaskał się po brzuchu. Byliśmy w gorącej sali łaźni. Potarł dłonią fałdy skóry i zgarnął strumień potu i oparów na pokrytą kafelkami podłogę.

– Czy jest? Są takie chwile, kuzynie, gdy wydaje mi się, że są tylko dwie rzeczywistości, które uznaję. Pierwsza jest fizyczna. Ciało jest rzeczywiste, nie mogę temu zaprzeczyć.

– Wielu zaprzecza.

– Mają w sobie mniej mięsa niż ja. Ciało jest rzeczywiste i w następstwie tego rzeczywiste są jego potrzeby.

– A umysł?

– Należy do ciała... jest częścią ciała.

– Panuje nad ciałem.

Kaska roześmiał się.

– Jak ty, stary żołnierz, możesz tak mówić! Poznałeś strach w bitwie. Co wtedy przeważa? Umysł czy ciało? Czy strach wkrada się z zewnątrz?

– Jeśli tak, strach jest rzeczywisty.

– Myślmy, że jest. Wróćmy do tego, że umysł panuje nad ciałem. Jest część ciała – bawił się tym – która czasami ukazuje swój własny rozum. Mogę chcieć go pobudzić, a on mówi „nie” i pozostaje słaby. Kiedy indziej porusza się sam z siebie bez mojego pozwolenia. Mówiąc krótko, robi, co mu się podoba, czy śpię, czy czuwam. Czasami ja czuwam, a on śpi. Czasami śpię, a mała kochana rzecz tańczy i sprawia rozkosz. Gdzie jest więc rzeczywistość kontrolowania umysłu?

– Powiedziałeś, że uznajesz dwie rzeczywistości. Jaka jest druga?

– Nuda.

– To nie jest filozoficzna odpowiedź.

– Nuda – powtórzył – która zmusza do szukania rzeczywistości w działaniu. A ta będzie oczywiście iluzją.

Wezwał niewolnika, aby polał go zimną wodą, a następnie go odprawił.

– Zwodnicze – rzekł. – Droga mała rzecz nie reaguje. Jedynie twoja próżność została zraniona przez cudzołóstwo twojej żony. Ludzie zabijają z dwóch powodów.

– Co? Zabić Cezara? Interesująca myśl, moja droga Myszo. To mogłoby mnie wyrwać z objęć nudy. Jak się do tego zabierzemy? Wszystko jedno. Myszo, nigdy nie zabijesz Cezara z powodu dzierlatki w rodzaju twojej żony.

## ROZDZIAŁ 10

Czytelnikom mojej apologii może wydać się dziwne, że choć pozostało mi tak niewiele życia (jak się obawiam), poświęcam je na wydobywaniu z pamięci podobnych błahostek. Zapewne dlatego, że trudno wyobrazić sobie złożoność pewnych spraw. Nie znamy przecież źródeł ludzkiego zachowania. Nie wiemy, jakie konkretne okoliczności lub uczucia prowadzą człowieka do określonego działania. Gdy myślę teraz o tym, jak Kaska dowodził autonomii pożądania seksualnego, przychodzi mi do głowy, że jego argumenty mają znacznie szersze zastosowanie. Jeśli nie rozumiemy, dlaczego doświadczamy pożądania, jeśli jest to coś, co umyka naszej kontroli, jak możemy udawać, że wiemy, co popycha nas do jeszcze bardziej mrocznych czynów.

Nie podawałem nigdy w wątpliwość mojego przywiązania do Cezara. Kiedy wybuchła wojna domowa, opowiedziałem się po jego stronie, stając się jednym z jego ulubionych dowódców. I później trwałem przy nim. Nie tylko dlatego, że podzielałem wiarę Cezara w zwycięstwo, że nigdy nie wątpiłem w sprawę.

Wracam pamięcią do tego momentu, gdy przekraczaliśmy mały strumień zwany Rubikonem, i do tej dziwnej postaci, która grając na flecie, wyłoniła się z mgły na drugim brzegu. Obraz ożył w moich wspomnieniach. Może wzbogaciła go lub wypaczyła wyobraźnia. Czy odpowiada na przykład prawdzie wspomnienie o koźlich nogach? Czy nawet kończyny, jak upiera się pamięć, pokrywała koźła skóra? Niektórzy żołnierze, jak sobie przypominasz, krzyczeli, że bóg Pan zaprasza nas do Italii. Wszyscy czuliśmy, że przytrafiło się nam coś wyjątkowo tajemniczego. Przydało to aury niezwykłości czemuś, co w rzeczywistości było zwykłą akcją wojskową. Gdyby słońce stało wyżej, postać wydałaby się absurdalna. Jednak wspomnienia mnie nie opuszczają. A wyobraźnia nadaje tamtej chwili jakieś znaczenie, którego umysł nie chce ogarnąć. Czy też może jest niezdolny do jego ogarnięcia.

Kiedy rozważam to teraz, czuję, jakbym dotykał zaledwie fragmentu głębszej tajemnicy: dlaczego podporządkowaliśmy nasze pragnienia Cesarowi.

Mój kuzyn Marek Brutus ujął kiedyś cały problem w kategoriach fatalizmu: z góry byliśmy skazani na podporządkowanie się Cesarowi. Mój teść Kasjusz zgaśnił go. Wina, powiedział, nie leży w gwiazdach, lecz w nas samych. Żadna bezosobowa siła, a tylko własna słabość sprawiła, że musieliśmy się stać sługami.

Artikses właśnie mnie opuścił. Popijaliśmy wino, cienki, kwaśny gatunek, jaki robią w tych barbarzyńskich krainach, ale mimo wszystko wino, i myślę, że jestem trochę pijany. Mniejsza z tym. W winie leży prawda lub, jak mówi przysłowie, wino uwalnia głos prawdy.

Cezar. Czy poddałem się jego woli tego ranka, gdy wyszedł z sypialni mojej matki, a ja odpowiedziałem uśmiechem na jego uśmiech? A kiedy znalazłem drzwi Longiny zamknięte i wiedząc, że Cezar jest w środku, opuściłem dom i zszedłem na Suburę do domu publicznego, gdzie zapłaciłem za afrykańską dziewczynę, czy wówczas znowu uznałem swą niższość?

To był kłopot, nieprawdaż? Cezar mnie poniżył. Poniżył nas wszystkich. I nigdy nie mogliśmy pojąć dlaczego.

Były takie chwile – wspominałem o niektórych z nich – gdy ja sam radą lub czynem ocaliłem Cezara przed klęską, ku której zmierzał, na przykład w Egipcie oraz w Hiszpanii. Były takie chwile, gdy powierzał mi zadania, które spełniałem lepiej, aniżeli on sam mógłby to zrobić.

Nie miało to znaczenia.

Jak mawiała moja matka: „Oczywiście wszyscy uwielbiamy Cezara, ale wiemy zarazem, że on wcale o nas nie dba”.

„A to – mógłby ktoś powiedzieć – dlatego, że był naprawdę bogiem”.

Nigdy nie widziałem, aby Cezar się bał. Przyznaję. Bogowie nie odczuwają strachu.

Nie dowodzi to niczego. Pamiętam pewnego centuriona z Afryki, zgorzkniałego i zrzedliwego człowieka, który nie bał się nigdy.

Cesarowi nie brakowało wyobraźni, która pozwalała odczuwać obawę.

Czy rzeczywiście? Bywały chwile, gdy myślałem, że brak mu wyobraźni. Z pewnością jego styl literacki był szczególnie ułomny pod tym względem. Pokazał mi kiedyś napisany przez siebie poemat. Naprawdę żenujący. Katullus był tego samego zdania.

Cezar... Załóżmy, że przyłączyłbym się do Pompejusza. Zginął bym być może pod Farsalos, ale umarłbym jako wolny człowiek.

Zapewne powinienem spróbować zrozumieć Labienusa. Nigdy się o to nie staraliśmy. Prościej było go potępić.

Labienus był moim poprzednikiem. Teraz to rozumiem.

A zatem Labienus...

Mówiliśmy o nim oczywiście z goryczą. Uznaliśmy go za zdrajcę. Nikogo Cezar hojniej nie wynagrodził. Gdyby wydarzenia potoczyły się inaczej, sprawowałby wraz z Cezarem konsulat

w 48 roku, obaj wspierani autorytetem Pompejusza. Ale tak się nie stało. W czasie kryzysu Labienus postawił wyżej stare zobowiązania rodzinne wobec Pompejusza aniżeli długi związek z Cezarem. Gdy nas opuścił, zrobił to z godnością, nie próbując nawet zwerbować innych oficerów Cezara. Później żałował, że tego nie uczynił, chociaż wówczas uważał swe zachowanie za honorowe. Pewnego razu napisał do mnie w tej sprawie. Nadal mam jego list, wydobyły ze schowka, a ukryty na krótko przed katastrofą, która sprowadziła mnie tu, gdzie obecnie się znajduję. W chwili pojmania przechowywałem ów list w podróznym sekretarzyku, a ponieważ zwrócono mi niedawno moje dokumenty, korzystam z okazji, aby ogłosić go teraz.

Jest datowany na kilka miesięcy po bitwie pod Farsalos, z Afryki, dokąd Labienus zbiegł, i wysłany do mnie na adres domu mojej matki w Rzymie.

*Decymusie Brutusie,*

*Pozdrawia cię stary druh, który popadł w nieszczęście. Błagam cię, abys nie poddał się czemuś, co jak przypuszczam, może być twoim pierwszym odruchem, i nie zniszczył listu, dopóki go uważnie nie przeczytasz.*

*Nie piszę, aby tłumaczyć się, albowiem moje postępowanie nie wymaga usprawiedliwienia. Nie piszę też, aby zachwiać twoim poczuciem wierności, byłoby to zresztą – co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości – daremnym wysiłkiem.*

*Wiesz oczywiście, że znalazłem się w potrzasku – między dwoma sprzecznymi zobowiązaniami. Nie ma w związku z tym potrzeby, aby rozwozić się nad konfliktem lojalności, w który się uwikłałem. Wystarczy powtórzyć, że miałem zobowiązania zarówno wobec Cezara, jak i Pompejusza i że wybrałem służbę dla tego drugiego.*

*Łatwo byłoby utrzymywać, że o wszystkim sam zdecydowałem. Skoro jednak uznałem swoje zobowiązania wobec Pompejusza za ważniejsze, a zarazem dawniejsze niż zobowiązania wobec Cezara – postanowiłem przyłączyć się do Pompejusza. Mam wystarczające zaufanie do twojej cnoty, aby wierzyć, że nie zakwestionowałbyś takiego twierdzenia, lecz uczciłbyś mnie za szczerłość i za dochowanie wierności zasadzie, iż pewne racje winny przeważać nad innymi, nawet gdy te ostatnie zdają się wróżyć korzyść osobistą, a nawet większą sławę.*

*Nie wierzyłem jednak, co muszę wyznać, iż działałem w sposób, który przyniesie korzyść mnie samemu. Nie towarzyszyło mi wcale przekonanie, że przyłączam się do zwycięskiej strony.*

*Gorąco cię proszę, abys w to uwierzył.*



*Nikt, może z wyjątkiem Cyserona, nie znalazł lepiej ode mnie za równo Cezara, jak i Pompejusza. Mogę sobie rościć pretensje do głębszej znajomości obydwu mężów niż Cyseron, albowiem spotykał ich głównie na ucztach i w Senacie, podczas gdy ja służyłem pod obydwoh na polach bitew. W efekcie tego byłem świadom, że gwiazda Cezara wschodzi, a Pompejusza gaśnie. Los, mój drogi Decymusie, odzwierciedla charakter i zdolności. Nie mogłem nie porównywać szybkości decyzji i pewności sądu, jasności intelektu, a nawet niewzruszoności odwagi Cezara, z widocznymi przejawami pogłębiającego się niezdecydowania mojego biednego Pompejusza i jego nie możliwością rozróżnienia iluzji od rzeczywistości. Gdy chmury kryzysu ogarnęły Republikę, ciągle nie dostrzegał przyczyn swego moralnego, intelektualnego i fizycznego upadku. W najlepszym razie mogłem mieć nadzieję, że przyłączając się do niego, będę w stanie naprawić braki, jakie zauważyłem.*

*Próżna nadzieja, jak pokazały wydarzenia, albowiem moje rady były lekceważone, choć mogły przynieść pożytek, a propozycje przyjmowane dopiero wtedy, gdy sprawom nie można już było zaradzić.*

*Moja ocena okazała się słuszna, obawy usprawiedliwione, a jednak nie żałuję wyboru.*

*Teraz, gdy klęska, śmierć, a nawet niesława (albowiem jestem przekonany, że zdaniem Cezara ściągnąłem na siebie hańbę) zaglądają mi w twarz, nadal twierdzą, że niczego nie żałuję.*

*Mimo wszystko, Decymusie, ponieważ nikt nie chce schodzić z tego świata, nie przemówiwszy wcześniej we własnej obronie i nie znalazłszy przynajmniej jednego cnotliwego męża, który wysłuchałby jego słów, korzystam z tej sposobności, próbując wyjaśnić powody mego działania. Świat może obrócić się przeciwko mnie. Jego nienawiść jest mi obojętna. Nie chciałbym jednak, abys ty źle myślał o mnie.*

*Pozwól mi zatem powiedzieć, że podziwiam Cezara. Zachowuję przywiązanie do Cezara. Doceniam wielkość jego dokonań, do których my obaj w niemałym stopniu się przyczyniliśmy. Ale nic nie powstrzyma mnie przed stwierdzeniem, że sprawa podjęta przez Cezara jest zgubna. Nie może ona prowadzić do niczego innego jak zniszczenie Republiki, która jest podstawą wielkości Rzymu i która sama może, dzięki uświęconym przez czas instytucjom, gwarantować przetrwanie wolności w Rzymie.*

*Rządy jednostki zapowiadają dzwon żałobny wolności. Przemienia arystokratów rzymskich w dworzan. Krok po kroku orientalny despotyzm zastąpi nasze wolne instytucje. Nikt nie odważy się głosić swoich poglądów. Ludzie dostosują swe słowa do życzeń dyktatora. Słyszałem Cezara*

*mówiącego o zepsuciu instytucji republikańskich oraz o idącym w ślad za tym zepsuciu ducha. Nie przeczę, że tak się dzieje, chociaż złożyłbym winę głównie na takich ludzi jak sam Cezar. Tak, i na Pompejusza także. Nie zaprzeczam. Gdy ci dwaj oraz Marek Krassus spotkali się w Lukce, zawiązali zbrodniczy spisek przeciwko wolnemu państwu.*

*Jeśli uznałem, że powinienem przyłączyć się raczej do Pompejusza niż do Cezara, stało się tak nie dlatego, iż miałem dla niego więcej szacunku. Stało się tak po prostu dlatego, że uważałem go za mniej niebezpiecznego. Okazywał słabość tam, gdzie Cezar był silny. Niezdecydowanie tam, gdzie Cezar wiedział dokładnie, do czego zmierza. Nigdy nie uważałem, że Republika będzie bezpieczna w rękach Pompejusza, ale wiedziałem, że jego dominacja stanowiła mniejsze zagrożenie aniżeli przewaga Cezara.*

*Możesz dowodzić, że Cezar planuje wiele zbawiennych reform. Mój szacunek dla Cezara jest wystarczająco silny, abym powstrzymał się przed popadaniem w sprzeczność. Ostrzegam natomiast – sposoby, za pomocą których reforma jest wprowadzana, mogą podważyć wszelkie korzyści, które w innych okolicznościach owa reforma by przyniosła.*

*Jeśli wierzysz w głębi swego serca, że Cezar zamierza przywrócić Republikę i wycofać się z życia publicznego, wówczas moje obawy byłyby nieuzasadnione, a obrona przeze mnie droga błędna.*

*Ale czy naprawdę w to wierzysz?*

*A nawet gdyby tak się miało stać, czy wierzysz, że przywrócona ręką Cezara i jako rezultat metod Cezara Republika zachować może swą dotychczasową żywotność?*

*Przyznaję, że zmierzam ku kłęsce. Będę walczył o moją sprawę z honorem aż do śmierci. I umrę przekonany, że potomność oceni mnie z większą życzliwością aniżeli przyjaciele Cezara. Niemniej kieruję ten list do ciebie, ponieważ jesteś jedynym przyjacielem Cezara, którego zdanie nadal cenię, i ponieważ mam nadzieję, że da ci to; okazję do zastanowienia się nad niebezpieczeństwami, jakie oznacza dla Rzymu obrona przez ciebie droga. Zrozumiesz, mój drogi Decymusie, że nie podważam twojej cnoty. Nie wątpię, że przystałeś do Cezara z najlepszych i najbardziej bezinteresownych pobudek. Proszę cię jedynie, abys rozważył na nowo, dokąd zmierza Cezar. Abys rozważył następstwa dla Rzymu, dla imperium, dla instytucji Republiki, dla wielkich rodów arystokratycznych, które stworzyły Republikę, wreszcie dla samej wolności, której żaden dzielny mąż, nawet za cenę życia, nie podda panowaniu Cezara.*

*Cesarowi, stwierdzisz może, można zaufać. No cóż, oby tak było. Ale Cezar będzie miał*

*następców. Czy będzie im można zaufać w podobny sposób?*

*Cezar może nadal okazywać pozornie szacunek dla instytucji Republiki, niszcząc je jednocześnie. Konsulowie będą nadal wybierani, Cezar może nawet zarządzić wybory, a mimo to konsulowie będą pozbawieni władzy. Z czasem urząd konsula stanie się jedynie pustym zaszczytem. Władza przejdzie w ręce dyktatora, którego trafniej byłoby nazywać, na sposób grecki, tyranem. Wolność słowa umrze, albowiem nie może rozkwitać, gdy rządy należą do jednostki. Mieszkańcy Wschodu pośpiesznie ogłoszą tyrana bogiem. Nawet Senat tchórzliwie pójdzie za ich przykładem. Cezar być może przyjmie boskie honory ze sceptycyzmem właściwym rzymskiemu arystokracie. Jego następcy jednak zaczną myśleć o sobie jak o bogach, z władzą bogów, wolnością bogów.*

*Oto przyszłość, jaką buduje Cezar. Gdy nadejdzie dzień, w którym arystokrata rzymski uzna za właściwe paść na twarz przed tyranem – jak to czynią ludzie Wschodu przed despotami, pod których jarzmem się znajdują – będzie to skutek zwycięstwa Cezara.*

*Usilnie namawiam cię, abys zastanowił się nad tymi sprawami, drogi Decymusie, i wycofał się, zanim staniesz się pomocnikiem w zniszczeniu wolności, która zależy od przetrwania Republiki.*

*Jestem jak zawsze twoim przyjacielem, teraz równym ci pod względem honoru, ale w przyszłości, którą nakreślam, a której nie dożyję, byłbym ci równy jedynie w niesławie i poddaństwie.*

*Lubienus*

Otrzymanie takiego listu było niebezpieczne. Rozzłościłem się, że pomyślał o wysłaniu go właśnie do mnie. Na szczęście, drobiazgowo badanie ujawniło, że dołożył starań, aby dostarczono go po kryjomu. Prawdopodobnie zatem listu nie przechwycono i nie skopiowano do wiadomości Cezara. Mimo wszystko uważnie go obserwowałem, gdy spotkaliśmy się potem, a także przez kilka następnych miesięcy, usiłując dociec, czy jego zachowanie w stosunku do mnie się zmieniło lub czy odnosił się do mnie z jakąś podejrzliwością.

Oczywiście odrzuciłem argumenty Labienusa. Były próbą robienia dobrej miny do złej gry. Niewielu ludzi umie oprzeć się pokusie usprawiedliwiania swojego postępowania troską o dobro publiczne. Labienus zrozumiał, że dokonał błędnego wyboru. Zwiodła go własna ambicja. Z tego powodu udawał teraz przede mną, a nawet zapewne przed sobą, iż przyłączył się do Pompejusza

nie dlatego, że przewidywał jego zwycięstwo, lecz raczej dlatego, że uznawał jego sprawę za moralnie i politycznie bardziej godną poparcia.

Naturalnie był to zupełny nonsens. Sam siebie zapewniałem wiele razy, że był to nonsens. Wracałem jednak do tego listu, wydobywając go ze skrytki i zastanawiając się nad jego przesłaniem.

Odczuwałem nawet pokusę pokazania go młodemu Oktawiuszowi. Oczywiście w okresie mojego zauroczenia chłopcem. Roztropność mnie powstrzymała. Mogłem kochać młodzieńca do szaleństwa, ale nie byłem tak zaślepiony, aby zakładać, że można mu było zaufać, iż nie doniesie Cezarowi o istnieniu tego kompromitującego listu.

Przychodzą mi teraz do głowy słowa, jakie miał wypowiedzieć Cynceron na wieść o dezercji Labienusa. „Labienus jest bohaterem. Nie dokonano nigdy wspanialszego czynu. Jeśli nic innego z tego nie wyniknie, dopiekl przynajmniej Cezarowi. Wojna domowa spadła na nas nie z powodu wzajemnych kłótni, lecz z powodu jednego zepsutego i ambitnego obywatela”.

Bunt, jak myślałem w owym czasie.

Po Mundzie odszukałem ciało Labienusa. Na jego twarzy gościł spokój. Czy uroniłem łzę?

## ROZDZIAŁ 11

Ogólna radość i uczucie powszechnej szczęśliwości towarzyszyło zakończeniu wojen. Nawet ci, którzy popierali pokonane stronnictwo, nie mogli ukryć ulgi z powodu położenia kresu straszliwym wojnom domowym. Wszyscy czuli, jakby odjęto im wielkie brzemie. Kobiety – uszczęśliwione tym, że ich synowie, mężowie i kochankowie nie będą już składani w ofierze Marsowi – łączyły się w pochwałach dla Cezara. Tej jesieni w rodzinach arystokratycznych została poczęta niezwykajnie wielka liczba dzieci. Gdy Longina doniosła mi o swoim stanie, nie bardzo wierzyłem, że to ja jestem ojcem.

Senatorowie prześcigali się nawzajem, składając propozycje zaszczytów dla Cezara. Cynceron, co warto podkreślić, chociaż zachęcał do ich uchwalenia, zalecał zarazem, aby „nie przekraczały granic ludzkiej godności”. Ale władza przyciąga kreatury i wkrótce przekroczone owe granice. Było rozsądne zarządzić budowę świątyni ku czci Łagodności, albowiem nikt nie mógł zaprzeczyć, że, z wyjątkiem Hiszpanii, łagodność Cezara wobec pokonanych przeciwników zasługiwała na uznanie, zaszczyt dla samego Cezara i dla ludu rzymskiego generalnie. Gdy myślało się o tym, jak barbarzyńscy książęta i ludzie Wschodu zwykli urządzać hekatombę z pokonanych rywali, okazana przez Cezara łagodność odnawiała dumę z Romanitas (używam słowa, które stawało się wówczas modne). Można uznać za właściwe, że mój kuzyn Marek Brutus, który był tak wymownym przykładem wielkoduszności dyktatora, wniósł w Senacie wniosek w tej sprawie. Tym bardziej że niewielu ludzi podzielało mój krytycyzm wobec jego ciężkiej dykcji i pompatycznych frazesów. Wedle powszechnej opinii Brutus przemawiał w sposób godny swoich arystokratycznych przodków. Nigdy nie zrozumiałem, jak to się dzieje, że Marek tak łatwo zyskuje największe pochwały. Przypuszczam, że było coś w jego zachowaniu – w jego braku humoru, niezdolności do ironii – co odpowiadało tępakom stanowiącym większość na każdym zgromadzeniu.

Cezar w szlachetnym, ale i pełnym zakłopotania geście nakazał przywrócić posągi Pompejusza w miejscach, z których je usunięto. Cynceron oświadczył wówczas, że „stawiając na nowo posągi Pompejusza, ustanowił Cezar swój własny po wsze czasy”. Ten retoryczny kwiatek został powitany z głośnym aplauzem.

My, wierni przyjaciele i współpracownicy Cezara od pierwszych groźnych dni wojny

domowej, byliśmy oburzeni służalczością przejawianą teraz przez ludzi, którzy poprzednio nazywali go dziką bestią. Ale właściwie trudno to było uznać za niespodziankę.

Antoniusz okazywał jednak nieufność, a zarazem oburzenie. Nie mógł uwierzyć w szczerość tych, którzy oświadczyli, że na zawsze pogodzili się z Cezarem.

– To nie ma sensu – rzekł – a jednak Cezar zdaje się przyjmować to za dobrą monetę. Do diaska, ja tego nie zrobię. Przekonał mnie, abyśmy zwrócili się do Cezara i nakłonili go do utworzenia gwardii przybocznej. Począwszy od starszego Grakcha, przytaczaliśmy różne przykłady ludzi, których zamordowano, choć uważali się za ulubieńców ludu. Nie zawahałem się uzupełnić listy o imiona kilku greckich tyranów, ponieważ chciałem, aby Cezar zrozumiał swą samotność i związane z nią zagrożenia.

Cezar wysłuchał naszych argumentów i następnie odpowiedział na nie głośno, aby jego słowa mogło usłyszeć więcej osób. Po czym podniósł rękę i uśmiechnął się.

– Szanuję wasze pobudki, moi przyjaciele, ale Cezar nie zniży się do tego, aby prowadzić życie na wzór wschodniego despoty. Lepiej raz umrzeć niż żyć w obawie przed śmiercią.

Nie mogliśmy nakłonić go do zmiany decyzji.

– Czy słyszałeś kiedykolwiek podobny nonsens? – spytał Antoniusz.

Nie po raz pierwszy odrzucił moją radę. Wysuwałem argumenty przeciwko uczczeniu zwycięstwa w Hiszpanii triumfem.

– Cezarze – mówiłem – pomysł zarówno nie ma precedensu, jak i budzi niechęć. Nawet Sulla nigdy nie odbywał triumfu dla uczczenia zwycięstwa nad obywatelami rzymskimi. Triumfy, jakie odbyłeś w ubiegłym roku, miały odmienny charakter. Przyszaję, iż twierdzenie, że wszystkie one upamiętniały zwycięstwa nad cudzoziemcami, nie było całkiem uczciwe. Niemniej jest prawdą, że jeśli nawet, na przykład, Scypion i Katon byli twoimi głównymi przeciwnikami w Afryce, triumf mogła usprawiedliwiać rola, jaką w owej kampanii odegrał król Juba. Ale w Hiszpanii było inaczej. Starliśmy się i pokonaliśmy wyłącznie Rzymian, a niewłaściwe jest cieszyć się klęską i śmiercią ludzi, z którymi łączyły nas więzy krwi i dawnej przyjaźni. Ukazałeś swą wielkoduszność, podejmując decyzję o uczczeniu Pompejusza. Grozi ci zaprzepaszczenie efektu, jaki to wywołało, jeśli teraz uprzesz się przy pokazie publicznej radości z powodu śmierci Labienusa i zagłady rodziny Pompejusza.

Zrozumiałem od razu, że posunąłem się za daleko. Nerw drgał na jego policzku, nieomylny

znak budzącego się gniewu.

– Opowiadasz głupstwa, Myszo. Labienus zdradził mnie, czego Katon nigdy nie uczynił. Ceniłem go jako człowieka i dawałem często publicznie wyraz najwyższego dlań szacunku. Opuszczając mnie, dopuścił się zdrady. Poza tym Munda była najcięższą bitwą, jaką kiedykolwiek stoczyłem. Nie proszę mnie, abym nie cieszył się z tego zwycięstwa oraz ze śmierci Labienusa.

– Prywatna radość to jedna sprawa. Doskonale zrozumiała. Wiesz, że podzielam twoje uczucia, nawet jeśli nie mogę powstrzymać się od żalu, że nasz stary towarzysz nie był lojalny i skazał się przez to na hańbę. Ale publiczny triumf jest czymś innym. To zło samo w sobie z przyczyn, jakie wyłożyłem. A zarazem niepolityczne. Otworzy ponownie rany, które na wszelkie możliwe sposoby starasz się zaleczyć. Nie możesz zakładać, że wszyscy ludzie powiązani przez rodzinę lub przyjaźń z tymi, których pokonaliśmy w Hiszpanii, nie oburzą się gorzko z powodu odbycia takiego triumfu. Oburzenie będzie jątrzyć. Poza tym zdaje mi się, że radując się dniem sławy, nie tylko zrazisz setki osób gotowych teraz odnosić się do ciebie z życzliwością, ściągniesz też na siebie wieczny wstyd.

– Zapominasz się, Myszo. Zapominasz, że mówisz do Cezara.

Jego upór wprowadził mnie w zakłopotanie. W dawnych czasach, powtarzałem sobie, Cezar był otwarty na głos rozsądku. Znał swą skłonność do zapalczywości i nieraz dawał się odwieść od niemądrych pomysłów tym, których rozsądkowi ufał i których szanował. Nie uczyniłem nic, aby podkopać to zaufanie i szacunek, potraktował jednak moje ostrzeżenie, jakbym był jakimś bezczelnym osobnikiem bez znaczenia. Jego zachowanie zasmuciło mnie, nie tylko ze względu na obraźliwy sposób, w jaki odrzucił moją sugestię, lekceważąc wszystko, co dla niego zrobiłem, ale i dlatego, iż byłem pewien, że moja rada była dobra, a jego postępowanie głupie.

Śpieszył się więc z triumfem i obstawał przy tym, abym ja sam zajął honorowe miejsce w pochodzie. Niestety dzień wcześniej dostałem ataku malarii, a mój grecki lekarz chętnie wystawił za świadczenie stwierdzające, że nie mógłby odpowiadać za moje zdrowie, gdybym wziął udział w uroczystościach. Cezar udał, iż przyjmuje to za prawdę, wiedziałem jednak, że był niezadowolony.

Przyjęcie triumfu było takie, jak przewidywałem. Oczywiście pospolity motłoch, zawsze zachwycony spektaklem, oklaskiwał go ze zwykłym entuzjazmem, ale wśród ludzi o pewnym znaczeniu zrobił on złe wrażenie. Uznali za hańbę radowanie się z nieszczęść, jakie dotknęły

Republikę, i to w wojnach, których nie mogło usprawiedliwić nic poza okrutną koniecznością ani w oczach ludzi, ani przed bogami. Tak więc reputacja Cezara ucierpiała, a Cynceron pytał: „Jaką cenę ma teraz łagodność? Prawdziwa łagodność winna obejmować pamięć rzymskich zmarłych, bez względu na to, w jakiej sprawie zginęli. Jak ma zostać przywrócona zgoda, jeśli zaprasza się nas raczej do świętowania aniżeli opłakiwania śmierci naszych przyjaciół i krewnych?”

Moja argumentacja, mógłbym dodać, szkodziła moim własnym interesom. Włożyłem sporo w szkołę gladiatorów, gdyż nastąpiło na nich ogromne zapotrzebowanie w związku z igrzyskami odbywanymi przy okazji triumfu. Ceny były wysokie i odniosłem znaczne korzyści finansowe. Chętnie bym z nich jednak zrezygnował, aby oszczędzić memu krajowi i wodzowi hańby tego triumfu.

Byłem tak wzburzony owym epizodem, że podjąłem ryzyko wyrażenia swych uczuć w liście do Oktawiusza.

*Mój drogi Oktawiuszu,*

*Otrzymaś wieści, że Cezar postanowił odbyć triumf, aby uczcić nasze zwycięstwa w Hiszpanii. Jestem pewien, że twoje odczucia w tej sprawie będą takie same jak moje. Nic nie może splamić sławy Cezara. Nic nie może kazać mi wątpić w nieuchronność tych strasznych wojen. Nikt, jak możesz za świadczyć, nie walczył ciężiej niż ja w Hiszpanii i jestem pewien, że zgodziś się ze mną, iż nikt nie służy pilniej sprawie twojego wuja ani nie jest mu bardziej wierny. To wiosnie miłość, jaką żywię do niego, i miłość, jaką żywię do ciebie, który – jak mniemam – zostaniesz jego dziedzicem, powoduje, że chwytam za pióro, chcąc błagać cię, abyś próbował wpłynąć na niego w tym samym kierunku co ja.*

*Oto nadszedł czas na umiarkowanie i zgodę. Konieczne jest podtrzymywanie tych wartości, jeśli Republika ma zostać przywrócona w sposób, jakiego pożądamy i o jakim rozprawialiśmy. Zgadzamy się, czyż nie, że główny problem polega na tym, jak połączyć wolność z porządkiem, jak ożywić szlachetne tradycje Republiki, nie poświęcając tego, o co walczyliśmy.*

*Nie ma nikogo (z wyjątkiem, rzecz jasna, Cezara), czyją mądrość szanowałbym i czyje zdanie cenilbym tak jak twoje. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać twoja zdolność łączenia młodzieńczego zapału z rozwagą, której można by oczekiwać od męża dwakroć od ciebie starszego. A jednak zawahałem się przy tym zdaniu, albowiem daje się zauważyć, że podeszłe lata mogą osłabić zdrowy sąd, a sukces zrodzić brawurę.*



*Piszę to także, aby ostrzec cię przed ciągle żywymi niebezpieczeństwami, i oczywiście, aby zapewnić cię o moim niestabnym uczuciu.*

*Na pewno ucieszy cię wiadomość, że zostanę ojcem.*

*Ufam, że twoje studia idą dobrze i że wkrótce wrócisz do Rzymu, tak więc będę mógł cieszyć się urokiem twojego towarzystwa oraz korzystać z twoich opinii, które, jestem pewien, zawsze będą miały na względzie przywrócenie zdrowych zasad w życiu publicznym.*

Podpisałem się: „Twój kochający przyjaciel”.

Jakkolwiek starannie doбираłem słowa, był to, dobrze o tym wiedziałem, niebezpieczny list. A jednak wydawało mi się to konieczne, gdyż nie potrafiłem patrzeć bez niepokoju na nieroztropność postępowania Cezara i na zagrożenia, jakie mogły z niej wynikać dla Oktawiusza i dla mnie, i dla samego Cezara.

Wysłałem list przez zaufanego niewolnika z poleceniami, aby dostarczył go do rąk własnych Oktawiusza i zczekał na odpowiedź, którą miał przekazać wprost do mnie.

*Najdroższa z Myszy,*

*Gratulacje z powodu zbliżającego się ojcostwa. Zawsze wiedziałem, że nosisz je w sobie. Co do innych spraw, o których rozprawiasz tak roztropnie, przemawiając z mądrością Cycerona, jeśli nie Solona, bądź pewien, że będę zastanawiał się nad nimi w każdej chwili wolnej od moich bieżących pasji, które ze swej natury nie nadają się do opisywania. Wystarczy powiedzieć, że Grecja ma do zaoferowania przyjemności także w dziedzinach innych niż literatura i filozofia. Doprawdy tylko najsurowszy filozof mógłby okazywać obojętność wobec dostępnych tu pokus.*

*Sprawy publiczne wydają się odległe od tego idyllicznego apollińskiego otoczenia. Wiem wszakże doskonale, że wkrótce z całą siłą spadną one na mnie, i jestem ci wdzięczny, moja droga Myszo, za troskę, z jaką pilnujesz moich interesów. Zawsze będę dawał ci się prowadzić we wszystkich sprawach, ponieważ cenię twoją wrażliwość. Znam i podziwiam twoją roztropność. Zgadzam się z tobą we wszystkich kwestiach i przyznaję, że nastał czas rozważki i zgody.*

*Winniśmy ostrożnie zachowywać się w obliczu bogów, którzy karzą szybko zarozumiałość zwykłych śmiertelników.*

*Przez wcześniejszego posłańca wysłałem dzisiaj list do mojego wuja, nie ma zatem potrzeby, abym obciążał cię prośbą przekazania mu ode mnie należnych wyrazów miłości i szacunku.*

*Mecenas i Agryppa, chociaż często nie zgadzają się ze sobą, są, każdy na swój sposób, sympatycznymi i pobudzającymi towarzyszami. Wierzę w ich rozsądek, ale bardziej ufam tobie, a najbardziej swojemu własnemu rozumowi.*

*Przesyłam ci wszystko, cokolwiek zechcesz przyjąć ode mnie, będąc pewnym, że nie zażądasz czegoś, czego dać ci nie mogę*

*Oktawiusz*

Ów list wywołał odrodzony, lecz rychło zduszony, spazm pożądania. Podziwiałem dyskrecję chłopca, byłem świadom, że tego samego oczekuje się ode mnie w sytuacji, która zdawała się nad wyraz kłopotliwa.

Pytanie „Co zrobi Cezar?” było na ustach wszystkich. Nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby nie zaznaczyć końca wojen domowych przez przeprowadzenie gruntownej przebudowy państwa i ustroju. W końcu nawet wielu stronników Pompejusza przyznawało, że wojny domowe w równej mierze były spowodowane ambicją Cezara, jak i upadkiem Republiki. Niewielu zgadzało się ze starym Cyncerem, że potrzebna jest jedynie odnowa ducha.

Sam Cyncer usunął się, zapewne z oburzenia, do swego majątku w Tuskulum, gdzie zabawiał się filozofią, o której nie tylko pisał, ale i nauczał o niej grupę młodych arystokratów, z upodobaniem mu schlebiających. Wspominał także o spisaniu historii Rzymu, ale odstąpił od owego zamiaru, usłyszawszy, że Cezar nie patrzy łaskawym okiem na to przedsięwzięcie. Zaskoczyło go to, albowiem ilekroć się spotykali; Cezar zwykł odnosić się do niego z sympatią. A jednak sprzeciw Cezara wobec projektu był jak najbardziej poważny.

– Zajęłoby to starego człowieka i odciągnęło od robienia głupstw – rzekł do mnie – co jest z pewnością okolicznością sprzyjającą. Zasmakowalibyśmy przy okazji całej sztuki retorycznej Cyncerona. Ale mimo wszystko nie mogę wyrazić zgody. Kiedy Cyncer zasiada do pisania, zaczyna go ponosić. Niezobowiązująca rozmowa przy stole biesiadnym nie obraża mnie, nie życzę sobie jednak, aby Cyncer przekazał potomności ostateczną wersję mojego życia. Jego zdolności literackie są tak wielkie, że wszyscy dobrze wiemy, iż zostałaby ona uznana za ostateczną. Tak więc daj sygnał, Myszo, staruszkowi, aby nie posunął się dalej.

Co też uczyniłem, ku niewątpliwie wielkiej konsternacji Cyncerona. Przeraziła go myśl, że wzbudził niezadowolenie Cezara.

– Jak mógł pomyśleć, że stary człowiek podjąłby się tak ciężkiego zadania? – rzekł. – Ogromnie proszę, zapewnij Cezara, że nie zdarza mi się o nim mówić inaczej niż dobrze.

Była to jawna nieprawda, jak wszyscy wiedzieli, ale zbyłem to milczeniem, podczas gdy Cynceron ciągnął dalej:

– Chciałbym, abyś uczynił coś, co mogłoby go skłonić do podjęcia właściwego rodzaju działalności. Gdy myślę o tym, jak Sulla wykorzystał swą dyktaturę, dążąc do wykorzenienia słabości i przywrócenia stabilności w Republice, jestem zadziwiony opieszałością i samozadowoleniem Cezara. Wiesz, jak go poważam. Znasz bezmiar mojego uczucia do niego. Świadomość własnej cnoty pozwala mi nalegać, abyś porozmawiał z nim o tych sprawach. Od władzy Cezara – jakiej nie miał żaden człowiek od czasów Sulli, przewyższającej nawet być może władzę samego Sulli – zależy teraz ułożenie wszystkiego na rozsądnej płaszczyźnie. Słyszałem, że zamierza wyznaczyć konsulów i pretorów na następne pięć lat z rządu, przekształcając tym samym wybory w zwykłą formalność, a więc szydząc zarazem z naszych wzniosłych tradycji wolności. Zaprzeczałem oczywiście pogłoskom i zapewniałem ludzi, że Cezar nie uczyniłby nigdy czegoś tak potwornego. Powtórz mu to, co mówię, powiedz, że robię wszystko, co w mojej mocy, aby uciszyć zdradzieckie pogłoski, i ostrzeż go, iż szerzenie się takich opowieści szkodzi jego reputacji. Reforma ustrojowa – umiarkowana, konserwatywna reforma – jest najpilniejszym zadaniem, jakie przed nim stoi. Jestem gotów naszkicować projekty niezbędnych zmian. Ty, mój drogi Decymusie Brutusie, wiesz lepiej niż inni – mówię to, ponieważ podziwiam twój zmysł obserwacji i oceny – że jestem człowiekiem najlepiej do tego przygotowanym, albowiem ambicje osobiste nie mają już teraz dla mnie żadnego znaczenia. Nie można przypuszczać, abym w wieku sześćdziesięciu dwóch lat żywił jakieś nadzieje, czy choćby pragnienie, odegrania wybitnej roli w życiu publicznym. Sprawiają mi radość i zapewniają dość szczęścia moje książki i ogród. W głębi serca pragnę jedynie służyć, zrobić coś więcej, nawet ponad i poza wielkimi zasługami, jakie oddałem, zyskując sobie tytuł Ojca Ojczyzny – który cenię bardziej niż wszelkie inne zaszczyty – co skłania mnie do sugestii, że mogę wyświadczyć ostatnią przysługę Rzymowi i Cesarowi. Zapewnij go w związku z tym o mojej gotowości, ale podkreśl, usilnie cię proszę, brak jakiegokolwiek ambicji osobistej w moich propozycjach.

I tak dalej, i tak dalej. Gdy Cynceron mówił, można było bez pośpiechu opróżnić cały dzban wina. Prawdę powiedziawszy, Cyncerona zbył głęboko zaprzętały problemy życia prywatnego, aby mógł podjąć takie zadanie, nawet gdyby życzył sobie tego Cezar i nawet gdyby był nadal

zdolny do jego spełnienia (a nie sądzę, aby był) lub potrafił przeprowadzić je w sposób miły Cezarowi. Rozwiódł się niedawno ze swą żoną Terencją, chociaż przeżyli razem ponad trzydzieści lat. Utrzymywał, że zaniedbywała go w czasie wojny domowej, a nawet pozostawiła bez niezbędnych środków do życia. Twierdził ponadto, że doprowadziła go do ruiny, zaciągając ogromne długi, że jego dom został ogołocony i opustoszony w rezultacie jej nienasyconej ekstrawagancji, a kiedy jego córka Tullia wyjechała mu na spotkanie do Brundyzjum po bitwie pod Farsalos, Terencją wysłała ją na południe z niewystarczającą liczbą służących i skromnym zapasem żywności. Wszystko to brzmiało niedorzecznie. Naprawdę zaś chodziło o to, że stary filozof miał na oku dziewczynę tak młodą, iż mogłaby uchodzić za jego wnuczkę, i że był zdecydowany ją poślubić. Do niebagatelnych jej zalet należał majątek, jaki wносиła, a Cynceron rzeczywiście tonął w długach, choć to raczej on aniżeli Terencją ponosił winę. Prawda była taka, że stary koziół pożądał młodej narzeczonej, i ten obraz zaprzętał mój umysł, gdy nie przestawał paplać o potrzebie reformy ustrojowej oraz o swojej gotowości napisania stosownego projektu.

## ROZDZIAŁ 12

Choć może Cynceron i jest obecnie starym gadułą, nie mogłem jednak zaprzeczyć, że mówił rozsądnie. Zaznaliśmy strasznych wojen, wojen, których nikt – nawet Cezar, o czym tak często nam przypominał – nie chciał, a które toczyły się z tego prostego powodu, że tradycyjny system polityczny Republiki przestał odpowiadać potrzebom imperium.

(Wyjaśniałem ci to, Artiksese, o ile pamiętasz, ale wybaczone, jeśli powtórzę raz jeszcze, co mówiłem wówczas, używając najprostszych słów obliczonych na zrozumienie przez barbarzyńskiego, choć czarującego młodzieńca).

Tym właśnie problemem zaprzętałem sobie głowę przez całą jesień. Była to złota jesień, jak sobie przypominam, jedna z tych, gdy każdy dzień zdaje się przesycony świeżością, która wzywa ludzi do czczenia bogów, a ciepłem zachęca do zażywania wszelkich przyjemności fizycznych. Żar dnia zapraszał wręcz do próżnowania, wiejący zaś od strony Kampanii lekki wietrzyk skłaniał do zadumy. My, starzy żołnierze, zasłużyliśmy sobie na odrobinę rozleniwienia. My, politycy, którzy musieliśmy rozstrzygnąć, w jaki sposób najlepiej przeprowadzić reformy, potrzebowaliśmy tych chwil refleksji.

Kaska kpił sobie z moich trosk.

– Bierz, co dają bogowie, i bądź wdzięczny.

W mieście pojawiły się pogłoski, że Cezar zamierza wprowadzić Galów i innych barbarzyńców do Senatu w takiej liczbie, że my, arystokraci rzymscy, stalibyśmy się przedmiotem lekceważenia. „To niemożliwe” – mówili nawet ci, którzy z największą gorliwością rozgłaszali pogłoskę.

– Jaki jest cel kariery rzymskiego arystokraty w życiu publicznym? – zapytał mój teść, a teraz przyjaciel, Kasjusz. I sam odpowiedział na swoje pytanie. – Dążenie do godności i władzy.

A co zaplanował Cezar?

Przeprowadził oczywiście pomniejszych reformy. Na przykład poprawił kalendarz, do czego przywiązywał zresztą ogromną wagę.

– Jestem praktycznym człowiekiem, Myszo – rzekł – zainteresowanym praktycznymi sprawami. Nie ma nic bardziej praktycznego niż mierzenie czasu. W przeszłości rzymskie

miesiące zaczęły tak bardzo rozmijać się z porami roku, że święta i dni ofiarne przypadały na zupełnie inne okresy aniżeli te, dla których zostały stworzone. Zdarzyć się nawet mogło, że ofiarę w intencji błogosławienia siewu zbóż składano wówczas, gdy kłosa się już złociły. Czy słyszałeś o czymś równie niedorzecznym, mój drogi przyjacielu? Król Numa [Numa Pompiliusz – następca Romulusa na tronie rzymskim (? 715-673 r. p.n.e.). – przyp. tłum], wielki, poważany przez naszych przodków prawodawca, próbował temu zaradzić. Kiedy świat zdawał się za bardzo stawać na głowie, nakazał kapłanom wprowadzenie miesiąca przestępnego, zwanego Mercedonius. Ale nawet to okazało się nieskuteczne. Poszedłem jednakowoż za radą największych mędrców, głównie Greków i Egipcjan, i zaproponowaliśmy nowy porządek rzeczy, nowy kalendarz, który usuwa dawne wady i na zawsze zaprowadza ład.

Mógł w ten sposób rozprawiać całymi godzinami. Było to niezwykle. Cezar, tak szybki w działaniu, tak dowcipny w ciętych odpowiedziach, mężczyzna, którego damy nazywały „żywym srebrem”, bywał zarazem najbardziej przerażającym nudziarzem. Przypuszczam jednak, że dotyczy to większości ludzi, kiedy zaczynają mówić o swoim koniku.

Bez końca potrafił opowiadać o planach przekopania kanału przez Przesmyk Koryncki i wynikających z tego korzyściach dla kupców, którzy nie musieliby narażać się na niebezpieczeństwa związane z koniecznością opływania Peloponezu. Podobną przyjemność sprawiało mu rozprawianie o tym, jak tuż za Rzymem skierować Tybr w bok przez głęboki kanał ku Przylądkowi Cyrcejskiemu, gdzie miał wpadać do morza koło miasta Tarracyny.

– Handlarze z Ostii pewnie będą narzekać, ale cóż z tego? W każdym razie powinienem oczyścić wybrzeże z tajemniczych i groźnych zatorów.

Następnie zaproponował osuszenie bagien pomptyjskich koło Nomentum i Setii w celu uzyskania terenów pod uprawę roli, na których można by osiedlić wiele tysięcy ludzi.

I tak dalej... Jego projektom ulepszeń społecznych i technicznych nie było końca.

Wszystko to wyglądało obiecująco. Świadczyło o tym, że jego bystry umysł nie stracił nic ze swej inwencji i żywości.

Ale gdy odważyłem się zapytać ponownie, w jaki sposób zamierza zreformować ustrój państwa, aby uniemożliwić na przyszłość kariery takie jak jego własna, zrobił niezadowoloną minę i odmówił odpowiedzi.

Jak dotychczas starałem się w tym pamiętniku (który nie jest, co podkreślam, dziełem służącym usprawiedliwieniu mojego postępowania, lecz raczej traktatem obliczonym na

udzielenie nauki przyszłym pokoleniom), tak i tym razem spróbuję mówić z całą szczerością, na jaką mnie stać.

Może nikomu nie udałoby się przywrócić Republiki. Uniwersalny charakter naszego imperium może stanowić zasadniczą przeszkodę, uniemożliwiającą ponowne połączenie porządku z wolnością.

Właśnie o tym zagadnieniu dyskutowałem z młodym Oktawiuszem. Zareagował na ową kwestię z całym pesymizmem charakterystycznym dla młodości.

– Imperium musi mieć swojego najwyższego władcę – rzekł – a mój wuj uczynił siebie jego panem, osiągnął więc to, czego Pompejuszowi się nie udało.

– Sulla był takim panem – odrzekłem. – Wprowadził zmiany w państwie i wycofał się z życia publicznego.

– I jak długo przetrwał stworzony przez niego ustrój?

Znajdowaliśmy się w altanie w ogrodzie jego ojczyma. Wiecznie zielone dęby osłaniały przed popołudniowym słońcem. Jaszczurka przebiegła po murze. Niewolnik przyniósł nam wino, po czym go odprawiliśmy. Zawołał go wtedy ojczym Oktawiusza, Filip, który na wpół pijany leżał w drugim końcu ogrodu, oddając się lenistwu. Mówiliśmy przyciszonym głosem, chociaż nikt nie mógł nas słyszeć. Działo się to mniej więcej na miesiąc przed rozpoczęciem kampanii hiszpańskiej, gdy Oktawiusz dał mi wyraźnie do zrozumienia, że stosunki między nami muszą ulec zmianie.

– Czego chcą ludzie? – zastanawiałem się. – Przede wszystkim zaszczytów.

– No cóż, o to można się zatroszczyć, prawda?

– Wolności od obaw.

– Z tym będzie gorzej.

– Swobody korzystania w całej pełni ze swych praw.

– A jeśli doprowadzi to do konfliktu jednego człowieka z drugim, jak to się stało w przypadku mojego wuja i Pompejusza? Co wtedy?

Pogładził swe uda. Przez chwilę doznałem uczucia oszołomienia, jak zwykle zdumiony tym, że będąc tak świadom piękna własnego ciała, potrafił jednocześnie prowadzić intelektualne rozważania na różne tematy.

– Czy wiesz, co zmieniło się w Rzymie? – zapytałem.

Wspomnienie rozmów z Oktawiuszem wprawia mnie w zakłopotanie. Zarówno wówczas,

jak i (jeszcze bardziej) teraz jego źródłem było poczucie pewnej dwoistości. Przyjmowało ono dwie formy. Z jednej strony chodziło o rozdwojenie, jakie opisywali filozofowie. Jak w dialogach Sokratesa, gdzie abstrakcyjne zagadnienia filozoficzne są rozpatrywane w atmosferze wysoce nasyconej erotyzmem. Dwoistość taka niepokoi i nęci zarazem.

Ale był jeszcze jeden rodzaj rozdwojenia, które niepokoiło mnie mocniej. Nigdy nie miałem pewności, który z nas – doświadczony wódz, człowiek czynu, prawie posiwiwały mąż stanu, czy bezbrody chłopiec, golący swe uda za pomocą rozpalonej do czerwoności migdałowej skorupy i zachwycający się swym pięknem, jak to czy nią najbardziej bezmyślne kobiety – który z nas był nauczycielem, a który uczniem. Czy gram Sokratesa przed Alkibiadesem, czy jestem Alkibiadesem udzielającym lekcji Sokratesowi?

Gdy więc zapytałem wówczas: „Czy wiesz, co zmieniło się w Rzymie?”, nie wiedziałem, nawet wypowiadając te słowa, czy zabierałem się do pouczenia go, czy też szukałem odpowiedzi. Naturalnie zamierzałem go pouczyć, bo cóż mógłby mi powiedzieć na ten temat?

– Tak, oczywiście – odezwał się wtedy. – Rzym sam lub z woli bogów stał się zgromadzeniem wolnych mężów, korzystających z prawa do głosowania na Forum nad sprawami, które bezpośrednio ich dotyczyły i co do których, jak można by oczekiwać, mogli powziąć sensowne decyzje. A teraz ludność rzymska, która nadal korzysta, przynajmniej nominalnie, z tych samych praw do głosowania, która nadal twierdzi, że jest źródłem władzy politycznej, składa się z próżniaczego tłumu nierobów, sprzedających swe głosy osobom oferującym najwyższą cenę albo głupio i najgłośniej gardłującym. – Przerwałem mu. Uśmiechnął się. – Dalejże, mój drogi, zaprzecz mi, jeśli masz odwagę.

– Powiedziałeś to, o czym zamierzałem sam mówić. I jaki z tego wniosek?

– No cóż, mój drogi, skoro tym razem tak wyraźnie się ze sobą zgadzamy, pozwól, że będę się domagał, abyś ty udzielił odpowiedzi.

– Odpowiedź jest taka, że ten rodzaj polityki, który opiera się na ludzie – polityka wyborów, polityka, od której zależy obiór urzędników, a także wyznaczanie przywódców kierujących losami Rzymu – stał się zwykłą farsą.

– Kłamstwo – roześmiał się. – Gra, którą najuczciwszy spośród arystokratów sam uprawia w najbardziej cyniczny sposób.

Pociągnął łyk wina, następnie zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem, wziął ciemnopurpurowe winogrono z talerza stojącego na kamiennym występie za jego łóżem i obrał je



delikatniej paznokciem wskazującego palca.

– Moja najdroższa Myszo – rzekł. – Nie ma nic do zrobienia, Właśnie dlatego ludzie inteligentni, jak ty i ja, a zwłaszcza mój wuj, prą do czynu, chcąc przekonać samych siebie, że coś jeszcze warto jest zachodu. Z drugiej strony, popatrz na mojego ojczyma. Już jest pijany, chociaż to dopiero wczesne popołudnie. I będzie pił dalej. Czemu nie? Bogacz z niego. Nie musi grać żadnej roli. Nie dlatego, że uważa każdą za niegodną swych zdolności, które nawiasem mówiąc ogromnie przecenia, ale dlatego, że uważa swojej zdolności za niegodne jakiegokolwiek zadania, które mogłoby przed nim stanąć. Ktoś mi powiedział parę dni temu, że cynik to mąż, który zna cenę wszystkiego i wartość niczego. Czy wiesz, co odparł na to mój przyjaciel Mecenas? „Ależ nie – rzekł – cynik zna wartość wszystkiego i wie, że nie jest ono warte żądanej zapłaty”.

Sprawiło mi przykrość, że przywołał słowa Mecenasa, ale nie mogłem nie zgodzić się z jego oceną.

No cóż, Artiksesie, znajduję się tutaj jako zakładnik, jeniec twojego ojca, i będę z tobą całkiem szczerzy, wyrokiem losu także ofiara twojego ojca, albowiem nikt nie zapłaci ceny, jakiej mógłby zażądać za moje uwolnienie. Gdzie tu cynizm?

## ROZDZIAŁ 13

Na przełomie jesieni i zimy Cezar dał się porwać nowym marzeniom. O wyprawie przeciwko Partii. Przyznaję, że w innej sytuacji plany te byłyby uzasadnione. Partowie zachowywali się zuchwale i agresywnie. Zwycięstwo nad Markiem Krassusem pod Karrhae nauczyło ich pogardy dla Rzymu. Zagrożali bezpieczeństwu wschodniej granicy naszego imperium. W grę wchodziła także kwestia Armenii, królestwa wysuniętego na południe i skazanego z tego powodu na dominację Rzymu lub Partii.

Nie o tym jednak myślał Cezar, gdy zdecydował się na przedsięwzięcie, którego śmiałość przekraczała wszystko, co zrobił w przeszłości. Nie chodziło też wcale o to, że dał się namówić Kleopatrze, którą umieścił teraz w pałacu – jeśli dobrze pamiętam – na Eskwilinie i którą odwiedzał co wieczór na godzinę przed wieczerzą, czasami naprawdę pozostając tam na posiłek, a czasem o wiele dłużej. Jako córka Wschodu chciała zobaczyć upokorzenie Partii, lecz jak mi sama wyznała, miała jeszcze inny powód.

– Zrozumiałam, Myszo, moja biedna Myszo – powiedziała tonem, jaki mógł brzmieć pieszczotliwie w uszach każdego mężczyzny, który nie zachował słów Klodii w swej pamięci – że tutaj, w tym nie ciekawym, staroświeckim Rzymie, który jest tak nudny – dlaczego nikt nie ostrzegł mnie przed tym, jak nudny jest Rzym? – nie mogę być niczym więcej niż zabawką Cezara. Jego egzotyczną zabawką, jak jakiś łobuz rzekł parę dni temu – zuchwałość, za którą, z radością to mówię, dostał tęgie baty. Ale na Wschodzie, w Partii, Cezar i Kleopatra mogą królować jak Słońce i Księżyc. Nie będziemy mieli sobie równych. Chcesz wiedzieć, czy przynaglam go do podjęcia tej kampanii? Wcale go nie trzeba, Myszo, mocno namawiać. Cezar należy do tych ludzi, którzy muszą ciągle iść dalej i zapuszczać się na coraz bardziej niebezpieczne obszary, aby wypełnić swoje Przeznaczenie. A... – uśmiechnęła się jak kociątko zmieniające się właśnie w kota – ...Kleopatra jest częścią tego Przeznaczenia. Tkwimy w jednym jarzmie. Nie pojmuję, jak może znosić tę ponurą Kalpurnię. Przypuszczam, że to część wielkiej nudy Rzymu.

Niewątpliwie jej naleganie odegrało swoją rolę. Ale w rzeczywistości niemal w ogóle nie musiała nalegać.

Albowiem Cezar był naprawdę znudzony. Cudowna rozwaga, umiar, poczucie tego, co

możliwe, zdawało się uchodzić z niego, jak bóg uchodził z Herkulesa. Cezar, który kiedyś, szczypiąc mnie w ucho, rzekł: „Zawsze, Myszo, pamiętaj, że są dwie zasady polityki. Pierwsza, że polityka jest sztuką tego, co możliwe, druga, że podejmując ryzyko, możemy powiększyć zakres swoich możliwości”, teraz patrzył na Rzym i jego politykę ze wstrętem.

– Co osiągnąłem, Myszo? Zyskałem wielką sławę. Zdobyliśmy sławę i osiągnęliśmy sukcesy, dorównując niemal Aleksandrowi. Góruję nad Rzymem jak żaden człowiek od czasów Sulli. Sulla! Wiesz, jak zawsze go nienawidziłem i jak nim pogardzałem. A jednak po tak wielu bitwach, tak wielu kampaniach stałem się niczym więcej, zdaje się, niż drugim Sullą. Myszo, mam pięćdziesiąt sześć lat. Cezar nie może skończyć na ustalaniu, kto zostanie konsulem tego roku, a kto następnego, jakie zero obejmie urząd pretora, kogo należy okpić w ten, a kogo w inny sposób. Czyż ja, potomek Wenus, dowiodłem, że jestem wybrańcem bogów, po to tylko, aby słuchać pouczeń Cyserona, jakkolwiek przybranych frazesami pełnymi szacunku, a nawet bojaźni? Czy mam się przejmować tym, że jedno arystokratyczne stronnictwo chce tego, a inne tamtego urzędu? Czy mam zabiegać o poklask tłumu, którym każdy mąż odznaczający się inteligencją, wrażliwością i geniuszem musi pogardzać? Nie, Myszo, cóż zyskam, spędzając resztę moich dni na poprawianiu tego lub owego, na wymierzaniu praw, którymi sam pogardzam, śmierzącemu pospólstwu, co czci Cezara, gdy urządzi widowiska i triumfy, a obróci się przeciwko niemu, gdy tylko los przestanie mu sprzyjać?

Myszo, wiesz aż nazbyt dobrze, ty, którego kocham prawie jak własnego syna, że nie mogę zadowolić się równie nużącymi sprawami, tak błahymi obowiązkami. Poznaliśmy szczyk bitewny, w którym człowiek się odradza, spalone miasta, gdzie widzi się boski blask sławy, tonące okręty, gdzie nasi nieprzyjaciele trafiają do bogów, którzy władają morzem, wznosząc ręce ku górze, a od nas zależy, czy każemy im umrzeć, czy pozwolimy żyć. A ty każesz mi wyrzec się tego wszystkiego dla... zarządzania zepsutym i parszywym państwem?

Myszo, pomyśl o Partii, o tym całym niezmiernym imperium ciągnącym się wśród bezmiaru piasków, tych piasków, w których Marek Krassus – równy mi przez parę miesięcy we władzy, przewyższający mnie bogactwem, lecz ustępujący we wszystkim innym – tak haniebnie zginął. Słyszałem, że żyją tam jeszcze nadal rzymscy legioniści z jego armii, wzięci w tej strasznej bitwie i przez cały czas od tamtej pory trzymani w niewoli. Czy nie byłoby chwalebnym czynem sprawić, aby powrócili do domów i rodzin, sprowadzić ich z powrotem pod opiekę ojczystych bogów?

Partia, Myszo, jest spadkobierczynią Persji, którą podbił Aleksander. Kiedy byłem w Egipcie, zapytano mnie, czy chcę zobaczyć grobowiec Aleksandra i spojrzeć na zabalsamowane oblicze największego zdobywcy, jakiego znał świat. Ale Cezar nie chciał, Cezar odmówił i wszyscy się dziwili. Niektórzy szeptali nawet: „Cezar wstydzi się, że nie dorównał jeszcze Aleksandrowi”. Nikt nie odważył się rzec tego mnie, nie mogłem jednak nie usłyszeć tych szeptów. I w głębi serca wiedziałem, że mówią prawdę. W istocie rzeczy od czuwałem wielką zazdrość wobec Aleksandra, który przez całe swe życie nie zaznał owych błahych obowiązków politycznych, pętających mnie konieczności. Wiedziałem, w skrytości ducha wiedziałem, że dopóki mu nie dorównam, nie będę mógł na niego spojrzeć...

– Ależ Cezarze – próbowałem się wtrącić – pomyśl o Galii, zważ na Farsalos...

Zbył moją uwagę milczeniem.

– A więc Partia. Ujarzmić to imperium, jak Aleksander ujarzmił potęgę Dariusza. I wtedy znowu podążyć za moją gwiazdą... gdziekolwiek mnie poprowadzi... może do Indii, gdzie zatrzymał się sam Aleksander. Jawi mi się jeszcze większy projekt – wyprawa, która zostałaby uznana przez wszystkich za nowy cud świata... przejść hyrkańskie pustkowia i pomaszerować dalej, wzdłuż północnej części Morza Kaspijskiego, gdzie mroźny Kaukaz stawia dumne wyzwanie samemu niebu, Kaukaz, gdzie więziony był Prometeusz, ofiara własnej niezwyklej zuchwałości. Następnie przenieść wojnę do Scytii, na ten nieznany ląd potwornych barbarzyńców, pokonać Dunaj, wkroczyć w ciemne lasy Germanii i tak dotrzeć do Renu, i wrócić do Italii z tych obcych i strasznych ziem. Potem zostałbym znowu przyjęty w Galii jako boski wybawca. Tak oto wyznaczyłbym imperium rzymskiemu nowe granice i oparł bym je o brzegi oblewającego zewsząd oceanu... Czy nie stanowiłoby to właściwego zwieńczenia kariery Cezara? Dlaczego nie? Nie mogę zażywać odpoczynku w tym lupanarze zepsucia. Cezar jest człowiekiem wolnym, który nie zgodzi się na zamknięcie go w...

Nie mógłbym teraz przysiąc, w mojej obecnej niedoli, że tak dokładnie brzmiały słowa Cezara. W dodatku streściłem w jednej mowie zasadniczą treść niezliczonych rozmów, jakie odbyliśmy w tamtym czasie. Ale pamiętam o trzech sprawach, które w różnych momentach przychodziły mi do głowy, chociaż nie zdecydowałem się wspomnieć mu o żadnej z nich.

Po pierwsze, pamiętałem, z jaką trudnością posunął się zaledwie parę nędznych mil w otoczoną mgłą wyspę Brytanię.

Po drugie, przypomniałem sobie o tym, co mówiła Klodia. O tym, jak kiedyś Cezar powiedział jej (w łóżku), że jest bogiem, a ona pomyślała sobie, iż opowiada jakiś dowcip. Minęło wiele czasu, zanim zrozumiała, że mówił najzupełniej poważnie.

Po trzecie, pewien kapłan wspomniał mi kiedyś, że w Księgach Sybilińskich, owej skarbnicy najwyższej mądrości, zapisano: „Rzymianie nigdy nie podbiją Partii, jeżeli nie rozpoczną wojny pod wodzą króla...

Artikses rzekł do mnie:

– Z tego, co mówisz, wynika, że ten twój Cezar był szaleńcem. W Galii otaczamy wciąż takie istoty, ale nie powierzamy im władzy.

– Nie pamiętasz, mój drogi – odparłem – jak wspominałem ci kiedyś słowa Katona, który powiedział, że Cezar jako jedyny człowiek w Rzymie w stanie trzeźwym przystąpił do zniszczenia Republiki?

– Nie brak mimo wszystko trzeźwo myślących szaleńców – odparł Artikses.

## ROZDZIAŁ 14

Muszę się śpieszyć. Dni stają się coraz krótsze. Artikses zapewnia mnie, że nie nadeszła jeszcze żadna odpowiedź przez posłańców, których wysłał jego ojciec. Ale jest coś w jego spojrzeniu, co sugeruje, że jego ojciec nie ma już wielkich nadziei na otrzymanieżądanego okupu.

W miarę jak dni robiły się krótsze podczas ostatniej zimy, jaką spędziłem w Rzymie, atmosfera w mieście stawała się coraz bardziej napięta.

Kaska powiedział do mnie pewnego razu:

– To dziwne, nieprawdaż? Stoczyliśmy tyle bitew i nic nie zostało rozstrzygnięte. Kilku wielkich mężów zniknęło – niestety żaden z moich wierzycieli. Stronnictwa się zreformowały. Cynceron ma mniej do powiedzenia o sobie. Ale poza tym wydaje się, że nic się nie zmieniło, z wyjątkiem tego, z przykrością muszę zauważyć, że Diosippos zupełnie stracił swoje wdzięki. Nie zadziałała nawet dieta, jaką mu zaaplikowałem. Sprawiała jedynie, że wygląda na swoje lata. Od mojego pośrednika na rynku niewolniczym napływają jednak dość pocieszające wieści. Podobno już wkrótce ma nadejść uroczy ładunek z Frygii. Ale czy można być dobrej myśli? Albo rozbiją się na morzu, albo przybędą straszliwie wymęczeni i w pożałowania godnym stanie. Gdyby zaś spróbowali podróży lądowej, doprowadzenie ich do porządku zajęłoby miesiące.

Bywały takie chwile, gdy Kaska był wielką pociechą. Z drugiej strony powtarzał ciągle:

– Czy nie sądzisz, że nasz pan i władca zachowuje się ostatnimi czasy rzeczywiście odrobinę dziwnie? Nie dalej jak przed paru dniami widziano go w czerwonych butach do kolan. Tak, w jasnoczerwonych butach. A gdy ktoś odważył się zapytać o przyczynę, oświadczył, że jego przodkowie, królowie albańscy, zwykli nosić takie obuwie jako oznakę swej pozycji. No cóż, według mnie wyjaśnia to jedynie, dlaczego królowie albańscy nie przetrwali. Myślę, że w niczym nie wygląda się bardziej głupio niż w długich czerwonych butach do kolan, jak komediant w kiepskiej pantomimie. Ale cóż, nasz pan i władca, jak rozumiem, rości sobie pretensje do pewnego dowcipu, choć nigdy nie sądziłem, że ma poczucie humoru. Wspomniałem ci kiedyś, że zaszczepienie Cezarowi poczucia humoru wymagałoby operacji chirurgicznej. Pamiętam, że oburzyłeś się wówczas na mnie. W końcu były to czasy, gdy uważałeś Cezara za bóg wie kogo,

a on, prawdę mówiąc, myślał podobnie o tobie. No cóż, jak wiesz, dochowywałem mu wielkiej i godnej podziwu wierności z całkiem innych przyczyn: widziałem, że staruszek jest zwycięzcą, a z wyjątkiem stołów do gry twój stary gruby Kaska zawsze zajmował miejsca po zwycięskiej stronie. W każdym razie, gdy przyszło wybierać między szlachetnym i odnoszącym sukcesy Cezarem a tą górą tłuszczu, którą ludzie zwykli nazywać Wielkim, było to dla mnie równie proste jak wybór między ładnym młodzieńcem a, powiedzmy, Kalpurnią. Strasznie przeskakuję z tematu na temat, zawsze uważałem, że gadulstwo jest u mnie oznaką zmartwienia. W każdym razie, ucinając krótko długą rzecz, jak powiedział pewien człek, robiąc eunucha z jakiegoś Nubijczyka, czy nie przypuszczasz, że naszemu władcy zaczyna przewracać się w głowie? Jeśli tak, kochana Myszo, zamierzam poszukać sobie innego miejsca. Co mówisz?

Cóż miałem powiedzieć? Z pewnością nie mogłem mówić o planach partyjskich, hyrkańskich bezdrożach i mroźnym Kaukazie. Powiedziałem więc:

– Nigdy nie ceniłeś zbyt wysoko poczucia humoru Cezara. Poza tym jest elegantem. Zawsze z tego słygał. Eleganci miewają czasami dziwne fantazje. Czy pamiętasz tego osobnika – kto to był? Jeden z Dolabellów, zapomniałem który – co namaszczał swoje włosy kozim moczem, ponieważ uważał, że nadaje im to bardziej dystyngowany wygląd?

Ale inni także się martwili. Wśród nich Kalpurnia. Wezwała mnie do siebie, zadbawszy o to, aby do spotkania doszło w wieczór, gdy Cezar przebywał z Kleopatry.

Uśluchałem bez entuzjazmu. Jak wyraźnie dałem do zrozumienia, nigdy nie lubiłem Kalpurnii. Nie znałem kobiety mniej od niej powabnej, z wyjątkiem pewnej damy, która prowadziła dom publiczny w Kadyksie.

Zdawała się jeszcze bardziej chuda i nerwowa tego wieczoru niż zwykle, z włosami niestosownie ufarbowanymi na matową czerwień. Piła. Jej oddech śmierdział kwaskowatym, białym winem. Obwieszona pierścieniami palce były w ciągłym ruchu. Głaskała nimi włosy, drapała się w szyję, wykręcała jeden o drugi. Nie mogła usiedzieć spokojnie. Posadziwszy mnie na łożu, natychmiast podskoczyła i zaczęła nerwowym krokiem biegać po pokoju, rozpoczynając monolog.

– On dał się oczarować, oto na czym polega problem. Ta kobieta, czy ona dała mu jakiś napój, nie mogę powiedzieć, ale oczarowała go. Nie jest przecież piękna, sam mi to powiedziałeś, a inni to potwierdzili. Co więc on w niej widzi, jeśli go nie zczarowała? Uduślibym ją własnymi rękami, uduślibym, o tak, patrz, jak ukręca się szyję kurczaka, mówiono mi, że

nazywa ją Kurczątkiem. I ten chłopiec, z którym przyjechała, to dziecko, ona mówi, że jest synem Cezara. Sama w to nie wierzę, mam swoje powody, no wiesz, pomyśl o wszystkich tych kobietach Cezara. Czy któraś z nich twierdziła, że poczęta z nim dziecko? Nie, oczywiście, że nie. No, wprawdzie ta suka Serwilia czasami robi aluzje czy pozwala je robić innym, czy też nie zaprzecza, że ta ropucha Marek jest potomkiem Cezara. Ale to nieprawda. Nie wierzę, aby on... No cóż, nigdy tego nikomu nie mówiłam i zachowaj to dla siebie, ale chociaż sama nie miałam dzieci, trzy razy poroniłam z moim pierwszym mężem, a przy Cezarze nigdy nie byłam brzemienna. A więc, jaki z tego wyciągasz wniosek? To oczywiste, czyż nie? Jest bezpłodny. Między nami mówiąc, właśnie dlatego tak mu zależy na tym, aby uchodzić za wielkiego męża. Chce zagłuszyć wstyd spowodowany tym, że nie jest, no cóż, normalny, że nie jest w stanie spłodzić dziecka. Taka jest prawda, a ta mała suka ma czelność nazywać swego syna Cezarionem. A on tylko pomrukuje i na wszystko się godzi... Ale to nieprawda – Kalpurnia plotła bzdury. Cezar i jego pierwsza żona mieli córkę Julię, która później poślubiła Pompejusza. – Teraz zaś wyrusza na wyprawę partyjską, to szaleństwo, mówiłam mu. Ale cóż, znasz go przecież, znasz go całe swe życie, tak, oczywiście wiem, że twoja matka była jedną z jego kochanek, to mnie nie martwi, to było przede mną. Czy sądzisz, że popada w szaleństwo?

Istnieje przepowiednia, musiałeś o niej słyszeć, że Rzymianie mogą pokonać Partię jedynie pod wodzą króla. Gdy wspominam o tym Cezarowi, śmieje się tylko i powiada, że przepowiednie są nedorzeczne. A dopiero co, wczoraj, jakby mimochodem, nie kłóciliśmy się ze sobą ani nic takiego, powiedział ot tak, po prostu: „mogę rozwieść się z tobą i poślubić królową”. To uczyniłoby go kimś w rodzaju króla, przypuszczam, że o to mu chodzi. Sam wiesz, jak potrafi być zabobonny, jeśli odpowiada to jego interesom. Zawsze gdy to odpowiada jemu, jemu, jemu, nigdy żadnego względu dla mnie ani dla kogokolwiek innego. „Popatrz – powiedziałam mu – masz wystarczająco dużo roboty tu w Rzymie, dlaczego nie zajmiesz się tym, daj sobie spokój z tą partyjską bzdurą?”. Znowu się roześmiał, mówiąc, że nie znam się w ogóle na polityce. A ja zupełnie nieźle się w niej orientuję, naprawdę nie jestem głupia. Wiem, że mnie nie lubisz, Decymusie Brutusie. Zapewne nie jestem sympatyczna, są chwile, gdy to widzę, ale głupia nie jestem. Twoja matka to potwierdzi. Pozwól zatem, że ci powiem, co moim zdaniem się dzieje. Zamierzają go zabić. Nie wiem kto, ale ludzie boją się go teraz, jak nigdy przedtem, nie dlatego, że jest tak potężny, ale dlatego, że naprawdę zaczął tracić głowę. Cała ta sprawa łagodności. „Popatrz – powiedziałam mu – masz wrogów, wiesz przecież. Myślisz, że są ci wdzięczni, bo im



przebaczyłeś, choć walczyli po drugiej stronie. Jesteś głupcem, Cezarze, nie rozumiejąc, że jedyne, czego ludzie nie mogą znieść, to, iż byłeś w stanie powiedzieć Przebaczam wam i że powiedziałeś to tak, jakbyś był jakąś wyższą istotą, rodzajem boga. Oni nie mogą tego znieść. W polityce, jeśli masz wrogów i pokonasz ich, powinieneś się ich pozbyć, skończyć z nimi, to właśnie uczynił Sulla, a także mąż twojej ciotki, Gajusz Mariusz. Oni wiedzieli, jak ludzie się zachowują i jak czują. A ty o tym zapomniałeś. Myślisz, że skoro jesteś wielkim człowiekiem, wszystko przyjdzie ci z łatwością, a świat dostosuje się do ciebie. Wcale tak nie jest, Cezarze”. Jak wiesz, próbuję wszystkich potraw, jakie się przed nim stawia, na wypadek trucizny, tak, ryzykuję dla niego własne życie przy każdym posiłku, oto, co robię. Wystawiam się na niebezpieczeństwo. Czy jest mi z tego powodu wdzięczny? Ależ nie, śmieje się i mówi, abym nie była głupia. Poza tym mogę to robić jedynie wówczas, gdy jada w domu albo gdy uczujemy razem w towarzystwie. Był wściekły, gdy uczyniłam to w domu Cyncerona w ubiegłym tygodniu. Powiedział, że obraziłam naszego gospodarza. „Lepiej obrazić naszego gospodarza aniżeli dać się otruć” – odparłam. Wtedy się roześmiał i powiedział: „W każdym razie, skoro wszyscy wiedzą, że nabrałaś owego dziwnego zwyczaju, mogłabyś się zastanowić i nad taką możliwością, że ktoś mógłby chcieć otruć ciebie, a nie mnie”. Jak widzisz, żartuje sobie ze wszystkiego. Czy to nie zakrawa na szaleństwo? Potem znowu się roześmiał, jakby nowa myśl przyszła mu nagle do głowy. „A co będzie, jeśli użyją wolno działającej trucizny? – zapytał. – Nie możesz ode mnie oczekiwać, abym pozwolił stygnąć wieczerzy tylko po to, by sprawdzić, czy umierasz od trucizny o opóźnionym działaniu. Poza tym może działać tak wolno, że zabiłaby nas oboje...”

Decymusie Brutusie – zawahała się i zawisła nade mną, znowu wykręcając sobie palce – jest tylko jeden sposób, aby ocalić Cezara. Nie wystarczy usunąć królową z Rzymu, bo to jedynie pogłębi jego partyjską manię. Pojedź za suką do Egiptu i stamtąd rozpocznij swoją wyprawę. O tym tylko myśli. Nie, suka musi umrzeć. Chcę, abys się o to postarał...

Mówiła i mówiła, wyjaśniając, jak mam zaplanować zabójstwo królowej Egiptu (którą w każdym razie, jak pamiętasz, raczej lubiłem). Miała kilka pomysłów. Zastanawiała się nad możliwością uśmiercenia jej za pomocą magii. Słyszała o jakimś Bityńczyku bardzo wprawnym w rzucaniu klątw (jeśli rzucanie jest tym, co się robi z klątwami), które miały być naprawdę niezwykle skuteczne. Podobno przeklęta osoba po prostu odwracała oczy do ściany i umierała.

– W przeciągu paru dni, jak mi mówiono.

Niestety jej informator nie potrafił wskazać dokładnie, gdzie można znaleźć bityńskiego cudotwórcę. Podobno gdzieś w Trastevere. Nie byłoby trudno komuś o moich możliwościach odszukać go. Zrobiłaby to sama, ale ludzie mogliby zacząć zadawać pytania.

I tak mówiła bez końca, bardziej szalona niż ci wschodni kapłani, którzy czerpią zyski z okaleczania samych siebie, bardziej nawet szalona niż najbardziej szaleni Żydzi, którzy jak dobrze wiadomo, składają w ofierze ukradzione dzieci w pełnię księżyca. W rzeczywistości wcale tak nie robią, ale z jakiegoś powodu Kalpurnia wspomniała i o nich.

Dlaczego to zrobiła?

Oczywiście porównywała ich z Cezarem. Powiedziała, że jest nawet bardziej szalony od nich.

Miałem ochotę zapytać ją: „Jeśli rzeczywiście uważasz go za tak szalonego, dlaczego chcesz zadać sobie tyle trudu, aby go ocalić?”

Ale powstrzymałem się. Wiedziałem, co by odpowiedziała – kiedy Kleopatra zniknie, Cezar odzyska rozum.

W końcu wyszedłem. Wypełniało mnie nowe uczucie. Po raz pierwszy w życiu było mi żal Cezara. Wzbudzał we mnie wiele emocji, ale nigdy nie pomyślałbym, że mogę czuć do niego litość.

Ale któż nie litowałby się nad mężem Kalpurnii?

Nic dziwnego, że tak spieszo mu było do wyprawy partyjskiej.

Było ulgą, cudowną ulgą uciec od Kalpurnii w wir nocnego życia miasta. Wspiąłem się na Kapitel i popatrzyłem z góry na Forum. Była zimna noc. Pełnia księżyca zapowiadała mróz. Gwiazdy błyszczały, odległe, niedostępne. Pamiętam, że zastanawiałem się, jak można wierzyć, że układ tych punktów światła w godzinie urodzenia przesądza o losie człowieka. Popatrzyłem w dół, na szeregi chwiejących się pochodni trzymanyh przez niewolników eskortujących lektyki, w których równych mi urodzeniem niesiono z uczt i na uczy. Czy był wśród nich Cezar, który wprost z gorących objęć Kleopatry powracał do gorzkiego języka Kalpurnii?

Zewsząd dochodził nieznośny hałas. Był to wynik wydanego przez Cezara kilka miesięcy wcześniej rozporządzenia, które zabraniało wszystkim wozom ciężarowym, wyjąwszy przewożące materiały budowlane, jazdy po mieście w godzinach dziennych i nakazywało pojazdom dostawczym oraz wszelkim innym poruszanie się wyłącznie w porze nocnej. W rezultacie nie było chwili bez stukotu kopyt, dźwięku żelaznych kół, złożeń woźniców

potracających się nawzajem i błądzących w wąskich ulicach.

Właśnie od tego Rzymu o ogromnej, nieposkromionej żądzy życia chciał uciec Cezar. Spojrzałem na drugą stronę doliny, na ciemne kontury sosen na Palatynie. Odwróciłem się i popatrzyłem na przeciwległy brzeg rzeki, gdzie księżyc rzucał swe światło na Janikulum. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego odwrócił się od tego miasta. Poniżej mnie, w płataninie ulic, które bezładnie przedzierały się ku rzece, czaili się rozbójnicy i mordercy, wyczekując na swoje ofiary. Rzym nocą...

Czy właśnie świadomość tego, że nigdy już nie zaznam bicia jego tętna, każe mi teraz myśleć o nim z czułością?

Pamiętam, że zszedłem z Kapitulu i dotarłem do taniej gospody. Z moim pojawieniem się towarzystwo zamilkło do chwili, gdy wspomniałem, że jestem tu całkiem prywatnie. Właściciel przy niósł mi dzban wina i no krótkiej naradzie zaprowadził do oświetlonego kagankiem pokoju na zapleczu. Siedziała tam dziewczyna ubrana tylko w koszulę. Właściciel wskazał w jej kierunku i pozostawił nas samych. Dziewczyna wyciągnęła ramiona do góry, wstała, chwyciła rąbek koszuli, powolnym ruchem ściągnęła ją przez głowę i zrzuciła na podłogę. Migocący płomień rzucał dziwne, ciemne cienie na jej ciało, gdy stojąc, czekała na mnie. Była bardzo młoda. Położyłem lewą rękę na jej ramieniu, a prawą wsunąłem między uda, czując na nadgarstku zmierzwiłone włosy jej łona. Ułożyłem ją na łóżku i całowałem jej brzuch. Potem wziąłem ją, zdjawszy wcześniej togę, którą złożyłem starannie u wezłowia. Dziewczyna milczała. Była powolna i chętna. Gdy skończyłem, leżałem spokojnie, dopóki płomień się nie dopalił. Nie dałem jej nic poza pieniędzmi. Ona ofiarowała mi przelotne uczucie zaspokojenia. Zasnąłbym tam, gdybym się nie bał tego zrobić.

Kiedy już zapłaciłem właścicielowi, nie wspominając, że dałem również srebrną monetę dziewczynie, posłałem go po nocnego stróża, który odprowadził mnie bezpiecznie do domu.

Wszedłem do naszej małżeńskiej komnaty. Longina obudziła się.

– Mężu, cuchniesz jakimś flejtuchem, który naciera się olejem z ryby.

Pocałowałem jej piersi.

– Tak – powiedziałem – to cię podnieca.

Szybko mnie rozпалиła. Nasze pieszczoty były intensywne, pełne żaru, gwałtowne. Longinę

przepelniało požądanie. Przejęła inicjatywę. Tym razem pierwszy odpłynąłem w obojętność. Pochyliła się nade mną i ugryzła mnie w szyję. Otoczyłem ją ramionami, trzymałem mocno, całowałem, jakbyśmy stanowili jedną duszę i ciało. Była cudownym zwierzęciem.

Słabe światło zimowego świtu za stało nas w tej samej pozycji. Leżałem wyciągnięty, a Longina unosiła się nade mną.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytałem. – Muszę z nim porozmawiać.

– W Kampanii, w swoim majątku. Dlaczego chcesz z nim mówić?

– Ponieważ jestem zgubiony – powiedziałem – Ponieważ być może wszyscy jesteśmy zgubieni.

– Mężu – rzekła – mężu, mężu, jakie to wszystko ma znaczenie? Dotknij mego brzucha. Już niedługo, zaledwie za kilka miesięcy, poczujesz, jak porusza się nasze dziecko.

Przez dwa, a może trzy dni ociągałem się z wyjściem z domu. Wszystkie chwile spędzałem z Longina. Zniewalala mnie swoim požądaniem i uczuciem, które stawało się niemal miłością. My, Rzymianie, nigdy nie byliśmy pantoflarzami. Wychowanie wpoilo nam szacunek dla naszych małżonek, ale w zasadzie nie pozwalały im zajmować się polityką. Do tych, które same torują sobie drogę, twierdząc, że zasługują na to, aby odgrywać pewną rolę polityczną – do kobiet w rodzaju Serwili i Kalpurnii – odnosimy się z właściwą niechęcią. Z łatwością stają się one przedmiotem szyderstwa. Longina nie miała takich ambicji. Ale tego, czego chciała ode mnie, nie mogłem jej dać, pozostając w zgodzie z własnym poczuciem honoru. Obawiała się o mnie. Chciała, abym wycofał się z życia publicznego, usunął się w zacisze domowe, co wszyscy inni równi mi rangą i pochodzeniem uznaliby za haniebne.

– Wiesz – wyszeptała między pocałunkami – że wyszłam za ciebie, gdyż mój ojciec kazał mi to zrobić. Nie lubiłam cię wtedy. Wydawałeś mi się odległy i surowy. Poza tym zanim ciebie poznałam, uwielbiałam Appiusza Pulchra. Nigdy oczywiście nie był moim kochankiem, dopóki nie stałam się zamężną kobietą, gdyż każdy wie, że dama musi być dziewicą w chwili zamążpójścia, a ja odebrałam bardzo surowe wychowanie. Ale uwielbiałam go nadal, a kiedy pojechałeś do Hiszpanii, dopuściłam go jako mojego kochanka. I wtedy wróciłeś, i zastałeś nas razem. Pamiętasz?

– Tak, kochanie, pamiętam.

– Och... – Zarzuciła mi ramiona na szyję i przytuliła się do mnie. – Tego ranka dostrzegłam różnicę między chłopcem, ładnym chłopcem, który daje kobiecie wiele przyjemności,

a mężczyzną, który dokonał wielkich czynów. Sprawileś, że poczułam się kobietą, a nie po prostu dziewczyną. I wtedy zachęciłeś mnie do flirtu z Cezarem. Tak, zrobiłeś to, nie próbuj zaprzeczać. Oczywiście schlebiali mi to. I tak jak chciałeś, poszłam do łóżka z Cezarem. Kto by nie poszedł?

– Kto nie poszedł?

– W porządku, właśnie tak. Przez parę dni nienawidziłam cię i gardziłam tobą, ponieważ, jak mi się zdawało, nieustająca życzliwość Cezara była dla ciebie ważniejsza niż wszystko, co mogło być między nami. Ale... Cezar... po pierwszym razie... czy wiesz, mężu, mężu, mężu... – Jej język dotknął mojego...

(Zadręczam się wspomnieniami o jej uczuciu, o jej obecności. Śnię o niej całymi nocami, w których nie ma nic poza rozpaczą... nie strachem, gdyż nie przyznam się, że... ale właśnie rozpaczą... Artiksese, z którym staram się rozerwać, w którego osobie pragnę odzyskać coś z promienia słońca... Nic jednak nie przynosi pociechy, gdy wspominam, jak czynię co noc, objęcia Longiny... utraczone... złożone w ofierze... z powodu... czego? Obowiązku? Ambicji?).

– Mężu... – Wiele godzin później w łóżku, ciepłym, wypełnionym namiętnością i szczęściem.

– Mężu, Cezar miał zbył wiele kobiet, sam wiesz, zbył wiele, aby cokolwiek do nich czuć. Są tylko wygodą. Użył mnie, jak ty mógłbyś używać, nie wiem czego, nie mam daru słowa, ale było jakieś lekceważenie w jego stosunku do mnie... Czy sądzisz, że królowa Egiptu czuje to samo?

– Sądzę, że królowa Egiptu całkowicie panuje nad swoim życiem, a jej ambicje nie mają granic i może nawet prześcignąć Cezara w...

– No cóż, ja nie mogłam. Ilekroć opuszczał moje łóżko, czułam się poniżona. Nie dlatego, że odszedł, lecz z racji sposobu, w jaki się ze mną rozstawał. I nadszedł dzień, gdy wrócił, a ja powiedziałam „nie”. Wiesz, jak zareagował? Roześmiał się... Roześmiał się. Jak myślisz, dlaczego tak zrobił?

– Ty mi powiedz.

– Ponieważ Cezar tak właśnie traktuje każdą odmowę. Ktoś inny wpadłby w gniew, ale Cezar nie zniży się do gniewu. Musi zachować swą wyższość. Roześmiał się zatem. A spojrzenie, jakim mnie obrzucił... to było straszne. Wtedy cisnął klejnot na moje łono i odszedł. Mężu, Myszo-mężu, kocham cię, czy wiesz o tym? Och, no i się przyznałam.

Przysięgłam sobie, że nigdy ci nie powiem. Gdy wyznasz komuś, że go kochasz, dajesz mu władzę nad sobą. Ale proszę, proszę, proszę...

Proszę o co? Co miała na myśli? Wiedziałem nawet wtedy, że prosiła mnie o coś, co było poza mną, co, gdybym ustąpił, stałoby się za jakiś czas źródłem jej pogardy. Tego właśnie nauczyłem się w życiu. Że najbardziej kochamy to, czego się nam odmawia. Owej zimy uwielbiałem Longinę, uwielbiam nadal wspomnienie o niej. A dzieje się tak dlatego, że nie mogłem postąpić tak, jak sobie tego życzyła. Gdybym to uczynił, od wróciłaby się ode mnie. Kochała mnie, zaczęła mnie kochać, za moją cnotę. A moja cnota zniknęłaby, gdybym uległ mojej żonie.

Tylko jedna postać u Homera jest całkowicie godna pogardy. To Parys, który pozwolił, aby namiętność do Heleny całkowicie nad nim zapanowała. I myślę, że Helena zaczęła pogardzać Parysem, jak pogardzają nim wszyscy, którzy czytają „Iliadę”.

Czy żar tamtych grudniowych dni nie był tym większy, tym i bardziej dodający otuchy, tym bardziej czarujący, że oboje wiedzieliśmy, iż zrządzeniem bogów mężczyźni i kobiety muszą żądać od siebie tego, czego druga strona nie może zgodnie z własnym poczuciem honoru im dać?

Nasza idylla legła w gruzach. Pierwszym powodem był list, jaki nadszedł od Oktawiusza z Grecji.

*Myszo,*

*Dotarły do mnie niepokojące pogłoski. Rozumiesz, że muszę być ostrożny, albowiem głupio dawać wiarę plotkom. Jednakże pewne uporczywie krążące pogłoski stawiają pod znakiem zapytania mą przyszlą karierę, którą jak wiem, obdarzasz niesłabnącym i szczerym zainteresowaniem. Mecenas, którego nie lubisz, jest mądrym doradcą, jak również źródłem nieustających plotek. Doszła go niedawno wieść, że mówi się o uznaniu ojcostwa pewnego dziecka. Jeśli tak się stanie, co naturalnie wydaje się niemożliwe, moja własna pozycja dozna w oczywisty sposób uszczerbku. Mój wuj, rzecz jasna, jest najszlachetniejszym z ludzi i pewien jestem, że nie brałby pod uwagę takiego uznania, dla którego, w co nie wątpię, nie ma żadnych podstaw. Pogłoski jednak nie ustają. A ponieważ twoje zdanie cenię słusznie tak wysoko wszystkie zainteresowane stronnictwa, nie mogę uwierzyć, by podjęto jakąkolwiek akcję, nie zasięgając wcześniej twej rady. Piszę zatem do ciebie, bynajmniej nie powodowany trwogą, lecz*

*z racji uporczywości tych plotek – aczkolwiek trudno do końca przewidzieć ich następstwa, z pewnością mogłyby zaszkodzić moim (a zapewne nawet twoim) interesom. Z łatwością mogę zrozumieć, że dama, o którą tu chodzi, ma ważne powody, aby nalegać na podjęcie wzmiankowanych działań. Usilnie cię proszę, byś się czegoś dowiedział, oczywiście z zachowaniem rozwagi i rozsądku. Jak sądzisz, czy to roztropne, bym porzucił studia, choć są one czarujące i inspirujące, i powrócił niezwłocznie do Rzymu, aby zadbać o swoje sprawy? Zgodzę się, rzecz jasna, na wszystkie ustalenia i jeśli będę zmuszony szukać innej drogi do fortuny, uczynię to z całą stanowczością i rozumem, na jakie mnie stać. Teraz jednak nie chcę robić nic, co ty, jako mój drogi przyjaciel i doradca, uznałbyś za pochopne, niemądre lub zbyt szalone.*

*Przesyłam ci gorące pozdrowienia i zapewnienia o moim nieustającym uczuciu.*

*Oktawiusz*

Zastanawiałem się oczywiście, kim był ów życzliwy, który przekazał pogłoski o zamiarze Cezara dotyczącym uznania Cezariona za syna. Mimo sugestii, iż wyszło to na jaw za sprawą Mecenasas, nie mogłem oprzeć się podejrzeniu, że maczała w tym palce Kalpurnia. Mogła uznać, że poróżnienie Cezara z jego siostrzeńcem, a zarazem wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dziedzicem, leży w jej interesie. Wzmogłoby to tylko jej wysiłki zmierzające do zainteresowania opinii publicznej plotkami o Cezarionie. Im więcej bo wiem o tym mówiono, tym lepiej Cezar musiał rozumieć, z jaką obrazą arystokracja rzymska przyjmie samo choćby napomknięcie o tym, że mógłby uczynić na wpół cudzoziemskiego bastarda swoim dziedzicem.

Odpowiedziałem więc w tonie uspokajającym.

*Mój drogi Oktawiuszu,*

*Wydaje się, że jest coś niespokojnego w atmosferze Grecji. Coś, co pobudza wyobraźnię i utrudnia właściwą ocenę sytuacji. Pogłoski, jakie słyszałeś, są jedynie pogłoskami. To, czego się obawiasz, nie nastąpi. Powiadasz, że ufasz mojemu rozsądkowi. Jeśli tak, przyjmij moje zapewnienie, że wpływy, których się lękasz, są przesadzone.*

*Co zaś do Mecenasas, dochodzą mnie słuchy, że twój przyjaciel zabawia się z trzema nowymi katami co dnia.*

*Czy ta pogłoska jest prawdziwa?*

*Najbardziej ci oddany ze wszystkich przyjaciół*

*D. Juniusz Brutus*

Myślę, że trudno było znaleźć coś kompromitującego w moim liście, który z pewnością został przechwycony na jakiejś stacji pocztowej, a kopia przesłana Cezarowi. Jeśli dowiedział się w ten sposób, jak haniebnym towarzyszem dla młodego Oktawiusza jest Mecenasa, tym lepiej. Choć zapewne już o tym wiedział. Ta myśl kazała mi się zastanawiać nad prawdziwością słów Marka Antoniusza, który stwierdził ongiś, że sam Cezar zabawiał się z Oktawiuszem.

Jak się okazało, popełniłem jednak błąd, pozwalając sobie na te złośliwości. Postąpiłbym o wiele mądrzej, pozyskując przychylną Mecenasa, mimo całej pogardy, jaką dla niego żywiłem. Jestem pewien, że sączył na mój temat jad do uszu Oktawiusza. Tak więc był to ostatni list, jaki otrzymałem od Oktawiusza, napisany w tonie pełnym zaufania i uczucia. Powinienem zrozumieć, że Mecenasa zajął moje miejsce jako główny wychowawca chłopca – miał tę przewagę, że przebywał z nim stale i że oddawał się wszelkiemu zepsuciu, co jest zawsze pociągające, a nawet fascynujące dla młodego człowieka. Gdybym to zrozumiał, schlebiałbym Mecenasowi (który jak wszyscy zniewieścialszy, jest szczególnie czuły na pochlebstwa). A poza tym jak wszyscy oni jest zazdrosny, złośliwy i mściwy. Uniemożliwił mi później pogodzenie się z Oktawiuszem.

Jeszcze jedna myśl przyszła mi do głowy. Kalpurnia mogła być bliska prawdy, mówiąc, że Cezar jest bezpłodny, a zatem Cezarion mógł być moim, a nie jego synem, owocem mojego jedyne go słodkiego i zmysłowego zbliżenia z królową. W każdym razie daty by się zgadzały. Myśl ta rozbawiła mnie, ale uznałem za rozropne, aby nie dzielić się nią ani z Longiną, ani tym bardziej z Cezarem.



## ROZDZIAŁ 15

Podczas świąt Saturnaliów, w ciemne popołudnie najkrótszego dnia w roku, Marek Antoniusz przybył do mojego domu, zalany i wręcz chory z przepicia po hulankach poprzedniego wieczora. Zażądał wina i obleśnym wzrokiem spojrzał na Longinę, która jak wypadło, odeszła do swojej komnaty.

Antoniusz wyciągnął się na łożu, jednym haustem wypił wino przyniesione przez niewolnika i nadstawił puchar do ponownego napełnienia.

– Jesteś szczęśliwym łajdusem, Myszo, zawsze byłeś – rzekł, po czym przechylił się przez poręcz i zwymiotował na marmur.

Spoglądał z uśmiechem, wykrzywiając usta – uśmiechem, który zaprzeczał zamgleniu jego spojrzenia – podczas gdy niewolnik sprzątał powstały bałagan.

– Wybacz. Więcej wina to najlepsze lekarstwo. Zawsze powtarzam – nie daj się odkorkować, dopóki coś się nie przedrze.

– No cóż, Antoniuszu, zawsze możesz liczyć na moją gościnność. Oczywiście w granicach rozsądku.

– Szczwany nicpoń z ciebie. Może nie? Zawsze taki byłeś. Zgadnij, co próbuję rozstrzygnąć. Czy świętuję, czy nie?

Łyknął znowu wina, opierając się na łokciu.

– Teraz lepiej. Odeślij tego dzieciucha. Nie chcemy, aby niewolnicy słyszeli, o czym mówimy. Przekłete plotki. Co do jednej. Zmykaj, słyszysz, i zostaw to zafajdane wino. Teraz lepiej.

Nalał sobie drżącą ręką jeszcze jedną porcję, potrącając dzbanem puchar.

– Rozumiesz, co powiedziałem? Świętuję czy nie?

– Sam mi to powiedz, Antoniuszu. Powinieneś w końcu wiedzieć,

– Ach, jaki chytry... jaki chytry... Problem w tym, że nie wiem. Przychodzę zatem do ciebie, mała Myszo, aby się dowiedzieć. A gdy mówię „ja”, myślę także o tobie. Świętujemy czy nie? Ale ty wcale nie pijesz. Ach, to picie. Wychył sobie. Nieładnie pozwalać człowiekowi, aby pił sam. Ani kulturalnie, ani wielkodusznie. A ja jestem wielkoduszny, ofiarowuję ci więc kielicha.

– Doskonale. Pozwól mi zatem odpowiedzieć na twoje pytanie. Wygląda na to, że świętujesz,

choć najwyraźniej nie jesteś zbyt szczęśliwy.

– Od razu chwyciłeś. Wiedziałem, że się nie mylę. Powiedziałem sobie – cholerna Mysz dostrzeże cholerny problem. Świętuję, świętuję od dwóch, trzech dni, może czterech, ale nie jestem szczęśliwy. Dobrze. A więc następne pytanie, następne... bardzo trudne pytanie. Dlaczego? Mam wszystko, czego mi trzeba do szczęścia. Antoniusz obejmuje konsulat za dziesięć dni, być może za dwa tygodnie, faktycznie, pogubiłem się w tym wszystkim. Ale nie jestem szczęśliwy. Dlaczego?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Powinieneś być szczęśliwy. Będiesz świetnym konsulem.

(Przynajmniej dopóty – pomyślałem – dopóki zdołasz zachować jaką taką trzeźwość na oficjalnych uroczystościach).

– Myszo, sprawiłeś mi zawód. Mała Myszo, sprawiłeś staremu Antoniuszowi zawód. Nigdy bym się po tobie tego nie spodziewał... Powiem ci dlaczego, sam dam ci odpowiedź. Wygraliśmy przekłętą wojnę domową, nieprawdaż? Tak, nie da się temu zaprzeczyć. Ale przegrywamy pokój, oto dlaczego. Wszystkie te cwaniaki po drugiej stronie, jak twój szanowny teść, jak ta piła, twój kuzyn Marek Brutus, znowu cisną się do władzy. Na Herkulesa, trzeba było wyczyścić całą zafajdaną stajnię Augiasza, a nic nie zostało zrobione. Zawiązują się spiski przeciwko Cezarowi. Antoniusz, wierny stary Antoniusz, mówi o tym wodzowi, a ten się śmieje i powiada, idź i się prześpij, oto porządny gość. A więc odpowiedź jest taka: Nie świętuję...

I wtedy zasnął.

Dobrze wiem, że w całym swym pamiętniku ukazywałem Antoniusza w nieprzychylnym świetle. Jako człowieka nieokrzesanego, gburowatego, porywczego, upartego. Bez wątplenia był właśnie taki. Ale było w nim coś, czego ci, którzy nie służyli wraz z nim, nie potrafili zrozumieć. Miał w sobie wiele uroku. Gdy go roztaczał, promiennosc jego uśmiechu, zapał, z jakim korzystał z radości życia, rozjaśniał egzystencję ludzi znajdujących się wokół. I nie był wcale głupcem. Mówił wiele głupstw, ale miewał przebliski nie oczekiwanej inteligencji. A co najdziwniejsze ze wszystkiego, ów człowiek, który zdawał się zupełnie nie dbać o wrażenie, jakie wywierał, który czasami zdawał się nawet czerpać przyjemność z ukazywania się tak podłym, jak to tylko możliwe, posiadał również rzadką wrażliwość na nastrój innych. Właśnie między innymi z tego powodu żołnierze go uwielbiali. Nie ma wódza, za którym tak chętnie się

idzie, jak ten, który intuicyjnie wyczuwa, co czują w danej chwili. A Antoniusz miał tę umiejętność. Nawet w stanie nietrzeźwym nigdy jej nie ztracał, w przeciwieństwie do innych pijaków. Antoniusz był społeczną istotą, którą trudno sobie wyobrazić w odosobnieniu. I ponieważ taki był, rozumiał wszystko znacznie lepiej aniżeli ludzie ślepo zapatrzeni w siebie.

Teraz otworzył jedno oko.

– Użyj sobie z królową Egiptu, mówię. Ale gdy spróbowałem, powiedziała: Używaj sobie sam, staruszk.

Zamknął znowu oko i zaczął chrapać.

Jeśli Antoniusz przypuszczał, że tacy ludzie jak mój teść i Marek Brutus knują przeciwko Cezarowi, miał niemal całkowitą słuszność.

Odczułem niepokój. Czy jako najbliższy stronnik Cezara, uchodzący za jego ulubieńca wśród żyjących jeszcze wodzów, także byłem celem spisku? Czy ci, którzy knuli przeciwko samemu Cezarowi, mogli pozostawić w spokoju jego ludzi?

Następnego popołudnia spotkałem Antoniusza na Forum. Właśnie wyszedł od golarza, schludny, ogolony, wypomadowany i trzeźwy.

– Obawiam się, że byłem wczoraj cokolwiek marudny, staruszk. Wybacz et caetera. Mam nadzieję, że nie powiedziałem niczego niestosownego, szczególnie twojej cudownej żonie.

– Ależ nie. Wspomniałeś, że nie posunąłeś się daleko z królową Egiptu, to wszystko.

– Naprawdę? Między nami mówiąc, staruszk, ona trochę przekracza moje możliwości. Może i jest tylko dzieckiem, ale dzieckiem, które pożera mężczyzn.

– Antoniuszu – powiedziałem, biorąc go pod ramię – ta partyjska kampania. Czy Cezar nie zamierza z niej zrezygnować?

– Och! Chyba nie. Wiesz, że staruszek jest znudzony.

– A co będzie potem?

– No cóż, myślę, że może to być koniec. Nie atakować Partii. Oto pierwsza zasada wojny. Próbowałem mu to powiedzieć. Domyślałem się, że ty też innymi słowami. Wszystko na nic. A zatem jest to dla nas pieśń pustyni... Kto wie, co przyniesie?

– Jestem podobnego zdania. Jak go więc powstrzymamy?

Podniósł głowę jak lew, który poczuł podmuch wiatru.

– Zimny wiatr wieje ze Wschodu. Myślisz, że możesz to powstrzymać, staruszk?

Musiałem przyznać, że Antoniusz miał rację. Moje obawy wzrosły, gdy dowiedziałem się, że różni członkowie dawnego stronnictwa pompejańskiego, włączając w to osoby najdonośniej głoszące swe pojednanie z rządami Cezara – albowiem mimo skrupulatności, z jaką obsadzano tradycyjne urzędy republikańskie, cała władza znajdowała się w rękach Cezara – zachęcali go wręcz do podjęcia kampanii partyjskiej. Hańba klęski Krassusa, mówili, jest plamą na honorze Rzymu i należy ją zmasać. A Cezar jest jedynym człowiekiem zdolnym tego dokonać. Słodko to brzmiało dla jego uszu i nie zauważył nawet, że tym, którzy nakłaniali go do tego przedsięwzięcia, przyświecała nadzieja, iż się ono nie powiedzie.

Wyznaję, że ta sama myśl przyszła także mnie do głowy. Śmierć Cezara w kampanii partyjskiej mogłaby być najbardziej honorowym rozwiązaniem trudności, jakie stwarzała jego ciągła i stale rosnąca dominacja. Ale nie było to rozwiązanie, nad którym mógłbym się zastanawiać, pozostając w zgodzie z własnym poczuciem honoru.

Odwiedziłem Cezara w jego domu, wybierając ranną porę, gdy nie był jeszcze znużony zajęciami urzędowymi. Zauważyłem bowiem, że w ostatnich miesiącach okazywał większą skłonność do słuchania cudzych argumentów w pierwszej połowie dnia. Kiedy ogarniało go zmęczenie, znajdował przyjemność w snuciu coraz bardziej szalonych pomysłów.

Przyjął mnie uprzejmie, jak miał w zwyczaju, i odesłał swoich sekretarzy, gdy powiedziałem, że chciałbym poruszyć ważne sprawy.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nagle wydał mi się starym człowiekiem. Ta myśl uderzyła mnie wówczas po raz pierwszy i doświadczyłem przyływu czułości i uczucia.

– No cóż, Myszo – rzekł – niewątpliwie sprowadza cię tutaj o tej porze dnia rzecz niezwyklej wagi. Jak wiesz bowiem dobrze, w tym czasie zwykłem zajmować się sprawami publicznymi.

– Właśnie o nich chciałbym mówić.

Wyjaśniłem mu więc przyczyny mojego niepokoju. Przypomniałem, że minęło dziewięć miesięcy od bitwy pod Mundą. Nie ma już cienia wątpliwości, iż wojny domowe dobiegły końca. A moim zdaniem ciągle jesteśmy daleko od rozwiązania problemów, które do nich doprowadziły.

Zmarszczył brwi, kiedy to powiedziałem, jakby chcąc mi przypomnieć, że jego zdaniem, co jakże często powtarzał, przyczyną wojen było dążenie jego wrogów do zniszczenia go.

Aby przeszkodzić mu w podniesieniu tej kwestii i sprowokowaniu wypowiedzi, która

mogłaby mnie odwieść od podjętego tematu, sam podkreśliłem wagę tego zagadnienia jako powodu wojen. Został on oczywiście usunięty. Ale pośpieszyłem dodać, że obaj rozumiemy – jako historycy i politycy biegli w tej materii – iż ukryte przyczyny wojen wykraczają poza sprawy jednostek, po czym przeszedłem do kwestii ustroju państwa. Cezarowi przyznano tytuł dożywotniego dyktatora, co zapewniało mu utrzymanie władzy w Rzymie i w całym imperium. Nie rozumiem wszakże – dodałem z całym szacunkiem, na jaki mogłem się zdobyć – jak dożywotnia dyktatura może spełnić nasze oczekiwania.

– Czuję się w obowiązku cię ostrzec – powiedziałem – iż niektórzy rozgłaszają wokół, jakobyś myślał o przyjęciu korony królewskiej. Ilekroć słyszę o tym, oczywiście zaprzeczam.

Znowu zmarszczył brwi, następnie machnął ręką na znak, że mam mówić dalej.

Mówiłem więc o podejmowanych przez niego reformach. O rozszerzeniu Senatu, zauważając przy okazji, że wielu z dotychczasowych senatorów należących do starej arystokracji ubolewa, iż ci, których dopuszczono, ledwo legitymują się szlachetnym urodzeniem, choć ze swej strony w pełni doceniam znaczenie tego posunięcia. Podobnie chwaliłem jego decyzję o powiększeniu kolegium pretorów i kwestorów, nie tylko dlatego zresztą, że w ten sposób więcej ludzi mogło czerpać korzyści z urzędu, ale dlatego, że ogromnie wzrosła liczba czekających na załatwienie spraw publicznych. A jednak trudno uznać takie reformy za środek wystarczający do uporania się z zasadniczymi problemami.

Przyśpieszyłem swój wywód, albowiem dostrzegłem u Cezara oznaki znużenia, a nie chciałem wyczerpać jego cierpliwości.

A teraz, ciągnąłem dalej, zaangażował się w przygotowania do wojny przeciwko Partii. Nie brak powodów, by uznać takie przedsięwzięcie za uzasadnione. Niemniej jednak odciągnie nas ono od innych spraw na dwa lub trzy lata, a w tym okresie, gdy Cezar będzie poza Rzymem, trudno sobie wyobrazić, że któraś z przyczyn naszych trosk zniknie. Wyprawa partyjska, niebezpieczna sama w sobie, stanowi w istocie próbę ucieczki. Ostrożnie, oczywiście, wskazałem na najpilniejsze zadanie – naprawę ustroju państwa...

Przerwałem, widząc, że przestał mnie słuchać. Jego spojrzenie błędziło gdzieś daleko. Odpłynął w nudę, a może w marzenia. Spozrzegłszy, że zamilkłem, obdarzył mnie swym zwykłym czarującym uśmiechem.

– Królowa Egiptu mówi, że tytuł króla byłby bardzo użyteczny na Wschodzie. Nie dbam o te nonsensowne tytuły, ale może ma rację. Naturalnie wielu Rzymian sprzeciwi się, albowiem

przywykli do starych zwyczajów i nienawidzą nowości. Skądinąd może kiedyś imię Cezar zacznie oznaczać kogoś więcej aniżeli króla. Kto wie? Zastanawiałem się, czy mógłbym pozwolić sobie na przyjęcie tytułu króla poza granicami Italii, zachowując w Rzymie jedynie stanowisko dożywotniego dyktatora. Mogłoby to być rozwiązanie dylematu. Co o tym myślisz, Myszo?

Wiedziałem, że nie zwracał najmniejszej uwagi na moje argumenty. Mimo to odparłem:

– Nie wiem doprawdy, jak miałyby to cokolwiek rozwiązać, chociaż oczywiście rozumiem, że argument królowej wydaje się jej całkiem naturalny. Ale istota sprawy nie sprowadza się, Cezarze, do tytułów i masz całkowitą rację, sądząc, że wszyscy w Rzymie zareagowaliby niechęcią na przyjęcie tytułu królewskiego. Sprowadza się ona do relacji między tobą i niezmierną władzą, jaką teraz dzierzysz, z jednej strony, a najlepszymi sposobami ożywienia tradycyjnych instytucji republikańskich z drugiej.

– Nie rozumiesz, Myszo. Pewnie słuchałeś Cycerona. Szanuję Cycerona i lubię z nim rozmawiać tak długo, jak długo pozostaje my w kręgu literatury i filozofii. Nawiasem mówiąc, wykonuje użyteczną robotę, znajdując łacińskie odpowiedniki dla greckich terminów, które są konieczne do rozwinięcia tematu. Kiedy jednak dotyka sprawy ustroju, zdawać by się mogło, że mówi o czymś równie mitycznym jak Minotaur. Przy całej swej błyskotliwości zupełnie nie rozumie obecnych zjawisk. Kiedy mówi o ustroju tonem pełnym szacunku, wprawia mnie w podziw, choć wiem, że rozprawia o czymś, co przestało istnieć, zanim się urodził. W co on na prawdę wierzy? Zdaje się sądzić, że nad naszymi wojskami winien objąć komendę jakiś szlachetny dowódca – kiedyś był nim Pompejusz, teraz z konieczności jest nim Cezar – podczas gdy Rzymem, Italią i nieprzysparzającymi kłopotów prowincjami winien rządzić czy administrować nimi Senat pod przewodnictwem szacownych konserwatystów, mających na względzie interes publiczny i tak ukształtowanych, aby byli posłuszni jego złotej retoryce. Powinien wiedzieć, że takie zgromadzenie – nawet jeśli kiedyś istniało – już nie istnieje, mógłby też wykazać choć trochę skromności i przyznać, że jego własne konto zaśmiecają grube błędy i nieporozumienia.

Podniósł się i przeszedł naokoło pokoju. Mimo swych pięćdziesięciu z okładem lat zachował dawną ruchliwość i tężyźnię, tak podziwianą przez żołnierzy.

– Powinieneś rozumieć, Myszo, albowiem należysz do ludzi Cezara, że przez ostatnie dwa, a nawet trzy pokolenia nasza Republika – cóż za cudowna, sławna, konająca nazwa – dowiodła,

iz nie zdolna jest do wypełniania najprostszych i najniezbędniejszych prerogatyw władzy, takich jak utrzymanie prawa i porządku tu, w Rzymie. W tym okresie więcej Rzymian – włączając członków arystokracji – padło w wojnach domowych, zostało zabitych w walkach ulicznych lub po prostu skrytobójczo zamordowanych, niż zginęło w jakichkolwiek wojnach zewnętrznych. I to nie z powodu mojej albo Pompejusza ambicji czy też ambicji mojego wuja Gajusza Mariusza albo nawet tego wstrętnego Sulli. Stało się tak, gdyż stare instytucje przestały odpowiadać nowym warunkom...

Nawołujesz, Myszo, do reform. Nie mam żadnych reform do za oferowania. Może kiedyś i ja myślałem, że da się zaprowadzić porządek, po prostu usuwając nadużycia. Ale to się skończyło. Takie nadzieje są jedynie czczym marzeniem. Zakładasz, że wyznaczenie przeze mnie konsulów, pretorów i innych urzędników, przekształcenie w zwykłą formalną uroczystość zatwierdzenia wyborów – zrodziło niechęć. W głębi duszy wiesz jednak, że już na długo przed naszym pojawieniem się na świecie wybory stały się albo oszukaństwem, albo farsą. Były również niebezpieczne, rodziły bowiem przemoc, którą władza powinna powstrzymać, a Republice powstrzymać się jej nie udało.

I dlatego mówię... Republika jest martwa. Nie możesz tchnąć życia w trupa. To, co pozostało, to jedynie udawanie, w dodatku niebezpieczne.

Zmiana musi nastąpić. Sytuacja będzie zmieniać się stopniowo w miarę tego, jak ludzie przywykną do nowej rzeczywistości. Pierwszy jej element zasadza się na tym, że władza należy teraz do armii i do tego, kto ją kontroluje. Na szczęście dla Rzymu czyni to Cezar. Jak długo zaś Cezar kontroluje armię, tak długo kontroluje też Rzym. Oto rzeczywistość, o którą marzenia Cyncerona rozbija ją się jak gliniane naczynie rzucone o ścianę. Czas, oto hasło. Czas i ja – oto moja wiara.

Wyruszę do Partii, gdyż jest to konieczne. Nie ma znaczenia, czego chcę ja sam. W Rzymie jestem Cezarem i Cezar rządzi. W prowincjach Cezar może być królem, nawet bogiem. To nie istotne. Rzym potrzebuje spokoju, ustania walk wewnętrznych. Jedynie Cezar władny jest to zapewnić, a może to zrobić tylko wówczas, gdy kontroluje i dowodzi armią. Oto, Myszo, cała rzeczywistość.

I dlatego nie słuchaj Cyncerona. To porządny człowiek. Ale uosabia przeszłość. Przyszłość to rzecz całkowicie odmienna, ponieważ zostanie oparta na zrozumieniu najistotniejszych realiów władzy, które tworzy miecz. Senat oczywiście przetrwa. Czyż Cezar go nie odnowił, jak sam

przyznajesz? Tak samo przetrwają urzędy, ponieważ czeka je wiele pracy. Ale pamiętaj: silni rządzą światem, a Cezar jest najpotężniejszy dzięki swoim legionom.

Nikt nie utrzyma władzy nad Rzymem, jeśli nie zapewni sobie tego poparcia. Jeśli odda dowództwo, zginie. Rzym jest imperium, a nie miastem-państwem. Powiedz mi zupełnie szczerze, czy nie wydaje ci się absurdem, aby tłumowi tłustych, brudnych plebejuszy powierzać wybór władz, gdy owe władze odpowiadają za cały świat śródziemnomorski... a po mojej następnej kampanii także za Partię...

Odszedłem zrozpaczony, ponieważ nakreślił obraz przyszłości, w której nie było miejsca na wolność i w której honor mógł znaleźć się w rękach każdego, kto zdobędzie władzę... Nie z tego powodu, nie po to, aby to osiągnąć, walczyłem od Rubikonu do Grecji i wy walczyłem dla Cezara zwycięstwo pod Mundą.



## ROZDZIAŁ 16

Chociaż rok zaczynał się tradycyjnie w kalendy marcowe [Kalendy – w kalendarzu rzymskim pierwszy dzień miesiąca. – przyp. tłum.] (data zmieniona przez reformę kalendarza Cezara), mój teść Gajusz Kasjusz zwykł wydawać przyjęcie w kalendy styczniowe, gdyż jak słusznie mówił: „Janus, stróż wszelkich wejść, bóg czuwający nad początkiem wszystkich rzeczy i wszystkich czynów, zasługuje na nasz szacunek”. Fakt, że przyjęcie odbywające się tuż po rozpuszczeniu Saturnaliów mogło ożywić ducha tego święta i przerodzić się w coś, co można by słusznie określić jako orgię, nie odmieniło postanowienia mojego teścia, aby uczcić boga Janusa.

W owym doniosłym roku przyjęcie nabrało szczególnej wagi, ponieważ Kasjusz zappełnił swą listę gości ludźmi znanymi jako najmniej oddani Cezarowi, aczkolwiek, zachowując niezbędne środki ostrożności, uznał za konieczne zaproszenie samego dyktatora.

Zapewne moja obecność upewniła Cezara, że nie znajduje się wśród nieprzyjaciół, ponieważ wesoły nastrój nie opuścił go przez cały, dość zresztą krótki pobyt w domu Kasjusza. Niektórzy mówią, że to widok mojego kuzyna Marka Brutusa uśmierzył jego niepokój, gdy po raz pierwszy rozejrzał się po komnacie. W rzeczywistości sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej. Cezar był w złych stosunkach z Markiem z powodu plotek głoszących, że mój kuzyn przejawia ambicję, by zająć miejsce dyktatora.

– Brutus prędzej wyzionie ducha – rzekł.

Poza tym każdy z obecnych – a niektórych nie ma już niestety wśród nas – mógłby potwierdzić, że to ze mną dyktator głównie rozmawiał tego wieczoru. Kasjusz poprosił, abym zadbał o dobre samopoczucie Cezara, co oczywiście z przyjemnością uczyniłem. Mój teść wiedział aż za dobrze, że dyktator ani go nie lubił, ani mu nie ufał. I dlatego był szczerze rad, gdy po krótkim i uroczystym pozdrowieniu uwolniłem go od towarzystwa Cezara.

Cezar wyszedł wcześniej, mówiąc, że jakkolwiek okazja jest świąteczna, ma jeszcze wiele pracy.

– Z królową Egiptu – zachichotał młody Cynna, kiedy dyktator nie mógł już usłyszeć jego słów.

Gdy pojedliśmy i popiliśmy – karmiąca maciora była nader wyśmienita, a to przypomniało mi o zapewnieniach Kasjusza, że maciory w jego posiadłościach koło Tivoli wzięto na dietę

mleczną, dzięki czemu miały dużo, i to dobrego mleka – Kasjusz odesłał niewolników, upewniwszy się wcześniej, że zostawili dość wina, zarówno białego, jak i czerwonego. Albowiem jego zdaniem na cześć Janusa rzeczą właściwą jest picie obydwu.

Zostało nas około dwudziestu, spoczywających na łożach, wszyscy najwyraźniej rozluźnieni. Gdy jednak niewolnicy wyszli, drzenie przebiegło komnatę, jakbyśmy poczuli zbliżanie się wielkiej chwili. Mogę powiedzieć, że mój teść nie ostrzegł mnie w najmniejszym stopniu o swoich intencjach, co jest świadectwem zaufania, jakie zaczął we mnie pokładać.

Tworzyliśmy niezwykle zróżnicowane towarzystwo. Sam Kasjusz i Marek byli pompejańczykami; walczyli (lub jak w przypadku Marka znaleźli bezpieczniejsze zajęcie) pod Farsalos. Kwintus Ligariusz, także pompejańczyk, został ułaskawiony (Jak relacjonowałem) dzięki elokwencji Cycerona. Decymus Turuliusz i Kwintus Kasjusz (z Panny), niezwykle ponure postacie, walczyli również w armii Pompejusza. Młody człowiek o pewnym wdzięku, z orzechowymi włosami i melancholijnym wyrazem twarzy to Katon, mniej posępny i nieokrzesany niż jego ojciec, zarazem bardziej inteligentny, choć równie oddany Republice, lecz z większym wyczuciem tego, co jest możliwe. Był teraz szwagrem Marka. Z pewnym rozbawieniem zauważyłem wcześniej, że odsunął się od mego kuzyna, i to nie tylko, jestem pewien, z powodu przykrego zwyczaju Marka, który czasami pryskał śliną w twarz swemu rozmówcy. Stanowiło to zresztą raczej wynik dziecięcej ułomności, której nigdy nie przezwyciężył, niż złych manier. Prawdopodobnie Katon wiedział o tym. I dlatego odsunął się, jak sobie wyobrażałem, po prostu dlatego, że był znudzony. Nie mogłem go za to obwiniać. Kolejnym pompejańczykiem był Lucjusz Korneliusz Cynna, ożeniony z córką Wielkiego.

Odnalazłem też w tym gronie swoich starych kolegów. Oczywiście Kaszę, Metellusa Cymbra i Gajusza Treboniusza, ludzi, z którymi walczyłem ramię w ramię. Spotkałem i innych, lecz ich sytuacja była dość niejasna i nie byłbym skłonny im zaufać. Znajdował się wśród nich Serwiliusz Sulpicjusz Galba, dobrze urodzony, uzdolniony w sztuce wojskowej, ale zgorzkniały i o agresywnym usposobieniu. Wiedziałem, że nienawidził Cezara, ponieważ ten nie zgodził się ulec jego żądaniu i nie mianował go konsulem na najbliższe lata. Jeszcze bardziej niegodziwy był Lucjusz Minucjusz Basilus, któremu Cezar odmówił namiestnictwa prowincji, kwestionując jego odpowiedzialność. Na otarcie łez dyktator zaofiarował mu pewną kwotę. Basilus twierdził, że został obrażony, ale mimo wszystko wziął pieniądze.

Z zachowania mojego teścia wywnioskowałem, że nie jest to czysto towarzyskie spotkanie.

Chociaż był grzeczny i uprzejmy w ciągu całego przyjęcia i posiłku, widziałem wyraźnie, że jego nerwy są w stanie najwyższego napięcia.

– Balbus powiedział mi coś dziwnego kilka dni temu – rzekł mój sąsiad, młody Cynna. – No wiesz, Balbus bankier.

– Oczywiście znam Balbusa. O czym opowiadał?

– No cóż, podobno niektórzy z weteranów po zwolnieniu z wojska otrzymali gospodarstwa w okręgu Kapui i zniszczyli jakieś prastare groby, aby uzyskać kamień do postawienia nowych budynków gospodarskich. W jednym z grobów, należącym rzekomo do Kapysa, założyciela Kapui, znaleźli spizową tablicę z wrytym na niej następującym napisem: „Kiedy zostaną odkryte kości Kapysa, potomek Jula zginie z ręki swych krewnych, wnet potem Italia zapłaci za to wielkimi klęskami”. Co na to powiecie?

– Niewiele – odparłem. – W końcu w pewien odległy sposób wszyscy Rzymianie mogą dowodzić swego trojańskiego pochodzenia. Codziennie też giną Rzymianie zamordowani przez swoich przyjaciół lub krewnych.

– No tak – rzekł – naturalnie nie jestem zabobonny, ale jest w tym coś zastanawiającego, nie uważacie?

– Uważacie – wtrącił się Kaska. – To niezłe, mój drogi. Jeśli jednak raz zaczniesz dawać wiarę tego rodzaju opowieściom starych bab, nigdy z tym nie skończysz. Nie dalej jak wczoraj moja stara, gruba matka opowiedziała mi historyjkę, którą usłyszała od swego największego autorytetu, swojej manikiurzystki, jak przypuszczam. Stada koni, które nasz pan i władca poświęcił rzece Rubikon, z powodu jej znaczenia dla jego kariery – żalony rów, jakbyś wiedział, gdybyś był z nami – przeszły na drugi brzeg i zaczęły skubać trawę. Zaraz potem, jak powiedziano mojej matce, zaczęły się jakoś dziwnie zachowywać, a niektóre wręcz zaniemogły.

– Dobrze nieba, to nadzwyczajne.

– Rzeczywiście? Byłoby bardziej nadzwyczajne, mój drogi, gdyby Cezar naprawdę poświęcił stado koni temu okropnemu strumykowi. Ale nie sądzisz chyba, że zawracałby sobie czymś takim głowę?

– Byłoby jeszcze bardziej nadzwyczajne – powiedziałem – gdyby jakiegokolwiek konie, nawet gdyby istniały, zaniemogły. Ale sam wiesz, że konie nie chorują. Właśnie dlatego kolka zabija je z taką łatwością. Kiedy masz kłopoty żołądkowe, wymiotujesz. Tak samo pies. Ale koń nie. Koniec historii.

– No cóż odezwał się młody Cynna – przyznaję, że nie znam się w ogóle na koniach, nie znoszę bydłaków, gryzą z jednej strony i kopią z drugiej. Nie chodzi o to, że się ich boję, po prostu źle na mnie działają. Dlatego też nie wiedziałem tego. Ale czy nie uważacie, że to czyni opowieść jeszcze bardziej nadzwyczajną? To wszak przeciwne naturze, a gdy zdarza się coś przeciwnego naturze, oznacza, że jest naprawdę ważne.

– Czyżby, mój drogi? – zapytałem.

Ten typ opowiadań i rozmów powszechnie dało się słyszeć w Rzymie owej zimy. Łatwowierność pieła się wszędzie. Rozmowę przerwał Kasjusz, bębniąc rękojeścią noża o blat stołu, aby przykuć naszą uwagę. Gdy zapadła cisza, powiedział:

– Nie zamierzam wygłaszać mowy, moi przyjaciele. Jak niektórzy z was wiedzą, nie znoszę mów po biesiadzie. Oto dlaczego nie ma z nami Cyclerona. – Zgodny chichot przebiegł naokoło stołu. – Ale chciałbym przedstawić wam parę spraw. Mówienie o nich nie jest całkiem bezpieczne. Jeśli mnie posłuchacie, możemy zmienić nasze życie i przywrócić wolność w Rzymie. A zatem zanim zaczniemy, proszę was o dwie rzeczy. Po pierwsze, proszę wszystkich, którzy nie są gotowi podjąć ryzyka działania, aby nas teraz opuścili...

Nikt się nie poruszył.

– Dobrze, trafnie was oceniłem. Po drugie, prosiłbym, abyście przysięgli na honor i cześć waszych przodków, wzywając bogów, których czcicie, że wszystko, co usłyszycie tej nocy, pozostanie poufne, że nie powiecie o tym nikomu, kogo nie ma teraz z nami, chyba że uzyskacie moją zgodę, i że nie będziecie dyskutować tego poza tym kręgiem lub w innym towarzystwie. Czy przysięgniecie? Czy złożycie taką przysięgę?

Znowu nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał.

Przyszło mi wstać pierwszemu i złożyć uroczystą przysięgę w formie zaproponowanej przez Kasjusza. Jeden po drugim, niektórzy powoli, jakby z obawą, podnosili się i dołączali do reszty, większość używała tych samych słów, które najpierw Kasjusz, a następnie ja sam wypowiedzieliśmy. Jedynie mój kuzyn Marek do końca pozostał na swoim miejscu.

– Marku Juniuszu Brutusie, dziedzicu jednego z najszlachetniejszych nazwisk „rzymskiej historia czy przysięgniesz...

Marek kruszył chleb.

– Niepokoi mnie... – odezwał się wreszcie. – Jestem ostatnimi czasy poważnie zaniepokojony. Dręczy mnie dylemat, trapią mnie myśli, które wolałbym zachować dla siebie.

Wielu z was wie, że bardziej miłuję honor, aniżeli lękam się śmierci. Podejrzewam jednak, że zabieracie się do dzieła, do którego nie mogę się z honorem przyłączyć.

– Ależ Brutusie – rzekł Kasjusz – w całym Rzymie nie ma człowieka bardziej od ciebie szanowanego. Słyszałem, jak ludzie mówili, że boleją nad tym, iż szlachetny Brutus nie dostrzega swymi oczyma tego, co widzą wszyscy. Obawiam się, że zbytnio cię pochłaniają własne rozterki. Nie mogę cię zmusić, abyś przysiągł, mogę jednak cię o to prosić, a nawet błagać. Nie chcielibyśmy nie móc korzystać z twojej rady.

– No cóż, to oczywiste. – Chleb był teraz w okruszynach. – Jestem zaszczycony, że myślisz o mnie tak dobrze. Ale załóżmy, że usłyszę dzisiejszej nocy w tej komnacie coś, co poczucie honoru każe mi ujawnić, i załóżmy, że zobowiążę się przysięgą do zachowania milczenia. Poglębi to jedynie moje rozterki. Kasjuszu, wiesz, że cię Kocham i szanuję, ale nie mogę zejść z drogi, którą uważam za słuszną...

– Mały zarozumialec – szepnął Kaska – zafajdany mały, tchórzliwy zarozumialec.

– Z całym zatem szacunkiem, Kasjuszu, nie mogę obiecać ci tego, czego żądasz. Myślę, że w związku z tym powinienem się pożegnać. Co czynię, życząc wam wszystkim jak najlepszej, mądrej decyzji, nad czymkolwiek zamierzacie radzić.

Złożył serwetę i położył ją u swych stóp. Obszedł stół, uściśnął Kasjusza i tak nas opuścił. Zawsze mówiono, że odszedł z godnością. Według mnie uciekł jak przestraszony królik.

Młody Katon wyglądał przez moment tak, jakby miał pójść w ślady swego szwagra. Popatrzył na drugą stronę stołu, uchwycił moje spojrzenie i pozostał tam, gdzie się znajdował. Jeden tylko młody człowiek, którego imienia nie znałem (dopiero później się dowiedziałem, że był to Fawoniusz), poszedł za przykładem Marka.

Kiedy wyszli, Kasjusz położył się z powrotem na łożu i dał nam znak, abyśmy zrobili to samo. Wtedy zaczął mówić.

– Żałuję, że Marek Brutus, którego podziwiam jak, jestem pewien, wy wszyscy, uznał za niemożliwe pozostanie z nami. Szanuję go i poważam. Powiecie może, że jest nazbyt skrupulatny. Wcześniej był z nami inny człowiek, o którym nie da się tego powiedzieć. Wszyscy wiecie, że mówię o Cezarze. Wiele da się przytoczyć na niekorzyść Cezara, ale wątpię, aby ktokolwiek mógł go oskarżać go o nadmierną skrupulatność...

Prosiłbym, abyście pomyśleli o Cezarze i o tym, jakie są teraz nasze wzajemne relacje i jak wygląda sytuacja Rzymu. Nie wiem, co wy i inni sądzicie o życiu, jakie prowadzimy, ale mówiąc

w swoim własnym imieniu, wolałbym raczej przestać oddychać aniżeli żyć dalej pod tyranią... człowieka, który wcale nie jest kimś lepszym ode mnie. Urodziłem się, podobnie jak Cezar, w wolnym państwie.

Urodziłem się jako jemu równy. Jesteśmy takimi samymi ludźmi, ogrzewa nas to samo słońce w lecie, drżymy w podmuchu zimowego wiatru. Powiedziałem „równi”? Pamiętam, jak kiedyś, gdy byliśmy młodzi, Cezar wyzwał mnie do przepłynięcia Tybru. Rzeka była wzburzona, ale nie zważając na to, zanurzyłem się w jej falach. Usłyszałem za sobą krzyk i patrząc przez ramię, zobaczyłem, że Cezar jest w tarapatkach. I tak jak niegdyś Eneasze, nasz szlachetny przodek, wyniósł Anchizesa z płomieni gorejącej Troi, tak ja wyniosłem wtedy Cezara ze wzburzonej wody, doholowałem do brzegu, zapewniłem bezpieczeństwo. Jak możecie sobie wyobrazić, często od tej pory zastanawiałem się nad ową chwilą. Inni dokonywali podobnych czynów. Mój zięć Decymus Juniusz Brutus Albinus... – Skierował swój wzrok na mnie. – Czyż nie uratowałeś Cezara z zamętu bitwy pod Mundą?

– Tak, mogę tak twierdzić.

– A teraz – rzekł Kasjusz, zniżając głos do szeptu, jak to czynią aktorzy, gdy chcą uciszyć szmer w teatrze – a teraz Cezar jest bogiem, a Kasjusz, Decymus Brutus czy Metellus Cymber, który do konał wielkich czynów w bitwach, czy Kaska lub młody Katon wywodzący się z najszlachetniejszego rodu w Rzymie, każdy z was tu obecnych – każdy, w Senacie, w obozie wojskowym czy w świątyni, musi kłaniać się i schylać, skrobać się po głowie i rumienić radośnie, jeśli Cezar raczy skinąć w jego kierunku.

Czy tak ma wyglądać życie godne, życie z honorem?

Pamiętam także, że Labienus, szlachetny, czcigodny Labienus, opowiadał mi kiedyś o tym, jak Cezar zachorował w Galii i leżąc na swym posłaniu, zażądał wody. Był wzruszający niczym mała dziewczynka. Niektórzy z nas widzieli, jak cierpiał napady, trząsał się, jak ten bóg dygotał, gdy cała władza uchodziła z jego członków.

Ów bóg... ów człowiek podobnie jak my...

A teraz jest ósmym cudem świata. Stał okrzakiem nad światem jak wielki Kolos, którego widzieliście na Rodos, a my wszyscy, mali ludzie, którzy stają się drobnymi nieważnymi przedmiotami, musimy pełzać między jego nogami, jakbyśmy szukali haniebnej mogiły.

Cezar mówi o Przeznaczeniu. Żadne słowo nie gości tak często na jego ustach. Gwiazdy, gwiazdy, jakby to los zesłał nam życie w niewoli i upodleniu.

A ja powiadam... – Znowu przerwał, znowu zastukał w stół ręką nożem, znowu zawahał się, trzymając nas w napięciu, gdy każdy nie tylko pragnął, lecz i obawiał się jak najszybciej poznać wniosek, do którego Kasjusz nieubłaganie zmierzał. – A ja powiadam, że wina nie leży w gwiazdach, ale w nas samych.

Jaki użytek uczynił Cezar ze swojej potęgi? Gdyby nasi przodkowie, owi mężowie, którzy rzucili na kolana Hannibala, spustoszyli Kartaginę, doprowadzili do zguby wielkiego króla Mitrydatesa, podbili Hiszpanię, Afrykę i Azję, gdyby owi mężowie, których tak czcimy, mogli nas teraz zobaczyć. Gdyby mogli zobaczyć nasze chylące się ku upadkowi państwo. Gdyby mogli zobaczyć, jak nikczemnie teraz wyglądamy. Gdyby mogli zobaczyć, jak Cezar, mąż tej samej, co my krwi, gracz, dłużnik, rozpustnik, zniszczył historyczne więzi spajające państwo w jedną całość, gdyby ujrzeli, jak pomiata nami, panuje nad nami, traktuje nas niczym swoich... poddanych. Gdyby zobaczyli to wszystko, śmialiby się czy płakali, czy płacząc śmialiby się, czy śmiejąc się płakali?

Oto pytanie, jakie stawiam przed wami dzisiejszego wieczoru. Czy nie odczuwacie, jak ja, wstydu, że znaleźliśmy się w równie nikczemnym położeniu? Czy jesteście gotowi ugiąć się i czcić Cezara, nazywać go bogiem, nawet królem, odnosić się doń jak do stworzenia całkowicie innego rodzaju niż my sami, jak on rzymscy arystokraci?

Następnie zamilkł, bardzo blady. Napił się wina, spoglądając kolejno na każdego z nas. Jeden po drugim spuszczałyśmy oczy, nie mogąc wytrzymać jego wzroku. Zapadło milczenie. Przerwał je człowiek, z którym nie skrzyżował się jego wzrok, a to dlatego, że gdy spoczywał na łożu w udawanej obojętności, jego oczy były zamknięte. Tym człowiekiem był oczywiście Kaska.

– Słowa, słowa, słowa, Kasjuszu, Kasjuszu, Kasjuszu, przewyższyłeś samego Cyncerona. Rzeczywiście nie warto było zapraszać na dzisiejszy wieczór starego człowieka, albowiem nawet on nie dałby nam lepszego popisu retoryki...

– Czy sądzisz, że wszystko, o czym mówiłem, to puste słowa?

– Nie powiem na pewno, nie powiem. – Kaska uniósł się, siadając na łożu i poklepał swój brzuch. – Jestem gruby, gruby, gruby. Uraczyłeś nas, Kasjuszu, wyśmienitą wieczerzą. Zdaniem Cezara jedynie chudzi ludzie są niebezpieczni, a ja jestem gruby.

Przerwał mu Metellus Cymber.

– Dość tej błazenady. Dałeś nam wiele do myślenia, Kasjuszu. Jeśli to dla ciebie satysfakcja, zawstydziłeś mnie.

– I mnie.

– I mnie.

– I mnie... niestety.

– Cóż ty na to, Kasko? – zapytał Kasjusz.

– Wstydu pozbyłem się, drogi przyjacielu, dawno temu. Zapewnij mi spokój, wino i trochę przyjemnostek, zabij moich wierzycieli lub zachowaj ich przy życiu, trzymając jednak z dala ode mnie. Czegóż więcej mógłby Kaska żądać od losu? Jestem gruby, jak widzisz. Słowa, słowa, słowa. No cóż, odpowiem słowami. Najlepiej przekonać się o jakości potrawy, spożywając ją. Czyż nie tak mówi przysłowie? Twój kucharz ma dobrą rękę do wypieków, Kasjuszu. Złóż mu ode mnie gratulacje z powodu pasztecików z homara...

Znowu Metellus Cymber przerwał milczenie.

– Twoje słowa, Kasjuszu, mogą być tylko początkiem. Żałuję, że Marek Brutus nie pozostał z nami. Ogromnie sobie cenię opinię tego męża. Ale dałeś nam bardzo wiele do myślenia. I dlatego zapraszam wszystkich obecnych tu dzisiejszego wieczoru na przyjęcie u mnie za siedem dni. Do tego czasu zastanowimy się nad poruszonymi tu sprawami, rozważymy je w naszych sumieniach. I dochowamy przysięgi milczenia, jaką złożyliśmy. Przekonasz się, Kasko, że mój kucharz z Armenii ma również doskonałą rękę do wypieków i ogromną wyobraźnię, jeśli chodzi o nadzienie. Zakończymy więc na tym i wznowimy dyskusję u mnie?

Wszyscy się zgodzili, ale gdy zbieraliśmy się do wyjścia, Kasjusz skinął na mnie. Zatrzymał także młodego Katona. Kiedy zostaliśmy sami, powiedział:

– Interesująca reakcja, lepsza, niż śmiałem marzyć. Dobrze by jednak było naradzić się, zanim przyłączymy się do naszych przyjaciół.

Spoczęliśmy więc znowu na łóżach. Kasjusz nalał nam wina.

– Myszo – zaczął – znasz Cezara lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Wiele mu zawdzięczam.

– Równie wiele on tobie.

– Nie zaprzeczam.

– Wiedziałaś, do czego zmierzałem... a jednak zostałeś.

Wyplułem pestkę oliwki.

– Są zobowiązania ważniejsze i mniej ważne.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Katon.



– Mamy zobowiązania wobec przyjaciół i dobroczyńców, jeszcze większe wobec samych siebie, a największe wobec Rzymu.

– Właśnie o tym myślałem – powiedział Kasjusz. – Jasno wyraziłeś swoją myśl. Nie robię nic ponadto, powtarzam tylko twoje słowa. Od miesięcy szukam innego rozwiązania. Nie widzę żadnego.

– Jeśli Cezar przyjmie tytuł króla – rzekł Katon – sam lud uwolni nas od odpowiedzialności. Rozerwą go na kawałki.

– Może i tak – powiedziałem. – W każdym razie Cezar nie przyjmie tytułu królewskiego, nie teraz, nie tutaj, nie w Rzymie. Jeśli wyruszy do Partii, wówczas tak, gdzieś na Wschodzie pozwoli, uśmiechając się lekceważąco, nazywać siebie królem. Zapewne podzieli tron z królową Egiptu. Kampania potrwa długo, dwa lub trzy lata. Przez ten czas obywatele mogą przywyknąć do tytułu. Kto wie? Ale nigdy nie użyje go w Rzymie. Cezar nie przykłada wagi do samych słów. Dał mi ostatnio do zrozumienia, że imię Cezar znaczy nawet więcej niż „król”. Może mieć zupełną rację. Gdy wspomniałem, że nie dostrzegam innego rozwiązania prócz tego, o którym ty, Kasjuszu, nie odważyłeś się tego wieczoru powiedzieć do końca, to dlatego, że badałem już możliwość ustąpienia. Zasugerowałem mianowicie Cezarowi, iż mógłby pójść za przykładem Sulli i usunąć się w zacisze domowe. Nie wspomniałem mu oczywiście o Sulli, albowiem jak wszyscy wiemy, nienawidzi samego imienia, nawet najmniejsza aluzja go irytuje. Jest zdecydowany zatrzymać władzę w swym ręku. A także podbić Partię.

– Może nie powrócić z Partii – rzekł Katon.

– Owszem – odparł Kasjusz – ale tego ryzyka nie możemy podjąć, albowiem gdyby wrócił zwycięski, wówczas... – Wyciągnął rękę przed siebie, po czym skierował kciuk w dół. – Rzym, my wszyscy, w jego mocy na zawsze, wolność pogrzebana na wieki. Katonie, ciebie i mnie łączy z Markiem Brutusem to samo rodzinne powinowactwo... – To była prawda, albowiem siostra Katona została żoną Brutusa, a poprzedniego lata Kasjusz ożenił się po raz trzeci z przyrodną siostrą Brutusa. – Skoro stajesz po naszej stronie, liczę na to, że przekonasz także Brutusa. Spróbuję też sam w prywatnej rozmowie. Jest nieco ospały i ostrożny. Nie byłem zaskoczony, gdy opuścił nas dzisiejszego wieczoru. Ale Brutusa musimy pozyskać. Porozmawiasz z nim?

– Z pewnością. Porozmawiam też z moją siostrą Porcją. Jak wiesz, była niezwykle przywiązana do naszego ojca, a jego pamięć pielęgnuje z nabożną czcią. Nienawidzi Cezara mocniej niż inne znane mi osoby. I ma wielki wpływ na swego męża.

– Doskonale – rzekł Kasjusz. – Niewielu kobietom powierzyłbym naszą tajemnicę, ale jestem gotów zrobić wyjątek dla córki Katona.

Gdy młody Katon nas opuścił, mój teść popatrzył na mnie z pewną sympatią.

– Jesteś gotów znieść oskarżenia o zdradę, jakie będą przeciwko tobie kierowane?

– Tak – rzekłem.

– Wiem, że nie podzielasz mojego szacunku dla twojego kuzyna Marka ani dobrej opinii, jaką powszechnie się cieszy. Myślę, że go nie doceniasz. Zastanawiam się czasami, czy nie jesteś aby zazdrosny o pochwały, jakie zewsząd zbiera.

– Zazdrosny o Marka? Cóż znowu. Po prostu kwestionuję jego zdolności i nie rozumiem, dlaczego uważasz jego uczestnictwo za tak zasadnicze.

– Użyłeś właściwego słowa. Uważam, że jego udział ma zasadnicze znaczenie. Tak wielkie, że żywię głębokie przekonanie, iż nie mamy szansy na sukces, jeśli nie zechce się do nas przyłączyć. Przejść do czynu możemy sami. Nie potrzebujemy go do tego. Ale ogromny szacunek, jakim się cieszy wśród ludu, sprawia, że bez niego nie poradzimy sobie później.

– Ach tak, ucieleśnienie starorzymskich cnót. Zdziwiał mnie to.

– Podobną opinią cieszy się wśród senatorów... dlatego szczerze wierzę, że jego akces jest konieczny, jeśli mamy zwyciężyć i osiągnąć nasz szerszy cel – przywrócenie wolnego państwa. Jeśli dołączy do nas, nasz czyn zostanie uznany za bezinteresowny. Jeśli odmówi, nasze oddanie dla Republiki nie zyska zaufania. I dlatego muszę cię prosić, abyś odsunął swoje uprzedzenia na bok i namawiał go także.

– Napawa mnie to wstrętem.

– Mimo wszystko...

– Ostrzegam, że będzie robił głupstwa.

– Mimo wszystko...

– A więc niech będzie. Z najwyższą niechęcią ulegam twoim na mowom.

– Dziękuję ci. Jak się ma Longina?

– Kwitnie i promienieje. Doprawdy tak jesteśmy teraz szczęśliwi, że z łatwością uległbym pokusie zamknięcia się w zaciszu domowym.

– Nie, zięciu, zbył dobry z ciebie Rzymianin. Nie można zaś sobie wyobrazić czegoś szlachetniejszego i bardziej godnego Rzymianina niż przedsięwzięcie, do którego przystępujemy.

Wstaliśmy, uściskał mnie i ruszyłem w pochmurną noc.

## ROZDZIAŁ 17

Kości zostały rzucone”. Słowa Cezara wracały do mnie wiele razy. „Kości zostały rzucone”. Wszystko jedno, jak upadną. Wprawiało mnie to w zdumienie. Nigdy nie byłem hazardzistą. Marek Antoniusz zwykł kpić z mojej niechęci do ryzyka. Odpowiadałem wówczas, że jest ono dobre dla geniusza takiego jak Cezar, ale nawet geniusz potrzebuje trzeźwo myślących ludzi, jak Labienus i ja, aby nie zbaczać z drogi uczciwości.

– A co ze mną?” – pytał Antoniusz.

Nigdy do końca nie rozszyfrowałem Antoniusza. Fascynował mnie. Przypuszczalnie dlatego, że był tak beztroski we wszystkim, co robił, nie przejmował się ni czym, z własną reputacją włącznie, nie martwił się konsekwencjami. Teraz spierałem się z samym sobą, spierałem się z Kasjuszem, czy powinniśmy zaprosić Antoniusza do naszego grona. Sprawował konsulat. Była to okoliczność sprzyjająca, gdyż mielibyśmy dzięki temu za sobą legalnie ustanowioną władzę. Nie mogłem być jednak pewien jego reakcji. Był nieobliczalny. Poza tym zachodziło niebezpieczeństwo, że ujawni po pijanemu nasze zamiary. Kasjusz wskazywał na dwie dalsze kwestie. Po pierwsze, akces Antoniusza odepchnąłby Marka, na którego uczestnictwie niezmiernie mu zależało. Po drugie, z łatwością zbliżymy się do Antoniusza, gdy będzie już po wszystkim.

– Zatrwoży się o własne bezpieczeństwo. Nie będzie miał innego wyboru jak wyrazić zgodę. Chciałbym mieć wówczas pewność Kasjusza...

Longina pocałowała mnie delikatnie w usta. Moje palce wybijały taneczny rytm na jej brzuchu, niezbyt jeszcze wydatnym.

– Mój ojciec... – rzekła – martwi mnie, że ty i on... Nie wiem, jak najlepiej to wyłożyć. Ojciec udaje obojętność. Co mówi jego filozofia? Miara we wszystkim, czyż nie? Uznaje to jedynie w teorii. Sam wiesz. Jest porywczy, impulsywny, niebezpieczny. Zawsze znajdzie chwalebne uzasadnienie dla wszystkich swych pragnień, choć prawdziwa przyczyna będzie zupełnie inna. Nie zapominaj, że poznawałam go przez całe moje życie. Powiem ci coś, coś, czego nigdy... Zawsze mnie przerażał. A to dlatego, że jest gorzki, rozczarowany do świata.

– Nie martw się – usiłowałam ją pocieszyć i pocałunkami rozproszyć jej obawy.

– Wszystko dlatego, że nie chcę cię utracić – powiedziała – a na tym polega niebezpieczeństwo związane z moim ojcem. Doprowadza innych do zguby.

Na moment jej czułość zachwiała moją determinacją. Wtedy pomyślałem o naszym synu, który miał się narodzić. Rozmyślałem o dwóch drogach stojących przed nim. O życiu wolnego rzymskiego arystokraty oraz o służalczej egzystencji poddanego.

„Obywatele” Tak Cezar zwrócił się do zbuntowanych żołnierzy dziesiątego legionu.

Ale był to zarazem zaszczytny tytuł. Jak długo przetrwałby w Rzymie Cezara?

Tramontana nadal wiała z całą siłą z północy. Cezar pochłonięty był planowaniem wyprawy partyjskiej. Jak zawsze okazywał niezwykłą skrupulatność w sprawie zaopatrzenia legionów czy też może raczej dbał o to, aby inni z należytą skrupulatnością zajmowali się całą sprawą.

Powiedział do mnie:

– Wiem, że zbliża się właśnie czas objęcia przez ciebie namiestnictwa Galii Cisalpińskiej i oczywiście naznaczyłem cię na konsulat na 42 rok. Chyba jednak trzeba znaleźć zastępcę na stanowisku namiestnika. Wydaje się, że będę cię potrzebował na Wschodzie. Od kiedy nie ma wśród nas Labienusa, jesteś jedynym wodzem, któremu mogę powierzyć samodzielne prowadzenie operacji.

– Jest przecież Antoniusz – odparłem.

– Tak, Antoniusz jest zawsze. Ale nigdy nie wiadomo, kiedy można, a kiedy nie, na nim polegać. Zawsze mogłem zaufać tobie, Myszo. Właśnie dlatego wymieniałem cię w swym testamencie jako opiekuna mojego siostrzeńca i spadkobiercy, Oktawiusza.

– Są pogłoski, że zamierzasz uznać syna królowej Egiptu za swoje dziecko.

Zmarszczył brwi.

– Ucisz te pogłoski, proszę. Zdenerwowałyby jedynie Kalpurnię.

„Zawsze mogłem zaufać tobie, Myszo”. Te słowa wracały do mnie w nocy. Wyciągnąłem rękę do mojej śpiącej żony i obudziłem ją, chcąc odpędzić wspomnienie.

Kalpurnia nadal nalegała, abym odszukał bityńskiego czarodzieja.

– Wiem, że nie opuścił miasta.

– Może ukrywa się z powodu popełnionych zbrodni.

– Nie wierzę, że naprawdę próbowałeś go odnaleźć. Zastanawiam się, czy aby nie trzymasz strony Kleopatry.

Zgryzoty uczyniły ją jeszcze chudsza, a jej cera jeszcze bardziej pożółkła. Nie umiałem jej współczuć, budziła we mnie niechęć i zastanawiałem się, dlaczego Cezar znosił to dziwaczne małżeństwo. Jej zrzęczenie budziło we mnie irytację. Niemal jedyna w całym Rzymie nawet nie próbowała udawać, że dostrzega w nim boską istotę. Podkreślała jego słabości. A może trzymał ją przy sobie, aby mu przypominała, że ukazywany publicznie wizerunek był fałszywy. Ta myśl wzbudziła moje współczucie. Aż nagle sama stała się źródłem nowego impulsu. Może Cezara dałoby się jeszcze uratować. Jeśli w najskrytszej głębi duszy zachował takie wątpliwości, mogłoby to przecież oznaczać, że ciągle jeszcze nie było za późno, aby sprowadzić go z drogi wróżącej mu nieuchronną katastrofę i niewyobrażalne następstwa dla Rzymu.

– Cezarze – powiedziałem i zawahałem się, jak rybak spoglądający na wzburzone morze, niepewny, czy ma spuścić łódź, czy pozostać bezpiecznie na brzegu. Przełknąłem dwa razy ślinę i rzuciłem się w odmęt. – Cezarze, przyszedłem, aby nakłonić cię do czegoś, co jak się obawiam, natychmiast wywoła twoje wzburzenie.

– Złowrogo brzmią, Myszo, twoje słowa.

– Walczyłem długo i ciężko u twego boku, popierając twoją sprawę. Byłeś na tyle wspaniałomyślny, aby chwalić moje wysiłki. Żadna bitwa nie wymagała ode mnie odwagi, jakiej potrzebuję teraz, gdy będę próbował powiedzieć ci to, czego na pewno nie chcesz usłyszeć.

– Nigdy nie wątpiłem w twą odwagę. Mów dalej. Ponoć dobrze jest posłuchać niemiłych opinii... od czasu do czasu. Mów zatem dalej. Czym cię obraziłem, Myszo?

– Obraziłeś Rzym, Cezarze.

– Uważaj na to, co mówisz.

– Obraziłeś Rzym, Cezarze. Wszystkie moje rozmowy z ludźmi naszej rangi, tak, a także z ludźmi niższego stanu prowadzą do te go wniosku. Skupienie całej władzy w twoim ręku budzi coraz większe oburzenie. Nawet naszych najwierniejszych przyjaciół. Ale to nie wszystko. Parę dni temu pisałem list. Nieważne do kogo. Przyłapałem się na pisaniu takiego oto zdania: „Jest rzadkim szczęściem móc myśleć, co się chce, i mówić, co się myśli. Jak długo będzie to nam jeszcze dozwolone?” Zdanie skreśliłem, a listu nie wysłałem. Cezarze, znam cię tak jak mało kto i wiem, że nie jesteś tyranem. Jednak wielu ludzi, nie znając cię tak dobrze, sądzi, że nim jesteś.

To może nie mieć znaczenia, chociaż nie jestem pewny, tym bardziej że odmówiłeś otoczenia się gwardią przyboczną. Ale kładziesz podwaliny systemu, który zrodzi tyranię. Kontrolujesz armię. W praktyce zniósłeś wybory. Wszystkie mianowania na stanowiska publiczne są w twoim ręku. Twój następca umocni stworzony przez ciebie system. Z kolei jego następcom nie przyjdzie nawet do głowy, że mógłby istnieć inny sposób zarządzania Republiką i imperium. Nie będą mieli twoich cnót. Zabraknie wolności i nie dane nam będzie cieszyć się rzadkim szczęściem swobodnego wypowiedzania swoich myśli.

Nie spuszczałem z niego wzroku, kiedy wypowiadałem te słowa, oczekując oznak gniewu, które znałem tak dobrze: napięcie górnej wargi, srogość spojrzenia, czerwona plamka na lewym policzku i bębnienie palcami jednej ręki o wnętrze drugiej. Nie dostrzegłem żadnej z nich. Zamiast tego przyjazny uśmiech rozświetlił jego twarz.

– I co chciałbyś, abym zrobił?

– Chciałbym, abyś odwołał, zaniechał lub przynajmniej odłożył kampanię partyjską, dał naszym instytucjom szansę swobodnego działania pod twoim życzliwym okiem. Dopóki żyjesz, Cezarze, przewyższasz wszystkich autorytetem. Ale należy wprowadzić rozróżnienie między autorytetem a władzą. Nie musisz się dzielić autorytetem, albowiem zdobyłeś go dzięki swym czynom i cnocie, możesz jednak zrezygnować z władzy. Zaprowadziłeś porządek w państwie, teraz przywróciłbyś ustrój republikański.

– No cóż, Myszo, widzę, że kosztowało cię wiele odwagi, aby zwrócić się do Cezara w ten sposób. To, co zalecasz, jest absurdalne, niepraktyczne. Wyjaśniałem ci to wcześniej. Republika umiera. Jej instytucje nie są już w stanie sprostać potrzebom, jakie nakłada rządzenie imperium. Jeśli wycofam się, jak radzisz, przywrócony przeze mnie porządek znowu ulegnie zachwianiu. Rzym ponownie stanie się trofeum, o które walczą skłócone ze sobą stronnictwa. Wolność to piękne słowo, ale cieszyć się wolnością można jedynie wówczas, gdy ludzie czują się bezpieczni. A to Cezar zapewnił. W Rzymie i w całym imperium panuje teraz oparta na porządku wolność. Oto co jest odpowiednie dla wszystkich. Tylko na tej podstawie można ustanowić rządy w imperium. Nie sądzisz chyba, że Cezar długo nie rozmyślał nad tymi sprawami. Straciłem na tym niejedną noc. Stawiasz mnie przed wielką pokusą. W końcu przecież trafiają się chwile, kiedy ogarnia mnie tęsknota za spokojem mojej willi, z której roztacza się widok na Jezioro Albańskie, kiedy wyobrażam sobie, jak mógłbym z pożytkiem wykorzystać swe ostatnie lata, oddając się przyjemnościom literatury, filozofii i życia wiejskiego. Wszystkich nas wychowano

w szacunku dla Cyncynata, który wezwany od pługów dla ratowania Rzymu po spełnieniu koniecznego zadania wraca do domu, do swego zaprzęgu wołów. A także dla Scypiona Afrykańskiego, mojego największego poprzednika w annałach rzymskiej historii, którego bohaterskie czyny dorównują wielkości osiągnięć Cezara. Po pokonaniu Hannibala i Antiocha Scypion, gardząc klótniami i zawiścią Senatu, wycofał się do swojej wiejskiej rezydencji w Liternum w Kampanii. Bez wątplenia przykład Scypiona jest kuszący, albowiem jego cnota zapewniła mu wieczną sławę. Ale Scypion to zarazem ostrzeżenie. Podobnie jak Cezarowi zaproponowano mu dożywotnią dyktaturę. W odróżnieniu od Cezara odrzucił ją. Czy Rzym stał się lepszy z powodu tego przejawu samozaparcia? A może jest tak, że jego niechęć do przyjęcia proponowanej władzy otworzyła drogę do bezmiaru kłopotów? Cezar oprze się pokusie. Cezar spełni swój obowiązek bez względu na niebezpieczeństwa. Nie sądzę, że nie jestem ich świadom. Powtarzam, co powiedziałem wcześniej. Nie możesz tchnąć życia w trupa, a Republika jest niemal trupem. Nie, ona już jest trupem. Rzym i imperium potrzebują rządów jednej osoby. Rozumiem przez to skupienie autorytetu i władzy w rękach jednego, przewyższającego innych człowieka. Nie ma znaczenia, jak się go nazywa: dyktatorem, królem, imperatorem, Cezarem, bogiem. Imiona są środkami do zaspokojenia oczekiwań tłumu. Rzeczywistość jest inna. Ci, którzy twierdzą, że przywrócenie Republiki jest możliwe, że Rzym może znowu rozkwitnąć z pomocą instytucji odpowiednich jedynie dla miasta-państwa, oszukują siebie złudnymi mrzonkami...

Wstał, spacerował za moimi plecami, pogłaskał mnie po szyi, uszczypnął w ucho.

– Rzeczywistość... – Uszczypnął mnie mocniej. – Czytaj, Myszko, Tukidydesa, a nie Platona, dzieła historyczne, nie filozoficzne. Właśnie odwaga w obliczu rzeczywistości odróżnia Tukidydesa od Platona. Wielki filozof okazuje się tchórzem wobec surowych wymagań realnego bytu. Ucieka w świat ideałów, dokąd notabene Cyceron podąża za nim. Ale Tukidydes zestawia fakty, wykazuje panowanie nad sobą. Dlatego zachowuje także panowanie nad faktami. Tak samo jest z Cezarem. Idealiści są bez wyjątku tchórzami, ponieważ nie biorą rzeczywistości takiej, jaką jest. Boginią Cezara jest Konieczność, w związku z tym jest ona zarazem przewodnikiem Cezara.

Opuściłem go pogrążony w smutku. Był wielkim człowiekiem i zawdzięczałem mu wiele, ale im ostrzej mówił o rzeczywistości, tym mniej był zdolny do słuchania głosów, które mogły zakłócić je go samouwielbienie. Żołnierze, kto tworzy ten świat? Cezar. Czym jest ten bezmiar

piasków bez Cezara? Czym jest Rzym bez Cezara? Czym jest Partia, jeśli nie spełnieniem przeznaczenia Cezara?

– Jakkolwiek może się to wydać dziwne – rzekł Cynceron – Cezar nie ma żadnego zaplecza.

– Co masz na myśli? Nie nadążam za tobą. – Mój kuzyn Marek Brutus zmarszczył brwi. – Żadnego zaplecza? Nie rozumiem cię.

Był jak żołnierz przekraczający granicę, zagubiony, gdy tylko opuści drogę z ustawionymi na niej w regularnych odstępach kamieniami milowymi.

Urządziłem niewielkie przyjęcie. Pierwotnie zamierzałem zaprosić jedynie Marka oraz jego żonę Porcję. Potem dodałem Cyncerona. Uznałem, że jego niedyskrecja może odegrać pożyteczną rolę. A poza tym pomyślałem sobie, że obecność Cyncerona uspi podejrzliwość Marka co do moich motywów. Zaprosiłem też młodą żonę Cyncerona, pragnąc zaspokoić własną ciekawość. Przyszedł jednak sam. Podobno poróżnili się ze sobą. Zapewne była to jedynie wygodna wymówka.

– Jesteś zaintrygowany, Brutusie. – Cynceron był zachwycony dopuszczeniem go do towarzystwa. – No cóż, to oczywiste. Geniusz Cezara jest oślepiający. Wszelako mam nad tobą przewagę. Znałem Cezara na długo przedtem, zanim został Cezarem, ze wszystkimi skojarzeniami, jakie wywołuje teraz to sławne imię. Oczywiście zawsze błyszczał. Jednak jego blask nie promieniował naokoło. Jest to, by tak rzec, rodzaj skoncentrowanej światłości. I gdy mówię, że nie ma on żadnego zaplecza – ciągnął dalej, nie robiąc przerwy na oddech między zdaniami, aby nie zdołano mu przerwać – mam na myśli to, że Cezar nie ma w istocie zmysłu przeszłości ani sympatii dla innego niż jego własny sposób rozumowania, ani wrażliwości na uświęconą tradycję. Być może to główna przyczyna jego sukcesu. Właśnie owa ograniczoność. To interesująca myśl, którą warto by rozwinąć. A może jest to nawet – trzeba by się nad tym zastanowić – warunek pewnego typu światowego sukcesu: aby nigdy nie rozpatrywać drugiej strony, drugiej strony zagadnienia, nie patrzeć, by tak rzec, poprzez dolinę, która oddziela teraźniejszość od przeszłości.

– Nadal nie rozumiem – rzekł Marek. – Przecież Cezar zawsze mówi o swoich przodkach.

– Odległych przodkach – wyjaśnił Cynceron. – Tak odległych, że aż nierealnych. Ale tradycja Republiki – ach, to jest rzeczywistość, od której woli odwrócić wzrok.

Longina westchnęła. Nasze spojrzenia się spotkały. Wyobrażałem sobie, że pomyślała o tym,



iż Cezar jako towarzysz przy stole był znacznie bardziej zajmujący.

– Mój ojciec mawiał – powiedziała Porcja – że Cezar jest zwykłym karierowiczem, że nie dba o nic poza własną pozycją i gotów jest zrobić dla niej dosłownie wszystko.

– Ależ to właśnie całkowicie potwierdza to, o czym mówię – rzekł Cynceron. – Po Marku Katonie nie oczekiwałem, oczywiście, niczego innego jak zdrowego rozsądku i trafnej obserwacji. Cezar jest w swej istocie ograniczony. Nie przejawia żadnego z owych uczuć, które łączą ludzi ze sobą i z ich przodkami. Nie sądzę, aby Cezarowi przyszło kiedykolwiek do głowy, że społeczeństwo to rodzaj związku między żyjącymi, zmarłymi oraz mającymi się jeszcze narodzić.

– Słyszałem, jak Cezar negował sens istnienia społeczeństwa – wtrąciłem. – Jego zdaniem społeczeństwo jest sztucznym pojęciem, pozwala ono ludziom uwolnić się od pełnej odpowiedzialności za swe działania.

– Właśnie tak – odezwał się znowu Cynceron. – Mówiłem ci już wcześniej, Decymusie Brutusie, o zagrożeniu, które nazwałem indywidualizmem – co, nawiasem mówiąc, jest moją własną skromną próbą stworzenia łacińskiego odpowiednika greckiego terminu filozoficznego – zagrożeniu, jakie stanowi dla wspólnoty rzymskiej. Chciałbym przy tym zaznaczyć, że przez wspólnotę rozumiem wszystko, co odziedziczyliśmy po naszych przodkach, którzy stworzyli Republikę i uczynili Rzym wielkim, a także wszystko, co jesteśmy zobowiązani przekazać naszym dzieciom i wnukom. Jestem starym człowiekiem, bliskim kresu życia, przy najmniej zgodnemu z naturą końca dni, i widzę bardzo wyraźnie, że jakkolwiek świadomi możemy być własnego ja, jego potrzeb i pragnień, mimo to jesteśmy zaplątani w pajęczynę doraźnych okoliczności i powiązań, którą w naszym przypadku jest Rzym – jego historia, jego struktura polityczna, obowiązki, jakie on nakłada. I dlatego oświadczam, że ktokolwiek niszczy Rzym, niszczy mnie, niszczy moich przyjaciół, niszczy wszystko, co kocham i szanuję.

Cynceron wyszedł wcześniej, tłumacząc, że w jego wieku (o którym mówił z przesadą, zapewne chcąc nadać sobie większej powagi, a może próbując zyskać sympatię) potrzebuje więcej snu – „wcale nie dlatego, że dobrze śpię, jak sami rozumiecie, ale muszę przynajmniej odpocząć w łóżku” – niż pełen wigoru młodzieniec czy takie ślicznotki jak Longina i Porcja.

Nazwanie Porcji ślicznotką zakrawało skądinąd na kpinę. Była bardzo chuda, z długą i spiczastą dolną szczęką. Co więcej, jej zamglone oczy pozbawione były zupełnie blasku. Wystarczyło na nią raz spojrzeć, aby zrozumieć, że należy do istot całkowicie bez wyobraźni.

– Jakież to stare nudziarstwo – westchnęła Longina. – Musiałam się stale szczypać, aby nie zasnąć i nie ziewnąć mu w twarz. – Zachichotała.

– Nie sądzę, aby mu się to spodobało.

Marek znowu zmarszczył brwi.

– Cynceron jest wybitnym mężem. Wyznaję, że czasami z trudem nadażam za jego argumentacją po części dlatego, że jest ona tak bogata, ale nigdy nie opuściłem towarzystwa Cyncerona bez poczucia, że wzbogaciłem się wewnątrz.

– Tak – zawtórowała mu Porcja. – Bardzo wielki mąż, choć myśliciel, a nie człowiek czynu. Jak zaś mawiał mój ojciec, wielki Katon: „Mąż sprawdza się w działaniu”. Myślę, że to prawda. W końcu każdy może wygłosić przemówienie apelujące do cnót, nawet najwięksi hipokryci, nawet Cezar, gdy mu to odpowiada, ale działać cnotliwie, w zgodzie z zasadami naszych przodków i obowiązkami nałożonymi na nas przez bogów, to całkiem inna sprawa.

– Zaniepokoiły mnie pewne dziwne wypadki i chciałbym się ciebie poradzić, kuzynie – rzekł Marek. – Nie jestem całkiem pewien, co oznaczają ani jak powinienem zareagować.

– Tak?

– Opowiadano mi, a opowieść wyglądała na wiarygodną, że u stóp posągu naszego wielkiego przodka, który obalił Tarkwiniuszy, znaleziono pismo następującej treści: „O, gdybyśmy mieli teraz Brutusa! Gdyby Brutus żył!” Kiedy zaś zasiadałem dzisiaj jako pretor w trybunale, znalazłem złożoną pod moim siedzeniem taką oto wiadomość: „Brutusie, ty najgnuśniejszy z gnuśnych. Nie jesteś prawdziwym Brutusem, jeśli nie obudzisz się ze swego haniebnego snu”. Zastanawiałem się nad znaczeniem tego wszystkiego.

– Mężu – odezwała się Porcja, podczas gdy ja rozważałem, jak najlepiej odpowiedzieć mojemu tępemu kuzynowi – mężu, jesteś zbyt skromny, to zaś przeszkadza ci pojąć sens tych wiadomości, wcale nie tak dziwnych, jak ci się zdaje. To strzały wymierzone w twoje sumienie. Wzywają cię, byś poszedł w ślady swego wielkiego przodka i uwolnił Rzym od tyrana.

– Tyrana? Cezara?

Longina poruszyła się na łożu. Myślę, że podobnie jak ja podejrzewała w tych wszystkich zdarzeniach rękę swego ojca.

– Tak – rzekła Porcja – tyrana, który depta wolność Rzymu, tak samo jak zniszczył mojego szlachetnego ojca. W ten sposób ludzie zwracają się do ciebie, Brutusie, jako tego, którego cnotę uznają.

Wydawało się, że zapomniała o naszej obecności. Swą uwagę całkowicie skupiła na mężu.

– Cezar okazał mi wiele łaskowości – odparł Brutus. – Nie żywię do niego urazy. Nie mam mu nic do zarzucenia. W porównaniu ze swymi poprzednikami, Mariuszem i Sullą, okazał zasługującą na uznanie wielkoduszność wobec tych, którzy walczyli przeciwko niemu. Nie mogę tego zapomnieć ani uznać za nieważne. Co mówisz, Myszo?

– Co mówię? Mówię, że równie wiele jestem winien Cezarowi co ty, ale więcej jestem winien Rzymowi. Bez względu na cnoty Cezara, a nikt nie docenia ich bardziej niż ja, jego pozycja w państwie stała się szkodliwa. Możemy nie mieć osobiście nic do zarzucenia Cezarowi, ale Cezar będzie miał dziedzica...

Tak oto z nieskończoną cierpliwością powtórzyłem znowu, jeszcze bardziej szczegółowo, ze względu na ociężałość umysłową mojego kuzyna, argumenty, jakich użyłem wobec samego Cezara. Na zakończenie powiedziałem:

– Pomyśl sobie, że Cezar jest jak jajo węża. Samo jajo nie przynosi szkody, ale gdy się wylęgnie, zrodzi żmije, które zatrują Rzym swoim jadem. Co zatem zrobisz, jeśli znajdziesz jajo węża? Zgnieciesz je.

– Mężu, kochanie – Longina szepnęła mi do ucha, gdy nasi goście wyszli i leżeliśmy w łóżku, mając za sobą chwile zbliżenia – Myszo-mężu, boję się.

Głaskałem jej piersi, moje dłonie błądziły po jej brzuchu i udach. Musnąłem jej wargi.

– Pocałunkami nie odpędzisz moich obaw. – Przytuliła się i pocałowała mnie mocno. Czuję, jak dreszcz przebiega jej ciało. – Nie zamierzam zadawać ci pytań, ale lękam się wpływu mojego ojca na ciebie. W tej chwili wszystko jest grą wyobraźni, odbywającą się jedynie w twojej głowie. Niech tam pozostanie, proszę, niech nie obraca się w czyn... Nie mówię o Cezarze, chociaż gdy pomyślę o nim i o tym, jak wiele w nim życia, przerażają mnie plany, które snujecie. Nie chodzi jednak o Cezara, lecz o ciebie. Mój ojciec jest nierozważny. Jego pomysły wiodą na manowce. Obawiam się, że wszystko przyjmie zły obrót.

– Jest jeszcze jedna obawa, którą możesz rozważyć – rzekłem. – Założmy, że się wycofam. Założmy nawet, że powiem Cezarowi, co się święci. Na tym się nie skończy. Będą inne próby, a któraś z nich się powiedzie, gdyż Cezar odmawia przedsięwzięcia niezbędnych środków ostrożności. Co wtedy? Jaki los spotka kogoś, o kim wiadomo, że jest stronnikiem Cezara? Jak długo przetrwałbym w takich warunkach?

## ROZDZIAŁ 18

Noce zatruwał mi niepokój. Obudziłem się tego ranka przerażony. We śnie nawiedził mnie Cezar. Wprawdzie jestem pewien, że to był sen, a nie jawa, niewielka to jednak pociecha. Byłem w łóżku z Longiną, która leżała przygnębiona, płacząc w moich ramionach, przepełniona smutkiem, jaki następuje w ślad za pożądaniem i jego spełnieniem. Jej smutek był tym większy, że ujawniła mi, iż nasz mały synek nie żyje: „zgnieciony w jajku”, powtarzała bez końca. Nie wiem, czy to prawda, albowiem nie mam żadnych wieści od Longiny. Jej milczenie przygnębia mnie, choć powtarzam sobie, że nie miała jak się dowiedzieć o miejsce mego pobytu, mogła nie otrzymać moich listów i mogła cierpieć, jak i ja cierpię, z powodu rozłąki. Męki zaznanej niegdyś i utraconej miłości są cięższe niż ból nieosiągalnego pożądania. Stracić coś, co znasz, czemu ufasz, jest bardziej okrutne niż nigdy nie osiągnąć tego, czego się oczekiwało.

Cezar stał u stóp mojego łoża, pokazując swoje rany. Nic nie mówił, ale jego gesty, gdy dotykał najpierw jednej rany, potem drugiej, w końcu tej, która była moim własnym dziełem, budziły żal.

Chciałem krzyknąć, że nie popchnęła mnie do czynu, jak Kasjusza (co teraz rozumiem), zawiść, coś jednak uwierało mnie w gardle i chociaż mogłem składać słowa, nie byłem w stanie ich z siebie wyrzucić.

Wtedy Cezar skinął na Longinę. Srebrzysta jak Diana w promieniach księżyca wysliznęła się z łoża. Opuściła mnie. Objęła Cezara i pocałowała go namiętnie w usta. Patrzyłem, jak odchodzą, wykonując lubieżne gesty, lekceważąc moją obecność, moje prawa, samo moje istnienie. Światło księżyca zniknęło wraz z nimi. Pograżyłem się w ciemności i długiej ciszy, przerywanej najpierw wybuchem szyderczego śmiechu, a następnie dźwiękiem, który rozpoznałem jako własny szloch, chociaż moje ciało się nie poruszyło, a oczy pozostały suche.

Sen? Oczywiście. Nie wierzę w upiory. Ale poczułem się, jak żalosna mrówka wyrzucona ze zniszczonego mrowiska.

Jeśli idzie o Longinę, sen niewątpliwie mówił prawdę. Odwróciła się ode mnie, oddając się wspomnieniom o Cezarze. Jestem pewien, że wyrzekłaby się mnie, gdybyśmy się jeszcze kiedykolwiek znówu spotkali. Jakież jednak mogłoby to mieć znaczenie? Obudziłoby moją zazdrość? Nie sądzę. Nigdy nie byłem zazdrosny. Myśl ta wywołuje raczej spokojną i posępną

rezygnację, rodzaj obojętności.

Przyszło mi do głowy, że gdybyśmy mieli znowu się spotkać, może uległaby moim żądom, może odżyłoby w niej coś z dawnego uczucia, ale nawet gdyby stało się inaczej, nawet jeśli miłość by nie wróciła, nie miałyby to znaczenia. Gdybyśmy byli znowu razem, kto wie, czy nie byłoby jak dawniej. W każdym razie nie przestałbym jej kochać.

Kiedy przypominam sobie teraz, że poślubiłem ją dla wygody, traktując małżeństwo jak akt polityczny, i że pogardzałem nią, jest mi zwyczajnie wstyd.

Przedkładałem Oktawiusza nad nią! Jak niedojrzałe się to wydaje. Jak głupie! Jakież bzdury głosili Grecy o wyższości miłości między mężczyzną a młodzieńcem! A może odzwierciedla to po prostu niższość greckich kobiet? Nie sądzę zresztą, aby o to chodziło. Nic w końcu nie może przewyższyć miłości oddanej bez reszty kobiety.

A jeśli zarówno Oktawiusz, jak i Longina myślą teraz o mnie z pogardą, no cóż, jedynie jej pogarda może mnie martwić.

A jednak po skreśleniu tych słów z najwyższą szczerością muszę wyznać, że trzy tygodnie temu napisałem do Oktawiusza, błagając go o wstawiennictwo w mojej sprawie i o ocalenie mi życia. Wstydzę się teraz tego listu i użytych w nim sformułowań. Czy jednak dla tonącego ma jakieś znaczenie, w jaki sposób się uratuje? W moim umyśle walczą ze sobą dwa głosy.

Zarzut: Taka prośba równa się wyrzeczeniu cnoty. Pozbawia wręcz człowieczeństwa.

Odpowiedź: Zbył wielką wagę przykładaliśmy do cnoty. Sami siebie tym oszukiwaliśmy. Właśnie cnota doprowadziła mnie do obecnego stanu.

Zarzut: A więc zaprzeczasz cnotliwości tego czynu? Wolałbyś, aby do niego nie doszło?

I wtedy zapada cisza.

Oktawiusz nie odpowiedział. Nie nadszedł jeszcze czas? Albo po otrzymaniu mego listu podarł go w gniewie? Albo – do głowy przychodzi jeszcze gorsza myśl – przeczytał go głośno przy stole biesiadnym dla uciechy swoich towarzyszy, wzbudzając szydery śmiech Mecenasa?

Niemniej, choć łaknę wieści, być może mój list nadszedł zbył późno i nie ma już najmniejszego znaczenia. A sam Oktawiusz nie jest już w stanie nic zrobić.

Ta myśl mnie nie zmartwiła.

Artikses odnosi się do mnie z coraz większą rezerwą. Nie prosi już, abym odczytywał swoje pamiętniki. Albo jego ojciec nabrał podejrzeń co do naszej przyjaźni, albo zrodziła się w nim

niechęć do mojej osoby lub do mojej historii. A więc jestem teraz naprawdę sam.

Historia... istnieje szansa, jak mniemam, że ten rękopis mnie przeżyje. Piszę go częściowo po to, aby zapelnąć czas, przywołać wspomnienia i odpędzić myśl o przyszłości (która mimo wszystko trzyma mnie przy życiu), a częściowo jako akt samousprawiedliwienia. Chcę pozostawić świadectwo.

Czy ci, którzy będą je czytać, zrozumieją moje pobudki, czy też obdarzą tym samym haniebnym słowem, jakie skierował do mnie Oktawiusz: zdrajca.

Niech i tak będzie. Godzę się na to, dodając jedynie małe wyjaśnienie. Żywiłem do Cezara głębsze i prawdziwsze uczucie niż Oktawiusz. Moje życie było ściśle związane z jego życiem. Służyłem mu z największą wiernością. Czy chłopiec przypuszcza, że nic mnie nie kosztowało postawienie mojego obowiązku wobec Rzymu ponad długiem wobec Cezara? Poza tym nie byłem nieczuły na jego wdzięk... sławny wdzięk Cezara.

Oto drugi sen. Pustynne piaski, szaropurpurowe w zachodzącym świetle słońca, które znika za odległymi wzgórzami, ciągną się we wszystkich kierunkach. Jestem sam. Naokoło widać świadectwa klęski. Martwe konie, resztki zbroi, porzucone miecze, włócznie, wielkie, ciężkie wozy bagażowe. Ale nie ma ciał poległych legionistów. Jakbym patrzył na pobojowisko bez żołnierzy.

Wlokę się powoli, zmęczony, spragniony i pełen obaw. Gdy wzeszedł księżyc, zaczęły się śpiewy. Z piaszczystej lachy na skraju wydmy spoglądam na puste miejsce, gdzie nagie postacie tańczą wokół kamiennego ołtarza, w barbarzyńskim, przykuwającym uwagę rytmie. Do ołtarza przywiązana jest jakaś postać. W migocącym świetle księżycy jej kształt bezustannie się zmienia. Raz wydaje się młoda, raz stara, to wygląda jak kobieta, to jak młodzieniec. Od tancerzy odrywa się kanciasty kontur i w podskokach zbliża się do ołtarza. Jedynie głowa skrępowanej postaci jest wolna i przechyla się raz w jedną, raz w drugą stronę. Usta są otwarte, jakby krzyczały, ale żaden dźwięk nie wychodzi z warg, które są koloru popiołów zmarłych. Nagle skaczący kontur podnosi się. Zwraca się ku mnie i widzę, że ma na sobie maskę. Towarzystwo milczy. Z oddali dochodzi wycie wilka. Chmara ptaków – kani czy sępów – powoli bijąc ciężkimi skrzydłami, spada na ołtarz. Zaslaniają postać. Ostatnie, co widzę, to usta z szarymi wargami, szeroko otwarte, wydające bezgłośny krzyk. I w tym momencie czyjeś ręce chwytają mnie za szaty, ostre paznokcie wbijają się w moje ciało i budzę się, wydając krzyk, którego nie mogła z siebie wydobyć postać u ołtarza.

Jak mówił mój biedny Katullus: Miser a miser, querendum est etiam atque etiam, anime (Och, nieszczęsnym! Płacz, serce, jękiem skarż się, skarż, łzawym) [przełożyła Anna Świderkówna. – przyp. tłum.]

## ROZDZIAŁ 19

Dość o tych mrocznych, skradających się potajemnie snach, które sprawiały, że bałem się w ogóle zasnąć.

Podejmuję więc na nowo moją opowieść.

Ze wszystkich tradycyjnych rzymskich uroczystości najdziwniejsze i z tego powodu dla mnie najbardziej pociągające są Luperkalia. Ich początki, a nawet ich cel, są nieznane, okryte mgłą czasu. Odbywają się na dwa dni przed idami lutowymi, w środku dziesięciodniowych uroczystości ku czci naszych zmarłych przodków. Czy są jednak związane z nimi, tego nikt nawet spośród kapłanów nie umie z całą pewnością powiedzieć.

Ich ośrodkiem jest jaskinia Luperkal, położona na południowo-zachodniej stronie urwistego, pokrytego obficie liśćmi Palatynu. W tym właśnie miejscu wilczyca ocaliła Romulusa, założyciela naszego miasta, oraz jego brata Remusa. Nazwa święta zdaje się wskazywać, że w pewien tajemniczy sposób upamiętnia ono to wydarzenie. Jeśli jednak tak jest w istocie, wiele zmian musiało zajść od czasu, gdy je wprowadzono, gdyż nie ma żadnego wyraźnego podobieństwa między jego obrzędami a wykarmieniem Romulusa i Remusa.

Święto rozpoczyna ofiara z kóz oraz ze świętych ciastek upieczonych przez dziewice westalki z pierwocin ostatniego zbioru. Dwaj szlachetnie urodzeni młodzieńcy mażą swe głowy krwią ściekającą z noża użytego w trakcie ofiary. Później wycierają je wełną zamoczoną w mleku. Wtedy zgodnie ze zwyczajem wybuchają śmiechem. Założywszy na biodra przepaski z kozłej skóry, spożywają suty posiłek, po którym prowadzą, biegiem, dwie grupy młodych arystokratów wokół podnóża Palatynu. W rękach trzymają februa, rzemienie ze skóry ofiarnego kozła, którymi smagają napotkane kobiety. Jak łatwo zgadnąć, najbardziej pomysłowi ścigają najładniejsze dziewczęta. A ponieważ uchodzi zarówno za zaszczyt, jak i dobry znak otrzymanie takiego uderzenia, dziewczęta wcale nie bronią się przed razami. Luperkalia zawsze mnie fascynowały. Jako młody chłopak byłem jednym z owych dwóch wybranych młodzieńców i wiem, jakie to wzbudza niesamowite podniecenie. Zachęca wręcz uczestników do porzucenia

na chwilę reguł kulturalnego zachowania, które kiedy indziej tak wysoko cenimy.

Tego roku uczestniczyłem w święcie Luperkaliów wraz z Kaską.

– Lubię dzikość tego święta – rzekł. – Jak wiesz, stary przyjacielu, na ogół unikam dobrze urodzonych chłopców. Rzadko są wystarczająco, jak na mój gust, ulegli. A mimo to zawsze trafia się jedna lub dwie wdzięczące się piękności, które mi się podobają, i wskrzeszają we mnie odrobinę dawnego podniecenia. A więc idziemy.

Był zimny jasny dzień. Na wzgórzach zalegał śnieg. Jak zwykle panowało ogólne zamieszanie, skowyt podniecenia, śmiech i drwiny. Cezar zasiadł na złotym fotelu wśród tańczących kapłanów Luperków. Miał na sobie purpurową togę i złoty wieniec na głowie. Z powodu zimna jego szyję spowijał szal. Zdawał się nie zwracać uwagi na to, co się dzieje. Błądziłem wzrokiem po tłumie.

I wtedy Kaska trącił mnie łokciem w żebra.

– Popatrz tam.

Wielka, ubrana w skóry postać przyskoczyła w stronę Cezara, niosąc koronę. Przez chwilę nie rozpoznałem w niej Antoniusza. Ukłękął przed Cezarem, podając mu królewskie godło. Cezar nie zareagował.

Korona Romulusa? – pomyślałem.

Tłum zamilkł. Wszyscy wpatrywali się w Cezara. Wyciągnął rękę, dotknął korony, położył na niej dłoń, a jednocześnie jego wzrok badał tłoczącą się rzeszę. Następnie, nie patrząc na Antoniusza, odepchnął koronę, a jego ręka opadła w dół. Tłum zawył radośnie.

Ale Antoniusz nie ustępował. Pozostał na kolanach, wyciągając koronę w kierunku Cezara, jakby był błagalnikiem, upraszającym o łaskę. Tym razem palce Cezara zacisnęły się na koronie, a jego spojrzenie znowu przesunęło się z niej, błądząc po zebranych. I znowu jego ręka osunęła się, wywołując ponownie ryk uznania.

Antoniusz nie poruszył się. Trzymał koronę pewnie, na wysokości swoich oczu. Pchnął ją lekko w stronę Cezara. Cezar znowu wyciągnął rękę. Wziął koronę. Antoniusz rozluźnił uścisk. Przez chwilę królewskie godło należało wyłącznie do Cezara. Ciszę przerwał ryk dezaprobaty. Cezar uśmiechnął się, spoglądając na koronę, a nie na ludzi. Drżała w jego rękach. Następnie cisnął nią w Antoniusza, nieomal go przewracając, tak wielka była siła uderzenia. Wrogie pomruki i gwizdy (jakby gawiedź była w teatrze, a Cezar był aktorem, który się jej nie spodobał) przeszły w pochwalne okrzyki.



Cezar wstał, nieco niepewnie, kładąc rękę na głowie Antoniusza. Zerwał z szyi szal. Palcem wskazującym pokazał na nagie gardło. Jego usta się poruszały, ale nie można było w całym tym ogromnym zgiewku usłyszeć, co mówi. Z gestów wywnioskowałem, że wzywa wszystkich, którym jego odpowiedź się nie spodobała, aby podcięli mu gardło. Zaproszenie nie zostało przyjęte. Okrzyki stawały się coraz głośniejsze. Cezar pochylił się i upadł na ziemię.

– Spodziewam się, że powaliły go ich śmierdzące oddechy, tłoczą się wokół tak blisko – wyszeptał Kaska.

– Nie – odparłem. – To padaczka, jego stara przypadłość.

Usłyszałem jakiś głos blisko mojego ucha:

– To nie Cezar cierpi z powodu padaczki, lecz my. Tak, Kaska też, wszyscy mamy padaczkę.

Nie musiałem się odwracać, aby rozpoznać mojego teścia.

– Interesująca szarada – powiedział. – Powinniśmy o tym porozmawiać. Zapraszam was do siebie, gdy to wszystko się skończy.

Cezar odzyskał przytomność, wstał na równe nogi, bardzo blady i nadal drżący. Podniósł rękę, prosząc o ciszę. Zapadła wkrótce, co mówi wiele o jego autorytecie i przytomności umysłu.

– Dobrzy ludzie. – Jego głos był słaby.

– Biedna dusza – wymamrotała stojąca blisko nas jakaś niechlujna dziewczyna.

– Dobrzy ludzie – powtórzył Cezar. – Wybaczcie, że moja dziwna choroba, która, jak poświadczą weterani moich kampanii, często poprzedzała największe zwycięstwa, zakłóciła dzisiaj wasz spokój. Jeśli uraziłem kogokolwiek w jakikolwiek sposób dzisiejszego dnia, pomyślcie o mnie życzliwie i złóżcie całą winę na atak choroby.

Następnie, opierając się na ramieniu Antoniusza, ruszył powoli, niemal jak król, przez tłum w stronę Forum.

– Biedna dusza – powtórzyła dziewczyna – widzicie, jak cierpi.

– Nie powinien w ogóle wychodzić dzisiaj z domu, dostrzegłem to, gdy tylko zobaczyłem biedaka – rzekł jeden z jej towarzyszy – ale tak to jest, on jest męczennikiem obowiązku.

– Tak – odezwał się drugi – wiedział, jakiego doznalibyśmy rozczarowania, gdyby nie pojawił się wśród nas.

– Biedna dusza – powiedziała znowu dziewczyna. – Widzicie, jakie to dla niego ciężkie.

– Cieszę się, że odtrącił koronę.

– Och, to była korona, naprawdę? Nie widziałam dokładnie.

– Tak, cieszę się z tego. Chociaż, pomyślcie, jeśli ktokolwiek zasługuje na koronę, to właśnie Cezar.

– Słyszałeś, co powiedział, gdy ktoś nazwał go onegdaj królem? „Nazywam się Cezar, a nie Król”.

– Uch, on jest bystry. Nie okpisz naszego Cezara.

– Nie, to swój chłopak, z Cezarem jesteśmy bezpieczni.

– Nie wiem, o czym myślał ten Antoniusz.

– Na pewno się upił. Niemal siadł na tyłku, choć Cezar go tylko lekko popchnął.

– A o co w tym wszystkim chodziło?

– No, jeśli pytasz o moje zdanie, chciał po prostu pokazać, że nie pragnie korony. Wystarczy mu, że jest Cezarem.

– Zbył wiele dla wielu.

– Nie wygląda dobrze. Martwię się o niego, te noce, no wiesz.

– Biedna dusza...

Atakowani zewsząd takimi komentarzami, z pochwałami Cezara dzwoniącymi nam w uszach, ruszyliśmy do domu Kasjusza.

– Panuje wielkie przywiązanie do niego, niemal miłość, nie wolno o tym zapominać – powiedziałem.

– Nie zapominam – odparł Kasjusz. – Dręczy to mój umysł.

– Trele-morele i zawracanie głowy – zachnął się Kaska. – Motłoch jest zmienny. Uwierz mi, wiem, co mówię. Dzisiaj byli w takim nastroju. Gdyby Cezar kazał im pójść do domu i zatłuc własne matki, posłuchaliby bez wątpienia. Ale to dzisiaj. Jutro będą domagać się nowego bohatera. Taki jest motłoch, zwykła hołota. Nie musicie się nimi przejmować.

– Obyś się nie mylił.

Kasjusz przywołał niewolnika, każąc mu przynieść zagrzanego z korzeniami wina.

– Napijmy się. Na dworze tak zimno – powiedział, wręczając nam puchary i opróżniając swój własny. – Znacznie lepiej. No i co?

– Rzeczywiście znacznie lepiej. I rzeczywiście – no i co?

– Miałem nadzieję – rzekł Kasjusz – że popularność Cezara osłabnie. Ale ona nadal rośnie.

– Czy wiwatowaliby równie głośno – zapytałem – gdyby przyjął dar Antoniusza?

– Z pewnością – odparł Kaska.

– Jeśli jego popularność – powiedział Kasjusz – nadal rośnie, zbliża się dzień, kiedy niczego już nie będzie można zrobić, albowiem nic, nawet opinia publiczna, nie zdoła go powstrzymać...

– A więc?

– A więc musimy uczynić to, co postanowiliśmy. Tak zatem, Myszo, skaptowanie twojego kuzyna Marka staje się sprawą pilną. Musimy go przekonać. Posłałem po młodego Katona, aby naradzić się z nim, w jaki sposób doprowadzić sprawę do końca. Myszo, nie potrzebnie się złościysz. Popatrz na naszą trójkę. Nie mam złudzeń co do mego własnego położenia. Nienawidzi mnie prosty lud jako ucieleśnienie arystokratycznej dumy. Nienawidzą tego, co rozumieją – i tego, czego nie rozumieją – z filozofii, która kieruje moimi czynami. A ty, Kasko, czy cieszysz się szacunkiem? Nie sądzę. A ty, Myszo, czy jesteś popularny? Jeśli wygłosisz mowę na Forum, czy lud przyjmie ją wiwatami? Kto umrze za ciebie lub twoją sprawę?

– Dziewiąty legion jest mi oddany. Doprowadziłem go do sławy i zwycięstw. Stacjonuje w przyznanej mi prowincji, w Galii Cisalpińskiej, i uwierz mi, Kasjuszu, niełatwo znalazłbyś lepszych od nich żołnierzy.

– Myszo, Myszo, żołnierze, żołnierze... pójda za każdym, kto im zapłaci.

– Nie, oni kierują się głębszym przywiązaniem. Siła Cezara opiera się na armii. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Siła Cezara bierze się z tego, że jest Cezarem, oraz z naszej słabości. Bez względu na to, jak bardzo go nie lubisz, potrzebujemy Marka Brutusa. Jest jedynym człowiekiem, który cieszy się wielkim poważaniem zarówno tłumu, jak i senatorów. Jest jedynym człowiekiem, który może uczynić naszą sprawę... – przerwał i uśmiechnął się, a w jego uśmiechu była odrobina szyderstwa – ...godną szacunku – zakończył, wybuchając śmiechem.

– Zyskalibyśmy więcej, przeciągając na naszą stronę Antoniusza – odparłem.

– Antoniusza? – zdziwił się Kasjusz. – Po całej tej dzisiejszej komedii?

Przytoczyłem szczegółowo argumenty przemawiające za Antoniuszem. Pomiąłem to, co właśnie zobaczyliśmy. Nie mogliśmy znać intencji Antoniusza, przynajmniej dopóki nie przedyskutuje my z nim sprawy, co gotów byłem uczynić. Antoniusz jest konsulem i już to samo, jak mówiłem, przydałoby naszemu wystąpieniu powagi. Oznaczało, że mogliśmy – zgodnie z prawem – poczynić wszelkie niezbędne kroki, by zapewnić porządek. Położyłem nacisk na

znaczenie legalności. To prawda, przyznałem, że Antoniusz jest oddanym stronnikiem Cezara, choć nie bardziej niż ja sam. Rzadko kiedy przeciwstawiał się posunięciom Cezara. No cóż, a ilu z nas to robiło? Ale nie był ślepo do niego przywiązany. Cezar naraził mu się, odmawiając wsparcia w sporze z Dolabellą zeszłego roku. Antoniusz cieszył się popularnością wśród tłumu, a jako konsul mógł zgodnie z prawem objąć dowództwo nad legionami. Nie kwestionowałem jego słabości, ale obstawałem przy tym, że przeważały w nim zdolności. Powinniśmy przynajmniej go wy badać. Gdyby przeszedł na naszą stronę, ogromnie by nas to wzmocniło.

– Antoniusz nie zasługuje na szacunek – odparł Kasjusz.

– Ten sam zarzut można by postawić mnie, staruszkę – zauważył Kaska.

– Twój przypadek jest inny, i to nie tylko dlatego, że nawet po pijanemu potrafisz dotrzymać tajemnicy, czego nie da się powiedzieć o Antoniuszu. Myszo, choćbym i zgodził się ze wszystkim, co powiedziałaś, a przekonywałaś nas z elokwencją, z której Cynceron mógłby być dumny – pozostaje jedna przeszkoda nie do przezwyciężenia. Nie pozyskamy nigdy Marka Brutusa, jeśli się dowie, że Antoniusz jest wśród nas, gdyż Antoniusz uosabia wszystko, czym Brutus pogardza i czego nienawidzi.

– Zbuzeruj Marcjuszka – rzekłem.

– Nie ja, stary przyjacielu – rzekł Kaska. – Będziesz musiał znaleźć innego kandydata do tego zadania.

Moje wątpliwości jeszcze wzrosły, gdy zjawił się młody Katon, śmiały, przystojny, nieciekawym. Przyniósł, jak powiedział, dobre wieści. Jego siostra Porcja roztaczała wszystkie swe wdzięki (Nie sądziłem, do diaska, że w ogóle jakieś ma – mruknął Kaska), aby nakłonić męża. Brutus był na wpół przekonany. Napisał kilka stron traktatu o wyższości ustroju republikańskiego. Nadał mu roboczy tytuł „Przeciwko rządowi jednostki”.

Zauważyłem, że to ani trochę nie posuwa sprawę naprzód.

– Łatwiej zresztą wychwalać Republikę aniżeli ją budować.

– Muszę wam powiedzieć coś jeszcze – rzekł Katon. – Zwolennicy Cezara uwieńczyli jego posąg królewskimi diademami. Przy wiwatach tłumu.

– No cóż – odparł Kasjusz – stanowi to dla nas ostrzeżenie, że zwłoka może być niebezpieczna. Katonie, czy pójdziesz ze mną do Brutusa? Nadszedł czas zdecydowanego działania. Musimy usunąć przeszkodę, która powstrzymuje jego szlachetnego ducha od czynu.

Nawet teraz nie wiem, co Kasjusz naprawdę myślał o Brutusie. Kiedy o nim mówił, nutka ironii rzadko znikwała z jego głosu. A mimo to nikt nie przywiązywał większej wagi do tego, by Marek przyłączył się do nas. Być może chodziło o to, że Kasjusz zarówno podziwiał go, jak nim pogardzał, cenił i oburzał się na niego, nie wierzył w jego zdolności, a jednak czuł przydatność jego reputacji. Może nawet Kasjusz podzielał wątpliwości, które mnie niepokoiły, co do moralnej strony naszego planu. I odczuwając związaną z tym niepewność, sądził, że rozproszyć je mogło jedynie współdziałanie z nami Brutusa, którego cnoty nikt nie mógł kwestionować. Wiem jedynie, że upór, z jakim domagał się skaptowania Brutusa, był główną przyczyną naszej klęski, czego dowiodę, jeśli mi czasu starczy.

Opuściłem wraz z Kaską dom Kasjusza. Byliśmy przygnębieni. Wiatr gnał z północnego wschodu ciężkie chmury, grożące deszczem. Czuliśmy obaj, że uwikłaliśmy się w niepewne przedsięwzięcie. Nasze zaufanie do Kasjusza osłabło. A mimo to...

– Czy nie sądzisz, Myszo, że ciągle jeszcze możemy odstąpić od tego przekłętego pomysłu? Powiedzieć Cezarowi, co się święci, i tym sposobem... Tak, oczywiście, powiesz... nie powiemy, a może powiemy?

– Nie, nie powiemy. Bez względu na ogrom ryzyka obaj zabrnęliśmy za daleko. Ta szarada dziś rano... Czy zauważyłeś, jak przy trzeciej próbie jego ręce kurczowo chwyciły koronę?

– Widziałem.

– Jest pewne greckie słowo.

– Jakże mogłoby nie być.

– Megalomania.

– Dobra, a niech to.

– Jeśli tak uważasz.

– Nie, właśnie zobaczyłem coś, co mi się podoba. Na razie, stary łbie. Bywaj zdrów.

Kaska zostawił mnie, ruszając w pościg za efebem o kręconych włosach i o chodzie tancerza. Widziałem, jak ujął chłopca za łokieć. Po chwili obaj zniknęli w wąskiej uliczce.

Spadł śnieg, leżał w mieście przez dwa dni, tłumiąc hałas wozów. Potem pogoda zmieniła się w dżdżystą i wietrzną, i pozostała taka przez resztę lutego. Kasjusz przyniósł wiadomość, że

Marek ciągle zмага się ze swoim sumieniem, ale że zarówno on, jak i młody Katon nie tracą nadziei, iż Porcja, rozsądek i interes publiczny w końcu zwyciężą. Powiedział mi, że Brutus jak dowódca oddaje jedną pozycję za drugą: „W końcu zostanie zepchnięty do cytadeli, z której będzie miał tylko jedną drogę odwrotu”.

Nie czekając na zgodę Kasjusza, sam postanowiłem wybadać Marka Antoniusza. Przyznał, że niepokoi go stan umysłu Cezara.

– Ta suka królowa trzyma go w swej mocy. Nie potrafi już trzeźwo myśleć.

Byłem przekonany, że pojął mój zamiar. Udawał co prawda, że niczego się nie domyśla. Kiedy jednak dotknął palcem swego nosa, zdawało mi się, iż chce mi dać do zrozumienia, że chociaż nie przyłoży ręki do całej sprawy, nie zamierza zarazem przeszkadzać.

– Cezar nie jest nieśmiertelny – rzekł, wychodząc. – A jest znacznie starszy od nas. Kampania partyjska prawdopodobnie go dobije – nie cieszy się już takim zdrowiem jak niegdyś, wiesz przecież. I wtedy sprawy wrócą do normalności, bez względu na to, co może to oznaczać.

Treboniusz naciskał na Kasjusza, aby wtajemniczyć w nasze plany Cyncerona. Uzyskał pewne wsparcie ze strony Metellusa Cymbra, ale pozostali byli przeciwni.

– Cynceron nam się przyda – powiedziałem – ale dopiero gdy będzie po wszystkim. Nikt chyba nie wątpi, że poprze nasze dzieło. Zanim to jednak nastąpi, będzie raczej zawadą aniżeli pomocą.

Moje zdanie przeważało i Treboniusz nie podejmował już dalszych prób przekonywania.

Na posągach Cezara znowu pojawiły się królewskie wieńce. Tym razem dwaj szlachetni trybunowie, mężowie stanowiący ucieleśnienie republikańskiej cnoty, Flawiusz i Marullus, zerwali je własnymi rękami i rzucili na ziemię. Czyn ten spotkał się z aprobatą gawiedzi, chociaż niektórzy mówili potem, że sami trybunowie zadbali o to, aby świadkami owego prowokacyjnego wystąpienia byli wyłącznie ludzie im przychylni i że w rzeczywistości specjalnie ich wokół siebie zgromadzili. Cezar wpadł we wściekłość z powodu, jak to określił, zuchwalstwa trybunów. Wykorzystując uprawnienia przysługujące mu z tytułu sprawowania funkcji dożywotniego dyktatora, pozbawił trybunów władzy i następnie – jako zwykłych obywateli, gdyż nie chronił ich już urząd – kazał wtrącić do więzienia. Ze wszystkich jego postępów ten zrobił największe wrażenie na wciąż wahających się, którzy pragnąc

przywrócenia Republiki, powstrzymywali się ze strachu przed Cezarem od zajęcia stanowiska. Zrozumieli bowiem, że jeżeli mógł tak pogardliwie potraktować najbardziej szanowany urząd trybunów, stał się zdolny do wszystkiego.

Kaska się roześmiał.

– Warto przypomnieć, że rzekomą przyczyną wojny domowej było ukaranie przez Senat trybunów, którzy popierali Cezara.

– Tak – odparłem – a w swoich pamiętnikach z wojny podkreślał, z „jaką gorliwością dążył do pokoju”. Do czego dąży teraz?

To pytanie zawisło nad wszystkimi naszymi naradami, a nasuwająca się w związku z nim odpowiedź, jak podejrzewaliśmy, umocniła w wielu determinację.

– Twój kuzyn jest o krok od podjęcia decyzji – rzekł młody Katon.

– Sprawa trybunów wywarła na nim głębokie wrażenie.

Wraz z kalendami marcowymi nadeszła wiosna. W powietrzu wyczuwało się lekkość wzywającą do czynu. Niebo było łagodne i błękitne, a powietrze pachnące. Moją duszę wypełniało pragnienie. Wstałem wcześniej rano; pozostawiając Longinę, piękną, pogrążoną w błogim śnie, i udałem się do Kasjusza.

Przeprosiłem za wczesną porę.

– Ależ nie ma za co. Zawsze wstaję z pierwszymi promieniami słońca. Przez godzinę oddaję się studiom filozoficznym, potem uprawiam szermierkę lub gimnastykę. Gdy osiągnie się mój wiek, konieczne jest ciągłe ćwiczenie zarówno umysłu, jak i ciała. W przeciwnym razie degeneracja następuje szybko. No cóż. Sprawy układają się pomyślnie, czyż nie?

Jego beztroska irytowała mnie. Zupełnie zresztą do niego nie pasowała. Kasjusz był postrzegany przez większość jako ponury, zgorzkniały pesymista.

– Osiągnęliśmy niemal cel – oznajmił. – Ostatniej nocy jadłem wieczerzę z Markiem Brutusem. Jest bliski podjęcia decyzji. Musimy zatem działać szybko.

– Zanim zmieni zdanie lub straci odwagę?

– Jeśli chcesz to tak ująć. Ale, jak mówiłem wcześniej, nie doceniasz go. Jest sumienny, to trzeba mu przyznać. Posiedzenie Senatu wyznaczono na idy marcowe, jak na ironię w teatrze Pompejusza.

(Po ostatnim pożarze budynek Senatu wymagał naprawy, co było przyczyną zmiany miejsca

obrad).

- Myślę, że to będzie odpowiedni dzień – dodał.
- Świetnie – odparłem. – Zgadzam się. Wyślę Longinę na wieś.
- Czy to na pewno konieczne? Czy aby nie wzbudzi podejrzeń?
- Jej brzemienność posłuży za wymówkę.
- Wyglądasz na przygnębionego.
- A więc mój wygląd zdradza stan mojego umysłu.

Wyjaśniałem mu szczegółowo, co mnie niepokoiło. – Nie jesteśmy przygotowani na to, co robić po zamachu. Zdecydowaliśmy się na działanie, zakładając, że wszystko ułoży się idealnie po naszej myśli. Nie byłem o tym przekonany. Sprawa może się skomplikować. Potrzebujemy oddziałów wojskowych do utrzymania porządku. Nie wolno zakładać, że wszyscy stronnicy Cezara poddadzą się naszej woli. Należy uwzględnić postawę Antoniusza. Doradzałem postawienie w stan gotowości bojowej oddanego mi dziewiątego legionu. Byłem gotów wydać rozkaz, aby żołnierze opuścili swe kwatery zimowe w Bolonii i ruszyli na Rzym.

– Czy podobny rozkaz nie wzbudzi podejrzeń Cezara? Czy bez zgody Cezara takie posunięcie jest w ogóle możliwe? A poza tym później konsulowie, Antoniusz i Dolabella, będą zgodnie z prawem dowodzić wojskiem.

– Zgodność z prawem lepiej odłożyć na bok. Być może Antoniusza również należy odsunąć. Dolabella nie ma znaczenia. Będzie kręcił się w koło jak bezgłowy kurczak.

– No cóż – rzekł Kasjusz – twoja propozycja jest ryzykowna. Powinno się ją rozważyć i szerzej przedyskutować. Zwołałem zebranie na przyszły tydzień. Do tego czasu, jestem pewien, Marek będzie gotów przystać do nas.

Longina opierała się, gdy oświadczyłem, że musi opuścić Rzym. Nadąsała się. Jej oczy napęłniły się łzami. Przyjęła moje wymijające wyjaśnienia, kręcąc głową i zadając dalsze pytania. Następnie stawiała opór. Nie da się przekonać, nie posłucha. Gdybym ją kochał, nie prosiłbym jej o to. Jej cudowne piersi falowały. Wziąłem ją w ramiona i próbowałem pocałunkami odpędzić zły humor. Ale wyrwała się, mówiąc:

– Ostrzegałam cię przed moim ojcem. Nie pytałam o to, co razem knujecie, ponieważ nie chciałam nic wiedzieć. Czy boisz się, że cię zdradzę?

- Nie – powiedziałem.



– Nadal zatem nie rozumiem.

– Boję się – odparłem – tak... ponieważ wiesz, o czym nie powinniśmy rozmawiać, pozwól mi wyznać moją obawę. Boję się, straszliwie się boję, że wszystko przyjmie zły obrót. Obawiam się klęski, ale nie w związku z tobą, gdyż nasza klęska nie narazi cię na niebezpieczeństwo. O wiele bardziej obawiam się sukcesu. Moi przyjaciele zdają się w ogóle nie dostrzegać miłości, jaką ten człowiek wzbudza w ludzi. Dlatego nie myślą o możliwych konsekwencjach naszego sukcesu. Gwałt, zamieszki, zemsta – oto, czego się boję. I chcę cię przed tym ochronić. Abyś mógł odegrać rolę dzielnego Rzymianina, muszę umieścić cię w bezpiecznym miejscu.

– Świetnie – powiedziała – ale czy musisz w ogóle grać tę rolę? Zastanawiam się nad tym od pewnego czasu.

Wzięła zielone jabłko z talerza i ugryzła kęs. Sok popłynął cienkim strumykiem z kącika jej ust.

– Mam taką ochotę na jabłko. Stare kobiety mówią, że to znak, iż urodzi się dziewczynka.

– Będzie chłopiec, w każdym razie ten pierworodny.

– Stojąc na uboczu, zdobyłbyś silną pozycję wtedy, kiedy byłoby po wszystkim, czyż nie? Szczególnie jeśli mój ojciec i reszta są tak źle przygotowani, jak twierdzisz.

Ta myśl przyszła mi do głowy. Oczywiście, że tak. Pokusa nigdy nie ustaje. Oto Cezar nie żyje, a ja, nie odpowiadając za przelanie jego krwi, pośredniczę między dwoma stronnictwami. Wizja władzy stawała się natarczywa jak chciwa dziewczka.

– Zabrnąłem za daleko, aby było to możliwe – rzekłem.

To prawda. Gdybym cofnął się teraz, zasłużyłbym jedynie na pogardę tych, którzy pozostali wierni danemu słowu. W sytuacjach krytycznych nie ma miejsca dla ludzi, którzy starają się zdobyć palmę zwycięstwa, nie brudząc sobie rąk. Na proponowaną przez Longinę linię postępowania było już za późno.

– Mógłbyś zachorować.

– Uznaliby jedynie, że zabrakło mi odwagi. Czy przypuszczasz, że człowiek o przenikliwości twojego ojca dałby się zwieść pozorem choroby?

– Nie rozumiesz – krzyknęła – boję się o ciebie, głupcze, gdyż cię kocham. Boję się o siebie i o mojego syna.

Wybuchła płaczem. Klęknąłem, aby ją pocieszyć. Oplotła ramieniem moją szyję. Ledwo poczułem, jak ostrze wchodzi w moje plecy tuż pod lewym barkiem.

Zanim to się stało, obróciłem się, aby pocałować jej usta, a dzięki temu, że próbowała się uchylić, sztylet nie wszedł głęboko i otrzymałem jedynie powierzchowną ranę. Ale ostrze było czerwone, poczułem ciepły strumień krwi, Longina trzymała w górze nóż i patrzyła na niego, gdy krople krwi padały na marmur. Odsunęliśmy się od siebie. Trzymała sztylet, skierowany w dół, między nami.

– Co ja zrobiłam?

– Co próbowałaś zrobić? – Chyba się uśmiechnąłem. Mam nadzieję, że się uśmiechnąłem. – Nigdy przedtem nie zasztyletowano mnie z miłości. Co za gęś.

Wyjąłem sztylet z jej drżącej ręki. Nie opierała się. Przejechałem palcem wzdłuż ostrza i zakrwawioną dłonią dotknąłem jej warg.

– Co za gęś – powtórzyłem.

– Mogłam cię zabić.

– Tą zabawką? Mało prawdopodobne. Tak czy owak, to zwykłe draśnięcie. Głębokie rany słabiej krwawią.

– Chodź, pozwól mi ją obmyć i oczyścić. Co ja zrobiłam?

– Nie trzeba płakać.

Jej wstyd i przerażenie – moim zdaniem całkiem zresztą zbyteczne, gdyż intencje Longiny wzmogły jedynie mą miłość do niej – ułatwiły mi zadanie. Przestała się sprzeciwiać zamiarowi wyekspediowania jej w bezpieczne miejsce z dala od Rzymu. Stała się pokorna i uległa. Gdy widziałem ją taką, czyniłem sobie wyrzuty i ogromnie się do niej zbliżyłem, chętniej też niż zazwyczaj zaspokajałem jej kaprysy. Nasz plan zdawał się pozbawiony znaczenia, nieistotny z punktu widzenia rzeczy, które liczą się w życiu. Co mnie obchodziła cnota publiczna lub zmurszała, toczona przez robaki Republika w porównaniu z wyznaniem, jakie mi uczyniła?

Ostatecznie – powtarzałem sobie – niczego, nawet dreszczu odczuwanego w czasie bitwy, nie można porównać z satysfakcją, jakiej dostarcza kobieta, która szczerze kocha. Ale miłość umiera, gdy umiera szacunek, a ten zależy od poczucia osobistej godności kochającego. W przeciwnym razie miłość przechodzi w coraz słabsze uczucie, a na koniec zamienia się w litość.

W jakiś paradoksalny sposób miłość Longiny kazała się jej obawiać przedsięwzięcia, w które się wdałem, ja zaś obawiałem się, że jeśli zrezygnuję, jej miłość umrze, wraz z moim szacunkiem

dla samego siebie.

Dwa dni później odprowadzałem ją wczesnym rankiem za miasto. Świeciło słońce, promienie światła błyszcząły, pokrywając złotem ciemne sosny. Jechaliśmy Drogą Appijską. Zatrzymaliśmy się przy czwartym kamieniu milowym, objęliśmy się, szukaliśmy swoich ust, jakbyśmy w ten sposób wyrażali nie tylko pożądanie, ale jedność słowa, czynu, ducha.

Położyłem rękę na jej brzuchu.

– Czulaś, jak się ruszała zeszłej nocy – powiedziała Longina.

– Ruszał się.

– Myśl, co chcesz, ale możesz się rozczarować.

– Nic, co robisz, nic, co od ciebie pochodzi, nie może mnie rozczarować.

– Nie byłabym tego wcale taka pewna.

– Pamiętaj – rzekłem – to, co czynię, czynię dla naszych dzieci, aby mogły pędzić żywot ludzi wolnych, a nie niewolników. Nie robię tego dla siebie. Czyż nie kwitnę w słońcu Cezara? Ale kierunek, jaki obrał, zapowiada jedynie mrok dla Rzymu i jego dzieci, dla naszych dzieci i ich potomstwa. Żałuję, że w to nie wierzysz.

– Wierzę, że ty w to wierzysz. To wystarczy, mimo że to dla mnie pusta retoryka. A więc Myszo-mężu, niech bogowie mają cię w opiece.

– I ciebie także.

Zaśmiała się, jak nie śmiała się od bardzo długiego czasu, śmiechem płynącym z głębi piersi, śmiechem, który dodawał jej tyle uroku.

– Jakby którekolwiek z nas wierzyło w tych bogów, którym polecamy się nawzajem.

– Och, Longino...

Dosiadłem wierzchowca. Zbliżyłem się do powozu, aby pocałować ją po raz ostatni. Nie mogłem się oderwać od jej warg, spijając miód i czerpiąc pociechę. Raptem koń uskoczył w bok i nie byliśmy już razem.

Nie mogę zapomnieć chwili pożegnania.

Patrzyłem, jak powóz oddala się powoli. W pewnym momencie Longina odwróciła się i pomachała mi. Właśnie wtedy odwróciła wzrok i schyliła głowę. Domyślałem się, że łyzy

przesłoniły jej oczy. Otarłem rękawem moje własne. Powóz minął groby, które znajdowały się po obu stronach drogi. Stawała się coraz mniejsza, aż w końcu była zaledwie niewielką plamką na horyzoncie. Gdy znikła zupełnie, spałem wierzchowca i ruszyłem z powrotem do miasta i na spotkanie Przeznaczenia.

Tak oto, wyśmiewając się z bogów, roniąc łzy nad nieubłaganą koniecznością, Longina odjechała ode mnie. Od tej pory nigdy więcej jej nie ujrzałem, jedynie w marzeniach, czuwając, budząc się lub śniąc. Gdy to piszę, powraca do mnie, a dzieląca nas odległość zwodzi mnie.

## ROZDZIAŁ 20

Zebraliśmy się, jak ustalono, w domu Kasjusza, w jednym z dni między kalendami a idami.

Nie mogę sobie przypomnieć dokładnej daty, ale pamiętam, jakbym miał je teraz przed sobą, twarze moich przyjaciół i kolegów. Byli wśród nich ludzie, którym miałem powody nie ufać. Kwintus Ligariusz i Galba kierowali się osobistą urazą. Uważali, że Cezar ich znieważył. Cynna był nikczemnym człowiekiem, nie zasługującym na zaufanie w trudnych chwilach. O Treboniuszu, chociaż to przyjaciel, wiedziałem, że jest zarówno nierozważny, jak i chwiejny, a to wielce niebezpieczna kombinacja...

Poza tu obecnymi wielu innych znało nasze zamiary, zostali wybadani, wyrazili słowne wsparcie, poparliby nas, gdyby się nam po wiodło. Zgromadzonych tamtego wieczoru dwunastu mężczyzn można określić jako przywódców czegoś, co jak przypuszczam, historycy nazwą kiedyś spiskiem. Nie podoba mi się ta nazwa. W moim odczuciu kojarzy się ona z przestępstwem. Nie byliśmy zbrodniarzami: byliśmy po prostu wykonawcami wyroków konieczności.

Ze wszystkich obecnych młody Katon wyglądał na najbardziej podenerwowanego. Zaledwie kilka dni wcześniej rwał się do czynu, ponaglając nas z entuzjazmem, w którym jego ojciec nie mógł by mu dorównać. Zdawał się teraz blady, zmęczony, przepełniony obawą. Wyznał mi, że od kilku nocy nie może spać. Dręczył go strach przed przegraną – i przed zemstą, jaką z pewnością zgotowałby Cezar.

– Nie przegramy, jeśli starczy nam odwagi i zdecydowania.

Mówiłem z większym przekonaniem, aniżeli go miałem. To także było konieczne. Wątpliwości są zaraźliwe, szybko przeradzają się w panikę. Pamiętam, jak Katyliną i jego przyjaciele stracili odwagę, gdy zaatakował ich Cynceron. (Mój ojciec, jako wyznaczony na konsula, ku ich przerażeniu pierwszy zażądał kary śmierci). Nie byliśmy jednak ludźmi Katyliny, skompromitowaną i tonącą w długach hałastrą. Należeliśmy do pierwszych osobistości Rzymu, większość miała na swym koncie wielkie osiągnięcia, czyny wojenne, sprawiedliwe wyroki. Ale zarazem Cezar przewyższał Cyncerona lub mego biednego ojca.

Kaska dodawał mi odwagi. Jego zdrowy rozsądek nieraz umacniał moją determinację. Kaska zawsze był pełen optymizmu. Kiedy, idąc na spotkanie, napomknąłem mu o ryzyku przegranej –

używając sformułowań całkowicie odmiennych od tych, jakimi posłużyłbym się wobec Katona – wyśmiał moje obawy.

– Cezar jest tylko człowiekiem, istotą śmiertelną. Krwawi równie łatwo jak ty czy ja.

Jednak właśnie tego, co miało nastąpić później, lękałem się najbardziej.

Marek zdobył się na odwagę, aby przyłączyć się do nas. Parada wątpliwości dobiegła końca. Co do mnie, wierzę, że o jego decyzji w równej mierze przesądziła obawa przed pogardą, z jaką, gdyby odmówił, odnosiłaby się do niego Porcja, jak i poczucie obowiązku, o którym paplał bez końca. A jeśli tak, można by to interpretować na korzyść rodu Katona, gdyby nie szkodliwy wpływ Marka na losy naszego przedsięwzięcia.

Kasjusz wezwał nas do zachowania porządku. Mówił krótko. Jego postawa była żołnierska, a głos brzmiał pewnie. Nakreślił przekonująco powody, które nas zjednoczyły. Ubolewał nad upadkiem ducha publicznego, który doprowadził Republikę do obecnego smutnego położenia.

– Gdyby system rządów Cezara miał okrzepnąć, obumarłoby wszystko, co znamy i kochamy w Rzymie, przestałoby istnieć to, o co walczyli i za co umierali nasi ojcowie. Stopniowo, lecz nie ubłagane wschodni despotyzm pochłonałby Rzym. Nasi przodkowie – w prostej linii przodkowie niektórych z tu obecnych – wywalczyli sobie prawo, aby nie nazywać żadnego człowieka królem ani panem, ani władcą. Bierzmy się do dzieła, jeśli nie mamy być pogardzani i znienawidzeni przez naszych następców jako pokolenie, które wskutek apatii czy tchórzostwa utraciło to prawo i w ten sposób skazało rzymską arystokrację na wieczną hańbę i życie w upodleniu... Jeśli to, co powiedziałem, budzi w kimś sprzeciw, nie będę się z nim spierał, ale proszę, aby nas teraz opuścił.

Nikt się nie poruszył, chociaż młody Katon drżał i wyglądał tak, jakby miał lada moment zachorować. Metellus Cymber zerwał się na równe nogi.

– Mówiłeś za nas wszystkich, Kasjuszu, i wszyscy popieramy twoje racje.

Odpowiedział mu szmer uznania.

– Niemniej jednak... – ciągnął Cymber, a mój teść zmarszczył brwi na te słowa – niemniej jednak nalegam, jak nalegałem wcześniej, abyśmy zaprosili do naszego grona Cyncerona. Mam dwa powody, o których rozważenie prosiłbym was wszystkich.

Zakaszłał. Pamiętam, że Marek patrzył na Cymbra z otwartymi ustami, znak, znany mi z dzieciństwa, oznaczający u niego stan nadzwyczajnego skupienia umysłowego.

– Przede wszystkim – mówił dalej Cymber – siwe włosy Cyncerona sprawią, że nasz postęp

zostanie przez wszystkich odebrany jako całkowicie godny szacunku. Pomoże to przekonać niezdecydowanych, ponieważ uznają, że jeżeli człowiek o doświadczeniu, cnotcie i reputacji Cyncerona jest jednym z nas, musi to oznaczać, iż nasz czyn jest słuszny. Jeśli nie zadamy o pozyskanie jego poparcia, wówczas ludzie zaczną zastanawiać się, dlaczego nie ma go z nami, i prawdopodobnie potępiają nas jako nierozważnych młodzieniaszków, których rozumem Cynceron wzgardził.

– Wcale nie takich młodzieniaszków, Cymbrze – powiedziałem. – Niewielu z nas możnaby nazwać młodymi, a większość, ty sam oczywiście także, zdobyła ogromne doświadczenie wojskowe i ma wielkie osiągnięcia. Wątpię, czy ktoś mógłby nas zbyć w sposób, jaki sugerujesz.

– No cóż – podjął Cymber. – To tylko mój pierwszy argument i z całym szacunkiem dla Decymusa Brutusa, pozostaję przy nim. Drugi jest nawet bardziej moim zdaniem przekonujący. Otóż po dokonaniu czynu będziemy musieli usprawiedliwić go w Senacie i z mównicy. Chyba nikt nie wątpi, że Cynceron najlepiej ze wszystkich ludzi będzie potrafił uzasadnić nasz punkt widzenia.

Zgodziłem się ze słusnością tej uwagi.

– Mimo to – dodałem – uważam twój niepokój za przesadny. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że zdobędziemy poparcie Cyncerona, z głębi serca płynące poparcie, wówczas gdy chwila niebezpieczeństwa minie i będą potrzebne raczej słowa niż czyny. W związku z czym wnoszę, abyśmy uznając słusność większości racji przytoczonych przez Metellusa Cymbra, przystali jednak na to, że zwrócimy się do Cyncerona, gdy nadejdzie właściwy czas. Podejrzewam, że sam wybrałby podobne rozwiązanie. W końcu jest już starym człowiekiem, a nigdy nie sływał z odwagi.

Marek zakaszłał.

– Nie ma najmniejszej potrzeby, aby zapraszać Cyncerona do naszego grona – rzekł. – Z pewnością odmówiłby. Nigdy nie wdawał się w sprawę, którą zapoczątkowali inni. Znaście jego zarozumiałość i próżność.

Wiedziałem o zazdrości Marka i zgadywałem, że obawiał się, iż Cynceron zaćmiłby go, odbierając mu palmę pierwszeństwa z powodu swoich zdolności i reputacji. A Kasjusz obiecał oczywiście pierwszoplanową rolę samemu Markowi, chcąc go zwabić.

Kasjusz skinął na mnie, zapraszając, jak to było wcześniej umówione, do zabrania głosu.

– Chciałbym postawić przed wami pewną kwestię. Jest ona zasadniczej natury i wymaga

poważnego zastanowienia. Czy nie ma poza samym Cezarem osób, które winniśmy uwzględnić w naszych planach?

– Antoniusz i Lepidus – rzekł Kaska.

– Masz na myśli naszego dzielnego konsula oraz dowódcę jazdy?

– Tak. Ich przede wszystkim... musimy się dobrze zabezpieczyć.

– Bylibyśmy szaleni, postępując inaczej – zauważył Kaska. – Słuszny argument – Kasjusz mówił tak, jakby wcale nie był jeszcze zdecydowany. – Antoniusz jest wierny Cezarowi. Wielu z nas go badało, a nikt nie uzyskał zadowalającej odpowiedzi. Czy stanie się zagrożeniem, jeśli przeżyje Cezara? Co zaś do Lepidusa, może nie ma on takiego znaczenia, ale sprawuje dowództwo nad jedyymi oddziałami stacjonującymi w pobliżu miasta.

Wśród zebranych zapadło milczenie. Ludzie wiercili się i szeptali do swych sąsiadów. Niektórzy wyraźnie poruszeni, najwyraźniej bowiem nie spodziewali się, że dojdzie do postawienia takiego wniosku. Inni kiwali głowami na znak aprobaty, ale nikt nie odważył się pierwszy wystąpić z poparciem.

– Nie, nie, nie. – To był oczywiście głos Marka. – Nie jesteśmy rzeźnikami, Kasjuszu. Pomyśl o odrazie, z jaką patrzymy na Ma riusza i Sullę oraz na ich haniebne proskrypcje. Nie jesteśmy, powtarzam, rzeźnikami. Jesteśmy kapłanami świętej sprawy Republiki. Śmierć Cezara to rodzaj ofiary. Koniecznej ofiary. Chciałbym, aby nie była konieczna. Zastanawiałem się, jak wiecie, długo nad całym zagadnieniem. Nie należę do tych, co pochopnie podejmują decyzje. Ale jestem teraz przekonany. Jeśli jednak, moi przyjaciele, zamierzacie rozszerzyć listę ofiar, umieszczając na niej poza Cezarem również inne osoby, oświadczam z całą powagą, że nie wezmę udziału w waszym przedsięwzięciu. Wycofam się. Zabijcie samego Cezara, a czyn ten zostanie odebrany takim, jakim jest: jako akt koniecznej cnoty. Zabijcie przyjaciół Cezara, a będzie to wyglądać tak, jakbyśmy byli jedynie zwykłymi zbójami, bandytami, mordercami. Stanie się to równoznaczne z wezwaniem do rozpoczęcia wojny domowej. Gdy będzie już po wszystkim, okażmy wielkoduszność i poszukajmy zgody z przyjaciółmi Cezara. Powtarzam raz jeszcze. Albo sam Cezar, albo Marek Brutus nie przyłoży ręki do tej sprawy.

Kaska jęknął, ale Marek przeforsował swój punkt widzenia. Utracił on również swój drugi pomysł, aby postawić w stan gotowości i wezwać do Rzymu dziewiąty legion, co ułatwiłoby opanowanie zamieszania, jakie mogło nastąpić po zamachu.

– Byłoby to – oświadczył – złym sygnałem. To nie jest wojskowy zamach, lecz jak



powiedziałem, akt ofiary. Nie mogę w związku z tym wyrazić swej zgody, a jeśli nie mogę z własnej nieprzymuszonej woli poprzeć jakiejś propozycji, nie mogę też zgodnie z moim poczuciem honoru przystąpić do samego dzieła. Ufam zresztą, Decymusie, że twój pesymizm jest przesadny. Nie dojdzie przecież do żadnych komplikacji, albowiem wszyscy szlachetni Rzymianie pochwalą nas i nasz postęp. Nie będziemy postrzegani jako łajdacy, lecz jako bohaterowie, którzy zwrócili Rzymowi wolność.

I w taki oto sposób, idąc za złą radą, podjęto ostateczne decyzje. Jedynie Cezar miał umrzeć. A potem miało być pięknie i wspaniale.

Idy marcowe, teatr Pompejusza, a następnie powszechne wiwaty na cześć wyzwolicieli.

Marek, gdy dał się w końcu przekonać, odrzucił wszelkie wątpliwości.

Kasjusz dostrzegał słuszność moich argumentów, ale popart Marka, ponieważ cenił jego uczestnictwo o wiele wyżej, niż cenił rozsądek.

## ROZDZIAŁ 21

W wigilię idów marcowych Lepidus zaprosił mnie na wieczerzę. Obawiałem się przyjąć zaproszenie. I trudno się temu dziwić. W końcu to ja zalecałem, aby poza Cezarem rozprawić się również z nim. Na naszej tajnej naradzie domagałem się, aby przynajmniej jego i Antoniusza aresztować. Kasjusz odrzucił ten umiarkowany projekt (choć w głębi duszy go pochwalał), ponieważ obawiał się, że posłuży on Markowi za pretekst do wycofania się. W tej decyzji dostrzegłem słabość Kasjusza. Mimo wszystkich swoich zasług i ogromnej siły woli, bez czego rzecz nie doszłaby do skutku, albo wiem był on naprawdę sprężyną i początkiem całej akcji, posiadał pewnego rodzaju ułomność, stanowiącą przeciwieństwo jego wyjątkowych zalet. Łatwo padał ofiarą czegoś, co można nazwać monomanią. Gdy raz wbił sobie jakąś myśl do głowy, nic nie mogło go skłonić do zmiany zdania. W tym wypadku było to przekonanie o niezbędnym uczestnictwie Marka. W żaden sposób nie potrafiłem mu tego wyperswadować. W końcu dałem za wygraną.

Zdawałem sobie wszakże sprawę, że przyjęcie zaproszenia Lepidusa jest kwestią dość delikatną. Co więcej, chciałem się przygotować na nasz wielki czyn w milczeniu i samotności. Jednocześnie pewne względy przemawiały za nieodrzcucaniem zaproszenia. Nie sposób było przewidzieć, jakie wątpliwości i obawy mogła zrodzić moja odmowa.

W każdym razie z niemałym przerażeniem dostrzegłem wśród zebranych Cezara. A także Treboniusza. Jego obecność zaniepokoiła mnie, ponieważ znałem jego impulsywność i obawiałem się, iż swym zachowaniem może obudzić podejrzania. Metellus Cymber był tam także, co wyraźnie zirytowało Cezara. Dobrze bowiem wiedział, że Cymber domaga się odwołania dekretu skazującego jego brata na wygnanie. Zmarszczył brwi, pozdrawiając Cymbra, ostrzegając go w ten sposób, że nie jest to sprzyjający moment, aby poruszać sprawę brata. Widząc to, pociągnąłem Cymbra za rękaw, nakazując zachowanie milczenia. Przypomniałem mu, że on i jego brat mieli odegrać decydującą rolę jutrzejszego ranka.

– Doskonale – odparł – ale gdy myślę o niesprawiedliwości wyrządzonej mojemu bratu i przypominam sobie niesławę, jaką cierpi, oraz trudy, jakich doświadcza, widok beztroski dyktatora wyprowadza mnie z równowagi.

– Oby wszystko poszło dobrze – rzekłem – a wkrótce odzyskasz brata.

Lepidus poprosił nas na wieczerzę. Gdybym go dobrze nie znał, doszukiwałbym się niepokoju w jego zachowaniu. Ale Lepidus zawsze krzątał się niczym stara kwoka. Dziwna sprawa. Podobno wiele kobiet uważało go za najprzystojniejszego mężczyznę w Rzymie. Istotnie, gdy spoczywał na łożu, mógł być wspaniałym modelem dla posągu wyobrażającego heroiczną cnotę. Cóż, kiedy rzadko dało się go widzieć w bezruchu. Teraz krzątająca Lepidusa zirytowała nawet Cezara, przywykłego wszak do jego sposobu bycia. W końcu zawołał:

– Daj nam spokój, Lepidusie. Chwila zwłoki nie popsuje biesiady. W każdym razie – rzekł, zwracając się do mnie i mówiąc już z większym spokojem, tak aby nie obrazić naszego gospodarza – wieczerza jest tylko wieczerzą. Nie przejmuj się biesiadnikami, którzy traktują posiłek jak rodzaj świętego obrządku.

To prawda. Cesarowi obojętne było, co jadł i pił. Często słyszałem, jak kpił sobie z dwóch dawnych towarzyszy, Krassusa i Pompejusza, okazujących wielką troskę o swoje żołądki. „Pod tym względem jestem niczym Grek – mawiał Cezar. – Przychodzę do stołu dla rozmowy, a nie dla strawy. Jeśli chodzi o strawę, zadowala mnie zarówno pajda chleba z serem, jak i wyszukana kuchnia”.

Za milczącą zgodą unikaliśmy tego wieczoru rozmów o polityce i wojnie. Jedynie Lepidus nietaktownie próbował podnieść kwestię kampanii partyjskiej. Sam Cezar odsunął ów temat.

– Jeśli chcesz zostać oświecony w tej sprawie, Lepidusie, odwiedź mnie w porze urzędowania...

Zwrócił się do mnie i spytał o stan zdrowia Longiny.

– Mówiono mi, że wysłałeś ją na wieś. Ufam, że nie oznacza to żadnych poważnych kłopotów.

– Nie – rzekłem – to powietrze w Rzymie, sam wiesz najlepiej. Poza tym łatwiej na wsi o dobre mleko, a do niego w swoim obecnym stanie Longina nabrała wielkiego smaku.

Pstryknął palcami, aby przywołać sekretarza, który zawsze mu towarzyszył, i tym razem został ulokowany na taborecie w przejściu prowadzącym do przedpokoju.

– Zanotuj – rzekł Cezar – że chcę mieć sporządzony raport dotyczący jakości mleka sprzedawanego w mieście. Powinien zawierać również dane o warunkach, w jakich są trzymane krowy, czasie, jaki upływa, zanim mleko trafi do sprzedaży, a także to, czy do kontroli handlu potrzebne są nowe przepisy. Na przykład, czy powinniśmy ustalić limit liczby krów utrzymywanych na określonym obszarze. I wszystko inne, co wydaje się związane ze sprawą.

Wstępny raportu oczekuję od dziś za siedem dni, a sam projekt powinien być gotów przed końcem miesiąca. Nie wątpię, że konieczne okaże się przeprowadzenie pewnych reform.

Znowu odezwał się do mnie.

– Dziękuję ci za zwrócenie uwagi na tę sprawę, Myszo. Coraz mocniej się przekonuję, że tajemnica skutecznej administracji polega na tym, by uświadomić sobie, iż zwykli ludzie cierpią najbardziej z powodu spraw, które takim jak my mogą się wydać drobne i nieważne, ale w ich położeniu okazują się przykre. Jakość mleka będzie znaczyć więcej dla młodej kobiety z biednej rodziny niż pytanie, czy twój teść powinien zostać konsulem w 42, jak sobie życzy, czy też będzie musiał poczekać do następnego roku.

Rozmowa przy stole skierowała się na problemy z zakresu filozofii, podczas gdy Cezar zajmował się zaopatrzeniem miasta w mleko. Ktoś – zapomniałem teraz kto – rozprawiał o platonizmie i teorii idei. Chwalił ją. Natomiast Metellus Cymber negował słuszność całej koncepcji.

– Jestem prostym człowiekiem i żołnierzem i nie mam czasu na ten groch z kapustą. Zapewniam was, że pośród bitwy niewielki sens ma dowodzenie, iż wymierzona w twój brzuch włócznia jest jedynie cieniem idei prawdziwej włóczni. Nie ma w ogóle sensu. To mistyczny grecki nonsens. Prawdziwemu Rzymianinowi oddawanie się takim rozważaniom przynosi wstyd.

– Zbył ostro stawiasz problem, Cymbrze – rzekłem. – Zgadzam się z tobą w sprawie włóczni. A jednak myśli Platona mają swój wdzięk, gdy zaś rozważasz abstrakcyjne pojęcia – sprawiedliwość czy nawet miłość – musisz przyznać, że jest pewna siła w sugestii, iż nasze przeżywanie ich jest zawsze niedoskonałe.

Lepidus pokiwał parę razy głową w kierunku moim, Cymbra i następnie mężczyzny, który dał początek całej rozmowie. Zawsze sprawiało mu przyjemność słuchanie, jak przy jego stole dyskutowe się zagadnienia intelektualne, mimo że zupełnie nie był w stanie sam w tym uczestniczyć.

Cezar, zwykle wyczulony na ów rodzaj rozmowy, wydawał się roztargniony i poczułem się zawstydzony tym, co powiedziałem. Ostatecznie, pomyślałem, mężowie tacy jak Cezar i ja sam znają potrzeby realnego bytu, o których, jak przypuszczałem, Platon nie miał pojęcia. I dlatego powiedziałem:

– A jednak w końcu wszystko to są głupstwa w porównaniu ze znajomością rzeczywistości, jaką zapewnia doświadczenie bitewne. Właśnie dlatego my, Rzymianie, stoimy wyżej niż

współcześni Grecy. My działamy, oni prowadzą dysputy.

Jestem ciekaw, czy ludzie nadal będą czytać i dyskutować Platona, wówczas gdy imiona Cezara lub Decymusa Brutusa będą już tylko pustym dźwiękiem albo nawet zostaną zupełnie zapomniane?

Rozmowa skierowała się na temat śmierci.

Ktoś zapytał Cezara, jaką śmierć wybrałby dla siebie.

– Nagłą.

Później podpisał kilka urzędowych listów, które niewolnik przyniósł do stołu.

Wracałem spacerkiem do domu z Treboniuszem i Metellusem Cymbrem. Odpowiedź Cezara na ostatnie pytanie wprawiła ich w dziwne podniecenie.

– Jakby miał jakieś przeczucie.

– Tak – rzekł Cymber. – Pojawiły się różne dziwne znaki. Czy słyszałeś, że niektórzy widzieli ogniste istoty walczące ze sobą na niebie? Mówiono mi także, że wieszczek – jedni twierdzą, że Spuryinna, inni, że Anemidor – ostrzegł Cezara, aby miał się na baczności przed idami marcowymi.

– To prawda – powiedziałem – i ten sam człowiek – nawiasem mówiąc, nazywał się Spuryinna – ostrzegł go z równą gorliwością, aby zachował ostrożność w ostatnie kalendy grudnia.

Oślepiło nas światło błyskawicy. Kolejny grzmot zdawał się wstrząsać dachem Kapitolu. Schroniliśmy się w bramie przed nagłą ulewą. Burza była krótka. Później oczywiście wielu twierdziło, że widzieli tej nocy dziwne i cudowne rzeczy: mówiono, że lwica porodziła na ulicy młode, że duchy spacerowały, że deszcz przemienił się w krew. Wszystko to były nedorzeczności wywołane podnieceniem i przeżyciem gwałtownej, ale zwyczajnej burzy z piorunami. Nic tak nie mąci rozumu jak zabobon i łatwowierność, którą ten wywołuje.

Burza ucichła równie nagle, jak się zaczęła. Ruszyliśmy dalej. W pewnym momencie nasze drogi się rozeszły. Uścisnęliśmy się, życząc sobie nawzajem dobrego snu i odwagi na jutrzejszy poranek.

Wcale jednak nie chciałem udawać się na spoczynek. Obawiałem się, że sen mógłby mnie zwieść. Cierpiałem z tęsknoty za Longiną. Przypominałem sobie, jak szedłem po kamieniach tamtej nocy, zanim przekroczyliśmy Rubikon. Dodało mi to wtedy otuchy.

Znalazłem się w sąsiedztwie domu Marka. Na moje pukanie służący otworzył drzwi i zaprowadził mnie do Porcji.

– Czy wszystko w porządku?

– Jak dotąd, tak.

– Marek oddaje się właśnie studiom i prosił, aby mu nie przeszkadzać. Pracuje nad przekładem „Fedona”. Uspokaja to jego umysł. Jest zdecydowany.

– Dobrze. Powiedz mu, że tu byłem. Powiedz, że wszystko jest w porządku, wszystko przygotowane. Cezar niczego nie podejrzewa.

W trakcie mojej włóczęgi natknąłem się później na Kaskę. Ucztował z Antoniuszem i opuścił go pijany.

– Ani myśl o spaniu, staruszk. Chodźmy do gospody.

Pozwoliłem mu się zaprowadzić do lichej rudery pod skałą Kwirynału. Byli tam jacyś żołnierze na urlopie grający w kości. Wyśmiewali szansę kampanii partyjskiej.

– Wszystko, czego chcę – powiedział jeden z nich – to własne gospodarstwo, z młodą żoną i dziećmi. Obiecywano mi je nie raz. Teraz mówią, że po Partii. Mój ojciec wyruszył przeciwko Partii ze starym, grubym Krassusem. Nigdy stamtąd nie wrócił.

– Mówią, że Rzymianie nadal są tam trzymani w niewoli.

– No cóż, są równie daleko od własnego gospodarstwa, jak zatraceni nieboszczycy.

Wtedy rozpoznali nas i weteran zaczął przeproszać za swe słowa.

– Wszyscy czasami trochę upadamy na duchu – rzekł – myśląc o przyszłości. Walczyłem w trzydziestu siedmiu bitwach. Wydaje się, że to dość.

– Wcale nie musisz przeproszać – odparł Kaska. – Każdy ma prawo mówić, co myśli. To jedna z zalet życia w wolnym państwie.

Zaczęli się śmiać wraz z nim, a Kaska kazał przynieść więcej wina. Chłopiec, który nam usługiwał, przykuł jego uwagę. Kaska przycisnął do siebie uda chłopca, a jego ręka powędrowała pod tunikę.

– No, no, niezła z ciebie sztuka – zawołał.

Chłopiec pochylił głowę pokrytą kręconymi lokami i zachichotał. Kaska dał znak właścicielowi, po czym udał się z chłopcem za kotarę.

– Wódz jest w dobrej formie – zauważył weteran, pochylając się ku mnie.

- Kaska jest zawsze Kaską – odparłem.
- Zawsze. I w tym cała pocięcha.

Wszedłem na ulicę. Zaczepiła mnie jakaś dziewczka. Wziąłem ją pod murem, zapłaciłem więcej, niż żądała, ale nie odczułem ulgi.

Nie spałem jeszcze, gdy poranek rozlał się światłem w moim pokoju.

Wstałem, wykąpałem się, kazałem się ogolić i ubrać w nową togę. W jej fałdach ukryłem sztylet umieszczony w przymocowanej do pasa pochwie.

## ROZDZIAŁ 22

Ranek był szary. Gałęziami drzew potrząsał wiatr, strącając z liści krople deszczu. Rażnym krokiem ruszyłem w kierunku teatru Pompejusza, gdzie miał się zebrać Senat. Miasto huczało od plotek. Usłyszałem, że Cezarowi zostanie ofiarowana korona, a może nawet on sam jej zażąda. Tym lepiej dla nas. Takie plotki ułatwiały nam jedynie zadanie. Podjęliśmy swoje obowiązki. Ci z moich kolegów którzy piastowali urząd pretora, sprawowali sądy i wydawali wyroki. Podziwiałem ich determinację. Nawet mój kuzyn Marek stanął na wysokości zadania. Gdy pewna osoba odwołała się od jego wyroku do decyzji Cezara, Marek powiedział: „Cezar ani mi nie przeszkadza, ani nie przeszkodzi w działaniu i sądzeniu zgodnie z prawem”. W jego głosie dało się wyczuć rozdrażnienie, ale gdy wypowiedź przywitano okrzykami, uśmiechnął się. (Nie brakło, nawiasem mówiąc, takich, którzy nazywali jego uśmiech „słodkim”, a jeden z jego wielbicieli posunął się nawet tak daleko, że porównał go do promieni słońca po deszczu. Zawsze mnie to irytowało. Mimo to cieszyłem się tego ranka, widząc uśmiech na twarzy Marka, ponieważ obawiałem się, że może go opuścić odwaga, co jak wiedziałem, nieraz mu się zdarzało).

Kasjusz uściskał mnie. Jego starszy syn założył tego dnia po raz pierwszy togę virilis, jaką wdziawało się, osiągnąwszy dojrzałość.

– Nie mogłoby to przypaść w bardziej odpowiednim dniu – rzekł Kasjusz. – W końcu właśnie z myślą o naszych dzieciach i ich potomstwie przystępujemy dzisiaj do czynu.

Podchodził kolejno do każdego z nas, uśmiechając się i dodając odwagi. Kaska klepnął mnie w plecy.

– I co ci się przydarzyło ubiegłej nocy, staruszk?

– Prawie to samo, co przydarzyło się tobie, ale z inną płcią, krócej i prawdopodobnie przyjemność była mniejsza.

– Nie mogłeś tego ująć lepiej. Muszę powiedzieć, że czuję się nieskończenie dobrze. Być może jestem wciąż trochę pijany. Spójrz na Antoniusza. Nadal się zatacza. Nie może już pić jak dawniej, no wiesz, wyzwalem go na zawody – kubek za kubek – kto więcej wypije.

Antoniusz rzeczywiście wyglądał na chorego z przepicia. Odszedł za kolumnę i zwymiotował, po czym zawołał jakiegoś niewolnika, każąc mu posprzątać, a potem drugiego,



aby przyniósł dzban wina. Przechwycił mój wzrok i mrugnął.

Kasjusz rzekł do mnie:

– Powiedziałem Treboniuszowi, aby nie opuszczał Antoniusza, gdy nadejdzie Cezar, i zajął go rozmową.

– Treboniuszowi?

– Tak, jeśli do żadnej innej, to przynajmniej do tej roli nie zabraknie mu stanowczości.

– Spotkało mnie właśnie coś przykrego – odezwał się Kaska. – Czy widzicie tam tego starego głupca, nie mogę sobie przypomnieć jego imienia, ma jakiś związek z Dolabellami. W każdym razie podszedł do mnie i biorąc za ramię, powiedział: „Życzę ci powodzenia. Toś ty ukrywał to przede mną, twoim przyjacielem, ale Marek Brutus wszystko mi wyjawiał”. Zastanawiałem się, jak uciszyć gadułę, a ten znowu: „Skądże jednak weźmiesz środki na to, aby piastować godność edyla?”

– Co mu odpowiedziałeś?

– Och, powiedziałem: „Zapytaj moich wierzycieli, staruszku”.

Nie był to jedyny powód do niepokoju, gdyż Popiliusz Laena, notoryczny plotkarz, zaczepił Kasjusza i mnie, życząc nam szczęścia.

– Jestem z wami sercem i duchem – rzekł – śpieszcie się jednak, gdyż obawiam się, że wasza tajemnica się wydała.

Kasjusz odwrócił się, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Na mnie więc spadło uspokojenie staruszka i zapewnienie go, że wszystko jest przygotowane, a my jesteśmy wdzięczni za wyrazy sympatii.

Ciągle nie było ani śladu Cezara.

Zbliżył się jeden ze służących Brutusa. Wyglądał na wzburzonego.

– Gdzie jest mój pan?

– Tam. Wymierza sprawiedliwość.

– Stało się nieszczęście.

– Mów.

– Nie, muszę to przekazać swojemu panu.

Podbiegł do Marka i ciągnąc go za rękaw, szeptał mu coś do ucha. Marek przerwał swe urzędowe czynności, ogłaszając zawieszenie posiedzenia.

– Muszę iść – oznajmił. – Ten człowiek przyniósł straszne wieści, Porcja upadła. Może nie

żyje.

– Obawiam się tego – rzekł sługa wyzwoleniec.

– Jeśli nie żyje – powiedziałem – do niczego się jej nie przydasz. Twoje miejsce jest tutaj.

– Nie, nie, muszę iść.

Zastanawiałem się oczywiście, czy za tym wszystkim nie krył się ukartowany fortel, mający usprawiedliwić wycofanie się Marka. Pasowałoby to do niego. Jednak Porcja nie dałaby mu żyć, gdyby zrezygnował. Zresztą wątpię, aby życzyła sobie, by nawet ze względu na nią tak postąpił. Zbyt głęboko nienawidziła Cezara, a nienawiść mogła przewyciężyć nawet jej egotyzm. Byłem ostatnim człowiekiem, który potrafiłby przekonać Marka. Oddałem więc sprawę Kasjuszowi. Uczyniłem tak, choć nie miałem wątpliwości, iż poradzilibyśmy sobie lepiej bez mojego kuzyna. Miałem ku temu powody. Wskutek jego nalegań zaniedbaliśmy podjęcia środków ostrożności, jakie uważałem za konieczne. Nie wierzyłem w sukces, ale uważałem, że jeśli mamy przegrać, Marek nie powinien uniknąć konsekwencji. W końcu przyjęliśmy linię postępowania, do jakiej nas nakłonił.

Kasjusz starał się go przekonać, nie na wiele się to jednak zdało. Gdyby tylko zjawił się Cezar... ale się nie zjawiał. Ktoś szepnął, że w ogóle nie przyjdzie dziś do Senatu.

– To niedorzeczność – zaprotestowałem.

– Tak się składa, że wiem, iż jego stary wuj Juliusz Kolta zamierza ogłosić publicznie znaną w Księgach Sybilińskich przepowiednię, według której Rzymianie podbiją Partię jedynie pod przewodnictwem króla. Nie powiesz mi, że Cezar nie zechce ujrzeć twarzy swoich nieprzyjaciół, w chwili gdy usłyszą tę niezwykłą wiadomość.

– Kalpurnia miała chyba jakiś sen i dlatego Cezar nie przyjdzie.

– Zawracanie głowy, nic więcej – zachnąłem się. – Od kiedy znam Cezara, nigdy nie kierował się obawami kobiet.

Mimo to miałem wątpliwości, gdyż aż nadto dobrze pamiętałem owe okresy znużenia, któremu się nagle poddawał.

Marek odsunął się od Kasjusza.

– Muszę iść! – krzyknął. – Nie ma dla mnie nic ważniejszego niż moja żona.

Na szczęście jego zamiar – tak niegodny rzymskiego arystokraty – został nagle powstrzymany. Oto bowiem, uciekając, wpadł na drugiego wyzwolenca, który dysząc i sapiąc, biegł z domu, aby go odnaleźć.

Ów człowiek paplał, że Porcja ma się lepiej. Jedyne zemdląca. Nalegała, aby jej mąż nie porzucał rozpoczętego dzieła.

Czy przerażenie spowodowało, iż Marek wyglądał tak ponuro?

Nadeszło potwierdzenie. Cezar nie przyjdzie.

– A więc trzeba odłożyć wszystko na inny dzień – rzekł Marek.

– Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę – odparłem.

– Ani chwili zwłoki – Kasjusza rozpierała energia. – Myszo, udasz się natychmiast do Cezara i przekonasz go, aby przyszedł. Jedyne tobie może się to udać. Jeśli Cezar nie zjawi się dzisiaj, wówczas obawiam się, że jesteśmy wszyscy straceni. Tajemnica znana Popiliuszowi Laenie nie jest w ogóle tajemnicą. To cud, że Cezar jeszcze o tym nie wie,

– Być może wie – rzekłem. – Być może właśnie dlatego go tu nie ma. Spróbuję jednak. Jeśli Cezar zna nasze plany, nie mam nic do stracenia.

Działanie przynosiło ulgę. Poczułem się lepiej, uwalniając się od napiętej atmosfery panującej w Senacie. Na ulicach nic nie wskazywało na owo gorączkowe podniecenie, które przebiega tłum, gdy opanowuje go przecucie zbliżających się wielkich wydarzeń. Jak zwykle straganiarze wykrzykiwali nazwy swoich towarów. Jak zwykle gospody były wypełnione. Jak zwykle ludzie krzatali się wokół swych spraw. Minąłem grupę gladiatorów prowadzonych na arenę. Jak zwykle wyglądali gburowato. Pośpieszyłem naokoło podnóża Kapitelu i wkroczyłem na Forum. Może panował tam mniejszy ruch niż normalnie, ale zawsze było tak wówczas, kiedy zbierał się Senat. Przeszedłem wzdłuż Via Sacra w kierunku Regii, budynku znajdującego się naprzeciwko świątyni westalek, który Cezar obrał niedawno na rezydencję, do czego miał prawo jako pontifex maximus.

– Oto Decymus Brutus – głos Kalpurnii brzmiał chrapliwie, niemal histerycznie. Na jej policzkach widać było ślady łez.

– Cezarze, Kalpurnio – powiedziałem. – Mam zaszczyt zaproponować ci, Cezarze, moje towarzystwo w drodze do Senatu.

– Dziękuję, Myszo, ale obawiam się, że nie dostąpisz tego zaszczytu dzisiejszego dnia. Nie mogę pójść. Nie, to nieprawda. Lecz większym jeszcze fałszem byłoby powiedzieć: „Nie śmiem pójść”. Zanieś zatem po prostu wiadomość, że nie przyjdę.

– Powiedz, że jest chory – wtrąciła Kalpurnia.

– Nie, nie jestem chory. Nie obciążylbym cię, Myszo, kłamstwem. Powiedz tylko; że nie przyjdę.

– Czy możesz mi podać jakiś powód? Senat obrazi się, jeśli powrócę z taką wiadomością. Powiedzą, że Cezar... no cóż, mniejsza z tym, co powiedzą. Wiesz równie dobrze jak ja.

– Postanowiłem nie przyjść. To wystarczający powód dla zaspokojenia ciekawości Senatu, który nie ma żadnego prawa kwestionować moich poczynań. Tobie jednak, Myszo, winien jestem więcej szczerości. Kalpurnia miała sen, który ją niepokoi. Dlatego, dla jej dobra, postanowiłem zostać w domu.

– Śniło mi się coś strasznego – rzekła Kalpurnia. Jej głos wznosił się niemal do krzyku. – Widziałam jego posąg – przyspieszyła – ociekał krwią. A lud, śmierdzący plebs, nadszedł i mył w niej swe ręce. Niektórzy mazali twarze jego krwią. Dlatego boję się i błagałam Cezara, aby został w domu. Bo to nie wszystko. Ubiegłej nocy widziano na ulicach duchy, które krzyczały i zawodziły, widziano też, jak skrwawieni mężowie walczą na niebie. No i sprawa tej ofiary. Słyszałeś o tym, Myszo. Gdy zabito wołu, okazało się, że nie ma serca. Wszystko to są przerażające wróżby, których zignorowanie byłoby oznaką bezbożności.

Usiadłem i odgrywałem rolę rozmyślającego głęboko człowieka.

– Chodziłem po ulicach ubiegłej nocy i nie dostrzegłem żadnych duchów. Właśnie wracam z Senatu. Atmosfera jest tam bardzo napięta. Twój stary wuj Juliusz Kotta szykuje się do wyjawienia wielkiej wagi odkryć, jakich dokonał w Księgach Sybilińskich, a gdy pytają go, o co chodzi, przykładą palec do nosa i mówi: poczekajcie, aż Cezar przyjdzie, wówczas wszystko wyjaśnię”. A co jeszcze ważniejsze, jest propozycja poddania pod głosowanie wniosku o przyznanie ci prawa do noszenia korony i tytułu królewskiego we wszystkich częściach imperium poza Italią. Nawet najzacieklejsi republikanie nie są temu przeciwni, tak to przynajmniej wygląda. Krążą też pogłoski, że Cynceron zamierza przyjść do Senatu – wkraczając, jak możesz sobie wyobrazić, z jak największą powagą, gdy uzyska pewność, że ty już tam jesteś – aby wesprzeć wniosek. Znasz Cyncerona lepiej od nas i wiesz, jaki cios zadałaby jego próżności wiadomość, że Cezar nie chce uczestniczyć w dzisiejszym posiedzeniu Senatu. Boję się, że ta propozycja trafiłaby na półkę i prawdopodobnie nigdy nie podjęto by jej na nowo. Jak często sam powtarzałeś, sztuka wojny i polityki polega na chwytności okazji. Właśnie teraz nadarza się taka okazja, ale jeśli Cezar nie zechce przyjść, no cóż, wówczas niechybnie przepadnie.

A zatem – ciągnąłem dalej, widząc, że moje słowa przynoszą pewien skutek – sen

Kalpurnii... Być może ja, nie doświadczony tego snu ani obawy, jaką spowodował, mogę przedstawić lepsze objaśnienie. Ten ociekający krwią posąg i Rzymianie mażący nią swoje twarze. Wydaje mi się prawdopodobne, że rzeczywiście pili krew Cezara, ale to oznacza, że Rzym ssął, co wiemy, że czynił, zawdzięczając tobie źródło ożywczej krwi. Ten sen nie oznacza niczego przerażającego, lecz odrodzenie.

Wreszcie – rzekłem – wiesz, że możesz mi zaufać, iż nie ujawnię powodu, który wstrzymuje cię od przybycia. Ale wiesz również, jak różne domysły gotowi są snuć ludzie i jak szybka jest plotka. I dlatego nie mam wątpliwości, że powód się wyda lub zostanie odgadnięty, lub nawet że jakiś cyniczny człek wykorzysta go i krzyknie: „No cóż, odłożmy to posiedzenie, czekajmy, póki nie nadejdzie dzień, gdy małżonki Cezara nie będą trapić złe sny lub będzie dobrze spała”. A wtedy ktoś do niego podobny zakrzyknie, że Cezar ma niewielkie szanse pokonania Fartów, jeśli zatrzymują go w domu obawy żony.

Wybacz – powiedziałem – jeśli moja szczerość brzmi obraźliwie, ale wiesz, Cezarze, że zawsze mówiłem, co myślę. Jestem prostym żołnierzem i rozgrzeszysz mój brak taktu oraz niedostatek retorycznych umiejętności, ponieważ dobrze wiesz, że mój niepokój wynika z... miłości... jaką żywię do ciebie.

I tak go przekonałem. Pozostawiając Kalpurnię z jej obawami (bardziej uzasadnionymi, niż mogła przewidywać, biedna suka), wyruszyliśmy z jego domu. Kiedy przybyliśmy na Forum, jakiś chudy, wyglądający na szalonego Grek o długich brudnych i siwych włosach podszedł do Cezara, wykrzykując coś, czego nie zrozumiałem. Była to z pewnością greka, ale w podnieceniu słowa mi umknęły. Cezar uśmiechnął się na jego widok.

– No i cóż, Spuryнно, Więc już nadeszły idy marcowe, a ja mam się dobrze.

– Owszem, Cezarze, nadeszły, ale jeszcze nie przeszły.

Tym razem zrozumiałem go; mówił po łacinie, choć seplenił, co sprawiało, że brzmiała dziwacznie. Weisnął Cezarowi zwinięty zwój.

– Przeczytaj to, błagam cię. Powiedziałem wówczas:

– Chciałbym również, abyś coś przejrzał: oto prośba Treboniusza.

– Przeczytaj moje najpierw – nalegał stary człowiek – dotyczy ściśle ciebie.

– A zatem obawiam się, że musi poczekać – odparł Cezar i podał mi zwój.

– Zrobiłeś słusznie, namawiając mnie – rzekł Cezar, gdy zbliżyliśmy się do teatru

Pompejusza. – Ale Kalpurnia naciskała. Była w dziwnym nastroju, niemal całkiem wytrącona z równowagi. Teraz jednak, gdy Cezar jest z dala od niej, Cezar jest znowu sobą.

Gdy weszliśmy do teatru, odsunąłem się od Cezara. Kasjusz uśmiechnął się do mnie. Kiedy już nadeszła długo oczekiwana chwila, był spokojny jak niebo w czasie bezwietrznej nocy. Trzymał Marka u swego boku. Jedno spojrzenie na twarz mojego kuzyna powiedziało mi, że ten środek ostrożności nie był konieczny. Jedynie działanie mogło przynieść ulgę, zmniejszając stan ogromnego napięcia. Uchwycił kurczowo ramię Kasjusza. Podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem, że Popiliusz Laena zbliżył się do Cezara i zaczął z nim rozmowę. Zniecierpliwione pomruki obiegały Senat. Wuj Cezara, Juliusz Kotta, bawił się brzegiem swojej togi. Kazano im długo czekać. Rozejrzałem się naokoło. Cynceron nie był obecny.

Treboniusz zajął uwagę Antoniusza. Po kilku minutach rozmowy obaj opuścili teatr.

Cezar uśmiechnął się. Popiliusz Laena cichutko zachichotał i odszedł.

Metellus Cymber podszedł do Cezara i ukląkł przed nim. Mówił dość długo, spokojnie, cicho, tak że jego słowa nie dochodziły do mnie.

Cezar zmarszczył brwi. Gestem ręki oddalił sprawę. Cymber chwycił połę jego szaty, ale Cezar zdołał ją wyszarpać.

Kasjusz i Marek otoczyli go. Kasjusz klęknął, popierając prośbę Cymbra, jak ustaliliśmy. Marek stał nieco z boku. Nie chciał uklęknąć.

Znowu Cezar zasłonił ręką twarz w geście odmowy. Jego zgoda nie miałaby znaczenia, ale odrzucenie tak uzasadnionej prośby stanowiło ostateczne usprawiedliwienie naszego zamiaru. Podszedłem wystarczająco blisko, aby słyszeć, jak Cezar mówi:

– Nie, po stokroć nie. Dekret o wygnaniu pozostaje w mocy. Jeśli nawet wszyscy padniecie na kolana i będziecie napierali na mnie, odrzucę wasze żądania, jakbym odpędzał się od ujadania bezpańskiego kundla. Kiedy wreszcie zrozumiecie, że Cezar jest niewzruszony jak Gwiazda Polarna, zawsze zajmująca to samo miejsce na firmamencie?

– Kiedy zrozumiesz, że ludzie są zawsze ludźmi? – rzekł Kaska i ugodził go sztyletem w szyję.

Kasjusz uderzył jako następny, potem Marek zamierzył się do ciosu. Sztylet przebił togę Cezara i zatopił się w jego ciele. Cezar z trudem utrzymywał się na nogach, ale wszyscy już go dopadli.

- Za Pompejusza...
- Dyktator do końca życia...
- Tyran...
- Za mojego brata...

Uchwycił mój wzrok. Przez chwilę przerażenie i groza wypełniły teatr.

- Nie ty, mój synu.

Wbiłem swój sztylet głęboko pod mostek.

Zdumienie rysowało się na jego obliczu. Nasunął togę na głowę i upadł na marmur. Jego ręce chwyciły kurczowo piedestał posągu Pompejusza. Nawet gdy już leżał, pozostali nasi przyjaciele podchodzili, aby zatopić swe sztylety w jego ciele. Ciało, którym wstrząsały konwulsje, w końcu zamarto, strumyk krwi popłynął w stronę mównicy.

Staliśmy wokół trupa Cezara. Myślę, że wszyscy byliśmy zdziwieni, iż poszło to tak łatwo.

Chwilę wcześniej Cezar, a teraz już tylko kawał krwawiącego mięsa; powaga i majestat zniknęły, jak drzwi zatrzaśnięte przez wiatr. Głos fletnisty, który ciągnął nas do Italii, zabrzmiał przez moment w mojej pamięci i nastąpiła cisza.

Senator, nie należący do naszego sprzysiężenia, podniósł sztylet, który upadł na ziemię, i klęknął nad czymś, co było Cezarem, aby dodać swój cios do tych już jakże licznych.

Kasjusz powstrzymał go.

– Nie jesteśmy rzeźnikami – rzekł – a ty nie dzieliłeś z nami niebezpieczeństw. I dlatego nie powinieneś również mieć udziału w zaszczycie.

Moje lewe ramię krwawiło, dosięgnął mnie bowiem cios wymierzony w Cezara. Przewiązałem je skrawkiem materiału.

Marek wyszedł na otwartą przestrzeń, gdzie występowali aktorzy, i zaczął mówić:

– Nie niepokójcie się, czcigodni ojcowie. Nie zamierzamy nikomu wyrządzać krzywdy. Błagam was, pozostańcie.

Z równym powodzeniem mógłby zaklinać wiatr. Przepychali się do drzwi, potrącając się nawzajem, gnani strachem i przerażeniem, W się znaleźć z dala od tego miejsca.

Po chwili pozostaliśmy sami z trupem Cezara.

Wszedł Treboniusz.

- Gdzie jest Antoniusz?

– Uciekł w przerażeniu, chociaż zapewniałem go, że nic mu nie grozi. Ale panuje ogólne

zamieszanie, nawet panika, na ulicach. Nie mogłem powstrzymać Antoniusza.

– Świetnie – rzekł Marek. – Spełniliśmy, co zamierzaliśmy. Chodźmy teraz, niosąc nasze skrwawione sztylety, na Kapitol i ogłośmy Rzymowi powrót wolności.

Mówił jak aktor. Nie sprzeciwiałem się. Ze względu na ten właśnie moment Kasjuszowi tak bardzo zależało na tym, aby Marek był jednym z nas: zobaczymy, czy miał rację.

Opuszczałem teatr ostatni. Obejrzałem się za siebie, spoglądając na ciało. Tak drobne i nieważne. Tak wiele wygranych bitew. Tak wiele przybyłych krajów. Tak wielka sława. Tak wielkie uznanie. Wszystko zamilkło, przekreślone, utopione w strumieniu krwi.

Niemal łaknąłem łez, aby móc choć jedną uronić nad Cezarem.

Przypatrywałem się leżącej postaci, która była niegdyś dożywotnim dyktatorem.

– Okrutna konieczność – rzekłem i podążyłem za innymi w szary marcowy poranek.



## ROZDZIAŁ 23

Marek poprowadził nas z teatru na Kapitol, gdzie mieliśmy złożyć podziękowania Jowiszowi za uwolnienie miasta od tyranii. Zachowywał się tak, jakby otwierał ceremonię. Robiło to wrażenie. Wolałbym, aby zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości dokonaliśmy zamachu stanu, który powinniśmy jeszcze zabezpieczyć. Jeśli nie uczynimy tego natychmiast, nasza przewaga może się okazać jedynie chwilowa. Niektórzy z moich przyjaciół i kolegów wymachiwali zakrwawionymi sztyletami i wykrzykiwali: „Wolność! Wolność!”

Jeśli o mnie idzie, postanowiłem zachować milczenie i mieć oczy szeroko otwarte. Tłum rozstępował się, gdy przechodziliśmy, milczący, poruszony, być może pełen wyrzutu. To nas nie niepokoiło. Nie spodziewałem się, że motłoch będzie nas oklaskiwał.

Złożyliśmy podziękowania Jowiszowi i innym opiekuńczym bogom Republiki. Bez wątplenia tak właśnie należało uczynić. Potem czekaliśmy, niepewni, co począć. Ciągle była dopiero piąta godzina dnia.

– Czy są jakieś wiadomości o Antoniuszu?

Pojawił się wśród nas niesiony pogłoską Cynceron. Pogratulował nam oswobodzenia Rzymu.

– Żałuję jednak, że się ze mną nie porozumieliście – rzekł. – Powinniście wiedzieć, że moja rada byłaby nieoceniona.

Nie pozostał długo. Przypuszczam, że nie miał pewności co do tego, jak potoczą się sprawy, a nie chciał zbyt mocno wiązać się z konsekwencjami czynu, w którym nie brał udziału.

Inni sympatycy pojawili się na równie krótko, zdenerwowani, rozdarci między uniesieniem a przerażeniem.

Kaska ziewnęła i wysłał niewolnika na poszukiwanie wina.

– Co zrobimy teraz? – spytał. – Niech to licha, jeśli wiem – dodał.

Z powodu rany miałem zawroty głowy i nie mogłem jasno myśleć. Dwa kruki uniosły się z dachu świątyni Jowisza i wolno trzepocząc skrzydłami, skierowały się w stronę Tybru.

Pojawił się Dolabella przystrojony w insygnia władzy konsularnej, które w innych okolicznościach przyjąłby dopiero po wyruszeniu Cezara na Wschód. On także nie wiedział, ani co powiedzieć, ani czy w ogóle powinien być z nami.

– Czy widzieliście Antoniusza? Gdzie on jest? Czy ktoś wie, co się z nim dzieje?

Na Forum gęstniał tłum. Beładny gwar dochodził do naszych uszu. Szukałem oznak radości. Powiedziałem do Kasjusza:

– Grozi nam utrata uzyskanej przewagi. To nasza godzina i musimy ją wykorzystać. Nie możemy siedzieć i podziwiać własnego czynu.

Uzgodniono, że Marek powinien do nich przemówić. Propozycja zmieszała go.

– Dlaczego ja? To nie był mój pomysł. Może Kasjusz...?

– Słuchaj – powiedziałem – to ciebie chcą usłyszeć. Do ciebie właśnie kierowano ze wszech stron prośby, wzywające, abyś okazał się godny swojego przodka. Pokaż zatem, kim rzeczywiście jesteś. Być może Kasjusz i był naszym przywódcą. Bez niego nic byśmy nie osiągnęli. Ale to ty, kuzynie, cieszysz się renomą męża o nie skazitelnej opinii. Bierz się więc do dzieła albo przysięgam, że krew Cezara zmiesza się z twoją na moim sztylcie.

Próżność i strach to dwie wielkie siły pobudzające do czynu. One też sprawiły, że Marek, schodząc na Forum, błyskawicznie podjął decyzję.

Powitały go wiwaty. Zbliżył się do mównicy wśród okrzyków „Szlachetny Brutus” i podobnych nonsensów, dodających oczywiście w tej sytuacji odwagi. Podniósł rękę, prosząc o ciszę. Gwar zamarł. Ktoś krzyknął:

– Posłuchajmy Brutusa... Posłuchajmy, co szlachetny Brutus ma nam do powiedzenia.

Zaczął mówić. Muszę przyznać, że mówił dobrze. Wymowa to dziwny dar, a przy tym trudno było oczekiwać po Marku podobnych talentów. Oczywiście nie miał klasy Cyncerona – brakowało muzyki w jego głosie, a nawet żywiołowej elokwencji Antoniusza, był jednak skuteczny. Gdybyś go nie znał – gawiedź naturalnie znała jego reputację, ale nie jego samego – powiedziałabyś: „To uczciwy człowiek. Mogę być pewien, że mówi prawdę”. Tak bardzo sztuka wymowy jest bliska aktorstwu.

– Przyjaciele – rzekł – współobywatele. To jest dzień słońca i deszczu, dzień płaczu i dzień radości. Wysłuchajcie mnie do końca, zanim wydacie sąd o tym, co uczyniliśmy dzisiejszego ranka. Widzę tu wielu ludzi, którzy kochali Cezara. Sam zaliczam się do nich...

Utrafił w nastrój chwili. Uważnie obserwowałem tłum. Opodał mnie stał wielki, spocony jegomość o spojrzeniu rzeźnika, z czarnym zarostem, nadgarstki miał poplamione krwią, a jego piersią wstrząsał szloch. Ściągnął z szyi brudną szmatę i otarł nią oczy. Gdy Marek przerwał, podniósł głowę i wydał ryk bólu, wściekłości i smutku, sam nie wiem czego. Jego towarzysz podał mu bukłak z winem. Pociągnął z niego, strumyczek żółtego płynu popłynął z kącika jego

ust na podbródek. Zlizął go językiem, otarł szmatą podbródek i znowu pociągnął haust.

Marek wyciągnął swój sztylet i pomachał nim nad głową.

– Tego sztyletu, który zabił Cezara, jestem gotów użyć przeciwko mojej własnej osobie, jeśli dobro Rzymu wymagać będzie mej śmierci.

Może moja groźba podsunęła mu pomysł tego dramatycznego gestu? Tłum ryknął, szaleńczo, manifestując swój sprzeciw. Marek był bohaterem chwili, surowy, sprawiedliwy, szlachetny, bezinteresowny, uosabiał wszystko, w co chciałby, aby wierzone. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że ten sam tłum wihatowałby równie głośno, widząc nas powieszonych, nagich, sponiewieranych.

Cynna, który nigdy nie grzeszył bystrością, źle wyczuł nastrój tłumu.

– Cezar był przeklętym tyranem! – krzyknął. – Niech nikt z was o tym nie zapomina.

Grudka gnoju trafiła go w twarz. W ślad za tym poszły inne pociski i wycofaliśmy się w bezładzie z powrotem na Kapitol.

Antoniusz nie był bezczynny. Kiedy minęło początkowe przerażenie – całkiem moim zdaniem zrozumiałe i usprawiedliwione wówczas, gdyby posłuchano mojej rady – i zrozumiał, że jego życiu nie zagraża bezpośrednio niebezpieczeństwo, pośpieszył do domu Cezara. Znalazł Kalpurnię pogrążoną w rozpacz, a może we wściekłości. Nie tracił czasu na pocieszanie jej, trud tyleż daremny, co zbędny. Kalpurnia nie miała już znaczenia. Nigdy jej nie lubił, wiedział, że jest wstrętną jędzą, która wkrótce znajdzie sobie innego mężczyznę, aby go zdręzczać. Biedak będzie w gorszej jeszcze sytuacji niż Cezar, albowiem nie wytrzyma porównania z nieżyjącym bohaterem. Antoniusz odsunął ją więc na bok i zabrał wszystkie dokumenty Cezara, korzystając ze swych uprawnień konsula. Nawet Kalpurnia nie mogła się z nim spierać, chociaż wyobrażam sobie, że próbowała to robić.

Wezwał na naradę bankiera Balbusa, a także Hircjusza, który był nie tylko sekretarzem Cezara, ale został wyznaczony na urząd konsula na rok przyszły, oraz dowódcę jazdy Lepidusa. Tym sposobem zapewnił sobie pieniądze, poważanie – nikt bowiem nie cieszył się większym szacunkiem niż Hircjusz, którego, jak zaręczał Cezar, nigdy nie gorszyły sprośne dowcipy, ponieważ był zbyt cnotliwy, aby je w ogóle zrozumieć – oraz rzecz największej w tym momencie wagi, żołnierzy, ponieważ Lepidus dowodził jedynymi oddziałami znajdującymi się w bezpośrednim sąsiedztwie Rzymu. Potem wysłał nam wiadomość, proponując „rozejm” i pertraktacje pokojowe. Aby okazać, że ufa naszej prawości, powierzył przekazanie tych wieści

swojemu osiemnastoletniemu synowi.

Nie można odmówić Antoniuszowi zimnej krwi. Porównywałem jego energię i wiarę w siebie z lęklivością moich towarzyszy.

Spędziłem ten wieczór na pisaniu listów. Do Longiny, Oktawiusza i Cyclerona. Możesz sobie wyobrazić, z jaką swadą zachwalałem nasze przedsięwzięcie. Ale byłem zarazem świadom, że mogę stracić życie, zanim znowu zapadnie ciemność.

Zaalarmowały mnie informacje, że Lepidus obsadził trzema kohortami Forum i wzmocnił strażę u bram miasta. Rzym, któremu zwróciliśmy wolność, miał się teraz stać naszym więzieniem, gdyby nie udało nam się osiągnąć porozumienia z następcami Cezara. Lepidusowi starczyło dobrych manier albo wyczucia politycznego, aby przesłać mi liścik wyjaśniający, że jego jedynym pragnieniem miało być zapewnienie porządku i zapobieżenie rozruchom. Podobny liścik wysłał do Marka, który bez trudu uwierzył w jego szczerłość.

Zanim się ubrałem, nadszedł następny list, tym razem od samego Antoniusza. Napisany był z oczywistych powodów w przyjaznym tonie. Zwołał posiedzenie Senatu w świątyni bogini Tellus na dzień następny: „Konieczne jest, abyśmy załatwili sprawy spokojnie i w legalny sposób”. Słowo „legalny” zostało podkreślone dwukrotnie grubymi kreskami. Zaprosił Kasjusza i mnie na wieczerzę u siebie wieczorem, dodając, że Lepidus wysłał podobne zaproszenie dla Marka i Metellusa Cymbra. Niżej znajdował się dopisek: nie niepokój się przedsięwziętymi przez Lepidusa środkami. Zapobiegłbym im, gdybym znał jego intencje, ale biedny głupiec musi odgrywać wielkiego męża. Wiesz, Myszo, jaki on jest”.

Uzbroiłem niewolników, każąc im się eskortować do domu Antoniusza. W mieście panował niepokój. Poeta, na swe nieszczęście noszący nazwisko Cynna, został omyłkowo wzięty za jednego z członków sprzysiężenia i zatłuczony pałkami na śmierć w jakiejś uliczce. Jak mi później powiedziano, był kiepskim poetą, ale jego nieudolne wiersze wcale nie usprawiedliwiały zabójstwa.

Antoniusz był trzeźwy; zażądał jednak wina, gdy tylko zostałem zapowiedziany, i opróżnił puchar, zanim zaczął rozmowę.

– Nie sądziłem, że taki z ciebie głupek, Myszo.

– Zrozumiałem z tonu twojego listu, że nie będziemy się wzajemnie obrażać, przynajmniej dzisiejszego wieczoru.

– Zgoda. – Dałem ci zresztą wystarczająco jasną wskazówkę. Niemal otwarcie wezwałem,

abyś przyłączył się do nas. – I na to zgoda.

– Czy słyszałeś, co mówi Cynceron?

– A czy powinno mnie to obchodzić?

– Powinno. Pyta, czy jest ktoś poza Antoniuszem, kto nie pragnął śmierci Cezara, i czy jest ktoś poza Antoniuszem, kto nie jest szczęśliwy z powodu tego, co się wydarzyło. Nie jestem pewien, czy się nie myli, czyniąc ten wyjątek.

– Może i masz rację. Nadal jednak zdumiewa mnie, że pozwoliłeś tak sobą pokierować. I to swojemu teściowi. Uważałem, że masz zbyt wiele rozsądku, aby wdać się w tak niezdarną, partacką awanturę.

– Dziękuję, Antoniuszu. Pewne sprawy zostałyby lepiej załatwione, gdyby przyjęto moją radę.

– Podzieliłbym los Cezara?

– Zostałbyś wyłączony z obiegu. Tak to określimy.

– Dzięki. Ale skoro jestem nadal w obiegu, tak jak ja to widzę, muszę zaprowadzić porządek i przywrócić choć trochę racjonalnej kontroli.

Mogliśmy uprawiać szermierkę na słowa jak starzy towarzysze broni, ale przyjęcie było krępujące. Nie mogło być inaczej; wyglądało to tak, jakby nagie i krwawiące ciało Cezara leżało na stole, pod czas gdy my dzieliliśmy spadek po nim. Hircjusz był bliski płaczu.

– Nigdy bym ciebie o to nie posądzał – mówił do mnie raz po raz.

Antoniusz uśmiechnął się, wyciągnął rękę, ścisnął swoje palce.

– Mógłbym kazać was wszystkich strącić ze Skały Tarpejskiej, a tłum byłby z radości. Nie sądzę, że mnie na to nie stać. Jako konsul mam pod sobą wojska Rzymu.

– Wspólnie z Dolabellą – zauważył Kasjusz.

– Nie mów mi takich rzeczy. Zapytaj Myszy, którego z nas posłuchają żołnierze.

– Nie ma co do tego wątpliwości.

– Jest jednak Lepidus – rzekł Kasjusz.

– Jeśli myślisz, że nie potrafię zapanować nad tym głupcem, sam jesteś głupcem. Nigdy nie widziałem takiego partactwa.

– Takiego z pewnością – powiedział Kasjusz. – Cezar nie żyje.

– A wasze życie jest w moich rękach. Mam pokusę, przyznaję. Ale bądźcie spokojni. Na razie. Przede wszystkim w waszej nikczemnej bandzie mam przyjaciół. Mysz jest

najważniejszym z nich. Dziękuj gwiazdom, którym nie wierzysz, Kasjuszu, że masz po swej stronie Mysz. W przeciwnym razie... – Roztrzaskał skorupę orzecha. Rozleciała się na kawałki. – Nie chcę naśladować Sulli. Podzielam pogardę Cezara dla tego przykładu. I zakładam, że wy też. W przeciwnym razie nie poprzeształibyście na Cezarze. Nie. Żadnych proskrypcji. Rzym ma dość przelewu obywatelskiej krwi. Poza tym – co zaszokuje Hircjusza – nie oddałbym głowy za Cezara. – Rozpromienił się i sięgnął po następny dzban wina. – Tak, był geniuszem, zgoda. Oślepił mnie, jak oślepił wszystkich. Ale nie wariowałem na jego punkcie. Nie jestem nawet pewien, czy go lubiłem.

– Uczucie sympatii jest słowem chybionym w odniesieniu do Cezara – powiedziałem.

– Całkiem słusznie. Byłem pod jego urokiem. Któż nie był? Ale – Mysz wie, zgadzam się z nim – staruszkowi zaczęło przewracać się w głowie. Cała ta kampania partyjska. No cóż, dziękuję wam za ocalenie przed nią. Dlaczego więc się go trzymałem? Dlaczego udawałem, że nie rozumiem aluzji, jakie czynił Decymus Brutus? To proste. Może zmierzał do tego, aby zostać tyranem, ale nim jeszcze nie był. I utrzymywał porządek, który wbrew temu, co robię w moim życiu prywatnym, cenię w życiu publicznym najwyżej. Tyrania jest znacznie łatwiejsza do zniesienia niż wojna domowa. Wszyscy aż nadto dobrze się o tym przekonali. Oto dlaczego tutaj jesteście. Dlatego możemy ustalić, jak uniknąć wojny domowej, jak podzielić państwo. Zgoda na to?

Kasjusz pociągnął nosem, jakby Antoniusz wydzieliał brzydki zapach.

– Jesteś obłudny – rzekł. – Trudno mi więc ci zaufać. Ale spróbuję, jeśli odpowiesz: ta... szarada na Luperkaliach. Czy możesz ją wyjaśnić?

Antoniusz wybuchnął śmiechem. Pamiętam, jak się zastanawiałem, czy ktokolwiek poza nim śmiał się w Rzymie tamtej nocy.

– Z łatwością. Odgrywałem głupka. Poza tym był to jego pomysł. Wypróbowywał lud. Gdyby się powiodło – dla niego – jaka różnica? Czy nazywa się go królem, Cezarem, dożywotnim dyktatorem, wszystko sprowadza się do tego samego przekłętogo końca. Poza tym byłem zalany. Nie możesz mieć do mnie o to pretensji...

W takich chwilach kochałem Antoniusza. Za jego witalność, za to, że nie brał sam siebie całkowicie poważnie, za to, że był zupełnym przeciwieństwem Marka, a także za to – tak, nadal tak twierdzą – że był bardziej prawym człowiekiem. Za jego śmiech. Marek nie umiał się śmiać. Ja sam jestem melancholikiem. Antoniusz wypełniał jakiś mój wewnętrzny niedostatek.

Następnie przedstawił swe propozycje. Zaskoczyły one Kasjusza, który gardził nim i z tego powodu nie zdołał go zrozumieć.

– Zgoda – powiedziałem – jeśli jesteś szczerzy.

– Szczerzy? – Antoniusz zaczął się śmiać. – Czy wątpisz we mnie? Twojego starego nicponia? Gdy wyszliśmy, Hircjusz złapał mnie za rękaw.

– Dlaczego? Dlaczego, Decymusie Brutusie? Jeżeli Cezar kogokolwiek kochał – (to było, rzecz jasna, wielkie „jeżeli”) – kochał właśnie ciebie. Chciałbym, abyśmy mogli polegać na Antoniuszu, ale jego rozum, jego charakter... och, mój drogi. Któż inny jednak pozostał?

– Możesz na mnie polegać, Hircjusu. Zawsze byliśmy przyjaciółmi.

– Tak – odrzekł. – Ale to samo mówiłeś Cezarowi.

– Nigdy nie ważyłem się nazwać Cezara przyjacielem.

Oburzenie, podejrzenia, obawa i żal zatrwały obrady Senatu.

Tyberiusz Klaudiusz Neron, stronnik kolejno Pompejusza i Cezara, niestały jak woda, wystąpił z wnioskiem o przyznanie „publicznych zaszczytów dla szlachetnych tyranobójców”. Niektórzy wiwatowali, inni kręcili się na swoich miejscach, jeszcze inni zagłuszali go wyciem. Byłem gotów potępić wniosek, aby ugłaskać przyjaciół Cezara. Ale Antoniusz przejął inicjatywę, uciszając Nerona gestem, który oddalił wniosek bez debaty: „Ani zaszczyty, ani kara”. Stało się. Czyn został spełniony. Nic dobrego nie wyniknęłoby z rozwodzenia się nad nim. Musimy patrzeć w przyszłość, aby zapewnić stabilność Republice. I dlatego – przyglądził wystający kędzior włosów – urząd dyktatora należy znieść, abyśmy nigdy więcej nie znaleźli się znowu w podobnych tarapatach. Wszyscy powinni zostać potwierdzeni w swoich funkcjach i tytułach, zarówno obecni urzędnicy, jak i desygnowani. Na koniec, chociaż uznano, że Cezara zabili prawi i patriotycznie nastawieni obywatele, niemniej wszystkie jego akty – nawet nieopublikowane jeszcze projekty – należy uznać za legalne.

Uśmiechnął się do nas.

– Ostrzegam was, przyjaciele, jeśli nie zaakceptujecie tego ostatniego rozwiązania, doprowadzimy do prawdziwej prawniczej kabały.

Widziałem, jak Marek rwał się do głosu. Milczenie było dla niego bolesne. Wskoczył nagle, gdy Antoniusz usiadł, ale okazało się, że potrafił jedynie powtórzyć opinie, jakie wyraził na Forum (choć czas na to minął, a poza tym brzmiały one jeszcze bardziej pusto, kiedy je

wypowiadał przed oświeconą widownią). Na koniec poparł zresztą wszystko, co proponował Antoniusz.

Cyceron również nie mógł się nie odezwać. Wezwał do ogólnej amnestii, obejmującej nawet Sekstusa Pompejusza i jego bandę. On także poparł rozwiązanie Antoniusza, chociaż tak wielką czuł do niego niechęć, że postarał się to uczynić, nie wymieniając go z imienia ani tytułu, a nawet zdołał stworzyć wrażenie, że propozycje wyszły całkowicie od niego. Nie dało się nie podziwiać jego talentu retorycznego, i nawet Antoniusz był bardziej ubawiony niż dotknięty tym pominięciem.

Ojciec Kalpurnii, Lucjusz Kalpurniusz Pizon, żądał opublikowania testamentu Cezara i urządzenia mu pogrzebu publicznego.

Wszyscy odczuwali tak wielką ulgę, że uchwalono nawet tę niebezpieczną propozycję. I znowu Cyceron wystąpił z poparciem.

– Musimy zaprowadzić nową zgodę w Republice, zaczynając tutaj w Senacie, czcigodni ojcowie – rzekł.

Była to stara, dobrze nam wszystkim znana, uspokajająca śpiewka. Niestety nie udało mu się, jak nie udawało się przez czterdzieści lat, wyjaśnić, jak ów pożądaný cel osiągnąć.

Poszło zbyt łatwo. Jakby Cezar zniknął bez śladu. Marka przepelniało bezmyślne samozadowolenie. Sprawował sądy przed świątynią bogini Tellus. Senatorowie, ekwici, zwykli obywatele tłoczyli się wokół niego, powtarzając refren o „szlachetnym Brutusie”.

– Przeklęty głupiec – rzekł Kaska. – On im wierzy. Przerznąliśmy, nie uważasz, stary przyjacielu?

– Tak.

– No cóż, nigdy nie sądziłem, że stanie się inaczej. Ale musieliśmy to zrobić.

– Tak – powiedziałem – przerznąliśmy jednak.

Straciliśmy szansę zyskania przewagi w Senacie, chociaż sądzę, że mieliśmy większość. Los nieszczęsnego Cynny pokazał uczucia ludu. Nie zgromadziliśmy oddziałów pod naszym dowództwem i w związku z tym byliśmy uzależnieni od dalszej życzliwości Antoniusza, a nawet Lepidusa. Mieliśmy ponieść karę za brak przezorności, a także nadmierne skrupuły. Nie udało się nam nawet przyciągnąć Dolabelli. Nie życzył sobie tego Kasjusz. Dolabella, stwierdził, jest



intrygantem, podobnie jak cała jego rodzina, niegodnym zaufania.

– Poszło świetnie – powiedział Marek, gdy tłum się zmniejszył, rozchodząc się do domów i gospód.

Tak ocenił posiedzenie Senatu, na którym Antoniusz zapewnił sobie prymat w Republice.

Nie uczestniczyłem w pogrzebie. Byłoby to w złym guście. Sprawy przyjęły zresztą taki obrót, że moje życie mogło się znaleźć w niebezpieczeństwie. Treboniusza, który wziął udział w obrzędzie, zapewniając, że w rzeczywistości wcale nie uderzył Cezara, rozpoznano i obrzucono błotem. Handlarz jarzynami cisnął mu w twarz kapustą, drugi zdzielił go pałką, trzeci chwycił za togę i podarł ją, tak że Treboniusz uciekł przerażony i na wpół nagi do najbliższego zaprzyjaźnionego domu. Ścigająca go gawiedź podpaliłaby budynek, gdyby Lepidus nie wysłał oddziałów, aby ich powstrzymać.

Antoniusz wygłosił mowę pogrzebową. Kasjusz i Marek przystali na to. Nie mogli zresztą temu zapobiec. Wedle tego, co mi przekazano, zaczął od stwierdzenia, że nie ma nic przeciwko zabójcom Cezara. Zgodnie ze swym własnym przekonaniem działali dla dobra Republiki. Są prawymi ludźmi, którzy obawiali się ambicji Cezara. Strasznie się rozwodził nad słowem „honor”, fałsz zaś pobrzmiwał w jego głosie, gdy dowodził, że Cesarowi brak było ambicji. Sarkazm zachwycił tłum, który wrzeszczał, żądając więcej.

Następnie – co było mistrzowskim zagranem – podniósł wysoko zbroczoną krwią togę Cezara. Wskazywał każde rozdarcie. Zidentyfikował każdy cios sztyletu, robiąc przerwy dla większego efektu. Wszystko to było oczywiście grą. Sami nie moglibyśmy stwierdzić na pewno, kto zadał jaką ranę. Ale tłum był.

Usłyszałem hałas i rozkazałem moim niewolnikom zabarykadować okolice domu i zaryglować drzwi.

Antoniusz odczytał testament. Powiedział o dobrodziejstwach Cezara dla ludu. Nikt nie pamiętał, że przez trzydzieści lat Cezar żył za pożyczone pieniądze, zaciągając horrendalne długi, dopóki nie stał się bogaczem, łupiąc wrogów Rzymu. Nie pamiętali nawet, że od pięciu lat zarządzał skarbem państwa, czego dotyczył jeden z najbardziej kwaśnych dowcipów Cyncerona.

Tłum ruszył naprzód, pochwyił ciało i spalił je na Forum. Wykrzykiwano, że Cezar był bogiem. Ludzie nakłonieni przez agitatora o imieniu Herofilus, który twierdził, że jest nieślubnym wnukiem Gajusza Mariusza, ustawili ołtarz i kolumnę na Forum, składając modły

i ofiary duchowi Cezara.

– Jego przeklęci zabójcy byłiby najlepszą ofiarą! – zawołał Herofilus.

Odpowiedziały mu pochwalne okrzyki. Wreszcie rozjuszony tłum zaczął podpalać domy tych z nas, których zdołali rozpoznać. Dym drażnił moje nozdrza przez całą noc, ale przedsięwzięte środki ostrożności zapewniły mi bezpieczeństwo, mimo przerażenia moich niewolników.

Wieści, jakie nadeszły następnego dnia, przekonały mnie, że straciliśmy Rzym i sami znaleźliśmy się w śmiertelnym zagrożeniu.

Antoniusz, zachowując pozory uprzejmości, a nawet przyjaźni, przysłał mi liścik z informacją, że zostałem wyznaczony w testamencie na opiekuna Oktawiusza.

*Ponieważ łączyły cię z chłopcem tak zażyte stosunki, wierzę, iż użyjesz swego wpływu, aby mu przypomnieć, że ciągle jest tylko chłopcem, niezdolnym do uczestnictwa w życiu publicznym. Uczyn tak, a będę twoim dłużnikiem. Rzym także, bardziej niż kiedykolwiek.*

Niepokój Antoniusza, jego oczywista obawa, że Oktawiusz mógłby zagrozić jego pozycji jako przywódcy stronnictwa cezariańskiego, pozwoliły mi odzyskać nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Z tego też powodu w stosownej formie napisałem do Oktawiusza.

Krucha zgoda idów marcowych rozpadła się. Wraz z tym Marka opuściła odwaga. Zbiegł z Rzymu, aby szukać wsparcia, jak mówił Kasjusz, w miastach łatyńskich. Niedługo potem mój teść poszedł w jego ślady. Rozstawaliśmy się bez żalu, oskarżając się wzajemnie o błędy i niepowodzenia. Moje zarzuty były uzasadnione. On był inspiratorem całego przedsięwzięcia i ponosił główną odpowiedzialność za jego klęskę. „Gdybyście mnie posłuchali...” – powiedziałem. Dla niego było to zbyt wiele. Świadom swej winy, opuścił mnie, nie próbując nawet dowiedzieć się o losy swej córki.

Dwa dni później wyruszyłem do mojej prowincji, Galii Cisalpińskiej. Wojna domowa była tuż-tuż. Nadeszła wieść, że Oktawiusz wylądował w Brundyzjum i zyskał poparcie tamtejszych legionów. Spadkobierca Cezara był w drodze.

Pojechałbym do Arycji, aby odwiedzić Longinę. Ale obawiałem się nawet chwili zwłoki.

Popędzały mnie niepomyślne pogłoski dochodzące ze wszystkich stron. Biedna Longina.

Nie zważając na niebezpieczeństwo, Kaska, jedyny spośród nas, nie zmienił swego trybu życia. Grupka weteranów Cezara zaskoczyła go w domu publicznym. Wtargnęli do środka, odtrącając przerażonego właściciela lokalu. Nagiemu i bezbronnemu Kasce pozostały tylko pięści. Otrzymał dwadzieścia trzy ciosy sztyletem, tyle samo co Cezar. Wierzę, że większość ciosów spadła na Kaskę już po śmierci. Potem okaleczyli syryjskiego chłopca, z którym się zabawiał, i zawlekli zwłoki Kaski w uliczkę, na której zostały znalezione przed świtem przez stróża.

## ROZDZIAŁ 24

Oplakiwałem Kaszę. Zarazem bałem się o siebie. Dlatego podróżowałem w największym pośpiechu, starając się jak najszybciej dotrzeć do mojej prowincji. Zastałem tam wzburzone i bliskie buntu legiony, niezadowolone miasta, niewielu podwładnych godnych zaufania, szerzącą się wszędzie obawę i niepewność.

Nie narzekałem. Pełne zwątpienia listy nadeszły od Kasjusza i Marka, którzy uciekli teraz na Wschód, rzekomo do przydzielonych im poprzednio prowincji, Kyreny i Krety. Kasjusz uważał wojnę domową za pewną, ale nie miał już nadziei na zwycięstwo. Marek przyznał, że moje przewidywania były słuszne, a on się omylił: „Za bardzo wierzyłem w cnotę i wielkoduszność. Okazałeś się, kuzynie, mądrzejszy w swoim cynizmie”. Pewnie nabrałbym do niego szacunku, gdyby wyznając swój błąd, nie zgłosił zarazem znowu pretensji do najwyższej cnoty. Ale zbyt byłem zajęty, aby o tym rozmyślać.

Przede wszystkim musiałem zebrać wojsko. Ogromna większość zaprawionych w bojach legionów przystała do Antoniusza, chociaż część mogła przyłączyć się do Oktawiusza. Młodzieniec przybył do Brundyjzjum i ogłosił, że jako spadkobierca Cezara będzie teraz występował pod imieniem Cezara Oktawiana.

Galia Cisalpińska była dobrym terenem dla rekrutacji i wkrótce dowodziłem pokaźną siłą. Nie mogłem jednak się oszukiwać, gdyż aż nazbyt dobrze znałem różnicę między niewyszkolonymi rekrutami a weteranami, którzy mieli za sobą wiele wojen. Sytuacja zmusiła mnie zresztą do osłabienia wartości bojowej mojego najlepszego (dziewiątego) legionu poprzez przesunięcie centurionów i weteranów do nowo sformowanych oddziałów, zarówno ze względów szkoleniowych, jak i w celu wzmocnienia morale.

Nade wszystko potrzebowałem czasu. A właśnie czasu mi nie dano. Przede wszystkim Antoniusz wyznaczył siebie na moje miejsce w Galii Cisalpińskiej po odbyciu konsulatu. Następnie z bezprzykładnym zuchwalstwem przeprowadził plebiscyt w kalendy czerwcowe, aby zyskać uprawnienia do bezzwłocznego przejścia kontroli nad moją prowincją. Krok nie mający żadnego precedensu w przeszłości ściągnął maskę przyjaźni z twarzy Antoniusza. Jego ambicje zostały obnażone. Zmierzał do zdobycia całkowitej przewagi w Republice.

Zaniepokoiło to Oktawiusza, który w końcu napisał do mnie w przyjaznym tonie, proponując spotkanie. Jego list otrzymałem w czasie, gdy toczyłem walki z plemionami alpejskimi. Walki, konieczne zresztą, były także cenne z tego powodu, że moje oddziały nabrały doświadczenia. Spisały się lepiej, aniżeli mogłem oczekiwać. Z nowym optymizmem wyruszyłem więc na spotkanie z Oktawiuszem w Orvieto, ignorując stanowcze żądanie Antoniusza, abym przekazał mu prowincję w przeciągu miesiąca.

Spotkaliśmy się w należącej do jego ojczyma Filipa willi położonej na wzgórzach poza miastem.

– Jakież to mnóstwo żołnierzy przyprowadziłeś ze sobą, Myszo. Mam nadzieję, że nie brakuje ci zaopatrzenia? Z pewnością my nie będziemy mogli ich wyżywić.

Zawahał się przed przyjęciem mojego pocałunku. Stojący za nim Mecenas zachichotał. Młody Marek Agryppa, który służył pod moimi rozkazami w Grecji i którego cenilem jako skutecznego dowódcę, spoglądał groźnie. Wiązałem pewne nadzieje z Oktawiuszem i chciałem pozostać z nim sam.

– Och nie – rzekł. – Jestem zbyt czuły na twój niebezpieczny wdzięk, mój drogi. Mecenas i Agryppa zostają.

Mecenas uśmiechnął się głupkowato. Był ubrany na grecką modłę, miał wyskubane brwi, cały był przesycony słodkimi korzennymi perfumami.

Podano wino i ciastka z migdałami. Siedzieliśmy na tarasie z widokiem na złotą dolinę. Drzewa oliwne lśniły w żarze południa.

– A zatem?

– W dziwnych okolicznościach się spotykamy – rzekłem.

– Bardzo dziwnych.

– Dobrze się spisałeś – powiedziałem. – Antoniusz jest wściekły. Uzyskałeś też poparcie Cyncerona. Należą ci się słowa uznania.

– Cynceron zasługuje na szacunek – odparł.

– A ty jesteś miłośnikiem przygód.

– Jestem spadkobiercą Cezara.

– Antoniusz to kwestionuje.

– Naturalnie.

Był całkowicie rozluźniony. Trudno było uwierzyć, że liczył sobie zaledwie dziewiętnaście

lat. Nadal wyglądał jak ów chłopiec, który uwielbiał moje pieszczoty. Jego wargi wyginały się w ten sam ponętny sposób. Skóra promieniała. Wyciągnął nagą nogę i podrapał się w udo.

– Spisałeś się nadzwyczaj dobrze – rzekłem.

– Nie mam oczywiście pojęcia o wojnie – Mecenasa wtrącił się ku mojemu oburzeniu. – To nie jest w ogóle moja sprawa, ale politycznie wygrywamy tę grę.

Zachichotał.

– Dojdzie jednak do wojny – rzekłem. – Co zrobisz wówczas? Nawet pod względem politycznym sprawy nie wyglądają całkiem tak, jak myślicie. Jesteście dumni z pozyskania poparcia Cyncerona i, jak mówiłem, to było doskonale posunięcie. Ale nie możesz mu ufać. Nikt nigdy nie wygrał, ufając Cynceronowi. Poza tym, czy słyszałeś, co on opowiada? „Chłopcu należy schlebiać, obsypać zaszczytami i pozbyć się go”. Oto co naprawdę myśli o tobie.

– Być może. – Wgryzł się w mięszs gruszeki. Sok sączył się z kącika jego ust. Otarł je serwetą. – Cynceron uważa, że wykorzystuje mnie – rzekł. – Myślę, że to ja go wykorzystuję. Okaze się, który z nas się myli. Prawdopodobnie jednak on. Jak widzisz, mam armię.

– Tak – odparłem – i żadnego wojennego doświadczenia, żadnego doświadczonego wodza.

– Czy zgłaszasz swoją kandydaturę, Myszo?

– Nasze interesy są zbieżne.

– No cóż, naprawdę, złotko, to prawdziwie bezczelne kłamstwo – rzekł Mecenasa. – Zabiłeś Cezara, chyba masz tego świadomość. Może już zapomniałeś? A my mamy go właśnie pomścić. W każdym razie w to właśnie wierzą nasi ludzie.

– Jest pewna trudność, Myszo. Z pewnością ją dostrzegasz. – Oktawiusz się uśmiechnął. – Jeśli nawet dopiero teraz.

– W tej chwili problemem jest Antoniusz – powiedziałem. – Jest twoim i moim wrogiem. Mnie rozkazał oddać prowincję, a tobie legiony.

– Ach, wiesz o tym, naprawdę? Wszystko jedno, mogę współpracować z Antoniuszem, dałem mu kiedyś nauczki.

– A jak to zrobisz?

– W każdy możliwy sposób. Nauczyłem się tego od mojego ojca.

– Masz na myśli Cezara?

– Tak, oczywiście Cezara. Nazywam go teraz moim ojcem, wiesz przecież. Ludziom się to podoba...

Cień nieżyjącego Cezara padł między nas. Oktawiusz odwrócił się. Jego sylwetka, wyrzeźbiona na tle odległych wzgórz, przykuła moją uwagę. Zauważyłem coś, czego nie dostrzegłem nigdy wcześniej: układ jego szczęki.

– Jest teraz bogiem. Kazałem to oficjalnie uchwalić. Jego ołtarze powstają w całym imperium, jak mi mówiono, nawet w twojej prowincji.

– Tak – odpowiedziałem. – Błazenada. Sam Cezar by się z tego śmiał.

– Nie sędzę. Był przygotowany na ubóstwienie. Nazywasz to błazenadą, Myszo, ale mam legiony na jej poparcie. I Senat mnie chwali. Dwa tygodnie temu obrano mnie konsulem. Czy doszły cię wieści o tym?

– A tak przy okazji – wtrącił Mecenias. – Mój drogi, szkoda, że tego nie widziałeś. Dwanaście sępów przeleciało mu nad głową, gdy nasz kochany chłopiec sprawował auspicja. Wyobrażasz sobie, jak to ucieszyło tłum, zwłaszcza że nie zabrakło takich, którzy szybko przypomnieli, iż w ten właśnie sposób został powitany sam Romulus.

– Błazenada – powtórzyłem. – Kto wypuścił ptaki?

– A co za różnica? – odparł Oktawiusz. – Ważne, że leciały.

– Powinieneś wiedzieć coś jeszcze – Agryppa odezwał się po raz pierwszy. – Zamierzamy odwołać amnestię dla zabójców Cezara. Masz, na co zasłużyłeś. Jesteście skończeni.

– Więcej wina? – Oktawiusz przesunął dzban w moim kierunku i uśmiechnął się.

– Czy wiesz, co jeszcze powiedział Cyceron? – Mecenias położył rękę na moim ramieniu, nie pozwalając mi jej strzasnąć. – Zapytał: „Jakiż bóg zesłał tego boskiego młodzieńca rzymskiemu ludowi?”

– Sam więc widzisz – boski młodzieniec uśmiechnął się znowu – że gra, Myszo, toczy się wedle moich reguł. Nie sędzę, abyś mi mógł cokolwiek zaofiarować.

Opuściła mnie wówczas cała nadzieja, ale nie dawałem za wygraną. Antoniusz maszerował przeciwko mnie, spychając moje wojska do Mutiny, gdzie przetrwaliśmy tamtej zimy straszne obłączenie. Jego powodzenie zaniepokoiło Oktawiusza, który przekonał Senat, że należy ogłosić go wrogiem publicznym. Przerażony, podjął nową próbę porozumienia ze mną. A ja zareagowałem tak, jak – bym mu ufał. Choć zaufanie umarło w promieniach wczesnojesiennego słońca na wzgórzach ponad Orvieto. Narodził się sojusz, sojusz zmiennych interesów, nic więcej. Konsulowie elekcji, Hircejusz i Pansa, wyruszyli przeciwko Antoniuszowi, zmuszając go do

zwinięcia oblężenia. Moi obdarci, wygłodzeni żołnierze wyszli z miasta, w którym oczekiwaliśmy na śmierć.

Gdybym miał jazdę, gdyby moich biednych legionów nie osłabił niedostatek, gdyby, gdyby, gdyby... Wówczas ścigałbym Antoniusza i może nawet odniósłbym zwycięstwo. Ale wszystko, co mogłem zrobić, to nalegać na Oktawiusza, aby odciągnął Publiusza Wentydusza, sługusa Antoniusza, maszerując z Picenum z trzema legionami weteranów. Chłopcu się nie udało albo postarał się o to, aby mu się nie udało...

Moją ostatnią nadzieją było połączenie sił z Lucjuszem Munacjuszem Plankusem, namiestnikiem Galii Comata [Podbitą przez Cezara Galię nazywali Rzymianie Comata – Włochata, od długich włosów, jakie nosili jej celtyccy mieszkańcy, albo Bracata od charakterystycznych szerokich spodni galijskich (braca). – przyp. tłum.] Znałem go jako lawiranta, ale napisał do mnie, ubolewając nad stanem republiki i nazywając Antoniusza „zbójem”. Przedarłem się na północ przez Przełęcz św. Bernarda. Przez cały czas ukradkiem znikali żołnierze. Brakowało żywności i pieniędzy. Przybył posłaniec od Cyncerona, który zwracał się do mnie jako do ostatniej nadziei Republiki na Zachodzie. Pomstował na Antoniusza, na Oktawiusza, na Los. Czytałem jego pismo, a nadzieja uchodziła ze mnie jak skały, które z łoskotem spadały z alpejskich szczytów.

Dotarłem do Grenoble i spotkałem tam Pianka. Przyjął mnie uśmiechem i miłymi słowami. Jego żołnierze opływali we wszelkie dostatki. Na moje strachy na wróble patrzyli ze zdziwieniem, przerażeniem i pogardą. Plankus uśmiechał się, gdy obrażał moich wrogów.

– Młody Cezar jest niewdzięcznym i chorobliwie ambitnym potworem; Antoniusz łajdakiem bez zasad; Lepidus próżnym bufonem, którego słowa są równie bezwartościowe jak słowa greckiej nierządnic.

Lub jak samego Pianka. Jak można zaufać człowiekowi, który o nikim poza samym sobą nie mówi dobrze?

Ósmego dnia zagrały trąbki. Zwiastowały przybycie Gajusza Azyniusza Polliona z dwoma legionami. Pollion był starym towarzyszem broni. Razem przekraczaliśmy Rubikon, walczył u mego boku w Hiszpanii. Gdy go pozdrowiłem, rzekł:

– Przybywam od Antoniusza.

– Wiem – powiedziałem. – Plankus czekał na twoje przybycie.

– No właśnie.

– Przykro mi – rzekł Plankus – ale naprawdę nie miałem innego wyjścia, jak przystać do



Antoniusza i Oktawiusza.

Staralem się bronić swoich racji. Nie chcieli nawet słuchać. Kiedy stwierdziłem, że Antoniusz i Oktawiusz zawiązali przestępczy spisek przeciwko Republice, Pollion uciął krótko:

– Dość tego.

Odszedłem do swego obozu, zaskoczony, że mi na to pozwolono.

Tej nocy zniknąłem pod osłoną ciemności, wiatru i deszczu. Zaledwie dwie centurie poszły za mną. Pozostali żołnierze przyjęli rozkaz wymarszu z niemą bezczelnością, a ja nie byłem w stanie ich ukarać.

Aby ocalić resztki planu, zamierzałem obejść szerokim łukiem Alpy i następnie ruszyć do Macedonii, gdzie Kasjusz zbierał wojsko. Wiesz, jak się to skończyło. Nie mogłem wysłać zwiadowców (gdyż obawiałem się, że oni także zdezerterują), zostaliśmy więc zaskoczeni, otoczeni, wzięci do niewoli. Galowie, gdy dowiedzieli się, kim jestem, patrzyli na mnie ze zdumieniem.

## ROZDZIAŁ 25

I tak zastała mnie noc.

Napisałem wprawdzie zarówno do Antoniusza, jak i do Oktawiusza, ale pogodziłem się ze śmiercią. Moim ostatnim życzeniem jest uniknąć niesławy, Z tego powodu opisałem swój udział w zabójstwie Cezara. Ufam, że jeśli ta opowieść przetrwa, potomność oceni mnie jako szczerego obrońcę Republiki.

Ostrzegalem Antoniusza, aby miał się na baczności przed Oktawiuszem. „Chłopiec stanie się twoim władcą – pisałem – a ty jego pomocnikiem w dziele zniszczenia wolności, która jedyna na daje sens życiu”.

Ostatnią iskierkę nadziei dawało sianie niezgody. Stosownie do tego zamiaru przypomniałem Oktawiuszowi, że Antoniusz uważał go za zwykłego chłopca, który wszystko zawdzięcza nazwisku.

Gdyby tylko była to prawda... ale chłopiec nie jest wcale cieniem Cezara. Ostrożniejszy, bardziej rozważny, prześcignie go w tyranii. Myśleliśmy o ocaleniu wolności, a opuściliśmy Rzym zagrożony upodlającą niewolą.

Nie miałem wieści od Longiny. Nie wiem nawet, czy nasz syn żyje.

Nie ma znaczenia, jak człowiek kończy. Ważne, jak żył, a ja żyłem z honorem.

Powierzyłem Artiksesowi przechowanie tego pamiętnika. Nie sądzę, aby mnie zawiódł, chociaż z pewnością nie rozumie, jaką wagę do niego przywiązuję.

O poranku przybył posłaniec, w którym rozpoznałem jednego z ludzi Lepidusa. Zaznałem przypływu nadziei. Groteskowe uczucie. Jak od kogoś takiego jak Lepidus można oczekiwać wybawienia?

Jego pan, powiedział posłaniec, sprzymierzył się z Antoniuszem i Oktawiuszem. Spotkają się na rzecznej wyspie w pobliżu Bolonii. Tam rozstrzygną o sprawach państwa. Nie będzie pobłażania dla wrogów. Zgodzili się, że polityka Cezara okazała się błędna. Sporządzą więc listę proskrybowanych osób. W ten sposób otrzymałem swój wyrok śmierci. Poprosiłem Artiksesa

o wino.

– Rozumiem – powiedziałem – że twój ojciec otrzymał taką samą nowinę.

Nie mogąc przemówić, skinął głową.

– Przekaż mu – odezwałem się znowu – że rozumiem i godzę się ze swoim losem.

Popatrzył na mnie z przerażeniem i podziwem.

Pożegnałem się z nielicznymi, wiernymi mi do końca towarzyszami. Najbardziej godnemu zaufania powierzyłem list do Longiny, w którym zapewniałem ją o mojej miłości i dziękowałem za... Nawet gdy go pisałem, zastanawiałem się, czy nie znalazła już nowego kochanka. Mimo to ciągle czuję jej usta na swoich.

Artiksес przyniósł szkatułkę z moim inkrustowanym sztyletem. Przyniósł także wiadomość od swojego ojca. Mam czas do świtu. Nie mogłem spodziewać się bardziej honorowego postępowania od barbarzyńcy. Od dawna jednak wiedziałem, że godność, z jaką znosiłem swe nieszczęścia, wywarła na nim ogromne wrażenie. Jest coś w duszy barbarzyńcy, co szlachetnością odwzajemnia szlachetność.

Śmierć jest zgaśnięciem światła, niczym więcej. Nie wierzę poetom, którzy obiecują... ale niedobrze jest zastanawiać się nad tymi sprawami. Nie służy to niczemu.

Napisałem także do Oktawiusza, który ciągle zaprzętał moje myśli.

*Czy przypominasz sobie wieczerzę u Cyncerona, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy? (Nawiasem mówiąc, idę o zakład, że Cynceron, na żądanie Antoniusza, trafił na twoją listę proskrybowanych i że jeśli idzie o jego sprawę, umyłeś ręce. Czy mam rację?). Właśnie wtedy powiedziałeś: „Człowiek jest tylko człowiekiem. Nie powinien traktować samego siebie jako postaci tragicznej”. Zgadza się z tym.*

*A czy przypominasz sobie naszą rozmowę o zagrożeniu, jakie pogoń za własnymi interesami wróży Republice?*

*Pomyśl o tym teraz, gdy zaczynają dosięgać cię pokusy, które doprowadziły Cezara do śmierci. Wspomnij swego przyjaciela i kochanka, którego jedyną zbrodnią było to, że bardziej*

*troszczył się o Republikę niż o siebie samego czy o Cezara. Zważ, że powstaną inni Brutusowie, jeśli cnota i umiłowanie wolności nie zanikną w Rzymie.*

*Zniszczysz Antoniusza. Będziesz mądrzejszy niż Cezar i nie przyjmiesz zewnętrznych oznak władzy absolutnej.*

*A jednak ją posiądziesz.*

*Czy zepsuje ona i zniszczy chłopca, którego kochałem?*

*Błagam cię, abyś zatroszczył się o moją żonę Longinę. Jako córka Gajusza Kasjusza i małżonka Decymusa Brutusa pozostaje w związkach, które mogą przynieść jej szkodę. Usilnie proszę, abyś zadbał o to, by zarówno ona, jak i nasz syn nie ucierpieli z mojego powodu.*

*Cieężko jest skończyć, ciężko zakończyć wszystko, przyznając się do klęski. A przecież Krassusa, Pompejusza, Cezara, wszystkich wielkich ludzi mojej młodości i wieku męskiego, dosięgła niesławna śmierć.*

*Strzeż się zazdrosnych bogów, Oktawiuszu...*

*Pamiętaj o mnie, dopóki żyjesz. Nadejdzie czas, gdy i ty staniesz się pyłem na wietrze.*

Różanopalca jutrzienka rozświetla szary ranek. U progu mojej chaty oddycham świeżym powietrzem, rześkim z powodu bliskości gór. Koguty pieją w dolinie.

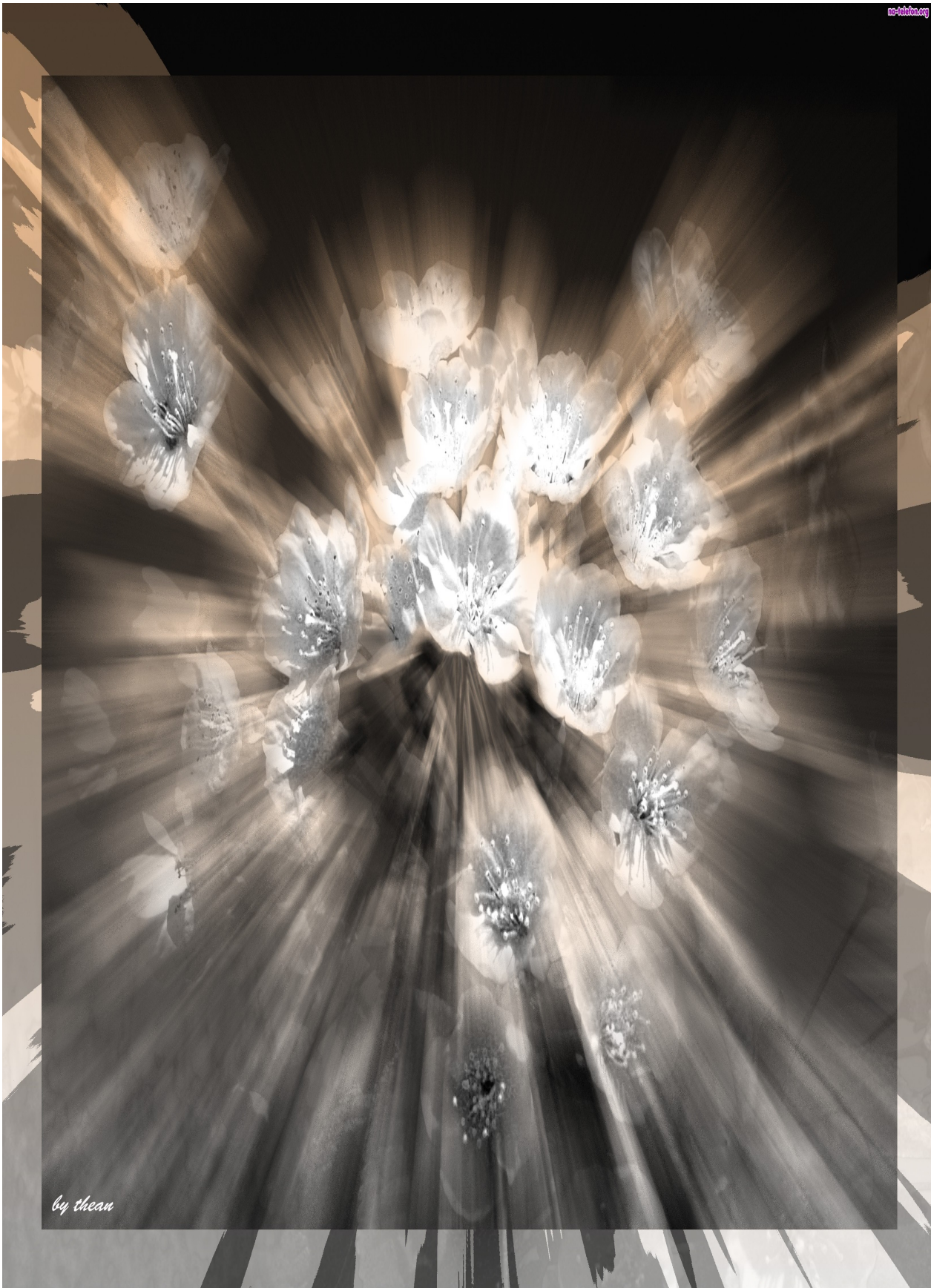
Jak to powiedziała Klodia?

„Zimne, szare szpony śmierci...” Coś w tym rodzaju. „Nie możemy bawić się w bogów”.

Gdy zabiliśmy Cezara, odważyliśmy się myśleć, że jesteśmy tego godni.

Trzymam w ręku sztylet, którym go uderzyłem.

Nic więcej nie mam do powiedzenia.



*by thean*